ODRODZENIE

Rok II.
Zeszyt 1.
Styczeń
1904.

MIESIĘCZNIK

1863.

Ja, duch nieśmiertelny, żywa myśl Boża, leżałem uśpiony w letargu, aż łuna krwawa przez zwarte snem twardym powieki uderzyła w źrenice moje.

Uczułem w sercu ból wielki i radość bezmierną; po latach bowiem bez pamięci budziłem się do jawy, wydarty letargowi przez łunę, radość i ból.

Usłyszałem śpiew, który rozkołysany jak dzwon, bił w niebios progi. Poznałem go, był bowiem, śpiewem ziemi przez Ojca mego mi danej. Poznałem go, bo to lud mój wołał do Świętego, Mocnego, Nieśmiertelnego o zmiłowanie.

Śpiew szerzył się, rósł, pełnił przestrzenie; słuchałem, aż nagle drżeć lękiem wielkim począłem: usłyszałem bowiem nagle pieśń nową, nieznaną, straszną, przerażeniem ziejącą, bolem i grozą krzyczącą.

Skarga to straszna, ostatnia.

Ostatnia!

I cóż po niej nastąpi? Bunt przeciw...?

Święty, Mocny i Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!

* *
*

Spojrzałem ku niej, ku Ziemi mojej, którą mi Ojciec dał i umiłować rozkazał.

Ujrzałem siebie samego — lud mój. Ujrzałem naród mój nad miarę ludzką nieszczęśliwy.

Rozpoczynał walkę przeciw złej Potędze, której się pokłoniła ziemia cała i naród wszelki, mówiąc:

„Któż podobny bestyi?“

„Któż z nią walczyć może?“

Ziemia cała i naród wszelki pokłoniły się Potędze, krom Ziemi mojej i Narodu mojego: Ziemia moja i Naród mój powstały przeciw Potędze.

Skupiłem się cały w uwagę, czekając, czy nie usłyszę wezwania.

Aż nagle stałem się przerażeniem.

Sina z bolu, ślepa, głucha i niema Rozpacz stanęła na mojem miejscu na czele Narodu, wiodąc go do walki.

Widziałem, jak padały niewiasty i dzieci. I widziałem mężów tysiące, gnane na zatracenie.

A pieśń wciąż brzmiała, ale już słabsza, mniejsza.

Skarga straszna, ostatnia, coraz cichszą się stawała.

Dymy pożarów zbijały się ku niebu. Śpiew kołysał się wciąż i jęczał, wołanie leciało w bezkresy, lecz nie usłyszałem imienia mego; i nie mogłem bieżać na pomoc z bezmiarem siły mojej.

Ojcze dobry! Racz nie pamiętać myśli, co się rodziły w sercu mem w owej chwili, gdym musiał bezczynnie patrzeć na lud mój rozpaczą obłąkany, obce dusze na pomoc wzywający, na Ziemię moją od krwi rdzawą, lasem szubienic skatowaną.

A jam patrzył!

O, Boże, Boże, Boże mój!

* * *

I ucichła pieśń; i umilkło wołanie.

Zamarła skarga ostatnia.

Pustka i milczenie, i mrok zaległy Ziemię moją.

Wtedy zszedł na Nią mój anioł biały.

I zanurzył w ziemię ręce aż do łokci i wydarł bryłę ogromną, a rozwinąwszy skrzydła, lotem ciężkim wzbijał się w górę.

Aż ujrzałem go, jak złożył bryłę Ziemi mojej przed tronem Bożym na mgławicy białej światem nowym ciężarnej, a ta powoli zaczęła rumienić się krwią z bryły się sączącą.

Anioł zaś stał obok w milczeniu, mając ręce po łokcie skrwawione.

Cisza stała się wielka w około.

Przed tronem Bożym Ziemia moja poiła Nowy rodzący się Świat krwią Narodu mego.

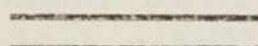
* * *

Letarg znowu szedł ku mnie.
Czułem nasuwanie się snu ohydnego.
Bezczucie rozwarło szpony nad głową moją.

Lecz oto anioł mój spieszy ku mnie i staje przedemną, mówiąc:

„Słuchaj, co mówi Święty, Mocny a Nieśmiertelny: Czuwaj! Bo przybliżył się dzień zbawienia; Czuwaj, aż w ciszy nocnej usłyszysz głos Ziemi twej, wzywający cię do czynu“.

O, Ziemio moja!
O, Narodzie mój!
Kiedyż usłyszę wezwanie Wasze?!



Z listów ś. p. Kazimierza Odrzywolskiego.

LIST DO KOLEGI.

Schodnica, 20. października 1900.

Nie odpisywałem Ci na list, bo miałem bardzo dużo różnych kłopotów i dopiero teraz przyjechałem na czas dłuższy do Schodnicy. Mam chwile spokojne i dla tego siadam ażeby z Tobą pogawędzić. I mnie dziwnie uderzyły na zjeździe naszym Twoje poglądy, wyznam Ci szczerze i otwarcie, że nie spodziewałem się znaleźć w Tobie pokrewnej duszy. Tymczasem życie, a z niem ideały chodzą różnemi szlakami. – Ja na swej drodze spotkałem Szczepanowskiego i niedziw, że dusza moja drgnęła pod wpływem jego światła i ciepła, ale kogo Ty spotkałeś na swej drodze? Takbym chciał zawiązać z Tobą bliższe stosunki, bo tyle, tyle mielibyśmy do pomówienia ze sobą. Odczuwam Cię, kochany Bernardzie, i wiem, że z bliższej naszej znajomości musiałby jakiś czyn wyniknąć.

Pod wpływem naszych wieszczów, których obecnie wchłaniam całem jestestwem mojem, widzę błędne drogi, po których naród szedł do odrodzenia, i że po dziś dzień błądzimy strasznie, szukamy obcych bogów, obcej kultury, przejmujemy się wszystkiem co nawet te obce narody do upadku doprowadziło, a zapominamy, że odrodzenie może tylko z nas samych brać początek. Musimy sięgnąć do własnego ducha narodowego i z niego wydobyć tę siłę, któraby nas uszczęśliwić mogła. — Źródłem ducha narodowego są nasi wieszczowie. — Ach Boże, cóż tam za cuda, na które my ślepi jesteśmy. — Dzisiaj widzę jasno, dlaczego wszystkie nasze usiłowania poszły na marne, i rozpacz mnie bierze patrzać na to, że obecnie zamiast poznania złego i zwrócenia się z drogi, społeczeństwo nasze coraz bardziej zbliża się do przepaści materyalizmu, który cały świat prowadzi do strasznej katastrofy. — Chciałoby się coś robić, coś radzić, a sił nie wystarcza na samo zwalczanie przeciwności stawianych przez własnych braci. Ach, dużo, dużo, miałbym Ci do opowiadania, do podzielenia się myślami.

Mam w planie wiele zamiarów. Myślę nad ich ucieleśnieniem i wierzę, że Bóg da siły do ich doprowadzenia. — Jeżelibyś kiedy miał zamiar odwiedzić mnie w Schodnicy, — a warto ją zobaczyć, napisz do mnie — byłbym Ci bardzo wdzięcznym. Nawet dla interesu jednego wspólnego byłoby bardzo dobrze.

Ściskam Cię serdecznie

Twój

Kazimierz Odrzywolski.

Glossy w kulturze niemieckiej i polskiej.

I.

W XI-tym tomie pism Nietzschego (Pisma pośmiertne tomy IX—XV), wydanym bież. roku u Naumanna w Lipsku, spotykamy zbiór pomysłów do rozprawki „o możliwości kultury niemieckiej“.

Rzecz to budząca interes, przydatna nietylko dla Niemców. Tu przynajmniej kwestya postawiona jest czysto, wysoko, z rzetelnością humanisty, z ambicyą patryoty.

Autor wychodzi z osobistej interpretacyi symfonii dziewiątej. Życie Wagnera stanowi symbol nadziei dla kultury niemieckiej. „Nasza najwyższa obawa w tem, że nie jesteśmy dojrzali do cudów, że działanie ich niedość głębokie“.

Utwór Wagnerowski budzi w nim myśli, które dla swej świadomości potrzebują introdukcyi, usprawiedliwienia. Przypomina tedy autor, jak to w czasie ostatniej wojny francusko-pruskiej wydarzyło się, że pewien rozgoryczony uczony francuski nazwał Niemców barbarzyńcami i zarzucił im brak kultury. Niemcy uczynili o to hałas. Utrzymywano przeciwnie, że lud niemiecki jest jednym z najcnotliwszych, najłagodniejszych i najbardziej oświeconych.

Dziś, gdy już Niemcy mieli czas ochłonąć z autoentuzyazmu i przypatrzyć się lepiej tym zarzutom Francuza, dziś znajdzie się niejeden wśród nich, co przyzna, że Niemcy są w istocie barbarzyńcami mimo swych dodatnich przymiotów. Jeśli mimo to znaleźli się tacy, co im gratulowali zwycięztwa, to stało się to jedynie z przyczyny tych nadziei, jakie tworząca się dopiero kultura niemiecka obudza.

Że atoli są barbarzyńcami do dziś, tego zdania był również i Goethe, dość stary i doświadczony, aby miał prawo prawdę tę powiedzieć ziomkom swoim. Pozwalam sobie — dodaje Nietzsche — nawiązać do tych słów, ponieważ zresztą nikt inny by mi na to niepozwolił. W rozmowie z Eckermannem zauważył Goethe jednego wieczoru, że w ostatniem stuleciu niemcy rozwinęli się wcale pokaźnie, ale że trzeba będzie kilku jeszcze stuleci by tyle ducha i wyższej kultury wniknęło w tych ludzi i rozpowszechniło się, żeby można o nich powiedzieć iż to już dawne czasy, jak oni byli barbarzyńcami.

Goethe miał racyę, mimo dzisiejszych zapewnień, że niemcy są narodem kulturnym. Rozpatrzmy jednak wpierw, na czem polega kultura.

* * *

Kultura nie wyrasta w trzech dniach. Rozwija się powoli z barbarzyństwa i ma swoje okresy walk i wachań, które ją czynią wątpliwą.

Ukształconym (gebildet) nazwiemy tego, kto ma kształt, formę. Przeciwieństwem formy jest bezkształt, brak jedności.

— Naczem zaś polega jedność pewnego ludu? Zewnętrznie na własnym rządzie, wewnętrznie na języku i obyczaju.

— Punktem stałym, około którego krystalizuje się lud grecki, jest jego mowa. Punktem stałym, około którego krystalizuje jego kultura, jest Homer. A przeto w jednym i drugim wypadku dzieło sztuki.

Kultura to panowanie sztuki nad życiem. Stopień jej dobroci zawisł raz od stopnia tego panowania, a powtóre od wartości samejże sztuki.

Można sobie zupełnie dobrze wyobrazić uczonego bez kultury, pietystę bez kultury, filozofa bez kultury. Również religia może iść w parze z barbarzystwem, toż samo dar wynalazczości, intelekt. Nawet pewna sztuka może istnieć w społeczeństwie barbarzyskiem.

Uzdolnienie jest tylko warunkiem kultury; główną rzeczą jest wychowanie według wzorów. Dobór.

Kształcenie nie ma być koniecznie pojęciowe, lecz przedewszystkiem poglądowe i trafne w wyborze; podobnie jak muzyk grający w ciemności. Kulturalne wychowanie narodu jest w gruncie rzeczy nawyknięciem do dobrych wzorów i wyrobieniem szlachetnych potrzeb.

Twierdzenie główne: Niema niemieckiej kultury, bo niema jeszcze niemieckiego stylu.

Olbrzymia praca Schillera i Goethego... konieczności tendencyi kosmopolitycznej. Dalszy ciąg robót Reformacyi.

W tych kilku rzuconych zdaniach widzimy już kwestyę postawioną przez Nietzschego i szeroki jej naokół horyzont.

— Niemieckość musi się dopiero wytwarzać. Na jakiej drodze? Dopóki stylu niemieckiego niema, musi to być droga kosmopolityczna. Po wojnie z roku 1870 nacyonaliści ubóstwili

niemieckość jako rzecz najwyższą na ziemi. Tymczasem sztuka nasza własna ma cechy romańskie — i to nawet nie.

— Wytworzenie niemieckości a nie według niemieckości: tworzenie niemieckiego stylu w życiu, poznaniu, tworzeniu, mowie, chodzie i t. d.

— Mamy dopiero niemiecką muzykę, Wagnera. Krok następny: muzyka ta stworzy sobie dramat. Dziś widzimy, czem jest dramat słowny: uczony, nieoryginalny, kłamliwy albo drastyczny.

Wagner stwarza dopiero niemieckość. Pokonywuje w sztuce pojęcia „literackości", łączy sztukę z życiem, co jest konsekwencyą starożytnej tragedyi. Pokonywuje romańskie pojęcie sztuki jako tezy, jako umowy. Powrót do heleńskiego pojęcia: sztuka jako natura.

* * *

— Jakie są elementy niemieckiej przeszłości? zapytuje dalej Nietzsche.

Ludowa sztuka Reformacyi: Faust, Meistersinger.

Askeza i miłość czysta, Rzym: Tannhäuser.

Wierność, rycerstwo, wschód: Lohengrin.

Najstarszy mit: Pierścień Nibelungów.

Metafizyka miłości: Tristan.

Ten nasz świat mitów — dodaje Nietzsche — sięga aż do Reformacyi. Wiara w niego jest podobna do wiary Greków w świat mityczny.

Oczywiście przesada, od której jak się pokazuje można nie być wolnym nawet gdy się jest Nietzschem. Pragermański Faust nie jest mitem germańskim. Pochodzi z czwartego wieku, jest podaniem romańskiem, kościelnem (Faustus et Helena). Lohengrin jest podaniem bretońskiem. Świat bogów germańskich z Nibelungów jest światem zapożyczonym od rzymian. Wykazuje to znakomity germanista profesor Bügge z Christianii.

Ale powróćmy do toku rozprawy Nietzschego. Po Reformacyi idą jej kontynuacye:

Nauka połączona z artyzmem. Odkrycie pieśni ludowej, Szekspir, Hamann, Faust. Twórczość instynktowna, bez reguł.

W plastyce piękność prostoty. W dramacie surowa konieczność. Usunięcie norm francuskich, wpływ bezpośredni starożytnych.

Szukanie dramatu, stwarzanie literatury.

Potem romantycy, częściowo jako reakcya przeciw kosmopolityzmowi, także reakcya muzyki przeciw zimnej plastyce, a także rozszerzenie kosmopolitycznego naśladownictwa.

Potem przez Młode-Niemcy przeskok do czasów dzisiejszych.

Skąd mamy wziąść literaturę — pyta Nietzsche, kiedy nie mamy mówców. Goethe-gawędziarz... Herder-pastor. W Niemczech przychodzą do głosu tylko trzy rodzaje ludzi: profesor, pastor i mamka.

* *
*

Elementy kultury dzisiejszej:
Historyczność.
Filisterskość.
Profesorskość.
Kultura bez ludu.
Obyczaj właściwie obcy.
Nieestetyczność (patologia).
Filozofia bez praktyki.
Kasty nie według wykształcenia.
Pisanie a nie mówienie.
Tymczasem należy postawić:
Na miejsce historyzmu: siłę tworzącą mity.
„ „ filisterskiej miękości: metafizyczne współczucie.
„ „ profesorskości: wiedzę tragiczną.
„ „ kast: trybunał wykształcenia.
„ „ pisania: myślenie i mówienie.
„ „ dogmatyzmu: filozofię.
Przezwyciężenie azyatyzmu, mieszania religii.
Utrzymanie w świętości: mowy i muzyki.
Ustęp ten jest świetny w swej sile, młodości, zdrowiu.
Idźmy dalej.

* *
*

Nieszczęsne przypadki tworzącej się kultury niemieckiej:

Hegel.

Heine.

Febra polityczno-nacyonalistyczna.

Sława wojenna.

* *
*

Podpory tejże kultury: Schopenhauer. Ten pogłębia pogląd, na świat Goethe-Schillerowski.

Uznanie, jakiem się cieszy Gerwinus, jest mu dowodem, że Niemcy nie są warci prawdziwej sztuki. Nie mają oni czucia z teatrem na seryo, jedynie do najniższych jego form czują oni pociąg. Podobnie towarzyskość przechowują tylko przy piwie.

Wreszcie z końcowych chaotycznych uwag najtrafniejsza.

Jeżeli nie jesteście wielcy, to strzeżcie się wielkości!

Tak pisze młody Nietzsche, pierwszy Nietzsche (1873), przyjaciel Wagnera, wierzący w Niemców, w cuda, w Schillera, w ideały. W okresie drugim nie wiele i z tego zostało.

Glossy do kultury polskiej.

II.

Po przeczytaniu powyższych uwag budzi się mimowoli niepokój o stan i przyszłość kultury naszej.

Sprobójmy odpowiedzieć na te same pytania, które Nietzsche stawia kulturze niemieckiej.

Czy w naszej kulturze jest jedność?

Typ fizyczny zaciera się. Typ duchowy ulega obecnie rozbiciu. Żywotność plemienna raczej wzrosła, ale typ duchowy zamąca się. Tradycya niema swego normalnego rozwoju.

Składniki tej jedności: język i struktura moralna.

Dzisiejszy język żywy, rytm szerokiej piersi, stwarza Mickiewicz. Język kursów, pism prozą winien być postawiony za wzór. To język mówcy.

Słowacki tworzy język literacki, ogniste żądła przenikające ciemności.

Z dzisiejszych: Reymont, olbrzymi bazar Luwru; Żeromski, leniwy radża opiumicznie upojony językiem; Wyspiański, język osobliwy, przeniknięty gniewem Achillesowym, leży na uboczu obok drogi rozwojowej. Kasprowicz: smutny dźwięk stali. Tetmajer, skalna łąka z faunami. Przybyszewski — barok. Pan mowy, prawdziwy pan, nie rozrzutny, nie skąpy, prosty w manierach, pewny siebie, trochę melankolijny przy kobietach — język Sienkiewicza.

Typ duchowy (ulega wstrząśnieniom), — kto go wytwarzać począł, uświadamiać?

Rej. Przed nim Długosz. Głównie Rej. Nie mamy dotąd monografii Reja. Łączy w sobie warunki rzetelnej kultury: plemienność i kosmopolityzm. W nim skrzyżowały się na gruncie rodzinnym: humanizm, reformacya i renesans.

Mickiewicz następnie. W nim zawarły się żywioły polskości i duch całego czasu.

Wilno, Drezno, zamyka teraźniejszość.

Pan Tadeusz. — Historya polska. — Kursa: przeszłość.

Kursa, odrodzenie, Trybuna ludów — przyszłość. Czem Goethe i Wagner dla Niemiec, tem Mickiewicz dla Polaków.

Jeden Mickiewicz dochodzi do harmonii elementów narodowych i światowych w swojej duszy.

Wszelka kultura jest dziełem twórczości geniuszów i wychowania według tych wzorów. Trzeba umieć zdać sobie sprawę z doniosłości tego wychowania. Naród niekulturalny i człowiek niekulturalny nie umie nikogo postawić. U nas Mickiewicz nie jest dotąd postawiony, bo wychowanie młodzieży i narodu jest chaotyczne, nieopanowane. On nie żyje wpośród nas, jak Szekspir w Anglii do dziś, jak Dante dawniej we Włoszech, jak Goethe w Niemczech. Uczynić zeń wychowawcę, jest rzeczą inteligencyi narodu.

Tradycye rozwojowe:

Polska mityczna. Co z niej można zrobić, pokazał Słowacki.

— Passya złotej wolności. Instynkt kulturalny, leżący na drodze przyszłości. (Stirner, Bakunin, Nietzsche, Tołstoj). Indywidualizm. Król-żołnierz jako typ obywatela.

— Rycerz chrześciański: Lignica, Warna, Cecora, Chocim, Wiedeń. Walka z bizantynizmem i azyatyzmem. Car i ojczyzna— antytezy pojęć w świecie moralnym i realnym.

— Estetyzm obyczajowy (zatraca się).

— Główny ideał: bohaterstwo.

— Główny wstręt: podłość.

* * *

O ile dzisiaj sztuka ma władzę nad życiem?

Brak nam stylu. Ludzie z 1831 mieli go.

Sztuka rozwija się ponad społeczeństwem. (Jej motywem— twórczy ból Polaka).

Teatr niema obecnie stylu, publiczności brak hellenizmu, nie bierze teatru na seryo.

Kult muzyki zatraca się całkowicie. Brak ideału muzycznego. Każda Niemka ma kult muzyki rzetelny, pracuje, doprowadza się do wyżyny artystycznej, czuje istotną potrzebę tego życia. Chopin — to dopiero Malczewski tonów. Czas na muzykę Mickiewiczowską, którąby była głosem całej ziemi. W charakterze będzie ona podobna do „Święty Boże“?

Dwa były u nas ruchy światowe i te były twórcze. Ruch reformacyjny stał w związku z Europą i wywołał: literaturę Zygmuntowską i czasy Zygmuntowskie. Ruch napoleoński i emigracyjny rozbudził geniusz romantyzmu.

Wskazówka na przyszłość. Narodowość i światowość. Żyć tętnem całej ziemi, byle tylko mieć w myśleniu i działaniu punkt ciężkości oparty o ziemię własną. Ale światowość trzeba w sobie zachować. Czem jest narodowość wyniesiona na wyżynę światowości, dowodem Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, C. Norwid. Czem narodowość bez światowości, dowodem Bohdan Zaleski, Wincenty Pol, Syrokomla.

Dwa są czyny spoczywające na barkach obecnego pokolenia.

1° Organizacya sił narodowych. Nigdy ich dobrze nieznaliśmy, stąd przecenianie (1863). i nie docenianie (1831). Mochnacki jeden wskazywał tę drogę, niestety umarł za wcześnie. Nie mamy dotąd monografii Mochnackiego. Organizacyę tę podjąć winna demokracya na-

rodowa, spadkobierczyni pracy Mochnackiego. Dotąd brak człowieka, coby to objął z całą czystością i szerokością oczu ducha. Szczepanowskiego, co tego zadania jąć się był mógł — zmarnowano. Dziś wszystkich fala niesie, żaden nie prowadzi fali. Krwawe błędy: patryotyzm pruski (t. zn. pruskie jego pojęcie) a zaniedbanie Unii.

Obawy: rozdział kulturalny między warstwą historyczną a ludem rolnym.

2⁰ Odrodzenie indywidualne. Dalszy ciąg pracy ludzi w których zamieszkał geniusz narodu. Kordecki człowiek czysty, Kościuszko, pierwszy człowiek nowy, Mickiewicz święty nowożytny. Jest to organizacya energii, równoległa do organizacyi mas. Niemiec bije się za ziemię, co wydała Kanta i Goethego. Polakom w roku 1831 zarzucał Słowacki „Kolorowy ideał ułana". Brak im było siły wyższej, którą możnaby przeciwstawić rosyjskiemu ideałowi cara. Potrzeba i dziś dać ludziom wyższy ideał ojczyzny (ponad np. cukrownię przeworską).

To jest rewizya i realizacya pracy duchowej najlepszego pokolenia jakie Polska wydała.

* * *

Zasadnicza cecha kultury polskiej — połączenie Wschodu i Zachodu w duchowej naturze Polaka. Pogodzenie Świętości i Poznania. Chrystus-Prometeusz. Zadanie to, przez nas nie poprowadzone, przejdzie na Rosyę!

Strzedz Unii, jako dzieła, podjętego w natchnionej chwili ojców naszych.

Grecy walcząc o Grecyę, walczyli zarazem o wyższy typ człowieka. Toż samo Holandya walcząca z Filipem II. Zwyciężyła Grecya i Holandya. Taką być winna walka Polaka z Rosyaninem — walka o wyższy typ człowieka wolnego.

Tylko wtedy zwyciężymy*).

Artur Górski.

*) Jestto szkic doraźny, wywołany szkicem Nietzschego. Poźniej prześlę Szan. Redakcyi rozwinięcie bardziej wyczerpujące. A. G.

WIGILIA.

I.

Przeczże nowina, co jeszcze w kolebce
przysłała do mnie, jakąś tajną mową
tak wiernie znaną a przedziwnie nową
zamierzchłe dziwy memu sercu szepce?

Idzie lęk dziwny tej mesjańskiej nocy
czekaniem cudu każdy prężąc atom
trwożny, iż wielkie coś się zbliża światom
a w grobach siwi idą w proch prorocy.

Lęk — czar — czuwanie — ni kaziennych oków,
ni rozpłakanych granie cytr — u czoła
niebiosom śni się widmo archanioła,

w zaświatach wielkie pełnią się obrzędy,
ku dopełnieniu idzie sąd wyroków
brzemiennych wiekom — — Kolędy! Kolędy!

*
*   *

II.

Otom ci, Słowo, sługa jest pokorny
w cichości orząc życia łan codzienny,
ni płaszcz dostojny ni miecz służby lennej
nie zabrał serca mojej trosce ornej.

Przeczże mi każesz dalej niż sokoli
wzrok sięga, patrzeć? przecz nad korny kielich
serca grzmieć każesz echom trąb anielich,
grających pokój duchom dobrej woli?

Jakoż mi słyszeć święty szept tęsknoty
z za oćmy czasów, kiedy płód proroczy
miał dojrzeć wiekom? jakoż mi na oczy

skrzydlatych hufców niebozstępne roty
oglądać, z górnych objawienia wierzej
idące z wieścią w senny lud pasterzy?

* * *

III.

I jakoż słowy dawać mi marnemi
świadectwo jawie, śpiewającą rotą
zesłanej sercu z wielkich nieb, że oto
jest dobrej woli pokój dan na ziemi?

Będzież mi wiara? a z własnem niezdrowiem
jakaż poręka moich słów? — Bluźnierce
szydząc mi rzekną: okaż własne serce,
żali nieskaźne? — i cóż ja odpowiem?

O bo zaprawdę snadniej kij pielgrzymi
wziąwszy powrócić do pastuszej nocy
i stopą zmierzyć wieków nurt olbrzymi —

niż godnie spełnić żertwę pojednania,
niż sercem posiąść tysiąc hufców mocy,
co przyszły duszom z anielskiego grania!

*
* *

IV.

Zaprawdę: snadniej w pohańbieniu mściwie
na serce ciskać piorunowe razy,
niźli drobinie serca rzec: bez skazy
jesteś mi, piękna jako śnieg na niwie!

Zaprawdę: snadniej ołtarz całopalny
z błogości dni swych złożyć miasto plonu,
niż leczebnemu myśl porównać gronu
a bodziec trudu zrównać wodzie skalnej!

Przeto nie mówcie! Serce ciągle idzie
i nigdzie kresu niemasz jego lotom
nigdzie mu nie rzec: Otom zaszło, otom

pełnię mądrości w nieskończonym widzie
Słowa zaczerpło! — My pasterze prości
idący polem, a w nieskończoności
dom dany Słowu.

* * *

V.

Bracia wy moi! zwólmy pląsu wodze
a grania gęślom, niosąc dar ku strzesze!
Oto że idziem, grajmy w serc uciesze,
bo błogosławion, który jest już w drodze!

Serdecznem winem ciepli się weselmy!
Oto na drogi padł nam proch przewiny,
a on do prochu swojej przyda śliny
i przejrzy oko nawiedzone bielmy.

Jakoż nie pląsać! O wy bracia moi,
nito ptak wietrzny moja dusza leci
na świętej, wspólnej naszych dusz kolędzie

w uciesze prostej jako radość dzieci,
gdy się ich oczom łąka kwieciem roi —
a wszak On dzieciom błogosławić będzie!

* * *

VI.

Oto On idzie jak po niebioskłonie
na zbożne pola cichy ranek letni —
a mądrość Jego jako słodkość fletni —
któż się opatrzy — gdy już wdzięcznie chłonie?

Mądrość jest Jego, jako dobre zioła,
a któż ziół wszelkich zliczył moc ukojną?
a mądrość Jego jest waleczną wojną,
a któż czarnego przejrzał huf anioła?

Oto On idzie jako świtań rosa;
nikt nie odgadnie załamania barwy,
a oto choćby u lichego wrzosa

zobaczy tęczę. Jako rodne larwy
motylów polnych są dlań serca — —

* * *

VII.

Oto On usiadł na kwiecistej łące
jako mir duszy cichy i pogodny
i błogosławi łanów trosce płodnej
i błogosławi zorzy w strop idącej.

Kłosów szumiące mu się kłonią groty,
w harfie wszechświata brzmiące struny świecą,
a z serc ku Niemu gołębice lecą
białe, wysłane w wielkich dniach tęsknoty.

On je przy piersi tak przesłodko pieści
i z krzów kwitnących dawa pąki wonne,
ażeby były wszechorędziem Wieści —

a wiecznie idą z wielkiej nocy wcieleń
anielskich kolęd echa w dal podzwonne —
i gołębice niosą dobrą zieleń...

*
* *



VIII.

Świtanie ranne głosząc nieb otwarcie
codzień odmienną płomienieje wstęgą, —
tak mądrość Jego jest codzienną księgą, —
któż wie, co stoi na jutrzejszej karcie?

W wzór różnolity wieczna nić się mota
a zboża szumią, gdzie pustelnie stały —
o! słuch wytężmy, aby znać hejnały,
co wiekom dają nową treść żywota!

Tężmy! Choć serce wszystkich fal nie zliczy,
nurt z fal tysiaca spłynie hasłem na nie!
O słowa czasów, co z odwiecznych zniczy

ogniem idące mi się w sercu śnicie!
na dzisiaj: życie! jutro: zmartwywstanie!
a na dzień trzeci: zmartwychwstałe życie!

(c. d. n.)

ANDRZEJ TOWIAŃSKI.

Skreślił
Andrzej Baumfeld.

(Odczyty wygłoszone we Lwowie dnia 2. i 3. stycznia 1904.)

O Towiańskim pisało się u nas i pisze dosyć. Ale — zdaniem mojem — wszystko to bardzo dalekie od istoty rzeczy, oparte albo na błędnych źródłach albo na niemniej błędnym stosunku wewnętrznym piszących do przedmiotu. W niniejszych odczytach chciałem dać przedewszystkiem obraz sprawy w jej najbardziej podstawowych objawach, opierając się na dostępnym mi materyale t. j. na Pismach Towiańskiego, (które wyszły w Turynie r. 1883 w 3 t.) i na pracy Tancreda Canonico: Andrzej Towiański (zarys biograficzny — tł. pol. Turyn 1897).

Szczegółów historycznych ani literackich nie uwzględniałem; znane są one dostatecznie tym, którzy się historyą literatury naszej zajmują. Chciałem tytko na te znane już fakta rzucić garść światła, które czuję jako jedynie dobrze sprawę oświetlające. Dać możność poznania zasadniczego tonu tej niezwykłej duszy i jej przejawów — to pierwszy cel tej pracy. Drugi: ugrupować koło właściwego przedmiotu uwagi i myśli, które są chyba zawsze ważne i żywotne — dla jednostki i narodu.

I. Obraz duszy.

... „Szukajcie naprzód Królestwa Bożego, a to wszystko przydano wam będzie“... Ale przytomna temu wezwaniu ludzkość ukrzyżowała Tego, który jej królestwo Boże przybliżał, — albowiem żądną była nadewszystko władzy i dóbr ziemskich. A wieki potomne strąciły w przepaść słowa, niepokój przynoszące sumieniom -- i dokonawszy tak dzieła przodków swoich, poszły w stronę, skąd błyszczały zysk i wygoda — zaczęły raczej szukać tej reszty, co miała być przydana... I Królestwo Boże oddalało się niby coraz bardziej. I nastały czasy, kiedy narody i ludzie, nazywający się imieniem Chrystusa, ogniem i mieczem krzewiły Ewangelię miłości, a następcy Tego, który był „cichy i pokornego serca“, blaskowi świeckiej władzy poświęcali wszystko istotne z nauki Jego — królestwo ziemskie postawili za cel bezwzględnych zabiegań — a ku temu celowi wikłali się w układy dyplomatyczne z wrogami Chrystusowej

sprawiedliwości. Aż gdy przyszły chwile najburzliwsze w owej powszechnej społeczności, mającej być obrazem Królestwa niebieskiego na ziemi — naonczas z najwyższej stolicy odezwał się głos wyznania bolesnego, że właśnie ona, właśnie „curia" jest tem źródłem, *„unde hoc omne malum processit"*... I patrzał na to z wysoka Bóg-Chrystus i w boleści nad dziełem swojem zsyłał ludzi, tęsknotą do Królestwa Bożego przejętych, a którzy mieli odwagę życiem i słowy wołać znów za Jego przykładem: „Szukajcie naprzód Królestwa Bożego"... I przychodzili ci ludzie zawsze niby ściągnięci na ziemię ramionami upragnienia, które żyło w sercu wielu naówczas. I stawali się głosem żywym tych serc wiela i skupiali je przy sobie i prowadzili ku Temu, którego byli pełni. Takimi było wielu Świętych Pańskich — nadewszystko ów najgorliwszy naśladowca Chrystusowy, Franciszek z Asyżu.. — Takim jest każdy, głęboko nad upadkiem myśli Chrystusowej bolejący, a używający głosu bożego w piersi na to, ażeby wołał.

Albowiem wezwanych jest dużo, ale niewielu takich, którzy wezwanie usłyszą, a usłyszawszy pójdą za niem...

U nas, po Skardze — kto był? W czasach coraz to gorszego upadku — nikt nie dobył z siebie głosu, któryby wstrząsnąć mógł sumieniami ludzkiemi. Bo nikt nie miał odwagi, szukać przedewszystkiem Królestwa Bożego. Aż trzeba było najsroższych ciosów, ażeby z bólu i udręczenia zrodziły się takie głosy... Wśród tych nielicznych Andrzej Towiański przyszedł w chwili, kiedy po bezowocnych wysiłkach opadł bezwładnie duch narodu — kiedy w najlepszych była niemoc i beznadzieja. I w tem szczególniejsze jego znaczenie. Przyszedł z siłą, której brakło wszystkim naówczas, z siłą wiary niezachwianej i celu jasno wytkniętego. Przyszedł, zbrojny duchem, w Królestwo Boże zapatrzonym i przenikającym tajemnice jego od pierwszych lat młodzieńczych żywota swego na ziemi.

Był bowiem pełen boleści nad złem, które widział wokoło i trawiony niepokojącem pytaniem, jak pogodzić je z potęgą Boga. „Na każdym kroku spotykając sprzeczności i trudności, a nosząc w duszy gwałtowną potrzebę poznania prawdy, aby uspra-

wiedliwić Boga w sądach i dziełach Jego, udawałem się po rozwiązanie licznych tworzących się we mnie kwestyi do świeczników świata, do biskupów, do teologów, do sławnych uczonych; a gdy jedni odpowiadali mi suchą doktryną, a drudzy poczytali tę potrzebę mej duszy za chorobę z przyczyn fizycznych pochodzącą, wówczas w wielkiej boleści mojej zwróciłem się do Boga samego: „Ty Ojcze, któryś wlał tę potrzebę do duszy mojej; Ty sam ratuj i oświecaj mnie!“... Bóg w miłosierdziu swojem rozwiązał dla mnie zawiłości, zobaczyłem rzeczy, jak one są i odtąd ten ciężki krzyż niepokoju, który trawił ducha i ciało moje, zamienił się na krzyż lekki Chrystusa“...

Temi słowy Towiański określa przełomową chwilę w życiu swojem: rzucił księgi, naukę świata — a zwrócił się wyłącznie do Boga, wszedł w bezpośrednie z Bogiem obcowanie. I stąd to lekceważenie, jakie miał nieraz dla nauk, bezsilnych wobec najważniejszych zagadnień ducha. Jemu (jak powiada) „nie dozwolił Bóg żadnej książki do końca doczytać“; — „Ewangelia jest jedynem światłem i prawem mojem“. — I tak mu przechodziło życie na Litwie — cały ten niby przygotowawczy okres życia jego — w ciągłem skupianiu ducha ku przyszłym czynom — z pomocą Boga i tajemniczej przyrody litewskiej... „Gdybyś Ty... wiedział“ — pisze Słowacki do Krasińskiego — „jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli Bożej wszystko i wszystko odtworzył na nowo, z prostotą pastuszą i z pohamowaną w sobie lekkością: wziąłbyś go pewnie za Pana i za przewodnika“... I brali go za Mistrza ludzie, wyżsi od niego geniuszem i nauką — ale ujęci siłą niezwykłego, majestatycznego spokoju i swobodnej pewności siebie, które są wnętrznym tworem duszy, przywykłej z Bogiem obcować. Czar tej siły tchnie z całej postaci Towiańskiego. Albowiem zanim krok uczyni, przeleży długie godziny krzyżem w samotnej z Bogiem rozmowie — i bić się będzie w piersi, jako grzesznik, niegodzien Łaski Najwyższej — ale skoro z wyżyn, rodzących się w takiem uniżeniu, zejdzie do ludzi, to już będzie się czuł jako ramię, przez które Bóg działa — i otoczenie czuć w nim będzie (jak ks. D. określił) „pokorę sługi i moc Pana zarazem“...

Tak był pokornym Towiański, że się niejednemu dumnym mógł wydać.

Pokora bowiem podług niego „jestto widzieć siebie w prawdzie względem Boga i bliźniego“. „Jak duch człowieka jest prawie niczem względem Boga i królestwa Bożego, tak człowiek jest w istocie niczem wobec tych przeciwności, które go otaczają na ziemi; bo kiedy przez ofiarę zyszcze siły, jak jeden, tò przeciwności ma jak milion. Ale kiedy siłę, wydobytą jak jeden, połączy z królestwem Bożem, to staje się olbrzymem. W tem czuciu działać acz najsilniejniej, jestto działać pokornie“... „Świadczę o sobie, że jestem narzędziem pomocy, idącej od Boga i radzę każdemu, aby mnie słuchał; tak świadcząc o prawdzie, nie zbaczam od pokory“...

Czy znaczy to, że się nie pomyli nigdy? Nie — ale błąd wszelki czy pomyłka będzie już koniecznym wynikiem natury ludzkiej, ograniczonego w człowieku zakresu poznania duchowego — a nigdy nie stanie się odstępstwem, nigdy zerwaniem tego najważniejszego związku — z Bogiem.

Temu to ciągłemu związkowi Towiański zawdzięcza ową magnetyczną siłę, którą i dziś nas pociąga. I dlatego nie w pismach — pozbawionych prawie zupełnie literackich zalet, — a przedewszystkiem w przeniknięciu samej postaci znajdujemy zrozumienie tego wpływu, jaki na współczesnych wywierał i sami się mu dobrowolnie, niby z pochyleniem głowy poddajemy... Czujemy w nim obok majestatu spokoju i swobody duchowej — jeszcze niezwykle żywe, gorące obrzydzenie do zła, gdziekolwiek się przejawiało i żelazną, iście napoleońską energię w jego zwalczeniu. Tym, którzy przychodzili do niego z prośbą o wskazówki dla życia duchownego, wskazywał niejednokrotnie na biurku swojem statuetkę grenadyera napoleońskiego i podnosił wyrażone w niej naprężenie ducha, czekającego tylko skinienia cesarza, ażeby rzucić się na wroga. Nic boleśniejszego nie było dlań, jak zamarcie wewnętrzne, obojętność. Albowiem „ruch ducha“ (jak nazywał Towiański, siłę ducha ożywionego) — „taki ruch nosi w sobie potęgę niebieską, która zwycięża złe, podnoszące się na świecie, stąd jest on jedynem owocnem zaprzeczeniem fałszowi, tam gdzie

wszelkie przedstawienie prawdy jest bezowocnem. Niema innego środka przeciwko piekłu, objawiającemu się na ziemi, jak niebo postawione w miłości, ofierze i energii chrześcijańskiej. Wielka jest różnica pomiędzy martwem widzeniem piekła i dowodzeniem o piekle, a takim ruchem uderzającym na piekło.... Taki ruch surowo potępiany przez fałszywie pobożnych, jakoby przeciwny miłości chrześcijańskiej, potępiany też i przez ludzi światowych, jako łamiący prawa cywilizacyi, jest główną powinnością chrześcijanina. Chrystus Pan taki ruch wydawał na widok wszelkiego złego: Kiedy dzieckiem jeszcze płakał nad zniżeniem się Izraela, osiedlonego w Egipcie; kiedy chodząc po miastach, gromił zakorzenione w nich grzechy i sądem Bożym zagrażał grzesznikom; kiedy wypędzał przekupniów z kościoła, a na faryzeuszów wołał: „Biada, biada wam!“...; kiedy mocą bożą fukał i wyganiał czartów; kiedy tylokrotnie płakał nad oporem i przyszłem zburzeniem Jeruzalem. Całe życie Chrustusa było jednym ciągiem takiego ruchu, takiej boleści, składanej w całej pełni Ojcu Przedwiecznemu, a w cząstce tylko jawionej przed człowiekiem, który nie był zdolny przyjmować tych niebieskich tonów. Taką też boleścią umęczony był Chrystus w duchu, nim umęczony został w ciele“.

Towiański w całem życiu swojem szedł w te ślady i dlatego — jak niewielu tylko — okazał dziwną jednolitość myśli i życia. Więc z ową mocą spokoju i energii naprzód na Litwie jeszcze, jako sędzia, poruszy zbrodniarzy do skruchy i wyznania, karę przedstawiając jako od Boga na pokutę daną. I z tym spokojem, a z wzrokiem, jaki daje zagłębienie się w życie duchowe swoje i drugich, zbliży się na ulicy do dziewczyny upadłej i kilkoma słowy nieszczęsną duszą zatrząśnie i podniesie ją i nazawsze z błota uratuje. I siłą tego spokoju i niezłomności duchowej, w czasach, dla dziedziców najgorszych, zdobywa mir u chłopów, bez narażenia się na stratę daje im wolny dostęp do lasu i ogrodu, zbliża ich ku sobie jak braci i obdziela pomocą duchową i materyalną. Więc kiedy wyjeżdża, cała wieś się przy nim gromadzi, a jeden z chłopów krzyżem go żegna i zaklina: „...doświadczysz wielu przeciwności, ale nie zapominaj o chło-

pach!" Pamięć tych czasów żyła zawsze w duchu Towiańskiego. Kiedy doszła go wieść o uwłaszczeniu włościan, wspomniał sobie, jak to jeszcze w Antoszwińciu, majątku swoim na Litwie, widząc okropne postępowanie okolicznych dziedziców z chłopami, wołał do Boga: „O Panie! chętnie poniosę wszelkie straty materyalne, zgodzę się być nędzarzem, zniosę upokorzenie, prześladowanie, niech tylko już nadejdzie ów dzień szczęśliwy, w którymby te straszne bezprawia ukróconemi zostały!"

Dnia 23. lipca 1840 roku, w 41-ym roku życia, dokonywa istotnie niezwykłego postanowienia. Znany zaledwie w najbliższem otoczeniu, wyjeżdża za granicę, oczyścić świat z złego, jak oczyścił swoje miejsce rodzinne. Jaką walkę stoczył w duchu, zanim rozstrzygnął, rzucić ziemię i rodzinę, z małą nadzieją powrotu, narazić się na niełaskę rządu i utratę majątku (jak się też potem i stało) — o tej walce, o tem zapewne ciężkiem zmaganiu się z samym sobą — nic nie wiemy. Towiański — rzecz to dla niego bardzo charakterystyczna — nigdy prawie nie zwierza się z wahań i wątpliwości, które go niejednokrotnie dręczyć musiały przed każdym ważniejszym krokiem. To tajemnica duszy jego i Boga. Ale zdumiewa nas i podnosi postać jego ten krok, taki brzemienny w następstwa, a uczyniony znowu z tym samym — co poprzednie, stosunkowo drobne — spokojem i tą samą stanowczością. Taka była w nim wiara w pomoc Bożą, w konieczne zwycięztwo dobra, w siłę ducha czystego! Widzimy go prawie idącego krokiem spokojnym i pewnym, z postawą, wyrażającą wnętrzną ducha godność, (a o której tyle mówią współcześni — wielbiciele i wrogowie) — widzimy, jak zatrzymawszy się przy dwóch duszach, w które miał wiarę, ale w których nie znalazł pełnego i trwałego oddźwięku [1]), idzie dalej — ku szczytnemu i ostatecznemu drogi swojej celowi, do Adama Mickiewicza. Nie zraża się tem, że go puścić nie chcą (Mickiewicz zgnębiony nie przyjmował nikogo obcego) — on wie, że wieszcz polski czeka tej chwili z upragnieniem, albowiem niesie mu „ważne nowiny". I kiedy staje przed Mickiewiczem i wita go

[1]) W Poznaniu arcyb. Dunin — w Brukseli gen. Skrzynecki.

„pierwszy w imię Boże“ poeta poznaje go. Tak jest: poznaje... — Daremny spór oto, czy Mickiewicz Towiańskiego właśnie przepowiedział i przewidywał. Niewątpliwa rzecz bowiem, że sam, sił naówczas do prowadzenia drugich pozbawiony, osobistem i powszechnem nieszczęściem zniechęcony prawie zupełnie a głęboko pragnący wybawienia narodu, — kiedy ujrzał przed sobą męża, z którego słów szła tajemnicza moc ducha Bożego, który mu najgorętszą tęsknotę jego wypowiadał i spełnienie się jej wskazywał, że w tym wielkim momencie poznał w nim niby wcielone najgłębsze duszy swej dążenia, poznał owego przewodnika, którego on i wszyscy bliżsi mu oczekiwali. Nadomiar „stał się cud“, znak widomy wielkiej mocy: Towiański uzdrowił żonę poety. — Wiele mówili ci (zwłaszcza współcześni), którzy chcieli obniżyć znaczenie tego faktu, o „magnetyzmie“, jakim Towiański tu działał. Dziwnie zaprawdę trafili. Albowiem jako w teoryi fizycznej magnesowanie żelaza pojmuje się niby porządkowanie w niem władzy magnetycznej, w chaosie cząstek niszczącej samą siebie, — tak więc, jako magnes, duch silny i uporządkowany, dotknięciem swojem zwraca ku sobie i porządkuje bezładnie rozrzucone władze duszy chorej. A siła tego ducha była w chwili owej u szczytu; podnosiło ją znaczenie momentu roztrzygającego w całem działaniu Towiańskiego, podnosiło gorące pragnienie poruszenia ku sobie tego, który był najgodniejszym w narodzie. I tak stał się cud — znak, do czego zdolny duch czysty, a silny, a płonący ogniem wielkiego celu.

Więc teraz z mocą, wzmożoną współdziałaniem znów, jak dawniej, żywego, płomiennego geniusza, staje przed emigracyą i zapowiada początek Sprawy. „Tu sługa Boży“ — opisuje jeden z uczestników uroczystości w arcykatedrze paryskiej Notre Dame, dnia 17. września 1841 roku — „uroczystym i podniesionym głosem wymówił te słowa: „A teraz odwołując do czynnego uczestnictwa, do którego z woli Bożej wezwałem was, zapowiadam w obliczu Boga, którego wolę spełniam, że Sprawa Boża i epoka chrześciańska wyższa rozpoczęte zostały!“ Poczem sługa Boży padł na twarz i ze łzami najgłębszego wzruszenia zawołał: „Boże miłosierny! dzięki Tobie za ten początek spełnienia się woli

Twojej, błogosław początkowi temu i doprowadź nas do naznaczonego końca, do całkowitego spełnienia woli Twojej!“ W tym jednym, najuroczystszym życia swego momencie Towiański nie mógł pohamować wzruszenia.

Oto nareszcie doczekał się tej chwili, długo wypatrywanej i marzonej w duchu, kiedy mógł przed narodem swoim i ludzkością, zawołać za ukochanym Mistrzem: „Szukajcie naprzód królestwa Bożego; a to wszystko przydano wam będzie!“... Ale w tych łzach był nadto ból i smutek wielki, jasnowidzący krzyżową przyszłość: bo poczynało się dzieło, na Golgotę wiodące, ktokolwiekby je podniósł — a po długich dopiero wiekach mające wydać pożądane owoce... A takie było zupełnie jego to dzieło, tak się bezpośrednio w głębi jego zrodziło, że oto „nową epokę“ obwieszcza, początek jej od swego wystąpienia datując. Byli zwiastuni tej wyższej epoki chrześcijańskiej, był zwiastunem jej Kościuszko, był zwiastunem i ostatnim poprzednikiem (choć dzieła swego nie dopełnił) Napoleon, — ale pełny „zlew miłosierdzia Bożego“, nastąpił dopiero teraz, „po upłynionych dwóch tysiącach lat księżycowych“ od chwili, kiedy Syn Boży przyniósł po raz pierwszy na ziemię Sprawę Bożą... Dziwnie głębokie pozwala nam to rzucić spojrzenie w ducha Towiańskiego. On naprawdę tak wszystko sam w sobie wytworzył, w owym wnętrznym, tajemnym związku z Bogiem — tak całkowicie i gorąco pochłoniony był myślą swoją i działaniem, że czuł się jedynym, choć tak niegodnym. I oto odpowiedź tym wszystkim, którzy pytają, „co Towiański przyniósł nowego“. — W nim każda myśl była nowa, jakby dopiero zrodzona, choćbyśmy ją nawet u wielu znaleźć mogli, co podobnie brali wszystko wprost od Boga... — Tem jest dziwnie wielką myśl chrześcijańska, że kto ją wysnuje z siebie, jako wytwór życia swojego, ten zawsze coś stworzy nowego, choć we wszystkiem wołać będzie, jak niejeden już przed nim: „Szukajcie naprzód królestwa Bożego“...

Albowiem wielkie prawdy snują się wnętrznie nieprzerwanym ciągiem, a dusze, na ich ton nastrojone, pochwytują dźwięk ten i w oddźwięku swoim z siebie wydają...

Poczucie odrębności szczególnie przejawia się w „Biesiadzie“ czyli pamiątce rozmów, mianych w Bruksellі w styczniu 41 roku z Janem Skrzyneckim. Znowu ten sam spokój i owa dziwnie skupiona swoboda, — nawet styl, niejednokrotnie zawiły, jest tylko wyrazem tego skupienia duchowego, łamiącego się z trudnością wysłowienia. Tem wybitniej, zaś to wszystko występuje, że w piśmie tem poruszone najgłębsze tajemnice ducha. Przeszłość ducha ludzkiego przed chwilą zrodzenia się w ciele, życie ducha po śmierci człowieka — wolna wola i Opatrzność — nieprzerwany związek ziemskiej krainy z niewidzialną krainą ducha, cel i misya człowieka na ziemi — oto wszystko, wypowiedziane nie w tonie rozważań metafizycznych, ale obwieszczane jako objawienia Boże... Albowiem głównem zadaniem wyższej epoki chrześciańskiej jest (jak czytamy w „Biesiadzie“) „podać człowiekowi światło chrześciańskie obszerniejsze, będące dotąd pod zasłoną tajemnic“...

„Człowiek jest narzędziem widzialnem, przez które czyni niewidzialna kraina ducha, zamieszkała przez niezliczone gromady różnej natury duchów“. Z tego to zasadniczego zdania można całą metafizykę „Biesiady“ wysnuć. Człowiek, żyjący przed zejściem na ziemię w pełnej mocy ducha, utraca w ucieleśnieniu siłę działania przez samego siebie i tylko w związku i pod kierunkiem duchów bezcielesnych może „wiele i potężnie czynić“. Dlatego ciągła troska o związek z krainą ducha jest pierwszym obowiązkiem człowieka, ale zarazem i najcięższym trudem. Albowiem zależnie od tego, w którą stronę zwrócił człowiek wolę swoją, ściągnie ku sobie pomoc duchów złych lub dobrych. Wolna wola jest przeto zawsze pierwszem ogniwem wszelkich następnych kroków i wydarzeń. A są nadto chwile, kiedy działa w zupełnej swobodzie, „kiedy Bóg dla próby miłości człowieka usuwa od niego wszelkie wpływy obce (t. j. duchowe), aby okazało się, co on w tym stanie wybierze, do czego pochyli duszę swoją: do nieba, czy też do ziemi, lub do piekła“. Jest to chwila, w której — jak mówi Mickiewicz, — czekają myśli ludzkiej „szatan i anioły: czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz“... Kto w takiej chwili ku szatanowi się pochylił, ten często-

kroć aż do ostatniego kroku przejść musi drogę zła, zanim wreszcie, pędzony przez zło jako niewolnik, będzie mógł się zatrzymać — i zawrócić. „Doznają zaś takiej niewoli złego pojedynczy ludzie“ — pisze Towiański — „doznają jej narody całe przez czas krótszy lub dłuższy, który nawet przez wieki często przeciąga się“.

W tym poglądzie jest podstawa moralności Towiańskiego i jak łatwo zrozumieć, ten pogląd różni go wybitnie od tak zwanych moralizatorów. On nie przystępuje do duszy z ukutą naprzód formułką i nie przykrawa do niej ducha. Wiara w Opatrzność mówi mu, że różnemi drogami człowiek do prawdy dochodzi, a często osobiste, choć bolesne poznanie grzechu korzystniejszem jest, niż ulegnięcie cudzej władzy moralnej... „Kto postawiony w wolności wyboru“ (czytamy w „Biesiedzie“) przenosi złe nad dobre, temu daje Bóg w obfitości złe, które umiłował, ażeby owocami tego złego nasycił się, ucierpiał i dobrego zapragnął“. Wszystko, co ma być trwałe, iść musi z wolnej woli, z swobodnego zwrócenia się ducha...

Ziemia przed przyjściem Chrystusa Pana i potem, po odrzuceniu nauki jego, stała się siedzibą duchów grzesznych i pokutujących. Jest ona z pośród „globów“, zawieszonych w niezmierzonej przestrzeni“ jako „niski szczebel na wielkiej drodze Bożej“, jest „padołem płaczu, bo mieszkańcy jej, jedni, obfitujący w dobra ziemskie, zwyczajnie zarabiają na pokutę w przyszłości, a drudzy nieszczęśliwi, cierpiący, zwyczajnie pokutują za przeszłość swoją, bo nakoniec duchy niższe, duchy, które są pokuszeniem dla człowieka, zalegają ziemię.

Nieprzejrzane kolumny takich duchów napełniają atmosferę ziemską. Duchy te bez ciała, tej pokrywy ziemskiej, nie mające żadnego innego życia nad to, które człowiek, łącząc się z niemi dać im może, pokutują zwyczajnie w stanie tym, poprawiają się, oczyszczają się, oczekując czasu, w którym wola najwyższa powoła ich na nowo do życia na ziemi“.... Najzwięźlej tu i najjaśniej wyrażona wiara w ponowne wcielanie się dusz, w szereg żywotów ziemskich, wiara, płynąca u Towiańskiego z owej „chęci usprawiedliwiania Boga w sądach Jego“, która —

jak wspomina — była w nim od najwcześniejszych lat. Myśl i uczucie, jakie budziły się w nim na widok dziecka, cierpiącego okrutnie, niejednokrotnie przynoszącego już z sobą ból i mękę ciała i ducha, zgroza wstrząsająca duszą, kiedy się widzi najsroższym ciosom podległego człowieka, nie gorszego od wielu innych — tyle, tyle strasznych tajemnic, życia ludzkiego dotyczących, a nie mających wytłumaczenia w żadnych naturalnych przyczynach — oto źródło wiary owej w duchu Towiańskiego. A nikt z tych, którzy głęboko współczuli z człowiekiem i męką jego żywota, a równie silną wiarę mieli w sprawiedliwą zawsze i miłosną Opatrzność — nikt się z tych przed tajemnicą ową nie cofnął i owszem, wielu ją po tej drodze przeniknąć usiłowało. Jest to dziwne, przejmujące chylenie się dusz w tę stronę — niby ku światłu przeczuwanej prawdy.

Towiański na cierpieniu się nie zatrzymuje, wzrok w daleką przyszłość zapuszcza i oto widzi jaśniejące na ziemi królestwo Boże... Albowiem przejdzie pięć jeszcze z siedmiu epok, jedna po drugiej, każda coraz to więcej światła Chrystusowego przynosząc — aż „w siódmej epoce“ (słowa „Biesiady“) „ogień Chrystusa rozpali się na świecie w takiej potędze, że złe zniknie przed nim z oblicza ziemi... Wówczas to Słowo Boże, ukrzyżowane i pogrzebione w Chrystusie, zmartwychwstanie i żyć będzie przez człowieka, tak jak żyło przez Chrystusa, jak żyje przez wieki w niebiesiech“ — naówczas „zajaśnieje w całym blasku swoim dzień Boży, którego pierwsza zorza po długiej nocy, ukazuje się już w Sprawie Bożej... Spełni się naówczas to wszystko, w co człowiek wierzył przez wieki: w świętym kościele powszechnym będzie obcowanie świętych, spełniających wolę Bożą, słowo Boże; odpuszczone będą grzechy, popełnione przeciwko tej woli, temu Słowu; nastąpi zmartwychwstanie ciała, które człowiek na wzór Chrystusa podniesie do wysokości Słowa; i Baranek Boży, wedle Objawienia świętego Jana, poprowadzi wiernych swoich z umytemi we krwi Jego szatami, do źródła wód żywych, gdzie rozpocznie się dla człowieka żywot wieczny. Tak dzieło zbawienia świata spełnione przez Chrystusa, spełnione będzie przez człowieka pod przewodnictwem Chrystusa rządzącego światem do

skończenia jego; tak ta wielka Sprawa Boża, poczęta przez stworzenie pierwszego człowieka na obraz i podobieństwo Boże, spełni się wydaniem pełnego owocu ofiary Chrystusa; tak spełni się słowo Boże, skończy się świat, nastanie niebo nowe i ziemia nowa: „albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęła“. (Objawienie świętego Jana). „Taka jest przyszłość naznaczona dla świata! Dzięki Tobie, o Boże, że obrazem przyszłości tej dozwalasz nam radować i zasilać dusze nasze!“

Myśli te i wierzenia, raz w Biesiadzie złożone, rzadko już potem — i to jakby ubocznie — pojawiają się w pismach Towiańskiego. Byłto ten najgłębszy podkład duszy jego, którego nie wypowiadał, skierowany cały w stronę praktycznej działalności. Raz, zapytany o jedną z tych kwestyi, odrzekł, że właściwa sprawa Boża niema się niemi zajmować, jej celem bowiem: wzywanie do praktykowania chrześcijaństwa w życiu prywatnem i publicznem. Temu to działaniu w stosunku do człowieka, narodu i kościoła poświęcił odtąd życie całe. Do Zurychu, które było od roku 1849 stałem miejscem pobytu Towiańskiego, ściągali ze wszystkich stron ludzie po radę duchową. Przychodzili Włosi i Francuzi i Niemcy — a Polacy nieraz z dalekich stron kraju przyjeżdżali. On każdemu w myśl swoich zasad, a z głęboką znajomością duszy ludzkiej — wyjaśniał położenie jego i wskazywał potrzeby ducha. A z dziwną swobodą zastosować się umiał i do poziomu uczonego profesora lub dygnitarza kościelnego i do prostaczka, sługi lub nawet dziecka. W rozmowach tych przejawia się silna wiara w moc iskry Bożej, która tkwi w każdej duszy i czeka tylko momentu rozniecenia. Słowacki najlepiej określił sposób działania Towiańskiego pisząc, że to jest „proste obudzenie boskości w sercach przez człowieka czystego i Bożego“... I dlatego to z taką swobodą gromadzili się koło niego ludzie, bardzo różni siłą ducha i zakresu dążeń duchowych. Albowiem do szczerych i trwałych stosunków między ludźmi trzeba tylko tej głębokiej podstawy jaką jest odczucie w sobie wzajemnie iskry Bożej — bez względu nato w jakim stopniu jest komu dana, — byleby była — jest ona bowiem pochodnią ducha i przy jej świetle tylko znaleść można dusze tęskniące do braterstwa... „duchy łakome brater-

stwa„ (jak mówi Słowacki). I nie pierwsze koła paryskie, gdzie było dużo jeszcze nieprzygotowania i nietolerancyi — ale dopiero grono skupione w Zurychu, jest prawdziwym pomnikiem wpływu Towiańskiego na dusze. Przyjechał tu doktor teologii, ks. Barone i oczarowany pisze do brata: „...Znalazłem życie prawdziwe, czucie, wiarę, chrześcijaństwo pełne, żyjące, nie takie jak w klasztorze, ale takie jakieby mogło i powinno istnieć w obecnym świecie, pomimo strasznego pożerającego nas sceptycyzmu, pomimo dławiącej nas nauki, pomimo wysuszającego nas egoizmu. Możesz się śmiać ile chcesz, ja sam się śmiałem, a prawdę mówiąc, nie śmiałem się, lecz z początku miałem wątpliwości. Szczęśliwym jestem jak nigdy: zdaje mi się, jakobym się znajdował w Tebaidzie, gdzie się zgromadziły dusze chrześcijaństwem zahartowane, albo w domu jednego z tych pierwszych chrześcijan, co wśród prześladowań utrzymywali między sobą ognisko wiary, prostotę, cnotę. Zobaczyłem tu, i mam powinność wyznać to przed sobą samym i przed wszystkimi, że jestem i byłem chrześcijaninem raczej słabym niż niewiernym; a jednakże jestem tu wśród nich jedynym księdzem!... O jakże szczęśliwy to światek, szczęśliwa gromadka, co umiała i chciała zahartować się w tym ogniu prawdziwej miłości, szczerej wiary, bezwzględnego umiłowania prawdy. Tu sprawę Chrystusa, Ewangelię, chwałę Bożą pojmują, czują, spełniają, albo przynajmniej usiłują spełniać, we wszystkich wewnętrznych i zewnętrznych zastosowaniach jej, tak, że nigdy nie widziałem nic podobnego; co najwięcej, czasem to sobie wyobrażałem, chociaż wyobraźnia jest poezyą, a tu wszystko to widzisz ucieleśnionem w każdym najmniejszym szczególe i żyjącem w rzeczywistości. Może ci się zdawać, że śnię lub poetyzuję; a przecież wiesz, od jak wielu już lat serce moje wyschło i wygnało z siebie wszelką poezyę, tak, iż jeśli ją odzyskało, to pewno nie bez przyczyny“. A takich świadectw jest więcej...

Ale nie na tem kończyło się działanie Towiańskiego. Z równą powagą i swobodą, a z niezachwianą wiarą, że szczere przedstawienie prawdy nie może minąć bez śladu, wysyła pisma napominające do mocarzy świata. Nie o natychmiastowe, widome skutki mu chodzi — tylko o spełnienie obowiązku miłości wzglę-

dem ducha, chociażby i z obrazą człowieka. Więc kiedy w 1843 r. daremnie stara się Stolicy Apostolskiej sprawę swoją przedłożyć i dostaje rozkaz opuszczenia Rzymu, pisze do papieża Grzegorza XVI: „Usłuchałem, opuściłem Rzym; ale ponieważ rozkaz twego rządu nie zdjął ze mnie obowiązku spełnienia woli Bożej — Bóg bowiem jedyny, który go włożył na mnie, i zdjąć może i ponieważ obawiam się zostawić na sumieniu mojem wielką odpowiedzialność, przeto w wielkim interesie zbawienia człowieka, poza Rzymem, czynię ten obowiązek względem Ciebie, mój Ojcze, tak iż w rzeczy tak świętej — odważam się go czynić w piśmie i to z pośpiechem pisanym. Ojcze! kiedy wszystkie środki dla przedstawienia woli Bożej Stolicy Apostolskiej zostały odjęte człowiekowi, Bóg kładzie na twoje sumienie brzemię spełnienia swej woli, spełnienia obowiązków, które — z woli Jego — ciężą dziś na Stolicy Apostolskiej i z chwilą kiedy to pismo będzie u stóp twoich, rachunek twój będzie już przed Bogiem. Czasy się wypełniły, wola Boża będzie spełniona, człowiek, który nie słucha miłości, usłucha siły Bożej, a słowo Boże będzie żyło, tryumfowało na ziemi... Ojcze! daną mi jest moc powiedzenia ci tego"... W tym tonie pisane są listy do cara, do króla włoskiego czy francuskiego. Politykom listy te mogą się w niektórych wypadkach nawet naiwnymi wydać; dla Towiańskiego nie polityczne względy grały tu rolę tylko obowiązek ducha wobec ducha, obowiązek wypowiedzenia bezwzględnie szczerej prawdy, jeśli ona dotyczyła wieczności duszy. O owoce natychmiastowe — powtarzam — nie dbał przytem. W świecie ducha krok każdy, ku Bogu idący, jest owocny i nie wiadomo nigdy, kiedy zbliżamy się do duszy, czy właśnie ziarno, które rzucimy, już nie przeważy szali lub czy nie stanie się początkiem dalszego siewu...

Dlatego Towiański tak wysoko stawiał wszelki czyn, w duchu chrześcijaństwa spełniony: „Przez każdy czyn chrześciański" czytamy w pismach jego — „zaszczepia się w ziemię ciemną i martwą punkt niebieski, jasny i żyjący"... a każdy punkt „jasny, zaszczepiony w ziemię czynem chrześciańskim człowieka, rzuca przez wieki na ziemię promienie swoje, bo jest on cząstką żyjącego królestwa kościoła Chrystusowego, cząstką, która jako i ca-

łość sama, nie ginie, a trwa w wieczności... A lubo to życie i ta światłość wiecznotrwała punktów jasnych, niebieskich nie jest (widzialną) dla zmysłowego oka — widzi je oko wszelkiego ducha". Takiem to światłem wieczystem opromienione całe działanie Towiańskiego. Tym, którzy nie pojmują znaczenia idei dla życia codziennego, działanie to staje jako żywy dowód. Ta sama rzecz, robiona przez kogoś, kto życie swe wewnętrzne urywa na krańcach ziemi, inną będzie i skuteczności innej i innej wartości niż rzucona z głębi ducha, obejmującego sobą cały ten i tamten świat. Czyny takiej duszy są niby promienie łączące doczesność z wiecznym zaświatem, unoszące w lekkim jakimś, cudownym wzlocie ziemię na wysokość ducha. — Albowiem są dusze takie, niby toń wodna, na którą wpłynąwszy, zdaje się, że za chwilę brzegu dotkniemy. A oto brzeg się coraz to dalej usuwa i dalej. Taką jest dusza Towiańskiego. Oddala się od nas brzeg jej coraz to dalej i dalej, nigdy niedościgniony, to się o nieskończoność opiera... Towiański nikomu nigdy nie odmawiał pomocy, choćby i kto nieraz już tę pomoc był odrzucił. A kiedy raz w intuicyjnem widzeniu zaufał duszy czyjej, to już nazawsze. I wtedy nawet odstępstwo człowieka nie odbierało mu tej wiary w duszę. Biedny, mały człowiek, duch, skrępowany ciałem, mógł uledz pokusie, zachwiać się, ale w głębi musiał pozostać tym samym, którego on poznał i pokochał. „Wielu poczytuje cię za nieprzyjaciela mojego" — pisze do generała Skrzyneckiego, który nie miał odwagi wytrwać przy nim wbrew namowom i straszeniu swego otoczenia — „ja wszakże tej opinii świata nie podzielam wcale, bo lubo zaród duszy twojej chrześciańskiej, polskiej wśród przeciwności twoich, nie objawia się dla służenia Chrystusowi, kościołowi i ojczyźnie, jak to jest naznaczono, czuję jednakże, że miłość dla Chrystusa, dla kościoła i dla ojczyzny żyje w głębi duszy twojej, czuję, że żyje też tam i życzliwa przyjaźń dla sługi Chrystusowego; a chociaż wielu poczytuje to czucie moje za zbytnią dobroduszność i łatwowierność, ja wszakże czucie to stale przechowuję w sercu mojem i nie tracę nadziei, że z czasem usprawiedliwiony będę przed nimi za dochowaną wiarę zarodowi duszy twojej, najukochańszy bracie mój!".

Nawet tym, którzy rzucali nań oszczerstwa, odpowiadał z spokojną boleścią, nie nad krzywdą sobie uczynioną, ale nad złem, w duszy bliźniego się przejawiającem. A rozumie się — przeciwników, raczej wrogów zaciętych miał zawsze więcej, niż gorących wielbicieli. Stanowczość i niezłomność, z kompromisami absolutnie się nie godząca, była dla wielu kamieniem obrazy. Światłość rodzi się zawsze na to, ażeby ludzi dzielić, nie łączyć, choć ostatecznym jej celem jest zebrać wszystkich w jedną owczarnię.

Połączyły się z nim na całą wieczność żywota tylko duchy silne i czyste. Mickiewicz i Słowacki choć w życiu ziemskiem rozchodzą się z nim i zewnętrznie działają osobno, zachowują dla niego do ostatniej chwili najgłębsze uczucie czci i braterstwa. Wystarczy lekki, a błogosławiony trud przejrzenia choćby listów obu wieszczów, aby się o tem przekonać. Jednakże ci, których obowiązkiem byłoby naprzód poznać dobrze, o czem chcą wyrokować, najfałszywsze wieści o tym stosunku trzech dusz bratnich rozsiewają... Albowiem niepojętem jest dla tych, którzy stosunki z ludźmi nie na owej boskości opierają, jak dusze, tym związkiem zbratane, na wieki się łączą, choć niejedno w życiu ziemskiem ich dzieli.

Słowacki, taki zawsze wolny, tak się nikomu nie poddający w pokłonie, który złożył z początku prostocie i czystości ducha Towiańskiego, wytrwał do końca. Na kilka jeszcze miesięcy przed śmiercią w roku 1848 wezwany przez Goszczyńskiego, żeby bratu Adamowi wręczył protest koła przeciwko jego wyjazdowi do Rzymu, odmawia, nie znalazłszy na nim podpisu Towiańskiego albowiem (jak pisze) „do Mistrza należy powiedzieć otwarcie, jeżeli brat Adam, jest lub nie zgodny z natchnieniem Ducha Świętego, pod którym on koło swoje postawił i w najwyższym duchu utrzymać obiecał“... „Azali brat Adam jest przez Mistrza za swój czyn potępion?“ [1]).

W roku 1850, więc w kilka już lat po owem rzekomo nieprzyjaznem rozejściu się z Towiańskim, Mickiewicz w piśmie do

[1]) Biblioteka warszawska 1896. I. „Nieznane listy J. Słowackiego“.

cesarza Napoleona III. z świeżym entuzyazmem pisze te słowa: „...Wkrótce uznaliśmy w nim mistrza; jego głęboka pobożność złączona z geniuszem potężnym i rozległym („génie puissant et expansif“) przejawiającym się w postępowaniu wybitnie szlachetnem, odkryła nam w nim wzór chrześciaństwa męskiego, dojrzałego do czynu“; „...widzieliśmy“ pisze dalej — „Izraelitów nawróconych do chrześcijaństwa po jednej z mistrzem rozmowie, protestantów, łączących się z kościołem, chorych uzdrowionych“...

Z imieniem Adama na ustach umiera Towiański. On, który do ludzi w imieniu Boga przemawiał, w tej ostatniej chwili dziwnie głęboko się korzył. Długo się wahał i gotował w duchu, zanim nareszcie poczuł się godnym przyjęcia ostatnich Sakramentów... „I kiedy kapłan“ (opowiada świadek tych chwil bolesnych) „głośno wymawiał nad nim święte słowa rozgrzeszenia... on w bezdennej pokorze i skrusze, tak bił się w piersi, jak gdyby był najostatniejszym z grzeszników“... W tym momencie objawia się istotna, wnętrzna pokora jego duszy. Albowiem ludzi już opuszczał, a czuł bliskość Najwyższej Mocy i Miłości...

Umarł dnia 13. maja roku 1878, pochowany na cmentarzu Zurychskim. (C. d. n.)

DUCH NARODU.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

Rok 1505 przyniósł narodowi nową na polu pracy o wolność zdobycz. Na sejmie radomskim uchwalono, między innymi, następny artykuł:

„Ponieważ prawo pospolite i konstytucye nie jednego się „tyczą człowieka, ale całego narodu, stanowimy więc na tym „radomskim sejmie ze wszystkiemi duchownemi i świeckiemi ra„dami, oraz posłami ziem, aby odtąd na zawsze nic nie mogło

„być ustanowione bez powszechnej rad i posłów ziemskich „zgody“.

Na tym to artykule oparła się w przyszłości nieznana innym narodom instytucya „liberum veto“; to „liberum veto“, w którem wielu widzi główną, jeżeli nie jedyną, przyczynę upadku Polski. To „liberum veto“, od którego naród zagładą nawet zagrożony nie chciał odstąpić, a tak je wysoko cenił, iż „źrenicą wolności nazywał“.

Znanem jest powszechnie zło, przyczynione przez „liberum veto“ rzeczypospolitej; musiało jednak ono zawierać w sobie jakieś pierwiastki dodatnie, gdy było tak miłe narodowi, gdy mogło w ciągu przeszło stulecia istnieć nie czyniąc narodowi szkody.

Gdy przypomnimy sobie, iż w całym poprzednim rozwoju narodu polskiego wolność była jego gwiazdą przewodnią, ułatwimy sobie niezmiernie zrozumienie instytucyi „liberum veto“: wszakże w niem zawiera się potężny środek przeciw przemocy wielu nad jednostką, przeciwko ujarzmieniu jednostki przez społeczeństwo lub państwo. Veto było niesłychanie odważnem wypowiedzeniem dogmatu sprzecznego z dogmatami całego dotychczasowego świata, dogmatu stawiającego jednostkę narówni z całością zbiorową, a tem samem przeczącego, odrzucającego dogmat „większości“. Nam, wychowanym w niewoli wielorakiej, trudno się wyzwolić z pod wielu pojęć obcych nam jestestwem, lecz panujących nad nami prawem nieobalonego przesądu. Jednem z tych na niczem nie opartych, lecz powszechnie prawie przyjętych mniemań jest wiara w „większość“. Wiara ta zaś jest już tak głęboko zakorzenioną, iż zwykle utożsamiamy poniekąd opinię „większości“, ze „słusznością“, zapominając nawet, iż pomiędzy temi dwoma pojęciami „większości“ i „słuszności“ nie ma właściwie wewnętrznego, organicznego związku; owszem w chwilach stanowczych, zwrotnych, jednostka zwykle odkrywa nowe drogi, podczas gdy „większość“ całym rozpędem masy pcha na utarte tory. Cała historya postępu jest właściwie w nieskończoność idącą walką jednostki z „większością“. Najwięksi reformatorzy, najbardziej płomienni prorocy stale mieli przeciwko sobie ową „większość“.

Otóż „veto“ było właśnie ciosem w „większość“ skierowawanym, zaprzeczeniem praw większości do stanowienia o losach narodu, a zarazem najwyższym na one czasy objawem wolności.

Wiemy już, jak wysoce cenił swą wolność naród cały. Instynktownie, a do pewnego stopnia świadomie naród odczuwał, że wolność jest nie tylko najwyższym danym człowiekowi darem, lecz jest zarazem i obowiązkiem człowieka. Człowiek, aby być człowiekiem, powinien być wolnym; wolność bowiem najbardziej człowieka do Boga zbliża: czyni go stworzonym na wzór i podobieństwo Boże.

Posiada też wolność pewne atrybucye, bóstwu jeno właściwe; godzi w sobie to, co się wydaje być sprzecznością logiczną. Jak samem pojęciem bóstwa znosi się logiczna sprzeczność pomiędzy wszechwładzą a wszechwiedzą, tak i w wolności zanika kontradykcya pomiędzy nią samą a jej samoograniczeniem. Tu się znajduje wyraźna granica pomiędzy wolnością a swawolą: swawola, niezdolna podnieść obowiązku, jest już właściwie zaprzeczeniem wolności.

„Liberum veto“ ochraniało jednostkę od wszelkiego zewnętrznego przymusu. Każda uchwała z uwzględnieniem „veto“ przyjęta, stawała się aktem dobrej woli każdej poszczególnej jednostki a przez to i całości społeczeństwa.

Oczywista, z dzisiejszego punktu widzenia „liberum veto“ wnosiło w życie rzeczypospolitej pierwiastek burzący, dając władzę w ręce co najmniej przypadkowo dobre lub złe. Rzeczywiście, nie trudno przewidzieć, jakby były wyglądały dzisiejsze parlamenta, gdyby w nich zastosowano prawo „veto“ ;chociaż trudno tu powstrzymać się od uwagi, że może nie było gorzej niż jest. Przynajmniej na czasie byłby zysk niewątpliwy: jednem „veto“ osiągało by się ten sam wynik, który dziś zdobywa się ceną kilkunasto godzinowych przemówień o niczem, żakowskimi wybrykami rzeczników woli narodu, profanacyą najwyższych instytucyj narodów — sejmów.

Niewątpliwie, „liberum veto“ w rękach ludzi złej woli stawało się narzędziem zabójczem.

Ogień też, dobroczynny w rękach dobrych, staje się narzędziem zniszczenia dla złoczyńcy; czyżby należało ogień za to potępić?

Półtora wieku istniało „veto“ nim je po raz pierwszy niegodnie użyto. Te 150 lat najwymowniejszymi świadkami Duchowi Narodu, a gdy przypomnimy sobie owe czasy, w których „liberum veto“ nadużywano, będziemy musieli przyznać, iż ci, co mieli ze „źrenicy wolności“ oręż morderczy uczynić, i bez „liberum veto“ zdołaliby zabić Rzeczpospolitą.

Nie było „liberum veto“ ani rzeccą przypadkową, z czyjegoś widzimisię wynikłą, ani czczą formą, której tę lub ową wartość treść dopiero nadawała. Podstawą jego była wrodzona Słowianom dążność do osiągnięcia jednomyślności w sprawach najdonioślejszych, a więc i w rzeczach ogółu dotyczących. Znanem jest z kronik, iż na wiecach z czasów pierwobytnych często-kroć dochodziło do bójek, aż się zgodę powszechną osiągnęło.

Był to oczywista sposób naiwny, lecz w podstawie jego leżało przeczucie, że w gruncie rzeczy opinii nie da się człowiekowi narzucić, że można człowieka zabić, ale nie można go zmusić myśleć i sądzić nie wedle własnego jego sumienia. Ten zaś, kto przez strach śmierci skłamie udaną zgodę, w kłamstwie tem sąd swój znajdzie.

Treścią wewnętrzną „liberum veto“ było p r a w o, nadawane przezeń każdemu obywatelowi, prawo zaprzeczenia. Jednostka mogła prawa tego u ż y w a ć lub nie u ż y w a ć; lecz zawsze je posiadała. Zrzeczenie się zaś tego prawa równało się oczywiście wystawieniu sobie świadectwa ubóstwa moralnego i dla tego nawet w chwilach najhaniebniejszych nadużyć nie było prawie głosów za zniesieniem „liberum veto“.

Jednym z najbardziej często używanych dziś dowodów przeciw samej zasadzie „liberum veto“, jest twierdzenie, iż ono prowadziło *de facto* do tyranizowania społeczeństwa przez jednostkę, że za pomocą jego jednostka nie tylko się wyłamywała z pod władzy społeczeństwa, lecz nawet narzucała mu s w ą wolę, a więc zamiast szerzenia wolności „liberum veto“ stawało się źródłem niewoli.

Zarzut ten jednak pozorną jeno posiada wartość. Przedewszystkiem nawet przenosząc kwestyę w dziedzinę logicznej abstrakcyi, będziemy musieli przyznać, że „veto“, jako pojęcie z samej swej natury tylko zaprzeczne, miało moc jedynie powściągającą, bierną, nigdy zaś czynną; nie może być przeto mowy o narzuceniu komukolwiekbądź przez użycie „veto“ woli zakładającego protest. Za pomocą „veto“ można było nie dopuścić tej lub owej uchwały, lecz nie można było zmusić do powzięcia innej.

To też i w zastosowaniu do rzeczywistości zawsze było „veto“ jedynie pierwiastkiem biernie opozycyjnym. Nie znajdujemy żadnej uchwały, którаby była sejmowi narzucona za pomocą „veto“.

Umysł współczesny z trudem jeno pojąć może, co było przyczyną, iż od sejmu radomskiego 1505, aż do roku 1652 nie było żadnego wypadku nadużycia, „liberum veto“. Wszakże sejmy składały się nie z aniołów, tylko z ludzi, pośród których łatwo się znaleźć mogły jednostki zdolne do popełnienia grzechu przeciwko społeczeństwu, do użycia władzy im przysługującej w celach prywatnych. Wiemy wszakże, że nie rzadkimi były wypadki przekupstwa, a protekcye w najrozmaitszych formach były poprostu zwyczajem. Poza tem wszystkiem pierwszy wypadek zbrodniczego użycia najwyższego z praw obywatelskich widzimy dopiero na początku epoki upadku Rzeczypospolitej; a i tu jeszcze winowajca ściąga na się klątwę całego sejmu. *)

Zastanawiając się nieco nad uchwałą sejmu radomskiego, przekonywamy się, iż uchwała ta przyjętą została nie bezmyślnie, nie przez przeoczenie wypływających z niej konsekwencyi. Owszem, ze wstępu głoszącego iż właśnie sprawy, które „nie jednego się tyczą człowieka, ale całego narodu“ wymagają jednomyślności, przekonywamy się, iż była ta uchwała powrotem do prastarej słowiańskiej tradycyi, oraz wyrazem bezgranicznego zufania w obywatelskie uczucia całego narodu. A że zaufanie to nie było w owej chwili mylnem, najlepszym dowodem 150-letnie bezplamne istnienie „liberum veto“, jako instytucyi wynoszącej ponad poziomy wiarę w dobrą wolę jednostki.

I jakże mogło być inaczej w narodzie, który ojczyznę pojmował, jako jestestwo, mieszczące w sobie „wszystkie wszystkich miłości? **)“

Wiemy, iż powyższe słowa nasze dla wielu wydadzą się zgorszeniem, przesadą, marzycielstwem. Życie społeczeństw dni naszych tak daleko odbiegło od ideałów naszej przeszłości, że dla nas przywykłych od kolebki do martwego naśladownictwa obcych wzorów, staje się niemożliwem prawie pojęcie najwyższych wytworów własnego ducha narodowego.

My, przywykli do obroży policyjno-rządowej, nie możemy już nawet wyobrazić sobie istnienia bez bata przymusu społecznego nad plecami.

Jakżebyśmy więc mogli pojąć istnienie całego potężnego społeczeństwa, w którem każdy członek czuł się i był w samej rzeczy równoprawnym z całością? Wszakżeśmy tak wymądrzeli iż w imię karności wyrzekamy się nietylko wolności czynów, lecz i myśli i uczuć i sumienia.

Będąc politycznymi niewolnikami obcych narodów, dobrowolnie poddajemy się stokroć jeszcze gorszej niewoli — niewoli ducha, szukając, u nich, u wrogów naszych śmiertelnych, wzorów do naśladownictwa. Zeszliśmy na to, że wyszydzamy to, co było najcenniejszem w nas — naszą oryginalność narodową, ujawnioną i w słowie i w czynach.

Słyszymy głosy w najlepszej wierze wołające, abyśmy się wyzbyli co rychło wszystkiego, w czem się od innych społeczeństw europejskich różnimy.

Czy może być gorsze jeszcze upokorzenie dla narodu polskiego, nad wydanie na świat synów, którzy go do odpolszczenia się w imię Polski wzywają?

Najwięksi wieszczowie i myśliciele nasi nie wyrzekli słowa potępienia dla „veto“, bo byli takimi samymi synami Ducha Narodu, jak i samo „liberum veto“. Owszem, oni rozumieli i czuli, że nieznane żadnemu innemu narodowi „veto“ było samorzutnym dziełem ducha wolności prawdziwej, Ducha Narodu Polskiego.

XV.

Epoka dwóch ostatnich Jagiellonów, pełna świateł i błysków była naturalnym jeno wynikiem wieloletniej pracy minionych pokoleń nad wykonaniem posłannictwa narodu; rozwój społeczeństwa w duchu wolności niósł płody obfite. Stwierdzały się na na narodzie polskim wielkie słowa Chrystusowe: „Szukajcie naprzód królestwa Bożego, a to wszystko będzie wam przydano".

Walcząc nieustannie w obronie wiary i wolności, Polacy bardziej, niż jakibądź inny naród dokonywali przykazania „szukajcie królestwa Bożego". To też „reszta" — dobrobyt niesłychany, rozkwit wiedzy i myśli, potęga materyalna — wszystko to samo przez się w nader niedługim czasie przyszło. Naród stanął w zenicie rozwoju, możliwego dlań w owoczesnych warunkach wobec strasznej choroby wewnętrznej — niewolnictwa ludu rolniczego.

Naród — szlachta — posiadł wszystko, co ustrój społeczno-państwowy dać może: wolność osobistą jak najszerszą i najwyższe prawo samorządu przez obiór króla konstytucyjnego.

Od śmierci ostatniego Jagiellona wstępuje Polska w nowy okres swego żywota. Dziwne to zjawisko dziejowe i w samej tylko może Polsce możliwe — stosunek narodu do królów.

Polacy żywili gorącą miłość do swoich królów Piastów i Jagiellonów. Jeżeli nawet, który z nich wywoływał przez swe dążności sprzeczne z wolą i Duchem Narodu niechęć Rzeczypospolitej, to i w tym jeszcze wypadku z żalem i bolem odwracano się od niego. Pomiędzy królem a narodem zawsze istniał potężny związek uczucia, miłości, tak jak to bywa w rodzinach.

Od śmierci Zygmunta Augusta węzeł ten znika na zawsze. Zdarza się jeszcze, co prawda, od czasu do czasu, iż król zdoła chwilowo rozniecić zapał w narodzie i wywołać czyn potężny; lecz nigdy już nie zobaczymy tej serdeczności w stosunkach pomiędzy narodem i królem.

Pierwsza zaraz wolna elekcya (Henryka Walezego) przyniosła narodowi nowe rozszenie praw; mianowicie cała szlachta pozyskuje prawo osobistego w wyborze króla udziału. Ale też i pier-

wsze wolnej elekcyi „pacta conventa“ wykazują, jak daleko posunęło się zepsucie narodu przez przywileje.

Bije z tych „pactów“ zanik poczucia narodowej godności, bije wstrętna chęć wytargowania za cenę korony rzeczy niemożliwych.

Słusznie nazywa Szujski te pacta „dzikiemi“. Oto ich artykuły:

1) Przymierze wieczne Francyi z Polską. W razie wojny król chrześcijański będzie się starał o pokój z nieprzyjacielem; gdy te usiłowania będą daremne, dostawi Polsce piechotę gaskońską lub niemiecką zaciężną, albo na żądanie pomoże pieniędzmi. Polska wrazie potrzeby wesprze króla francuskiego kawaleryą. 2) Na wojnę moskiewską dostawi elekt 4000 gaskońskiej piechoty j przez 6 miesięcy swoim kosztem ją utrzyma. 3) Postawi na morzu bałtyckiem flotę swoim kosztem. 4) Wyrobi kupcom polskim wolny handel z Francyą i port jaki francuski dla ich wygody. 5) Corocznie dawać będzie 40.000 florenów z dochodów swoich francuskich na potrzeby kraju. 6) Długi Zygmunta Augusta i Rzeczypospolitej spłaci. 7) Do Akademii krakowskiej własnym kosztem sprowadzi uczonych mężów. 8) Stu szlacheckich młodzieńców w paryzkiej akademii na naukach utrzymywać będzie. 9) Żadnych na dworze swoim nie będzie trzymał cudzoziemców. 10) Wszystkie wolności i przywileje potwierdzi.

Gdyby te „pacta conventa“ były wykonalne i wykonane, można by było powiedzieć, że Polska poszła na utrzymanie Francyi. Lecz tym, co artykuły układali, ani przez głowę widocznie nie przeszło nic, oprócz niepohamowanej chęci wyzbycia się wszelkich ciężarów na rzecz publiczną. Nic też dziwnego, gdy ten, co przyjął z lekkiem sercem „pacta“ okazał się nie wiele wart i nie zdołał zasłużyć na sympatye narodu. Lecz z Jagiellonami już zeszła do grobu ta potężna sympatya, co króla i naród łączyła w jedną harmonijną całość. Nawet taki Stefan Batory, niewątpliwie silniejszy na duchu i genialniejszy od Jagiellonów; wojownik niezrównany, polityk jasnowidzący, rycerz bez skazy, zwycięzca odwiecznego a najstraszniejszego wroga Polski nie może zdobyć miłości narodu.

Udaje mu się chwilami wywołać wybuch entuzyazmu; lecz

naród bardziej podziwia Batorego, niż wielbi, idzie za nim od zwycięztwa do zwycięztwa, porwany jego potężną wolą, idzie jednak niechętnie, opornie, w każdym czynie króla szuka zatajonej, wrogiej instytucyom państwa myśli. Gdy król nareszcie umiera, naród nie może nawet zdobyć się na szczery żal po nim.

Panowanie Batorego uderza nas głębokim wewnętrznym tragizmem.

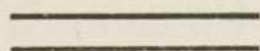
Widzimy olbrzymiego ducha na czele potężnego narodu; lecz duch ten nie jest Duchem Narodu,[1] i ztąd ten ciągły rozdźwięk między koroną a narodem. Widzimy dalej tego ducha stającego do walki śmiertelnej przeciw innemu olbrzymowi, przeciw duchowi caratu moskiewśkiego, rosnącemu w groźną, ponurą potęgę. Batory miał siłę do zgniecenia caratu, może do zniesienia samej idei jego. Każde zetknięcie się z caratem było zwycięztwem nad nim, jakkolwiek broniono go z bohaterstwem rozpaczy. Mord, gwałt, obłęd w postaci Iwana IV. siędzący na tronie moskiewskim drżały na samo imię Batorego. Ale w księgach posłannictw narodów nie było napisane, aby Polska zburzyła obcą Europie ideę caratu. W obronie więc jego wystąpili ci, których on nienawidził nad wszelką miarę, wystąpili czynnie i biernie, a wspólnemi siłami wstrzymując potężne Batorego ciosy, — papież i naród polski... A gdy tych dwóch nie starczyło, przyszła śmierć...

(C. d. n.)

---

*) Prof. Kubala, wykazując wypadki zrywania sejmów przez „veto" przed Sicińskim, niedocenia znaczenia przekleństwa rzuconego przez sejm, na Sicińskiego, jako dowodu powszechnego potępienia dla motywów jego „nie pozwalam".

**) Fr. Modrzewski „O napr. Rzplitej".



Do Kijowa.

„Będziecie ku pośmiechu i urąganiu
„nieprzyjaciołom swoim.
„Język swój... i naród swój pogubicie...
„...i w obcy się naród, który was niena-
„widzi, obrócicie“...
(X. Piotr Skarga, Kaz. Sejm.)

(Ciąg dalszy.)

Niedziela. W jedynym kościele odprawia się msza. Kościół ubogi i ciasny. Znać że nabożeństwo katolickie toleruje się zaledwie. W kościele widać przeważnie klasę robotniczą, nieco żołnierzy i „panów“. Po ukończonej sumie tłum wychodzi z kościoła; znajomi witają się, poczynają się rozmowy.

„Zdrastwujtie Kazimir, Iwanowicz!“ — „A! Majo pacztienije, Piotr Ignatiewicz! kakowo paziwajetie?“ — „Paniemnożku paniemnożku!“ — „Sława Bohu! A u nas wot płocho“...

Przerażenie ogarnia człowieka, gdy po raz pierwszy słyszy z ust ludzi modlących się w kościele polskim mowę rosyjską, tę mowę, która dotąd po trupach tylko lub zdradą wdzierała się do kościoła. Tę mowę w której nie masz ani jednego słowa, co by z ducha nie było zaprzeczeniem polskości i katolicyzmu.

Z pamięci wynurzają się straszne słowa jasnowidzącego kaznodziei:

„Język swój... i naród swój pogubicie... i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie“.

Oto się staje. Język już pogubili, gdy przy kościele rozmawiają po rosyjsku.

Kto są ci odstępcy?

Są to wyłącznie ludzie z pracy rąk żyjący. Jest to przeważnie drobna szlachta litewska, której dziadowie i ojcowie siedzieli po zaścianach na Litwie, Polesiu, Wołyniu, Białorusi, na gruntach pańskich, dzierżawionych z dziada-pradziada, aż przyszły inne czasy. Grunta z rąk magnatów litewskich przeszły częścią drogą konfiskaty, częścią drogą kupna w ręce Rosyan, i odwiecznych dzierżawców, szlachtę drobną wyrzucono bez ceremonii.

Była to straszliwa tragedya. Oto bowiem nagle cała rzesza Kozłowskich, Sokołowskich, Babickich, Reutów etc. etc. okazała się poza możnością zaspakajania najelementarniejszych potrzeb żywej istoty, jak np. jedzenia, picia, spania. Każdy z tych panów Babickich, Reutów, Marcinkiewiczów nagle a niespodzianie stanął twarz w twarz ze sfinksem o wybitnie rosyjskich rysach oblicza, usposobionym arcynieprzychylnie dla tych „polacziszek"; i sfinks ten odrazu, nie proponując nawet rozwiązywania żadnych zagadek, wyszczerzył zęby, aby pana Reuta, Kozłowskiego i Sokołowskiego pożreć.

Tymczasem pan Babicki, Sokołowski, Marcinkiewicz był bardzo słabo przygotowany do walki... Umiał orać i siać; ale właśnie wyrzucony z ziemi nie miał nawet gdzie zastosować swej umiejętności. Umiał czytać, ba! czasem nawet pisać... po polsku! Sfinks za to nie tylko zaliczył go do analfabetów, lecz uznał za analfabetę szkodliwego, opornego; takiego, co to umie rzeczy brzydkie a dla sfinksa wstrętne. Umiejętność czytania — pisania po polsku nie była orężem w walce o kawałek chleba. Umiał jeszcze p. Kozłowski, Sokołowski pacierz po polsku. Wiedział, że jest szlachcicem i czuł się z tego dumnym, chociaż nie wiedział zgoła, co to znaczy. Słyszał zresztą, iż jest to przywilej, na mocy którego nie można p r a w n i e dać mu, p. Reutowi, Marcinkiewiczowi, w skórę. To już wydawało się czegoś warte. Dalej, wiadomo było temu szlachcicowi, iż w roku 1863 było powstanie i że przed powstaniem było bardzo źle, a po powstaniu zrobiło się jeszcze gorzej. Miał więc nawet pewien żal do powstania, a to tembardziej, że nie wiedział zgoła, co powstanie miało na celu. Swoją drogą, gdzieś w głębi serca, czy w jakimś innym ciemnym zakątku jego szlacheckiej duszy taiła się iskierka sympatyi do wojny z Moskalem. Ale o niej on i sam dobrze nie wiedział.

I byłby niewątpliwie p. Sokołowski, Marcinkiewicz przez sfinksa doraźnie pożarty, gdyby jego uzbrojenie życiowe ograniczało się na rzeczach wyżej wymienionych; lecz miał on ponad to wszystko wiarę, religię Chrystusową obrządku rzymskiego. I była to opoka, na której budowa okazała się tak trwałą, że nietylko

zastępy piekieł, lecz nawet księża-apostaci przemódz jej nie zdołali.

Tak uzbrojony, wziął się p. Marcinkiewicz, Kozłowski za bary ze sfinksem, i boryka się z nim lat parę dziesiątków; w wojsku, jako żołnierz, na kolei — jako budnik lub konduktor pociągu towarowego (15 rubli miesięcznie), w warstacie, jako kowal, ślusarz, tokarz itd. Dużo utracił p. Sokołowski-Kozłowski w tej walce — język swój. Co gorsza, dużo też w niej nabył — język obcy. Oto dziś już w drzwiach kościelnych pozdrawia znajomego w języku wrogim, t. j. popełnia czyn, za który jego ś. p. ojciec byłby go może wyklął. P. Reut-Marcinkiewicz poszedł, niestety, jeszcze dalej: ożenił się z rosyanką i ma dzieci prawosławne. Te będą zapewne Rosyanami bezpowrotnie. Kilku panów szlachty — nazwisk nie będziemy wymieniać — wlazło osobiście w paszczę sfinksowi: kuszeni obietnicą podniesienia gaży o 5 rubli miesięcznie, a przerażeni jednocześnie groźbą wyrzucenia z warsztatów kolejowych na bruk, wstąpili „dobrowolnie“ na łono cerkwi prawosławnej. Tych zresztą jest b. niewiele.

„Język swój i naród swój pogubicie...“

Czarno, smutno wygląda przeszłość najbliższa i teraźniejszość.

A przyszłość...

Przyszłość niespodzianki gotuje. Oto dzieci p. Marcinkiewicza, tego samego, co dziś przy kościele po rosyjsku z przyjaciółmi rozmawiał, uczą się na gwał języka ojczystego, i piosnek rodzinnych, i dziejów narodu polskiego...

O Boże! Poślij nam jeno więcej ludzi dobrej woli!

* *
*

„I w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie...“

. . . .

(D. n.)

Fragmenty z zapisków Kazimierza Odrzywolskiego.

Rok 1893.

1. stycznia.

Nowy rok zaczynamy nadziejami lepszego powodzenia, tak w interesach jak i w sprawach narodowych.

Sejm pod dobrą wróżbą dnia 28. grudnia rozpoczęty, przerwany świętami ruskiemi i nowym rokiem, rozpocznie się na nowo 10. stycznia. Z poruszonych spraw zdaje się, że to będzie sejm doniosłości historycznej. Adres tronowy dopominający się rozszerzenia autonomii, a wniesiony przez Szczepanowskiego przejdzie prawdopodobnie bez opozycyi. Powiększenie budżetu krajowego, ukrajowienie propinacyi wniesione przez Szczepanowskiego, umotywowane gorącem przemówieniem, także zdaje się zostanie przyjęte. Reforma wyborcza przez wciągnięcie V. kuryi do Sejmu w klubie lewicy już przeszła. Spodziewamy się także równouprawnienia języka ruskiego. Gorącem naszem pragnieniem jest, żeby i ten wniosek posła Barwińskiego został poparty przez Szczepanowskiego.

3. stycznia.

Chcielibyśmy utrzymać „Słowo Polskie“ na wysokości organu poważnego, bezstronnego, a tymczasem nie podobna ustrzedz się przed dostaniem się do dziennika takich rzeczy, które kompromitują dziennik, a temsamem i S. S. W ogóle ludzie nie rozumią, że można stać na stanowisku wyższych idei, a nie na stanowisku interesów własnych lub partyjnych. W zaciekłości partyjnej, ludzie nie słuchają sumienia, nie znają sprawiedliwości tylko szkody i zdobycze — partyi. Najbliżsi tak zwani „polityczni“ przyjaciele S. S. znają i pojmują tylko stanowisko partyi.

4. stycznia.

„Słowo Polskie“ daje wiele kłopotów, wieczór przyszedł L. i zgadało się o „Słowie“. Nie podoba mu się dzisiejszy kierunek, bo wraz z R. chcieliby walkę prowadzić z Badenim i w ten sposób partyę zaznaczyć, a my tego nie chcemy; bo tylko wtedy

będziemy występować przeciw, jeżeli czynami swemi na to zasłuży. Wogóle ciągle musimy walczyć i zaznaczać, że odłączamy ludzi od sprawy, bo w naszem przekonaniu tylko o tyle z ludźmi walczyć można, o ile ludzie przyczyniają się do złych spraw, które pośrednio lub bezpośrednio szkodę krajowi przynoszą. Wieczorem przyszedłem do domu z Krz. i czytaliśmy „Psalmy przyszłości", Krasińskiego i odpowiedź Słowackiego. Są to cuda, które tylko ma nasza literatura.

5. stycznia.

W biurze i w interesach nic nowego. Jak zawsze przyszedł do nas Krz. Wieczorem czytaliśmy Słowackiego „O Emigracyi" i Krasińskiego „Przedmowę do Przedświtu", wreszcie ustęp z Piasta, w którym zarzuca S. krytykom Małeckiemu, Chmielowskiemu i Tarnowskiemu, że nie odczuli wieszczów, nie pojęli ich ducha, ich uczuć, forma wiersza ich zachwycała i w ogóle brali ich zawsze ze strony artystycznej, a nie pojęli całej głębi myśli i uczuć, które mają służyć narodowi jako religia i droga jedyna życia, przez którą przejść musi naród, żeby doszedł do ideału, do odrodzenia na podstawie ducha. Z Krz. socyalistą wywiązała się dyskusya, która nam dała dostrzedz ogromną zmianę na korzyść, to znaczy, że z zatwardziałego socyalisty pod wpływem czytania wieszczów staje się narodowiec.

6. stycznia.

Na herbacie był u nas S. S. Rozmawialiśmy o Rosyi i grożącem niebezpieczeństwie całej Europie, która nic nie widzi, co się dzieje wewnętrz państwa. Jaki postęp i jaka potęga rośnie z każdym dniem: kiedy S. S. przed laty dziesięciu napisał artykuł o rozwoju Rosyi i chciał go umieścić w „Nowej Reformie", nie przyjęto, uważając go za niepatryotyczny. Przypuszcza S. S., że wzrastająca produkcya bawełny w środkowej Azyi ogranicza z każdym rokiem import obcy i przyjdzie chwila, że przez podwyższenie cła dla importu, zabije rząd rosyjski kiedyś cały przemysł w Łodzi i Królestwie. Dalej opowiadał o Indyach wschodnich i o rządach angielskich, które Indyom tylko dobro przyniosły, w zniżeniu podatków z 50% brutto na 3%. w kolosalnych robotach irygacyjnych, budowach kolei etc.

Dalej rozmawialiśmy o Rusinach. S. S. nie spodziewa się na podstawie ustępstw z naszej strony, choćby najdalej idących, nawet do zupełnej równości — szybkiego zbratania tego pokrewnego narodu, bo zawsze póki oświata nie podniesie poziomu całych narodów, póki forma będzie religią ludzi, kler zawsze wszczepi zawrzewie niezgody i nienawiści, jak to ma miejsce między Serbami schyzmatykami a Kroatami katolikami, którzy nie mają żadnej różnicy w języku, nie prowadzili walk politycznych, a mimo to nienawidzą się wzajemnie i Serbowie łączą się raczej z Węgrami przeciw Kroatom.

ANDRZEJ TOWIAŃSKI.

Skreślił

Andrzej Baumfeld.

II. Kościół. Naród.

Kiedy Jan Święty oglądał w objawieniu niebieskie Jeruzalem nie ujrzał w niem kościoła „a kościoła nie widziałem w niem: albowiem Pan Bóg wszechmogący jest Kościołem jego i Baranek“. Jest w tem niby synteza wszystkiego, co się roi w duszach, żądnych ujrzenia ludzkości w świętym kościele powszechnym. Pragnienie objęcia wszystkich rozpiera mury świątyń ziemskich i prowadzi ducha wyżej—ku Temu, który jest „na niebiosach i w sercu i na krzyżu“ — co w Nim szukać każe prawdziwego Kościoła — i staje „Kościół w niebiesiech i Kościół w sercach na ziemi“ — mówiąc słowami Towiańskiego — jako ów ideał, który on — zniósłszy z sobą na ziemię — stara się ucieleśnić kształtem widomym. Dla niego „Kościół na ziemi jestto przybytek siły i życia niebieskiego, przybytek miłości, ofiary, krzyża Chrystusowego, utrzymujący się w duszy prawdziwych chrześcian, synów Kościoła; jestto jedyny port bezpieczny, w którym człowiek, kołatany burzami, które podnieca ciało, świat i szatan, może znaleść schronienie i pokój

Chrystusowy; jest to ojczyzna niebieska na ziemi, w której jedy nie znaleść może człowiek naznaczone mu dobra chrześciańskie, a między niemi ojczyznę ziemską prawdziwą, chrześciańską, a w niej wolność i życie ducha i człowieka; znaleść może prawdę, sprawiedliwość i braterstwo, a stąd ułatwienie w osiągnięciu zbawienia wiecznego, oraz tego prawdziwego szczęścia doczesnego, które naznaczone jest w miłosierdziu Bożem, jako narzędzie i pomoc w osiągnięciu zbawienia wiecznego". Słowem — Kościół to ludzkość cała, chrześcijańska już nie z formy tylko, ale z ducha i uczynków swoich — A nawet więcej: „Kościół jest powszechny" tłómaczy Towiański — „bo cały ten i tamten świat jest powołany i budzony, aby wszedł do Kościoła i tam spełnił Słowo Boże"...

Trzeba mieć zawsze w pamięci tę wysoką ideę Kościoła, aby pojąć szczególne stanowisko Towiańskiego wobec jej ziemskiego odbicia — wobec tego, co Mickiewicz nazwał „Kościołem urzędowym". Bo nie był z tych, którym szczytnie wymarzony ideał przesłania rzeczywistość; raczej tem jaskrawsze były mu błędy i odstępstwa rzeczywistości od swego ideału. — „Coraz więcej traci Kościół obecny" — pisze do papieża Piusa IX. „to, co stanowi niebieską istotę Kościoła Chrystusowego; coraz więcej traci miłość, ofiarę, krzyż, tę siłę, którą Chrystus Pan zbudował Kościół swój". — Widzi więc jasno, że powszechnie zapanowała „pobożność umarła", zadowalająca się „samą zewnętrzną praktyką aktów religijnych" — „bez udziału duszy" — widzi to wszystko, a jednak nie zrywa z Kościołem, owszem do ostatniej chwili mieni się gorliwym synem i sługą jego. Niezrywa— naturalnie — bo tak samo chyba musiałby zerwać z całą ludzkością, tak daleką od ideału, który on w duszy żywił. — Nie zrywa— albowiem wysokość ideału jest zarazem dowodem myśli Bożej, spoczywającej na ciele, które ma ideał ów, wyobrażać na ziemi. A myśl Boża prędzej czy później musi być spełnioną — wszelkie ciało musi się w końcu podnieść na wysokość swego słowa. Ta wiara, tak silna u Towiańskiego, nie pozwala mu zrozpaczeć, nie daje się rzucić na pole zewnętrznej z Kościołem walki.

Oto ważna różnica między Towiańskim a tymi, którzy przed-

nim występowali z żądaniem zmian w Kościele i doprowadzali w końcu do zerwania. Ich nie łączyło z Kościołem — trwalsze od innych węzłów — poczucie wzniosłej idei jego i głęboka wiara w Opatrzność, rozmaitemi drogami prowadząca do spełnienia myśli swojej. Jest jeszcze jedna różnica — Towiański nie żądał żadnych reform zewnętrznych — „Kościół jest zorganizowany zewnętrznie, co do formy swojej"; — powiada w rozmowie z ks. Duńskim — „trzeba więc tylko uorganizować go wewnętrznie, co do ducha, co do istoty jego, trzeba ducha przyjąć z nieba i do martwego ciała wprowadzić"... A ponieważ wie, że wszelka taka sprawa snuje rozwój swój przez wieki żywota duchowego, zanim się widomie w ostatecznym kwiecie przejawi — więc nie napiera, nie wznosi hasła buntu. Zły stan urzędów Kościoła jest dopuszczeniem Bożem, jest karą, którą należy znieść we wnętrznem cierpieniu — dosługując się przeobrażaniem duchowem innego Kościoła, lepszego niż wszędzie, tak i tu Towiański widział przedewszystkiem j e d n o s t k i — i dlatego wnikając w stan ich duszy, w trudności wewnętrzne i zewnętrzne, nigdy nie potępiał bezwzględnie. Rozważając w piśmie dla Włochów wysoką ideę Stolicy apostolskiej, która ma „przewodniczyć podnoszeniu się Kościoła z oczyszczonego fundamentu" — powiada: „...stawmy siebie w położeniu Ojca św., wnikajmy duchem naszym w trudności i przeciwności jego, podzielajmy krzyż, frasujmy się i trudźmy frasunkiem i trudem jego, a czyniąc to wszystko, nośmy gotowość do wszelkiej ofiary, jakaby mogła stać się potrzebną, aby myśl Boża, na Ojcu św., leżąca, spełnioną była". Więc działa tylko na jednostki — ale też, czując się w ten sposób miłością swoją i cierpieniem uprawnionym, działa z pełną swobodą — czy to wobec zwykłego księdza, lub pastora czy wobec papieża. Oto np. w liście do Piusa IX. którego już nawet dokończyć nie mógł własną ręką – 70 letni starzec — wzywa go: „Wyznajcie przed Chrystusem Panem: że nie utrzymując łask,j która na początku panowania Waszego na Stolicy apostolskiei wspierała Was, zaparliście się tego, co łaska ta przez Was uczyniła... że... nie... podzielaliście ani podpieraliście tego, co Chrystus Pan, przez lata rządów Waszych, czynił dla podniesienia

Kościoła upadłego... że będąc Namiestnikiem Chrystusa Pana, czyniliście siłą świata tego, walczyliście z przeciwnikami waszymi bronią nienawiści i zemsty... że będąc powołani uderzyć na złe, rządzące w Kościele, poddaliście się temu złemu, podparliście i wzmocniliście to złe siłą władzy Waszej...“ I tak więcej w tym tonie ojcowskiego karcenia.

Porównajmy z całem tem postępowaniem Towiańskiego to, co Mickiewicz mówi w „Wykładach liter. słow.“ o dzisiejszym stanie Kościoła — chociażby ten oto ustęp: „Do czegóż dzisiaj przyszedł Kościół? Co może ta potęga, rodzicielka niegdyś wszystkich mocarstw ziemi? W czem ona wpływa na postępowanie ludzi, na ich życie polityczne, na wielkie poruszenia narodowe, na kombinacye gabinetów? Nad takim stanem Kościoła powinnoby pękać z bólu serce jego służebników. A widzimyż ten ból? Podczas kiedy cholera grasowała w Paryżu, spotykaliście na ulicach ojców rodzin, bladych, drżących, którzy nie mówiąc do siebie słowa, spojrzawszy tylko jeden drugiemu w oczy, zgadywali, czy się lepiej czy gorzej dzieje w mieście i za powrotem każdego z nich do domu, z samej postawy, z chodu można było poznać, jaką nowinę przynosili żonom i dzieciom stroskanym. Kościół prawi nam ciągle, że zaraza niedowiarstwa szerzy się po narodach; Kościół mówi nam bez ustanku, że choroba zabójcza ogarnia dusze i zadaje im śmierć, którą on ma za wieczną. Pytamże się wszystkich ludzi dobrej wiary, czy widzą na twarzach, w ruchach, w skinieniach reprezentantów Kościoła tę boleść, jaką widzieli w ojcach rodzin? A przecież księża patrzą na zgubę całej ich rodziny duchownej“. Otóż porównajmy przejawy dwóch tych dusz w tej samej dziedzinie — a będziemy mieli wogóle dwa różne charaktery duchowe. W przeciwieństwie do Mickiewicza, który zawsze w głębi ducha pozostał Konradem Prometeuszem, nawet kiedy już wiele z X. Piotra przejął w siebie, Towiański, rozważający zawsze, dziwnie realny w działaniu swojem, a tylko w głębi gorącem pragnieniem rwący się w niebo. I dlatego to trzeba z nim długo obcować, zanim się dotkniemy duszy jego — i poczujemy jej ożywcze, czyste tchnienie.

Mimo jednak tego łagodnego (jak widzieliśmy) i pokojo-

wego stanowiska względem Kościoła, Towiański właśnie ze strony księży najwięcej ucierpiał. Z niesłychaną zaciętością uderzyli XX. Zmartwychwstańcy — odbiegłszy daleko od ducha założyciela swego, Bogdana Jańskiego — na to nowe jak się wyrażali „sekciarstwo", na tę „herezyę". Walka ta nawet w takim gorącym i niepodejrzanym katoliku, jak Wielogłowski*) budziła niechęć do księży i niejeden słuszny zarzut przeciw Zmartwychwstańcom z pod pióra jego dobyła. Daremne były starania samego Towiańskiego i zwolenników jego o przedłożenie Sprawy Stolicy apostolskiej. Kościół w tym wypadku znowu, jak w wielu już przedtem, okazał twardą nietolerancyę — nie chcąc nawet wysłuchać strony przeciwnej. Szczęściem, wyroku w tej rzeczy wogóle nie wydawał — a mamy dowody, że — mimo umieszczenia na indeksie wszystkiego, co wychodziło z grona Towiańskiego — jego samego zawsze za wiernego katolika uważał. W r. 1858 nuncyusz papieski, Bovveri, przybył umyślnie do Zurychu, ażeby z polecenia Stolicy apostolskiej rozmówić się z Towiańskim. — A choć daremnie wzywał go w imię posłuszeństwa do potępienia trzech pism Sprawy, przez Kościół potępionych, w końcu jednak udzielił mu błogosławieństwa, do którego miał od Ojca św. upoważnienie*).

A przecież — księża polscy w pierwszej już chwili podnieśli zarzut herezyi i do dziś go przeważnie utrzymują. I niewątpliwie — z odpowiednią intencyą wziąwszy się do pism Towiańskiego, można w nich niejedno znaleść, coby w sposobie wyrażenia nie schodziło się ze ściśle określonemi formułkami kościelnej nauki. Towiański—jak poznaliśmy chyba jasno— nie był dogmatykiem, nie studyował teologicznych nauk — i pisma jego są bardzo prostem, często — z powodu braków wprost literackich — zawiłem nieco, wypowiadaniem myśli i uczuć.

Ale to wyszukiwanie (niby z lupą przy oku) herezyi w pismach człowieka, który gorąco i szczerze pragnął zawsze utrzy-

---

*) Walery Wielogłowski. Emigracya wobec Boga i Narodu. Wrocław 1878.

*) Rozmowa ta — wielce dla osoby Towiańskiego charakterystyczna podana jest w tomie III. Pism jego na str. 317 i nast.

mać łączność z Kościołem i mimo tak znaczne pokusy nigdy jej nie przerwał — jest smutnym dowodem zamarcia ducha na rzecz formy i litery.

A jeśli dostatecznie nie świadczą te uczucia jego dla kościoła, to może przemówią liczne nawrócenia niewierzących katolików, protestantów i żydów*).

Ażeby jednak zrozumieć dobrze znaczenie Towiańskiego dla Kościoła, trzeba pamiętać, że Kościół — zewnętrznie tak jednolity — kryje jednak zawsze w łonie swojem dwa odrębne bardzo i sprzeczne prądy. — Któż to dziś nie zwie się katolikiem! Co się nie pokrywa dziś mianem katolicyzmu i chrześcijaństwa! A przeciwko tym, którzy poza formę nie sięgają, przeciw tym, którzy całą siłą dążą do utrzymania twierdzy katolicyzmu w starych zamkniętych murach — przeciw tym, którzy słowem wiary się zadawalają i przez to stają się szerzycielami obłudy duchowej — stają coraz to liczniejsze szeregi ludzi żywych, natchnionych szczerą gorącą wiarą w Prawdę, „która nas wyswobodzi" — stają ludzie, pełni Boga i ideału Bożego, gotowi do pracy i ofiary. Przeciw formie staje duch — i coraz głośniejsze staje się wołanie ducha. I zaprawdę, gdyby nie ta wielka potrzeba serca ludzkiego ukorzenia się przed krzyżem Chrystusa, w świątyni Jego, żywej od łez i westchnień tylu pokoleń — gdyby nie ten dziwny, czarowny urok podniosłych sklepień — gdyby nie wnętrzna tajemna moc sakramentalnych darów Kościoła — gdyby więc nie tchnienie boskości, które w nim jest zaprawdę, cóżby mogło utrzymać w kościele te dusze rwące się do szczerości i prawdy, dusze palone ogniem wielkiej nieznoszącej tam żadnych miłości... Cóżby mogło je skłonić do wielkiego bolu pobłażania — wobec tej cielesności martwej, ospałej, tego materyalizmu grubego, panoszącego się tam, skąd winien jaśnieć wzór wielkiego ducha?... Zaprawdę katolicyzm stoi wielką, cudowną treścią swojej idei. — I byłoby okropne, gdyby wszystkie te prawdziwie apostolskie

*) Dokładny obraz tej walki kleru polskiego z Towiańskim daje X. Paweł Smolikowski w „Historyi Zgrom. Zmartwychwstania Pańskiego", w książce zresztą — naturalnie — dalekiej od zajętego tu stanowiska.

dusze zostawiły Kościół na pastwę własnej jego potęgi materyalnej. Stałby się on groźną mocą antychrystową, skazującą sumienia ciężkimi kajdanami trwogi i uległości — stałby się potęgą niszczącą wolność ducha, odstraszającą od myśli chrześcijańskiej wszelką wolną duszę. — I przeto prawdziwie męczennikami idei są nieraz ci, co zostając w kościele, śmiałem, gorącem słowem i czynem uderzają w wyrosłą w nim twierdzę ciemnoty i obłudy... Towiański jest jednym z nich.

Jest nadto jednym z tych, którzy w chrześcijaństwie widzą nie ponurą, murami klasztornymi od słońca i ludzi odciętą ideę, ale owszem pełny błogosławiony żywot ducha. Myśl, poczęta w miłości powszechnej, żyjąca pragnieniem objęcia wszystkich, nie może zatrzymać się na klasztornej fazie swego rozwoju. Św. Tomasz a Kempis, szczytny wyraziciel tego okresu, jest najlepszym dowodem, jak nawet głębokie, bardzo głębokie rozsnucie myśli może być jednostronne i przeto nieistotne. Jakaś posępna żałoba, gęstą krepą kryjąca oblicze, aby nie dopuścić barw i dźwięków życia — bolesne zamknięcie się w ciągłem cierpieniu — nawet jakaś lękliwa uniżoność wobec Boga i Chrystusa — stają się jakgdyby nieprzebytą ścianą między życiem a chrześcijaństwem. „Tak żyj, abyś — jeśliby to od ciebie zależało — wolał być bez wszelkich stosunków z ludźmi“ — czytamy w Św. Tomaszu...

A wszakże — Chrystus sam dał nam inne wcielenie myśli Swojej. On wszedł między ludzi, z miłością, wszelkie różnice niszczącą i żył wpośród nich — a życie Swoje przeciwstawiał surowej pokucie Jana Chrzciciela. On w miłością tchnących słowach snuł nić spójną między duszami uczniów Swoich życiem przyrody i wskazywał im wdzięk lilii i uczył swobody i wzlotu z ptasząt, co nie siejąc zbierają... On przyjście chwili zapowiadał, kiedy nie na górach samarytańskich, ani w Jeruzalem żydowskiem ale w duchu i prawdzie chwalić się będzie Ojca niebieskiego... A po Nim — aż do dzisiejszego dnia — nikt tak pełnie nie zdołał myśli jego wyobrazić, jak apostoł-poeta Franciszek z Asyżu. W jego pieśni pochwalnej, dzięki czyniącej Panu za słońca bratniego blask promienny — za wiatru powiew bratni — za serca

zdolne do przebaczenia... w tym radosnym hymnie duszy drga chrześcijaństwo żywe i wolne, pełną piersią chłonące wszystko, co wieczne i piękne... W tem pchnięcie myśli Chrystusowej na drogę nowego, świeżego rozwoju.

Towiański czuje i wyraża potrzebę tego rozwoju, choć bez tego wielkiego, artystycznego zachwycenia, jakie jest w Św. Franciszku. „Czcijmy i naśladujmy“ — pisze*) — „jako wzór nasz tę wielką miłość i ofiarę, jaką złożyli dla Chrystusa i dla zbawienia własnego pustelnicy, zakonnicy, męczennicy Pańscy; ale powołani na wyższy szczebel drogi chrześciańskiej i wedle tego szczebla sądzeni, stosujmy też miłość i ofiarę do obecnego wezwania Bożego: nie idźmy na pustelnię, ale w duchu pustelniczym żyjmy na świecie, wyrzekajmy się, jak oni, świata, mamony, ale zarazem składajmy Bogu, bliźniemu i Ojczyźnie jak najczynniejsze życie nasze na ziemi, a nie dla ziemi“ — — „Miłość“ — mówi gdzieindziej — „nie może być ograniczoną, powinna obejmować cały łańcuch stworzenia; ze wszystkiem, co ma ducha, życie, czucie, ze wszystkiem, co stworzone jest dla postępu i co postępuje, nawet na najniższych stopniach drogi Bożej, winniśmy się zespolać przez czucie nasze“.

Ten to „ocean miłości powszechnej“ jest szczególnym znakiem „nowego zakonu Ducha“ (jak to nazywa Mickiewicz). Nowym jak widzieliśmy — on nie jest; ale jest niewątpliwie pełniejszem i głębszem zrozumieniem, szerszem zastosowaniem najwyższej idei, wcielonej w Chrystusie i Jego Świętym Franciszku.

* * *

Już samo to stanowisko w chrześcijaństwie i Kościele nie może być obojętnem dla narodu chrześcijańskiego, którego rozwój tak ściśle był i jest z Kościołem związany. Przytem — rzecz jasna — ktokolwiek, ród swój duchowy i fizyczny z Polski wiodąc, składa pracę życia swego na ołtarzu ludzkości, tem samem oddał narodowi swemu usługę niezgasłą, podniósł naród swój o szczebel w górę.

---

*) Pisma t. III. str. 470.

Ale na tem nie wyczerp uje się znaczenie Towiańskiego dla naszego narodu.

W ludzkości, tak pojętej, narody zyskują doniosłą rolę jednostki, dążącej wspólnie z innemi do spełnienia leżącej na nich myśli Bożej. Misya narodu jest tu koniecznym, logicznym wynikiem rządów Opatrzności. Naród staje się społecznością, nie na wspólnościach fizycznych tylko opartą, ale połączoną trwale i wiecznie wnętrznym węzłem — i d e ą. Z idei zaś wysnuwa się właśnie misya narodowa — idea bowiem jest akordem w owej harmonii powszechnej. Pierwszy u nas wyraźnie myśl tę wypowiedział Brodziński*): „Naród“ — powiada — „jest wrodzoną ideą, którą członkowie jego w jedno spojeni, urzeczywistnić się starają“. „Każdy naród“ — mówi w tym samym duchu Towiański —„ma powierzony sobie taki skarb, ma ideę swoją... i każdy naród może być silnym tylko ideą swoją, spełnioną w duchu i praktykowaną na ziemi swojej“.

Jakąż więc jest i d e a P o l s k i? Towiański, zapytany raz dlaczego nazywa Polskę ,,pierwszym narodem chrześciańskim“ odpowiedział: „Dlatego, że Polska przed wieki przyjęła chrześciaństwo, to jest Słowo Boże, czuciem, sercem, nie zaś rozu mem, głową, jak to inne narody mniej więcej uczyniły. Wskutek takiego przyjęcia chrześciaństwa, pobożność prawdziwa. miło i bojaźń Boża, czucie chrześciańskie, ta iskra ognia Chrystusowego, przechowała się w duchu narodu, a zwłaszcza w duchu ludu polskiego w większej czystości, niż gdzieindziej na świecie**). I otóż dlatego „idea Polski“ (jak gdzieindziej określa) „... jest ideą pełnie chrześciańską, pochodzi ona ze Słowa Bożego, jest częścią Słowa, tej idei najwyższej, tej Myśli Bożej, podanej światu przez Chrystusa“***). Więc kiedy na jednem z pierwszych zebrań „sług Sprawy Bożej“ (tak się nazywał Towiański i grono jego), po rozdaniu medalów Matki Boskiej z promiennemi rę-

*) W mało dziś znanej — niestety — „Mowie o narodowości Polaków“, wygłoszonej na sesyi Tow. Przyj. Nauk w Warszawie dnia 3. maja 1831 r. Przedruk w Bibl. Mrówki. Lwów 1878.

**) Towiański Pisma I. str. 65.

***) Pisma t. III.

koma, jako symbolu Miłosierdzia Bożego, zlewającego się w Sprawie „wszyscy głęboko wzruszeni — zapominając" uraz i krzywd wzajemnych uścisnęli się serdecznie, Towiański woła: „Jesteśmy, bracia, w Ojczyźnie!... ten bowiem duch, te uczucia chrześciańskie i polskie, które ożywiają i zespolają nas w tej chwili, jestto istota Ojczyzny naszej"*).

I tak naród i Ojczyzna zstępują w głąb ducha — i tutaj sakramentalnym związkiem łączą się z „królestwem Bożem wewnątrz nas" — schodzą się i kojarzą wieczyście z religią. Albowiem treścią ducha najwewnętrzniejszą jest religia. Może wątpić człowiek — ale duch, który dobrze do głębi istności swojej widzi nagle rozjaśniony blask Boga — Duch nie jest z tego świata — i przeto treścią jego nieskończoność żywota. I w poczuciu nieskończoności swojej łączy się z Bogiem i odczytuje w sobie religię. To jest jedyna niezachwiana i nieśmiertelna treść ducha. A cokolwiek wejdzie z nią w związek, staje się nieśmiertelnem. I oto w tem jest doniosłość mesyanizmu naszego, rozpierająca granice czasu, że uczucie i pojęcie narodowości, ojczyzny — dotąd przeważnie na wspólności języka, czy ziemi, czy jakichkolwiek innych zmiennych i mijających znaków oparte, pomieszał niby nierozłącznie z wieczno-trwałą ducha treścią i przez to narodowości i ojczyźnie dał żywot wieczny.

Towiański mesyanizmu polskiego nie stworzył. Wyczytał go w duchu ludu polskiego — wysnuł z ducha wielkiego wodza Kościuszki — dojrzał go w dziejach narodu. Przed nim już pracę tę odbyli inni. Skarga, kiedy na czele myśli swoich o Ojczyźnie i miłości ku niej, daje rozkazanie Jezusowe „abyście się społecznie miłowali" — wielu zresztą, aż do wybuchu wielkiej poezyi naszej, raczej w przeczuciu, niż w pełnem uświadomieniu — a potem cały ten, w bolesnej zrodzony ekstazie, Chrystusowy romantyzm — wszystko to — głębiej odczytane — daje wyraz odrębności i pewnej nawet wyższości narodu polskiego nad inne narody. Odpowiadają tej myśli mniej lub więcej wyraźne dzieje narodu. Wszak obcy niejednokrotnie z podziwu wyjść nie mogli nad tem szczególnem społeczeństwem szlacheckiem. A jeśli nieco

*) Pisma t. I. str. 39.

bliżej przyjrzymy się wielu bohaterom przeszłości naszej — nie tak, jak czynią dziś przeważnie, jako niby machinom dyplomatycznym czy militarnym — ale jako ludziom o duszy czującej, nieśmiertelnej — to znajdziemy w nich wiele oparcia dla mesyanizmu naszego. Odrębna myśl polska z dziejów i myśli narodu wysnuta — jest faktem, przez mesyanizm nasz tylko najlepiej odczytanym i utrwalonym.

I w tem rękojmia, że mesyanizm nasz nie był tylko chwilowym, przejściowym objawem. Raz wypowiedziany jasno zapewnił sobie wieczność istnienia. Mogą przyjść okresy całe, kiedy ten duch wydawać się będzie niby umarły — owszem przeszedł właśnie okres takiej pozornej śmierci ducha. Ale to nie zamarcie było — to raczej wgłębienie się w siebie, milczące przeobrażanie formy. Aż kiedy przyszła chwila sposobna, mesyanizm objawił nowe życie. Dziś, rzec można — wchodzimy zwolna w drugą fazę mesyanizmu polskiego. Doświadczenia po r. 1863, nabytki z „pracy organicznej“ narodu, powszechnie zmieniony charakter wiedzy, rozszerzony zewnętrznie zakres działania — słowem wszystko, co tylko jest objawem postępu ducha, mesyanizm w dzisiejszej swej formie obejmuje i przenika. Na czele kroczy Stanisław Szczepanowski — choć nazwisk lepiej nie wymieniać, albowiem dziś już nie na jednostce wszystko polega, tylko na jednostkach. Ale znamieniem tego nowego okresu jest (jak dziś w wszelkim postępie) załączanie szerszych kręgów życia i pomieszczenie w nich wielu myśli, dotąd pozornie się kłócących...

Towiański w rozwoju mesyanizmu polskiego ma szczególne znaczenie dlatego, że przyszedł właśnie bezpośrednio po romantycznym jego okresie. Nie dość jasno ocenia się tę przemianę, jaka w samych twórcach romantycznego mesyanizmu zaszła, po zetknięciu się z Towiańskim. Upadek z własnej winy — oto moment, na który on szczególny kładzie nacisk. Polska zdradziła wysokie powołanie swoje, odstąpiła misyi swojej — i dlatego upadła. „Biada wam“ — woła Słowacki, przejąwszy myśl tę — „biada wam, którzy w siebie wmawiacie, że krzyżem podobni jesteście do Chrystusa, niepomni na to, że Chrystus niewin-

nie, owszem, wolę Swą zgod[illegible] [illegible] ola Ojca, na krzyżu cierpiał za narody. O[illegible] [illegible] jesteście do sług, którzy roz[illegible] [illegible] — Kościołów, w którychby świętość ducha ludzkiego mieszkać mogła, nie postawili, pracy się wyrzekli oczekiwania serc ludzkich (stęsknionych zawsze za ideałem) zawiedli...“*). I stąd potrzeba e k s p i a c y i. Własna wina jest zawsze raczej źródłem pociechy, niż rozpaczy. — Odkrywszy ją już się wie, co robić, aby następstwa jej zniszczyć. Towiański z tem nawoływaniem do pokuty zwraca się do narodu, a przedewszystkiem do jej najlepszej wówczas części, emigracyi: ,,Wy tęskniący i czujący męczennicy wolności, cierpiący dziś pod przemocą sił ziemskich, Wy, których Bóg miłosierny i sprawiedliwy więcej umartwił, aby więcej do siebie przybliżył, prędzej powołał czynniej zatrudnił, wy u Boga znaleźliście pierwsze prawo do tego wielkiego zaszczytu; niech to wam jawnem będzie: święte zjednoczenie Wasze stanie się posadą Kolosu Sprawy Bożej, który prawica wszechmocna podnosić już zaczyna. Niezwyczajne drogi wasze przygotowały wam to niezwyczajne przeznaczenie**).

Jednakże — jak zauważyliśmy już — Towiański nie jest moralizatorem. Wobec przejawów życia staje jako wobec znaków woli lub dopuszczenia Bożego, mających jednak zawsze racyę w Mądrości opatrznościowej. Tak samo wobec wypadków życia narodowego. Dni lutowe r. 1861 — dni poważnej, głęboko chrześcijańskiej manifestacyi, były dla niego czystym „błyskiem ducha narodowego“, w którym ten duch okazał narodowi, czem stać się powinien. Ale kiedy naród nie utrzymał się na tej wysokości — skuszony niejako złem, objawiającem się przez wroga — kiedy z dopuszczenia Bożego dociśnięty przez niższego ducha wroga, chwycił za oręż, Towiański nie prawi kazań o lekkomyślności młodzieńczej. Pojmuje on, że dla ducha form prokrustowych tworzyć nie można, że nie wiadomo nigdy, „co duch wybierze“. Więc chociaż nie widzi w powstaniu czynu ,,naznaczonego“ tj. takiego jakiby był, gdyby Polak stanął zupełnie na drodze Bożej — jednakże w danych warunkach uznaje konieczność ży-

*) Do emigracyi: O potrzebie idei.

**) Pisma t. I. str. 30.

wiołową i wzgiędem faktu ma jedno tylko pragnienie: podnieść go i uszlachetnić. Tak — już po powstaniu — kiedy mu Feliks Niemojowski maluje ciężkie położenie szlachty polskiej wobec włościan, on, bolejąc, powiada jednak: ,,Przejdzie burza, a zaschła, stwardniała ziemia, skropiona rzęsistym deszczem, zmięknie, ożywi się i stanie się płodną. Dobry gospodarz nie smuci się tą burzą, chociaż wie, że mu ona niejedno drzewo wywróci, że nie tylko pszenicę, ale i kąkol zasili". A dalej: ,,Czemże jest obecna swawola ludu naszego w porównaniu z tem rozpasaniem wszelkich namiętności, które nadało tak straszny charakter wielkiej rewolucyi francuskiej? A mimo to, któżby dziś jeszcze nie uznawał dobroczynnych skutków, jakie i ta operacya jakkolwiek krwawa i okropna, przyniosła nietylko dla ..arodu francuskiego, ale i dla świata całego?...*)

Tak też w r. 1863, kiedy garść zwolenników jego wyjeżdża do kraju, do powstania, żegna ich i błogosławi na grobie Kościuszki w Solurze, a w piśmie, danem im dla utrwalenia myśli jego w ich duszach, powiada: „Przelewa się w męczarniach krew polska, a we krwi tej Polak oczyszcza się, podnosi się i zbliża się ku Ojczyźnie chrześciańskiej, a rząd rosyjski kala się, zniża się, tem obciąża coraz więcej rachunek swój przed Bogiem i wchodzi w koło kary Bożej".**) Nikt głębiej nie potrafił pogodzić koniecznych, żywiołowych objawów ducha z rządem Opatrzności. Dlatego myśli Towiańskiego, choć wszystko sprowadzające do jedności, nie robią wrażenia suchej doktryny. Walka orężna — przestaje być celem, a staje się środkiem, narzędziem, które w rękach duchowo uzbrojonego narodu może nawet — w chwili przez Boga naznaczonej — ostateczną mu wolność ziemską przynieść. Byle tylko naród nie ku materyalnej sile całą pracę ducha skierował, a pojął nareszcie, że materya jest biernem, podatnem narzędziem w ręku ducha i że od niego, od jego mocy zależy skuteczność narzędzia. „Walka orężem ziemskim, a w duchu chrześciańskim" powiada Towiański we wspomnianem właśnie piśmie — „stała się już zgodną z wolą Bożą".

*) Pisma t. III. str. 175 i 176.
**) Tow. Pisma I. str. 104.

„Walka w duchu chrześciańskim“ — walka ta bowiem nie płynie z nienawiści, ale z miłości dla wroga, która jest, zarazem obowiązkiem zwalczania w nim złego. Jestto walka z duchem mongolskim, ciemiężącym Rosyę. Towiański odróżnia go ściśle od ducha rosyjskiego, który — jako słowiański — ma w sobie również „organ zrozumienia głosu Pańskiego“.

I oto tu jest podstawa łączności wszechsłowiańskiej, którą głosił Towiański i jego grono jako myśl Bożą, na Słowiańszczyźnie leżącą. „Wszystkie ludy pokolenia Słowiańskiego“ czytamy w piśmie, które jest właściwie wspólną pracą Mickiewicza i Towiańskiego, a w r. 1844 wysłanem zostało do cara — „obdarzone są skarbem Bożym prostoty. Dno duszy słowiańskiej zachowało się dotąd w czystości. Inne pokolenia, więcej rozwinięte, silniejsze, przodują i oświecają drogę postępu; słowiańskiemu pokoleniu powierzony jest sztandar Jezusa Chrystusa, a sztandar ten niesiony przez ludy-urzędy Słowa powinien z czasem powiewać na całym globie... Wszystkie ludy słowiańskie zacząć winny wielkie swe życie, a życie to ma być tylko rozwinięciem kosztownego ich zarodu, musi być życiem Słowa, praktyką Słowa“.

Niewątpliwie, myśli te przybrały w piśmie samem i w niektórych początkowych wystąpieniach „Koła“ formy nieodpowiednie, które płynęły ze złudzenia chwilowego, że car się poruszy szczeremi i z miłości idącemi słowami, że ustąpi przed niemi „duch mongolski, a duch rosyjski zadrży jak przed świętością“... Ta forma idei wszechsłowiańskiej wywołała nawet pełen wzburzenia (chwilowego zresztą) protest Słowackiego i pułk. Kamieńskiego. Obaj wkrótce przekonali się, że obawy ich były płonne. I Mickiewicz i Towiański zarzucili ten sposób postępowania z Rosyą, a w przedstawionych wyżej poglądach na sprawę narodową widzimy już ostateczny wynik ich rozwoju. Ale to co do formy tylko i stosowania idei. — Sama idea łączności narodów słowiańskich pozostała nietkniętą i jest zresztą koniecznym wynikiem całej idei mesyanicznej, jest niby akordem niezbędnym w pełnej harmonii mesyanizmu. I chyba jasnem jest, że jeśli idea ta nie ma utonąć we frazesie albo skończyć się na literaturze, to musi się oprzeć o mesyaniczną ideę chrześcijań-

skiego zbratania się wszystkich narodów, z pośród których słowiańskie mają szczególną misyę do spełnienia.

I oto widzimy z całego przedstawienia rzeczy, że idea bynajmniej nie odrywa narodu od ziemi. Jakkolwiek z ducha i dla ducha poczęta, żyć musi na ziemi — jak i człowiek, duch, wcielony, schodzi na ziemię, aby dać kształt widomy wnętrznym żywiołom swoim. Zadaniem idei jest wszystko, co ziemskie, przepoić swą treścią. I dlatego wszelkie znaki i formy narodowe dopiero przez ideę nabierają znaczenia głębokiego symbolu — przeszłość i tradycya wstępują w żywy, duchowy związek z współczesnością — „Ojczyzna ta“ mówi Towiański, mając na myśli Ojczyznę, już niby wcielającą pełnię ducha polskiego — „jest jeszcze bardzo szczupła na ziemi, ale jest ona szeroka i rozległa w duchu, bo miliony Polaków, ojców i braci naszych, na tamtym świecie żyjących i służących Chrystusowi pod jedną z nami chorągwią, zespolają się z nami.

I oto w tej wierze, w tem widzeniu i czuciu nierozerwalnego związku między Polską tu i tam, Towiański — oddawszy na grobie Kościuszki owo pismo wyjeżdżającym braciom — tak modlitwę zaniósł do ducha wielkiego Wodza:

„A teraz zwracam się do Ciebie, o Ty Opiekunie, Stróżu i Hetmanie Polski — i zanoszę do Ciebie prośbę w tak ciężkiej potrzebie Polski: prowadź tych sług Chrystusa i żołnierzy Twoich na spełnienie świętej powinności, prowadź ich na walkę, naprzód dla zdobycia w samychże rodakach naszych Ojczyzny chrześciańskiej na złem, jarzmiącem polskiego ducha ich, a po, tem dla zdobycia tejże ojczyzny na widomych narzędziach złego jarzmiących Polskę; dopomagaj tym sługom i żołnierzom spełniać ten naznaczony najwyższą Wolą porządek, ten plan walki za wybawienie narodu, powierzonego opiece i straży Twojej. Ty, który w światłości prawdziwej widzisz pęta krępujące ducha polskiego i niedozwalające mu stać się wolnym i polskim, który też widzisz i drogę najprostszą do serc polskich, przemów do serc tych, przenoś sam i przez usta tych sług i żołnierzy wolę Bożą dla Polski, te prawdy chrześciańskie, w których zamknięte jest wybawienie, wolność i byt naznaczony Polsce. Opiekunie, Stróżu

i Hetmanie nasz! módl się przed tronem Ojca niebieskiego za nami, rodakami Twoimi, w tak ciężkiej potrzebie dziś będącymi, abyśmy rychło zgładzili grzech niewoli wewnętrznej, dobrowolnie przez nas przyjętej i dostąpili miłosierdzia Bożego, któreby zatrzymało dopuszczoną na nas karę męczeńską, a męczeństwo poniesione przyjęło jako zadość uczynienie Sprawiedliwości najwyższej, któreby potem prowadziło nas, wolnych w duchu, po ścieżkach życia naszego i doprowadziło nas do odzyskania Ojczyzny naszej Amen."*)

* * *

Z takiemi to uczuciami i zasadami Towiański wszedł w emigracyę. A była ona wówczas pełna swarów i waśni, rozerwana między partye i komitety i kluby, z których każde głosiło, że w niem zbawienie Ojczyzny. Najlepsze jednostki zniechęcone, opuściły ręce. Doniosła praca Jańskiego, prawie 10 lat przedtem poczęta, przeszła, zostawiwszy tylko ślad w duszach, ale w widomych owocach spaczona. Jedyny z pośród towarzyszy Bogdana, ks. Edward Duński, który miał pełne zaufanie jego i szczerą miłość, kiedy zbliżył się do Towiańskiego poznał w nim jakby następcę myśli Jańskiego i na zawsze z nim się połączył. Zresztą pole do krzewienia takich myśli, jakie przyniósł Towiański, było jak najgorsze. I w tem leży zrozumiała zupełnie przyczyna, że to nieliczne stosunkowo grono, które się koło niego zebrało, odrazu było zmuszone odciąć się od reszty, wyodrębnić i uległo psychologicznej konieczności uznania w Towiańskim jedynego Mistrza. Emigracya rychło ukuła nazwę: „Towiańszczyzna" — „Towiańczycy" — odsądzając nowo powstałe grono od czci i wiary. Jak dzisiaj, tak i wówczas niepamiętano o przestrodze apostolskiej: „Albowiem gdy kto mówi: Jam jest Pawłów, a drugi: Ja Apollów: azażeście nie ludźmi? Cóż tedy jest Apollo? a co Paweł? Słudzy tego, któremuście uwierzyli, a jako każdemu Pan dał"**). Wzajemnie Koło Towiańskiego — w pierwszych czasach — wyłączało i odrzucało wszystkich, którzy z jakichkolwiek powodów nie mogli iść razem z nimi. Tak postąpiono wo-

*) Pisma t. III. str. 126.
**) Św. Pawła I. List do Koryntyan r. 3. 4. 5.

bec Słowackiego — tak potem wobec Mickiewicza. To wszystko jednak psychologicznie — powtarzam zupełnie jest zrozumiałe.

Ale dzisiaj — dzisiaj, kiedy w oddaleniu przenikać możemy czasy minione — jest okropną ślepotą, iść w ślady tych nienawiści i sporów, które są dowodem, że w najlepszych duszach tkwią ludzkie ułomności. Więc kto dziś np. chce ciągnąć dalej walkę dwóch największych geniuszów naszych i w ślepem zacietrzewieniu, nie pojąwszy głębszych jej podstaw, bierze na siebie smutną rolę współczesnych, co to dzielili ich za życia — winien jest prawdziwie zbrodni wobec narodu i wobec ducha poetów naszych*).

I ktoby dziś potępiał Słowackiego lub Mickiewicza za to, że poszli za indywidualnym pędem ducha, rozdzieliwszy się w działaniu z Towiańskim — zaprawdę ślepym jest! Ale nie mniej smutną ślepotą serca dotknięci są, którzy dziś jeszcze dla Towiańskiego mają tylko słowa nienawiści i szyderstwa — i nie są zdolni pojąć głębokiej, wiecznotrwałej doniosłości życia jego i czynów.

Prawdziwie, czas już objąć ramieniem miłości i dziękczynienia całą spuściznę przeszłości naszej — i tem ściągnąć sobie pomoc i natchnienie wszystkich wielkich Opiekunów Ojczyzny naszej. Prawdziwie czas już w najwyższem Słowie ducha polskiego — w mesyaniźmie — postawić obok siebie i Towiańskiego życie święte i moc ducha czystego — i Mickiewicza wielką poezyę czynu, naprawdę podług hasła: „mierz siły na zamiary!“ I Słowackiego z bólu osamotnienia i w upokorzeniu wnętrznem zrodzone życie wzniosłe i głęboką poezyę prawd duchowych. — A opodal — w odosobnieniu od tamtych, a niby dla dania świadectwa ich prawdzie stworzoną myśl „Irydyona“ i „Przedświtu“ — i ewangelicznego natchnienia pełne słowo „Ojcze nasz“...

A ponadtem wszystkiem unosi się — jako ideał dla każdego w narodzie — szczytny głos duszy wieszczej: „Ja i Ojczyzna to jedno“! W nim jest niby przerzucenie całego mesyanizmu w duszę indywidualną, niby apel do duszy — i przeto w jego wcielaniu pełny żywot jednostki w narodzie i narodu w jednostce.

*) Taką jest np. książka p. Tretiaka o Słowackim.

WIGILIA.

(Ciąg dalszy.) - -

IX.

Nie powiadajcie, że dziś cudy głuchną!
Oto jak wówczas z nad pastuszych dołów,
dzisiaj ze serca leci huf aniołów
a w duszach stalą gra wczorajsze próchno!

Ślad stóp anielich kwieci orne ziemie,
w zorzach się oczom wid przejasny słania —
o ty idący mirze wszechkochania!
o duszy wieczny, święty Betleemie!

O serce, Słowa wieczna rodzicielko
duchem brzemienna w przeświętej odnowie!
Oto znojnego niosąc dań połowu

i władztwa czynu, jako monarchowie
i mądrość świata mocą władną wielką
przyjdą, by w tobie się pokłonić Słowu!

* * *

X.

O wy nie mówcie, że dziś cudu niema,
bo Słowo rzecze: laskę trzód pochwycę,
a prawem ryte runą w proch tablice
i wszelkie krwawe spełznie anatema.

Przypodobnione serca będą roli
nietkniętej sochą a okrytej plonem,
a ja po polu chadzać będę onem
jak dobry pasterz owiec dobrej woli.

Ich sercu rzekę zaś: tyś jest opoką,
a na niej stanie kościół mój! i klucze
do moich tajni mocy twej poruczę, —

wiązać i luźnić twej prawości zwierzę —
bądź dostojnością ile chcesz wysoką —
a ciebie piekieł nie przemogą wieże!

*
* *

XI.

Czyście słyszeli? — oto oddać macie
niebieskie niebu a co świeckie, światu.
Trud słodki, dawać! — okrasa bławatu
zbóż pracowitej towarzyszy szacie.

Ale zaklinam na wszech słońc przestworze,
na wszelkie brzemię, które dni nam gniecie —
oddajmy ludziom, co jest ludzkie! Przecie
Bóg ze czcią ludziom oddał sam, co boże!

A co człowieka jest, nie zazna miary,
bo czyliż wiemy, kędy sercem sięgniem?
My się jak liczby powiązane lęgniem

i w nieskończoność tworzym wypadkową!
Cóż nie jest ludzkie? posiąść nieb obszary?
rozpalić bóstwa święty znak nad głową?

* * *

XII.

O jakżeż wszystko sercu rzec mojemu,
w jakie je dziwy śpiew anielski niesie?
Wszakże samemu mi nie dojrzeć, gdzie się
myśl serca kończy, kiedy mknie ku Niemu.

Li płaczę krwawo, że nic nie odkupi
fałszu, iż w marnem On li jest ukryciu,
iż go w przelewnem, rodnem niemasz życiu!
O wiara z trocin, o ci sercem głupi!

Wyciętem będzie drzewo, co nie rodzi!
a ich owoce czyjeż są? zaświata?
Nie żywi nieba ten, co ziemię głodzi!

te dżdże są płodne, które w ziemię biegą
z nadziemskich wyży — a królestwo Jego
nie z tego świata lecz dla tego świata!

*
* *

XIII.

Padajcie krzyżem, ale gdy zamiecie
was ciężkozbrojnem splatać będą kołem,
wtedy okażcie, że nietylko czołem
prochy zamiatać, lecz i stać umiecie!

Wy mi nie mówcie, iż On swoje wierne
pobłogosławił, co cichego serca!
Nie te są ciche, które cios przewierca,
a ciche serce może być rycerne!

Ubodzy duchem! — O zaiste biedni,
ale nie z owych, co błogosławieni!
On błogosławił tym, co kornie wiedni

własnej małości, by bielą westalczą
serca zeń wypić cały blask promieni,
korzą się, ale patrzą weń i walczą!

* * *

XIV.

Wdzięcznem i lekkiem swoje nazwał brzemię,
lecz trud największy włożyć je na bary —
o ku dźwiganiu ziem i nieb filary
na nasze serca spadły w Betleemie!

Radziście dźwignąć? a matkę lub brata
ostawić w domu? swojej włości prawej
niechając jąć się Jego wielkiej sprawy,
która jest węzłem spraw wszelakich świata?

O wy nie idźcie, gdy was ból przewierca,
gdzie lepiej sercu, lecz gdzie lepsze serca,
bo toć jest nowe Jego przykazanie —

I chociaż żmije będą z wielką trwogą
syczeć i ranić, ono spiżem stanie,
a żywe serce li zgnilizny zmogą.

* * *

XV.

O mnie nie wierzcie! wytrącajcie czasze
z rąk mych, wyszydźcie moich słów orędzie! —
Li błagam! głodną niech wam dusza będzie
i wzrok przetarłszy patrzcie w serca wasze!

Pieśń wam rozgore nigdy nie wygrana
dźwięk dzwoniącemu wiążąc w dal ogniwu
i morzem zagra cała moc przypływu
i własna wielkość zegnie wam kolana!

Nic nie powiecie! — zbyt powolna służba
słowa, gdy krew się jako wicher toczy
i zaśniedziałe miażdży w proch puklerze —

lecz krok wasz każdy dobra zwieści wróżba,
jak dni świąteczne wasze będą oczy
a piersi wasze jak strażnicze wieże.

* * *

XVI.

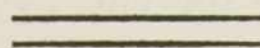
Cisza! czuwajmy! szary mrok się ściele
po stopniach wieków żartych krwią i łzami —
Któż z nas nie płakał? — ale rychło sami
ujrzym, że głębią duszy jest wesele.

Chodźcie! w zadumnym naszych dusz kościele,
kiedy z ołtarzy błysną światła boże,
na własne serce wam przysięgę złożę:
najświętszą prawdą duszy jest wesele!

A w tem weselu żywie nam coś z Boga,
gdy mówił: Stań się! w pośród sił bezbrzeży —
zbluźnię a rzeknę: Wszechmoc nam należy!

moc twórczych uciech żyły nam ocieka!
Bóg stworzył ludzi — stwórzmy wszechczłowieka —
a ku Betleem jemu będzie droga!

Rajmund Scholz.



Z powodu rocznicy styczniowej *).

Wyrobiła się u nas taka nietolerancya w stosunku do przeszłości, że biada temu, kto pewnych w niej przejawów na modłę tych lub owych nie chwali lub nie gani. Jedni zawołają: zdrajca! drudzy wichrzyciel! A jednak przeszłość nie na to jest i nie tego od nas wymaga, abyśmy przed nią czołem bili w niemem uwielbieniu, a mniej jeszcze znieść można, aby na nią w ślepem zacietrzewieniu kamieniem rzucić potępienia. Przeszłość jest na n a u k ę dla przyszłości i n a p r z e s t r o g ę. A kto chce naprawdę głos jej usłyszeć, m i ł o ś ć musi w sobie poczuć dla niej i miłością tylko wyprosić od niej prawdę. I przed takim stanie ona i głosem ducha żywego, który widzi czego nie dojrzą ludzie na ziemi, powie mu: Patrz, abyś pojął, co winniście wziąć odemnie a czego nie wziąć.

Albowiem przeszłość nie może być dla przyszłości wzorem bezwzględnym. I trzebaby zaprawdę zrozpaczeć, gdyby którykolwiek z momentów minionych uznać jako najdoskonalszy, wobec którego potomność ma tylko jedno zadanie: dążyć ciągle do powrócenia go takim, jakim był. Naród wespół z ludzkością całą idzie naprzód w niepowstrzymanym pochodzie, coraz to nowe prawdy wydobywa, ku coraz pełniejszemu dąży wcieleniu swojego słowa. I jak jednostka w rozwoju swoim duchowym jedną właściwie pracę odbywa: ciągłego uświadomiania indywidualności swojej, aż ku ostatecznie pełnemu jej wyrażeniu — tak samo i naród. I naród bowiem jest indywidualnością, a w poznaniu jej i zrealizowaniu cel jego właściwy.

Przeszłość w tej pracy narodu ma znaczenie c z ą s t k o w e g o u ś w i a d o m i e n i a s i ę, cząstkowego wyrazu wnętrznej prawdy swojej. A jak w każdej cząstce musi być w niej obok treści wiecznej, przemijająca, na ów czas tylko prawdziwa — na podkładzie trwałym, nienaruszalnym wzniesiony gmach chwili.

*) Przemówienie w jednem z Kół akademickich w Krakowie dnia 24. stycznia b. r.

Rocznica styczniowa dzieli tę rolę wraz z innymi objawami przeszłości. A jako jeden z najbardziej płomiennych, żywiołowych wybuchów ducha narodowego, ma też najwięcej tej treści wiecznej, na zawsze prawdziwej. Chwile, kiedy w bezpośredniem poczuciu konieczności obrony, duch narodu się zrywa do walki, najjaśniej moc jego ukazują, najgłośniej mówią, do czego on kiedyś zdolnym będzie.

Więc zaprawdę, kto w duchu się nie ukorzy i nie rozgorze żądzą wzięcia w siebie tych wielkich ogni zapału i poświęcenia, które buchały z dusz powstańczych — ani ma prawo zbliżyć się do nich, ani zbliżywszy się nie pojmie. A kto raz na zawsze wraz z powstańcem-poetą egzorcyzmem nie przeżegna duszy swojej: „przez chłodne zwątpienie“! — ten zaprawdę z przeszłości żadnego promienia w przyszłość nie wysnuje. I zaprawdę, kto niezdoła sobie i narodowi powiedzieć — jak wołał manifest powstańczy: „musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem!“ ten nie ma prawa rozważać, czy ta, czy owa droga do tego prowadzi, a rozważania jego będą trupem.

A jeśli kto w głębi duszy nie poczuje wiecznej prawdy słów: „Sprawa ojczyzny, to sprawa przygnębionej ludzkości. Pomnijcie zawsze, żeście chrześcijańscy rycerze...“*) — żali będzie mógł umiłować ideał chrześcijańskiego w narodzie bojownika?... I jeśli kto dziś, w czasie pokoju i rozwagi, nie powtórzy donośnym i śmiałym głosem słów tych za Narodem, wstającym do boju: „A teraz odzywamy się do Ciebie, narodzie Moskiewski: tradycyjnem hasłem naszem jest wolność i braterstwo ludów, dla tego też przebaczamy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy twoi marzną na śniegach Sybiru“ **) — jeśli kto dziś nie powtórzy tych wiel-

---

*) Rząd Narodowy do wojsk Narodowych z 15. grudnia 1863 r.

**) Manifest powstania z dn. 22. stycznia 1863 r. Potem słowa: „Ale, jeżeli w tej stanowczej godzinie... dasz poparcia tyranowi, który nas zabija

kich słów miłości i przebaczenia, azaliż będzie się mógł w chwili stanowczej ustrzedz błędu przeszłości i zdoła być o tyle wyższym, ażeby nie rzucić temu samemu narodowi przekleństwa na wieki? I czyliż wolno jest tym, którzy nie mają w sobie wielkiego hasła braterstwa wszystkich w narodzie i którzy dziś jeszcze nie mają na sztandarze swoim miejsca obok Orła dla Pogoni i Archanioła, jako symbolów dwóch wolnych, bratnich narodów, czyliż więc wolno tym, co pierwszych wyrazów przeszłości styczniowej jeszcze odczytać nie zdołali, spodziewać się, że poprowadzą naród dalej i lepiej?...

Zaprawdę, kto w ten sposób nie uczci i nie ukocha chwili boju styczniowego, ten nie uczuje, że stać nas na więcej jeszcze, żeśmy w przeszłości całej mocy swojej nie objawili. I dlatego klęski nasze, choć bolesne, nie mogą być źródłem rozpaczy. Jeszcze bowiem czeka nas chwila, „kiedy prawdziwie Polacy powstaną“... Czy ona będzie taką, czy inną, nie nam to przewidywać. Ale jak błędem jest całą siłę narodu skierować ku jednemu tylko sposobowi walki — zamiast ją pchnąć całą wogóle ku walce — tak błędem jest niemniej o jakimkolwiek środku walki nie pamiętać, lekceważyć go, jeśli tylko jest otwartym i wolnym. Naród jest siłą duchową, a duch w karby zamknąć się nie da, ani słowami określić sie nie da i nie wiadomo nigdy, „co wybierze“... Więc niechaj będzie dróg jak najwięcej, byle było w narodzie życie i duch podniosły — byle śmierć i fałsz wygnać z pośród siebie! Niechaj, kto żyw, poczuje, że dziś już grzechem jest nie mówić, kiedy się ma co do powiedzenia — jako wołają prorocy: „Vae mihi, quia tacui!...“ Niechaj będzie ruch ciągły i walka szczera, byle nad wszystkiem była Myśl, Idea, owa (jak Słowacki mówi) „wielka duchowa osoba“, która obraca wszystko „w krew jedną i w siłę narodu“.

---

a depcze po tobie, biada Ci, bo w obliczu Boga i świata całego, przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli...“

Do Kijowa.

„Będziecie ku pośmiechu i urąganiu
„nieprzyjaciołom swoim.
„Język swój... i naród swój pogubicie...
„...i w obcy się naród, który was niena-
„widzi, obrócicie“...
(X. Piotr Skarga, Kaz. Sejm.)

(Dokończenie).

Niedziela, wieczór. Przy elegancko zastawionej herbacie siedziało kilkanaście osób, pań i panów. Towarzystwo wyłącznie polskie, język też wyłącznie polski, lecz o akcencie twardym, świadczący, iż obcowanie codzienne z obczyzną nikomu nie przechodzi bezkarnie. Rozmowa dotyka mesyanizmu, zabiera głos człowiek starszy, oczytany, samodzielnie myślący, mówi czysto i płynnie.

„Jednakowe przyczyny, jednakowe powodują skutki, a w jednakowych warunkach jednakowe wytwarzają się zjawiska. Mesyanizm... Nasz mesyanizm nie jest bynajmniej zjawiskiem nowem. Toż samo był już u żydów, gdy ich państwo upadło i naród cały uprowadzono do niewoli. Wówczas to powstała żydowska literatura mesyanistyczna, mieszcząca przyjście męża, który zwycięży wszystkich wrogów, a naród uciśniony na szczycie potęgi i chwały postawi.

To też i u nas, kiedy państwo runęło, kiedy po upadku powstania rozwiały się nadzieje rychłego podźwignięcia się z niedoli, wytryska obficie literatura mesyanistyczna. Przywiązywanie do niej jakiegoś znaczenia realnego, pozytywnego jest niczem innem, tylko rozmyślnem łudzeniem się, bawieniem się mrzonkami. Nie przeczę, mogą to być rzeczy bardzo szlachetne i piękne; ale zawsze to musi pozostać i pozostanie fantazyą, poezyą. Życie rzeczywiste idzie swoją koleją“...

„No, tak!“ przytwierdza inny: „nikt nie przeczy, że poezya, sztuka, piękno odgrywają nader ważną rolę w społeczeństwie... Wszakże one to chwilowo bodaj wznoszą człowieka ponad poziom

trosk i spraw powszednich, zmuszają go poprostu do zapomnienia o nich, odrywają od smutnej rzeczywistości".

I niemasz nikogo, kto by powiedział, że cała analogia pomiędzy mesyanizmem naszym a żydowskim sprowadza się do nazwy jedynie; że nasz mesyanizm jest starszym od epoki upadku. Nikt nie ma odwagi powiedzieć, że gdyby cała wartość sztuki i poezyi polegała jedynie na „odrywaniu" człowieka od rzeczywistości, obie one byłyby od dawien dawna wyparte z życia przez wódkę, morfinę, haszysz. Ta bowiem trójca taniej kosztuje i skuteczniej działa — „odrywa" od „smutnej rzeczywistości".

Rozmowa przechodzi na inny temat — ustępstwa rządu względem Polaków: pozwolenie na wykładanie religii w szkołach ludowych Królestwa w języku polskim. Wszyscy prawie znajdują, że można nieco pofolgować sobie w nadziejach ugodowego załatwienia polsko-rosyjskich stosunków. Z rozmów widać, iż nikt ostatecznie nie przedstawia sobie, jak się te stosunki mają ułożyć, i że wszyscy prawie są zahypnotyzowani potęgą wroga.

Zahypnotyzowani? Może jednak i nie zupełnie. Inaczej skądby się była wzięła ta chęć szerzenia myśli zdrowej, narodowej tam, gdzie się ona dotąd nie budziła nawet? Skąd ta gotowość do ofiar, do poświęcenia pracy i grosza?

I tutaj więc, jak zdaje się zresztą wszędzie i zawsze, czyny nasze z serca, bodaj z instynktu płynące, lepsze są od słów naszych i myśli wyrozumowanych z uwzględnieniem wszystkich warunków i wymogów „trzeźwej" rzeczywistości...

Są nareszcie tutaj jednostki niesłychanej pracy i poświęcenia się. Są tacy, co po kilkanaście lat po cichu, bez słowa skargi, bez chwili ustanku pracują nad sprawą Bożą. Nie przepadnie ich praca, choć może imiona ich pozostaną szczupłemu jeno gronku znane. Wszelako przyjdzie czas, kiedy tysiące i krocie tysięcy będą im, tym pracownikom nieznanym błogosławić. Bo Polska im, tym cichym dużo będzie miała do zawdzięczenia. Oni, osamotnieni, nieznani, ubodzy nie zwątpili jednak w przyszłość, nie zachwiali się w wierze w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości; oni to wszakże, podczas gdy inni w sofizmatach i rezygnacyi

szukali spokoju, — oni podjęli się niesłychanego trudu — odszukania „pogubionego“ języka i narodu.

Uczucie rzewnej radości ogarnia człowieka, gdy usłyszy drobną dziatwę pp. Balickich, Sokołowskich, Reutów — tych samych co to pomiędzy sobą po rosyjsku jeno rozmawiają, mówiącą językiem pradziadów, gdy widzi jak poznaje i kocha Polskę. W serce wstępuje otucha, a w pamięci same przez się powstają słowa tego samego proroka, którego wieszczby natchnione tak strasznie się spełniły:

„Ożywi nas i po dwóch dniach i trzeciego dnia wzbudzi nas“.

Po pogrzebie.

Przeszłość wyciągnęła ku nam rękę krwawą...

I oto dzień pogrzebu Bronisława Szwarcego, ostatniego członka Rządu Narodowego, mógł rozpalić się w dzień wielkiej modlitwy, a takim się nie stał...

Zdawało się, że nadchodzi znów okres manifestacyi, przed 63 rokiem, potężnych w swej żywiołowej powadze, świętych w czystości, o treści ducha pełnej.

Prawdziwy zapał garstki choćby, mógłby jedną chwilą zelektryzować ogół, przebudzić, zrobić więcej niż lata pracy nad „uświadomieniem“.

Ścisły, szablonowy program obchodu był dla prawdziwego zapału zaporą. Mowy zimne brzmiały fałszywą nutą wyuczonych frazesów, lub jak zgrzyt boleśnie targały duszę. Ci, którzy prawdziwie mogli w chwili obecnej czuć, lud i młodzież — nie odezwali się.

Modlić się naród zapomniał — chciał pieśnią uderzyć w niebo, — a odezwał się akord fałszywy.

Ale to było dopiero pierwsze targnięcie dusz, pierwszy Boga głos... wielu śpi i nie usłyszało go.

Nadejdzie jednak więcej chwil takich i Bóg naród w akord zestroi.

Fragmenty z zapisków Kazimierza Odrzywolskiego.

Rok 1893.

14. stycznia.

Dostaliśmy telegram z Düsseldorfu wzywający nas do Pesztu. SS. u Marchwickiego ua objedzie. — Narzekał bardzo, że musiał pójść, bo inaczej wyglądałoby na demonstracyę przeciw Badenim. — Opowiadał, że dlatego, że się podpisał na wniosku za uzupełnieniem V-tej kuryi w sejmie 6 posłów z klubu lewicy wystąpiło... Natomiast zyskał SS. zaufanie posłów ludowych, tak że jemu oddali swoje projekta do adresu tronowego. Rusini także zbliżają się do SS., odbywają z nim narady, tylko — jak powiada — niema z kim mówlć z ich strony, bo strasznie się między sobą nienawidzą, oskarżając się wzajemnie o nieszczerość, o zdradę.

15. stycznia.

W biurze nic nowego, czekamy tylko na rezultaty ze Schodnicy, ale dotąd tylko nadzieje. — Rano był u nas w kancelaryi dyrektor Zima. Sam starowina przynosi korespondencye z Warszawy. Trzeba sobie powiedzieć, że nie ma ludzi, ktorzyby pojmowali i mierzyli sprawę wyższą, ideę pracy nad krajem, poświęcenie się dla ogółu, inaczej jak wysokością własnego zysku. — Dotąd znam w Galicyi dwóch ludzi stojących na wybitnych stanowiskach SS. i starego Zimę.

Człowiek ten przeszedł wiele w życiu. Był w kampanii węgierskiej, w powstaniu 63 roku, tułał się po Anglii, przechodząc wszystkie stopnie od robotnika do dyrektora różnych zakładów przemysłowych. Wreszcie sprowadzony do kraju dla objęcia Kasy Oszczędności, podniósł ją do szczytu rozwoju z 3 czy 5 milionów do 32 milionów wkładek. — Ale to byłaby najmniejsza zasługa, są większe, oparte na gorącej miłości kraju, na pracy i poświęceniu dla narodu. — Starzec ten poświęca życie, spokój. Nieraz chory nie opnszcza posterunku, nie zna co to spoczynek, nie wie co wytchnienie. Zawsze i wszędzie gotów nieść pomoc biednym, opiekować się sierotami, nieść radę i pociechę tam, gdzie wszyscy odstępują. — Jadąc raz z S. S. rozmawialiśmy z nim o Zimie. — Powiada, że Ojczyzna nasza zawsze miała to

szczęście, mieć przynajmniej pod jednym z trzech zaborów — jeżeli nie rządy, gdzieby się idea narodowa rozwijać mogła, to przynajmniej ludzi, którzyby tę ideę podtrzymywać mogli. Były to nitki, włoski, ale były.

Takim włoskiem jest Zima dyrektor, na nim wisi sprawa postępu, odrodzenia kraju na polu ekonomicznem, bo on jeden wbrew statutom wspiera cały handel i przemysł, bez niego nicby u nas nie było, bo nawet początek rozwoju wcaleby nie istniał.

S. S. uważa za główną wadę naszą polską bierność i obojętność na sprawy nawet najważniejsze. Obojętność nie w słowie, ale obojętność w czynie. Uważa on, że szatan zatraciciel nie ma u nas tak, jak gdzieindziej rogów i pazurów, nie jest on przesiąknięty zgnilizną moralną, ale przybiera postać niewinną sympatycznego niedołęgi lub lekkoducha, bo czemże był n. p. taki Radziwiłł Panie Kochanku? Czasem objawia się jakaś chęć pracy dla kraju lub społeczeństwa, ale to wszystko ma cechę dzieciństwa. Ilustracyą takiej pracy dziecinnej jest cały dwór w Puławach generała ziem podolskich Czartoryskiego. Była tam i dbałość o kształcenie, o wychowanie, chęć zaszczepienia ducha rycerskiego. Mówiono wiele o miłości Ojczyzny, grywano teatra, starano się o czystość języka, a jednak to wszystko, w czasach Kościuszki, w czasach Pawła, Katarzyny, to znaczy największego ucisku i klęsk narodowych, było przecież, tylko niesłychanie dziecinną zabawą. Generał ziem podolskich miał do 6 milionów rocznego dochodu. a czyż czuł potrzebę poświęcenia majątku dla narodowej sprawy? — Tak, on poświęcał w części, ale to wszystko musiało być połączone z uprzyjemnieniem życia i zabawą. Czyż wtedy Polak powinien otaczać się takim niesłychanym zbytkiem, jeździć coś w 150 karet do Tenczyna w odwiedziny, czy powinien utrzymywać dwór równający się wersalskiemu? Czy raczej nie powinien posypać głowy popiołem i myśl całą i majątek zwrócić do ratunku Ojczyzny!

Jakże blizko jesteśmy dzisiaj tego dzieciństwa. Sejmy dzisiejsze nie baczą na postęp ościennych krajów. Popierają n. p.

przemysł krajowy, uchwaleniem kwoty kilkuset złr. Czyż nie jest to ironia!?

Na te pesymistyczne zapatrywania SS. gdyśmy podnieśli, że przecież widać, iż nędza Galicyi i Piast zrobiły w kraju wrażenie, odpowiedział porywczo, że wcale nie widzi tego, bo n. p. S. w komisyi szkolnej powoływał się na Nędzę, przytaczając cyfry statystyczne szkół naszych w porównaniu z innemi prowincyami i żądał, ażeby (niby w moją myśl!!!) szturmować do rządu o zapomogi.

A czyż z całej Nędzy, ze wszystkich moich prac nie widać, że ja żądam od narodu własnych wysiłków i własnej pomocy, a potępiam politykę żebraniny! Że całe społeczeństwo podzieliłem na dwa obozy: konserwatystów, którzy proszą jałmużny i postępowych, którzy ich krytykują, że nie dosyć wyżebrali.— Pomimo słuszności tych uwag SS. widzimy, że i on sam odczuwa jakiś dziwny postęp w narodzie, bo chociaż nieraz brak opozycyi poczytuje za obojętność, lub brak odwagi w obronie przekonań, ale mówi to zwykle w chwilach pewnego przygnębienia z powodu żółwiego postępu, tutaj, gdzieby raczej wszystkich sił dołożyć trzeba, żeby kraj wyrwać z zastoju, popchnąć naprzód i wyprzedzić inne narody.

Juliusz Słowacki

w ostatniej epoce życia i twórczości.

Napisał

Andrzej Baumfeld.

Kilka tylko rysów, ku syntezie dążących, rzuciłem w pracy niniejszej. Oświetlenie jedności duchowej, obejmującej — w ostatniej epoce — życie i twórczość Słowackiego, było właściwym celem moim. Gdyby mi się udało przełamać ciemności, któremi większość krytyków doby dzisiejszej omotała ten okres ducha wielkiego wieszcza — cel byłby osiągnięty. Uprzystępnienie całej tej epoki poezyi naszej, całej tej forsy pochodu naszego du-

chowego, jest pracą, która starczy na długi czas. Do tego chciałem rękę przyłożyć.

Pisał Słowacki do matki w jednym z ostatnich listów te słowa: „Bo Ty wiesz, że pomimo słów listu jest jakaś w liście zawarta muzyka, która tajemnice nasze odkrywa“. Jest w tem prawda głęboka nietylko dla listów. I kto chce pełnie ująć wnętrzną treść ducha poety, zarysowaną w tej pracy, musi wyrobić sobie słuch na tę tajemną muzykę, która jest „pomimo słów“...

* * *

„Bo mądrość ciała jest śmierć,
a mądrość ducha żywot i pokój“.
„Bo którzykolwiek Duchem Bożym rządzeni są, ci są synami Bożymi“.
(*Święty Paweł do Rzymian VIII 6. 14.*)

.....O, jakże dziwnym jest żywot ducha na ziemi! Oto niby ukryty w głębi człowieczej istoty, męczy się w odmętach ciemności, jęczy pod ciężarem głazów, a człowiek w bezlitosnej ślepocie uciska go i gnębi bezustannie. I tak się staje człowiek katem swego ducha... I biada tym, którzy o tem nie wiedzą i nigdy uszu ku tym niby podziemnym jękom ducha swego nie nakłonią. Albowiem przejść mogą życie widome, nie zatrzymawszy się, lekkim krokiem, a będzie ono jakoby nie było. I biada tym, którzy posłyszawszy wołanie ducha swego, nie pytają go, o co woła i czasu nie mają na radzenie o ratunku jego. Albowiem żyć będą odtąd w wiecznej męce ognia piekielnego i duch ich stawać będzie przed nimi, jako mara krwawa... i zaprawdę z tego więzienia nie wyjdą, aż póki ostatniego szelążka nie oddadzą.

A duch ludzki jest miłosierny. I nieraz wpośród mroków wewnętrznego ścierania się żywiołów wykrzesa błyskawicę i w jej świetle twarz swoją pokaże i w błyskaniu zagrzmi: Oto jestem, który jestem!.. Błogosławieni, którzy go ujrzą i usłyszą i pójdą za nim i nie spoczną, aż mu pomogą, aby był, — był widomie, jak jest zawsze w ukryciu, był wolny, jak jest, chociaż skowany... Błogosławieni, którzy odtąd pójdą z czołem pogodnem na tę „mękę mąk“, to „oczyszczanie wewnętrznego człowieka“, — pójdą, jak poszedł poeta:

„W drogę, choćby niepowrotną,
„Ale prostą — naprzód twarzą
„Z piersią czystą choć samotną,
„Choć ją sztyletami rażą“... [1])

Błogosławieni, którzy — jak on — po bolesnem zgłębianiu prawdy do radosnego dojdą poznania, iż „wszystko przez ducha i dla ducha, a nic dla celu cielesnego nie istnieje“ [2]).

Kiedy się głębiej przenika życie Słowackiego, prawdziwie niezmierzona otchłań tajemnic ducha otwiera się przed nami. Albowiem zanim doszedł do owego błogosławionego końca, naprawdę życie miał okropne — życie, do którego „trudno mu było przywyknąć i nie przeklinać“... Były to nieraz jakby „lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię“...

Była to ciężka, krwawa walka w duchu i z duchem, z duchem, który coraz to wyraźniej dawał się w głębi jego słyszeć, coraz boleśniej rozpierał się w niej i wyprężał ramiona do kształtu widomego. Poeta przeczuwał chwilę narodzin i mówiąc (w liście do matki) o owych latach, co to są latami „dążenia, gorączki, podróży, upragnień, zachceń, bolu, złe, słowem i bezsenne lata“ dodaje: „Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszem... jest coś w sercu, co nas o tem ostrzega“... Jednakże wtedy nie pojmował dokładnie (choć chwila była już bliską, poeta bowiem pisał to w drugiej połowie 41 roku), nie zdawał sobie jeszcze jasno sprawy, jaka to będzie przemiana: „może to zmiana jaka w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobrą ona jest i mnie teraz weselej.“

Cały ten okres, bezpośrednio wielką przemianę poprzedzający, choć pełen jeszcze wahań i niemocy, jednakże chwilami już jakieś świeże siły przejawia, jakieś pełniejsze ożywienie ducha — czuć już niby gotowanie się w bliską, radosną a nieznaną drogę.

Już w podróży do Ziemi Świętej skrzesał był w sobie nowe

---

[1]) Do Autora Trzech Psalmów.

[2]) List do J. N. Rembowskiego.

światło. Noc spędzona na grobie Chrystusa, powaga i podniosły spokój wielkiej myśli, która tam żywa przed nim stawała, tchnęły weń i odrodziły uczucia, które odtąd nigdy nie zagasły zupełnie. Wprawdzie potem jeszcze długo dość obracał się w „świecie glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg", — ale było to już tylko zewnętrzne, było to poprostu brakiem sposobności dla przejawienia się tego ducha, który zwolna na pół nieświadomie w nim się wytwarzał i czekał tylko iskry zapalnej, aby jasnym buchnąć płomieniem. Później już znacznie, nazajutrz po świętym dniu pojednania się z Bogiem i ludźmi, Słowacki mówił Goszczyńskiemu, że „stan jego w dniu wczorajszym był taki sam, jak w podróży po ziemi Świętej, a osobliwie w Jerozolimie". Tam więc nastąpiło owo błyśnięcie ducha poety, który mu powiedział, jakim będzie. I jeżeli — zewnętrznie tylko — poeta jakby lekceważył przez pewien czas potem tę dojrzaną błyskawicę uświadomienia wnętrznego, to też cierpiał przez to szczególnie i w tem cierpieniu, w zohydzeniu sobie ostatecznem życia pod poziomem ducha, duch niby naglił go do wyzwolenia... [1])

„...Żeby opisać wszystkie te szczegółowe wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcąc ziemię Palestyńską, trzebaby na to dzieła"... — pisze Słowacki do matki. Dzieła nie stworzył, ale wyraził więcej, niżby mógł w dziele całem w tym cudownym urywku:

„I porzuciwszy drogę światowych omamień
„I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!
„Tu rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
„Pod którym trzy dni martwy leżałeś o Chryste!
„Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
„Ani przeciwko ludziom, ani przeciw Bogu"...

Albowiem była to skarga ducha przeciw człowiekowi... — trzeba było dotknięcia wielkiej mocy duchowej, trzeba

[1]) Warto zauważyć, że nasza krytyka literacka zupełnie nie pojmuje głębokiego znaczenia podróży do Ziemi Świętej w rozwoju duchowym poety. Wyjątek stanowi Artur Górski w małym artykuliku o „Listach Słowackiego" („Życie" 1902).

było boskiego tchnienia prostaczka, ażeby rozgrzeszyć to serce czyste, co się nie mogło w całej czystości swojej przejawić, ażeby pogodzić nareszcie ducha z człowiekiem. Takie znaczenie miało dla Słowackiego zetknięcie się z Towiańskim. Jego słowami niby wprowadzony w głąb siebie, dojrzał nareszcie wnętrznej prawdy swojej i rozradował się w duchu. „Poznałem, iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych, jako aktorowie grający każdy swoją sztukę smutną albo wesołą, ale dla chwały Bożej jesteśmy; dla pracy prostej, a czystej i dla wywiązania ducha naszego i dla spełnienia tego, co mu jest polecono". [1])

On, do niedawna — jako Anhelli — w cichem, a biernem cierpieniu pogrążony, ani się pragnący obudzić na wielki głos zmartwychwstania: Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! to jest czas żywota dla ludzi silnych — zrywa się teraz do życia, do czynu:

„Idea wiary nowo rozwinięta
„W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie,
„Cała gotowa do czynu i święta.
„Więc nie daremnie, o! nie daremnie
„Snu śmiertelnego porzuciłem łoże —
„Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!"

Nigdy zaprawdę ta dusza bolesna, w zetknięciu się ze światem kurcząca się mimoza — nie dobyła z siebie takich tonów pogodnej, słonecznej siły, jak w tych strofach, rzuconych właśnie w pierwszej chwili przełomu. Teraz dopiero spełnia się owo wezwanie, które poeta odebrał od piramid, kiedy w rozmowie z niemi pyta:

„Piramidy czy została
„Jeszcze jaka trumna głucha
„Gdziebym złożył mego ducha
„Ażby Polska zmartwychwstała?"

Wezwanie, będące znowu dowodem, jak w zetknięciu się z pomnikami wiecznego ducha, czuł budzące się w sobie nowe życie:

[1]) Listy do Matki t. II. (wyd. Meyeta).

„Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
„Bo twój naród nieśmiertelny,
„My umarłych tylko znamy,
„A dla ducha trumn nie mamy“ [1]).

I otóż teraz dopiero poczuł naprawdę nieśmiertelność ducha swego i zmartwychwstawszy poczuł moc wskrzeszenia:

„I będę wierny, jak te, które wskrzeszę
„I będę mocny, jak to, co zdobędę
„I będę szczęsny, jak to, co pocieszę
„I będę stworzon, jak rzecz, którą stworzę —
„Tak mi dopomóż Chryste Panie, Boże!“

Raz może przedtem poeta tak bezpośrednio mówił z Bogiem. — Ale wtedy, płynąc o zachodzie słońca na morzu, skarżył się cichem, rozpacznem westchnieniem: „Smutno mi Boże!“... A oto teraz w tem nowem życiu ducha, ma jedną tylko prośbę: „Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!“ A zaklęcie to, kończące każdą z tych przysiąg, jakie dusza jego — u progu nowego życia — składa sobie i ludziom i Bogu, — daje dziwną moc tym słowom, słyszy się za każdym razem niby szczęknięcie orężem, na znak, że bronić będzie do ostatniej kropli krwi:

„Z pokorą teraz padam na kolana,
„Abym wstał silnym Boga robotnikiem
„Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana
„Mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem
„Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże —
„Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!“ [2])

I od tej chwili staje się naprawdę życie poety radosnym trudem apostolskim. Prawdziwie, wydaje się nieraz, że inny człowiek przed nami stawa. A jednak był to ten sam Słowacki, a raczej prawdziwy Słowacki. I jeśliby trzeba komu dowodu, to najlepszy jest w tem, że poeta odtąd ani na chwilę nie ustaje w dążeniu do jaknajczystszego wcielenia swego ideału i dopro-

[1]) Rozmowa z Piramidami. — Pisma pośm. t. I.
[2]) Wiersz ten drukowany był w paryskim „Dzienniku narodowym“ w 42 r. Przedrukowany w Dziełach wyd. Bfegeleisena.

wadza życie swoje na szczebel świątobliwości — (podług świadectwa Felińskiego).

Dziwną była tragedya jego dotychczasowego życia! Wiecznie pragnący miłości ludzkiej, oparcia, jakie daje poczucie bliskiej duszy — był sam zawsze, opuszczony, nawet przez najbliższych nie zawsze pojęty. Zadaleko wybiegał duchem poza kresy powszechnego państwa, za gorąco i za bezwzględnie tonął w swojem widzeniu duchowem, aby mógł się z kim trwale połączyć. Pogardzał ludźmi, czując w nich ziemskość i wystudzenie ognia duchowego a nie miał jeszcze w sobie świętej miłości, zstępującej do ludzi, aby ich podnieść... I niewątpliwie, wiele jego ułomności ludzkich z czasów dawniejszych da się tym dziwnym stosunkiem wytłumaczyć i poniekąd usprawiedliwić. Dusza niezmiernie wrażliwa, zwolna oskorupiała się niechęcią i goryczą, wylewała się nieraz w gryzącej, cierpkiej ironii; nikogo może boleśniej przytem nie raniła niż samego siebie. Kiedy poeta w „Beniowskim“ rozsiewał na wszystkie strony ostre pociski, sam nad tem bolał i czuł w tem obniżenie się ducha: „Ostatni maleńki zły jest“ — pisze do matki — „ale był potrzebny, był konieczny“... a dodając, że teraz właśnie uchylili przed nim czoła ci, „którzy nigdy przedtem nie oddali mu pokłonu“ mówi bardzo wyraźnie — dla tych, którzy chcą słyszeć: „a mnie smutno, żem zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, że jestem na niej“.

Listy do Matki są najczystszem odbiciem jego duszy — są najjaśniejszem świadectwem, jaką ta dusza musiała być wobec tych, w których czuł dla siebie miłość prawdziwą — jak obcą i niby narzuconą była jej ta chłodna wobec ludzi powaga, która się chwilami wydawała prawie jedynie odpowiednim do nich stosunkiem. „Wierz mi, droga“ — pisze przy jakiejś sposobności — „że to daleko gorzej być tak, jak ja, który przez tyle lat nie mogłem się dla nikogo poświęcić i po nikim prawdziwie płakać!“...

Ale jak bardzo zresztą cierpiał nad tem osamotnieniem, widać jasno z tej wielkiej radości, której się oddaje teraz, znalazłszy nareszcie ludzi, we wspólnej łączących się idei. „Otoczył mię krąg

ludzi kochających" — pisze do Matki — „kosztuję nowego życia duszy, zdaje się, że błogosławieństwo Boże jest nademną". A kiedy wkrótce, (jak zobaczymy) rzeczywistość nie odpowiedziała tym pierwszym wybuchom radości i kiedy Słowacki na zebraniu „Koła" wyrzuca braciom, w czem — zdaniem jego — przewinili, to i wówczas z otwartością gorącą, jaką dotąd chyba tylko wobec Matki okazywał, powiada: „wszystko to nie jest nauką ale prośbą do was, albowiem chciałbym w was widzieć prawdziwych braci i uwolnić się od tej samotności ducha, która mi oddawna ciężyła. Widząc was oczyma mojemi krzyknąłem: otóż są ludzie! i ten krzyk, wierzcie mi był najognistszą modlitwą dziękczynienia".

Tak bowiem odtąd Słowacki jeden cel sobie wytknął w stosunkach z ludźmi: „...ja do każdego zbliżam się niby do brata..." (pisze w tym czasie), „z chęcią, aby serce zapełnić, rozum zamienić w mądrość, wskrzesić go niby.. i dać mu pęd ku wielkim celom żywota... a siłę w nim zrodzić, rodząc w nim uczucie nieśmiertelności". I oto ta niby ogniem buchająca miłość i żądza obudzenia ducha odbiła się, jak o mur, o formę organizacyi „Koła", o to trzymanie się litery, które wnet wkradło się w nieprzygotowane dość szeregi nowych apostołów chrześcijaństwa.

Grono utworzone z tych, którzy poruszeni słowem Towiańskiego, zapragnęli wspólnie pracować, musiało się naturalnie w większości swojej składać z ludzi, duchowo bardzo jeszcze nie wyrobionych, choć i pełnych najlepszej chęci. Pobudzeni do nieznanego im dotąd życia, nie umieli wprost rady sobie dać z niezupełnie pojętem wezwaniem i niejednokrotnie dawne nawyknienia, dawne przywary przebijały się przez nową formę. Tak było niegdyś z „Domkiem Jańskiego" na podobnych osnutym podstawach, tak musiało być i teraz.

Słowacki nie miał jeszcze w tych pierwszych chwilach przeobrażenia się swego późniejszej wyrozumiałości — a bolało go nadewszystko — jego, apostoła wolności ducha — krępowanie formami. Oto jak mówi we wspomnianem już przemówieniu do „Koła"; „Co do ducha waszego, bracia moi, uznaję, że ten czysty jest i najpiękniejszy na ziemi. Ale wy go już przyprowadzacie

do form, już obumiera — już stało się u was rozkazem: przyjść w duchu — mówić z ducha — uderzyć kogo duchem, być w wielkiem podniesieniu, czuciu — gdy tymczasem ja, który znam, choć niedoskonale, stan natchnienia i działania na drugich ludzi, będących w natchnieniu nie słyszałem nigdy w kole naszem tego głosu“...[1]).

Jest w tem zapewne objaw zawodu, więcej może z przyczyny bezwzględnego ideału w duchu poety, niż z winy samych ludzi doznanego. Ale jest w tem nadto prawdziwe światło dla stosunku Słowackiego do „Koła“, w tej jego niezdolności poddawania się formom, pociągającej za sobą konieczność pracy odrębnej. W ten też sposób pojąć należy owo „veto z 'ducha“, założone przez niego przeciw manifestowi, który „Koło“ w 1844 r wystosowało do cara. „Nie oskarżamy przewodników „Koła“ o złą wolę“ — pisze w proteście swoim. — I to odrazu daje nam pojąć właściwy charakter tego zerwania, tak fałszywie zwykle przedstawiany. Słowacki wierzył zawsze w czystość ducha sprawy — ale nie godził się z jej formami, ze sposobem w jaki się naówczas przejawiała. Zarzucał, że jest to prowadzenie „ku tym idealnym, absolutnym celom, na których wszelka różnica, czasem i charakterem między narodami położona ginie“, słowem, że to jest nie oglądanie się na realne, istotne warunki. Przyszłość oddała mu słuszność — i Mickiewlcz i Towiański zaniechali tego środka działania wobec Rosyi, która tonu miłości i ukorzenia pojąć nie mogła.

Dla Słowackiego był ten protest (jak wyznawał) „najboleśniejszym aktem życia“ tak głęboko pragnął iść razem, a tak nie mógł tego wobec sumienia swego uczynić. I kiedy — wcześniej jeszcze — oznajmia w liście bratu Kołyszce, że na zebrania „Koła“ chodzić nie będzie, dodaje: „Z tobą jak z innymi braćmi szczegółowo, widywać się i żyć pragnę, zwłaszcza z tymi, którzy w sumieniu mię osądzą, a nie potępią“ — tak bardzo czuł potrzebę dusz, wobec których mógłby się pełnie i swobodnie przejawić. I dlatego, ażeby to odczuć, zatrzymałem się nieco

[1]) Pisma pośmiertne wyd. Biegeleisena — Przedmowa.

dłużej nad stosunkiem jego do „Koła“. Później już, kilka miesięcy przed śmiercią donosząc Matce o licznej korespondencyi swojej pisze: „...listy od ludzi już podobnych sobie wnętrznościami ducha Bożego są prawdziwie zlewaniem się światłości i spromieniają się w duchu. O, jak dobrze módz odetchnąć odetchnieniami ludzi porozrzucanych po ziemi, którzy w westchnieniu o jedno proszą: aby duch prawdy i miłości wywiódł wszystkich na jedną wysokość i spodobnił sobie różne skarykaturowane ludzi natury i miłość wzajemną rzeczą podobną, a nawet konieczną uczynił“...

I prawdziwie, cudownem jest widzieć jak szczera, głęboka miłość, nigdy nie zostaje samotną, jak magnetyzm czarem przyciąga dusze i skupia przy sobie. Słowacki do końca życia miał obok siebie ludzi, co wsłuchiwali się w słowo jego ducha, brali promienie z jego światła wnętrznego — ludzi, co (jak Feliński pisze o sobie) „kochali go więcej jak brata, gdyż mu więcej winni byli“.

Stosunki z gronem zebranem koło Towiańskiego, zbliżyły go przedewszystkiem do Mickiewicza. W pierwszych zaraz dniach przyłączenia się do „Koła“, w czasie przygotowań do wspólnej spowiedzi „Słowacki pierwszy“ (jak zapisuje Goszczyński) „przystąpił do Adama i przeprosił go, poczem przeprosili się wszyscy...“ Był to jeden z najgłębszych powodów radości dla Juljusza, to pogodzenie się „z wielkim swoim przeciwnikiem z którym go nieraz różnili ludzie“... I odtąd właściwie nigdy się nie rozeszli. Nie pracowali potem razem, kiedy Słowacki opuścił „Koło“ — ale też trwała wspólna praca dla dusz tak różnych charakterem i sposobem przejawienia się, a tak wybitnych indywidualnością, była niepodobną — a nawet mogłaby być szkodliwą. I tylko poczucie wspólności duchowej w pracy zresztą odrębnej pojednało ich ducha i połączyło nazawsze. Jeszcze w r. 1849 Słowacki zapisuje w dzienniku: „Mickiewicz ciągle reputacyę rozumnego człowieka na ofiarę rzuca, bo mu Bóg milszy niż reputacya“ — zapisuje to w czasie, kiedy wielu dawniejszych towarzyszy Adama nie mogło zrozumieć doniosłości jego czynu.

Wogóle stosunek obu wieszczów w głębszem spojrzeniu zu-

pełnie się inaczej przedstawia, niż się zwyczajnie przyjmuje. Słowacki — niewątpliwie — miał zawsze pragnienie doścignąć Mickiewicza, ale to pragnienie rodziło się właśnie z wielkiego mniemania o poezyi Adama, z poczucia, że w majestatycznej harmonii tego ducha jest moc wielka, której jemu brak było. Widok narodu, skupiającego się w uwielbieniu około osoby i poezyi Mickiewicza, dla niego, który czuł w sobie niemniejszą dla narodu miłość, niemniejsze pragnienie by go „dźwignąć“, uszczęśliwić“ był najszlachetniejszem, najwyższem cierpieniem. Mogły być w tem niejednokrotnie przejawy ludzkiej słabości — wszak najczystsze wnętrznie uczucia każą się i mącą w uzewnętrznieniu — ale kto te przejawy weźmie za istotę, tak samo fałszywie widzieć będzie, jak gdyby uległ złudzeniu zmysłowemu. Przypomnieć chyba nie trzeba, jak się Słowacki w listach do Matki o Mickiewiczu wyraża, jako o swoim „wielkim starszym“, jak go nieraz (w Beniowskim np.) zestawia z największymi pieśniarzami z Homerem, Dantem, jak nikt głębiej, cudowniej od niego nie wysłowił czaru „Pana Tadeusza“ i t. d. Zbyt jest wiele takich wymownych bardzo dowodów, ażeby można było przypisywać poecie w tej walce duchowej jakieś nizkie, poziome intencye. I otóż w tych właśnie dniach wielkiego przyobrażania się, kiedy obaj dotarli niby do czystej głębi ducha swego, zbliżają się nareszcie do siebie i łączą na wieczność żywota. Bo co ludzkiego było ułomnego w boju tych dwóch dusz wielkich, to teraz ginie i odpada, pozostawiając tylko szczere, wnętrzne tło: ogromne, rwące pragnienie dania całej duszy, dla świętej sprawy ducha wyśpiewania z niej wszystkiego, aby obudzić i porwać duchy w narodzie.

Tak się to wszystko rozjaśniać musi z chwilą, kiedy dusza po długiej niewoli ujrzy nareszcie blask światłości wieczystej, kiedy się rozpromieni wszechmiłością, kiedy — wsłuchując się w czarowną melodyę głębi swojej — posłyszy w niej cudowne, dotąd śnione zaledwie dźwięki gwiezdnego zaświatu. Wtedy każda dusza spotkana staje się odblaskiem umiłowanego Ducha, każda jest jako Anioł, anielstwa swego nieraz nieświadoma — wtedy blask zorzy porannej — i mgły rozbłyszczane słońcem — i roz-

śpiewanie się ptasząt — i cała, cała w zachwyceniu niby rozmodlona przyroda — wszystko jest wniebowzięciem ducha naszego, złożeniem go na łonie Ojca powszechnego... „Teraz ja budzę się rano i wraz rozweselony jestem wnętrznie i już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego, co się przybliży, oblać jasnością ducha i rozradować go, aż się do harmonii zemną ułoży..." I w takiej chwili przebudzenia się — rano — dusza jego śpiewa w upojeniu tę pieśń anielską:

„Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają,
„Ja się budzę i wzrok do gwiazd niosę,
„Kiedy kwiatki w rosie czoła maczają
„Ja ożywam, Pańską pijąc rosę.
„Cherubiny wtenczas rzędem stają
„I puklerze z ognia — złotowłose
„Przeciw duchom złym mają zwrócone —
„Płaszcze, tarcze, jak żelaza, czerwone.
„Pan mię wtenczas na rannem świtaniu
„Za blademi gdzieś słucha niebiosy
„Serce moje się roztapia w śpiewaniu,
„Sny ostatnie przechodzą przez włosy.

Prawdziwie, nigdy dotąd poeta nie dobył ze siebie takich tonów, nigdy może z taką mocą prostoty nie śpiewał. I w tem żywy znak wielkiej przemiany duchowej. Czasem nastraja się na ton Dawidowej harfy i przemawia prawie językiem pierwszego psalmisty naszego, Kochanowskiego:

„Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu,
„Próżno składają ci cegły murarze;
„Jeśli nie broni miasta od pogromu,
„Próżno czuwają po szyldwachach straże.
„Napróżno wstajesz przed świtem, człowiecze,
„A przy świeczniku nad robotą ślęczysz,
„Z gorzkiego żyta chleb ci się upiecze,
„Bo ty o Panie! te co kochasz, wieńczysz!... [1])

Takiem było życie duszy jego, szczególnie od czasu, kiedy zerwawszy z „Kołem", pracował już tylko w odosobnieniu, wśród

[1]) Pisma pośm. I.

najbliższych. „Cichość jakaś święta, pełna uwagi dla świata, ale nie bez łez dla świata“ — oto jak maluje „powietrze, które w domku jego panowało“ naówczas. „Wystaw sobie tę ciszę“, pisze do matki, wspominając noc, którą z powodu śmierci zmarłej w sąsiedztwie dziewczyny spędził na czytaniu ewengelii, „wystaw sobie tę ciszę, która wtenczas u mnie panowała... i zobacz światło świecy mojej i usłysz głos mój poważny, jak głos któregо z dawnych ojców moich i otwórz i przyczytaj, który z najspokojniejszych rozdziałów ewangelii po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mojego“.

A duch ten taki spokojny i skupiony, „w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się“ (jak mówi poeta) — i naprawdę nie miał większego szczęścia, jak że „tworząc innych ludzi podług siebie był pewnym, że dobrze i dla pana Boga pracują“. Poeta w tych ostatnich latach wyrabiał w sobie dziwną moc duchową. „Książę niezłomny“, nie dający się ugiąć żadnym ciosom, bohaterowie Homera, śmierć mający w pogardzie, jako musi być dla wszystkich ludzi, którzy poczucie nieśmiertelności zdobędą, a wreszcie wielki rycerz ducha, ksiądz Marek — oto wzory duchowe, które poeta brał naówczas w siebie i przetworzone wydawał z siebie kładąc wieczne źródło siły dla wszystkich.

„Los mnie już żaden nie może zatrwożyć
„Jasną do końca mam wybitą drogę.
„Ta droga moja — żyć cierpieć i tworzyć —
To wszystko czynię, a więcej nie mogę! [1])

I bywały chwile, kiedy z tego światła wewnętrznego, gorejącego takim stałym, spokojnym blaskiem, a podsycanego ciągłem pragnieniem przetworzenia świata, buchał nagle ogień palący śmiertelnie rzucały się płomienie olbrzymie — i duch wieszcza żarzył się boleśnie. — Uczuwa w sobie „siły nieznane“ — o człowieka woła choćby jednego — „jednego duchem wolnego i ciałem“, a wie, że cudów dokona rwie się do cudów. A wtedy rzuca się przed niego ponura rzeczywistość i zimnemi rękoma więzi mu nogi, ponura mara — rzeczywistość:

---

[1]) Pisma pośm. I.

„ O gwiazdy zimne! o świata szatany,
„Wasze mnie wreszcie niedowiarstwo zwali,
„Już prawie jestem człowiek obłąkany.
„Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
„I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
„A to się pali — tylko serce moje!...

. . . .

„O bracia moi, kiedy krzyżem leżę,
„A proszę Boga o kraj, o człowieka,
„To mi się zdaje, że tętnią rycerze,
„A wróg z piorunem przed nimi ucieka:
„Chcę biec – lecz kiedy na blask gwiazd wynijdę,
„Gwiazdy mnie drwiące pytają, gdzie idę?![1])

O męko duszy, palonej żądzą wniebowzięcia ziemi! Więc w takiej męce poeta czuje, że „nigdy może tak trudno nie było na świecie duchowi ludzkiemu, jak teraz, nigdy mu Bóg takich wielkich celów nie pokazał, nigdy taką niemocą nie cisnął; w tej męce odbywa ciągle „pracę nad sobą samym, nad własną swoją“ (jak się spowiada Matce) „ubogą naturą, nad tym duchem, który nad światem cierpi, a pomódz mu jeszcze nie może“... i w tej męce skarży się Matce: „O jakżeby to była rozkoszna droga dla dusz, którym się Pan Bóg odkrył, gdyby na tej drodze, po której do celów Bożych idą, nie znajdowały wstecznych albo zatrzymanych Aniołów. Czasami najmilsze im dusze są takimi zaprzeczycielami, pomyśl jaka tortura... pomyśl jaka boleść okrutna“! Wtedy to widząc jak ludzie już bliscy znowu się oddalają, w kurczowej niby trwodze woła do Matki: – „O kochaj mnie“! i w tej miłości świeżych sił czerpię; wtedy to czasem, utrudzony męką takiego życia, pożąda spoczynku dla ducha i ciała, marzy mu się pobyt wśrod swoich — tęskni mu serce do tej Ojczyzny, gdzie każdy kwiatek wiersze składa, każda gwiazdka piosnkę nuci[2]) — „gdzie po dolinach moja Ikwa płynie, gdzie góry moje błękitnieją mrokiem“... I kiedy rodzina jego zamieszkała na wsi, nieraz wzdycha do zacisza wiejskiegó życia, wyznaje, że to mu

[1]) Pisma pośm. I.
[2]) Pisma pośm. I.

„jest najtrudniejszą do zwalczenia ponętą“ — „Cudowna to dla mnie wiosna“ — pisze na wiosnę roku 1848. — „Może pączki, które się na drzewach w wioseczce Fila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego, rodzinnego będą nasycone i napełnione. Może Sylli kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mnie w progu chateczki swojej. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie, wspólnie pracować będziemy, byle nowej matce naszej nie być ciężarem. Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie na chwilę choć odpocząć duchem i ciałem wolno“. Ale właśnie poeta czuje, że mu nie wolno. „Więc ty myślisz naprawdę, że ja mam prawo siąść w domeczku wiejskim i zakładać ogródek?“ — pyta się Matki i tłumaczy, że gdyby na czas, „kiedy się zestarzeje, a nogi i oczy utraci“, pragnęła dla niego wypoczynku, danego mu przez ludzi, których on „uzdrowił miłością i pracą ducha“: — „gdybyś mi taki ideał uprosiła u Boga, prosząc go, aby ten spoczynek przyszedł jak najpóźniej, nie zaś jak najprędzej — pojąłbym, a jeszcze byłbym smętny, że o spoczynek dla mnie prosisz — bo szczęście to ruch wewnętrzny ducha i wywieranie miłości na zewnątrz“. (C. d. n.)

M. S.

Z utajonych ścieżek.

Dawniej indywidualizm był prawem rzadkich jednostek — artystów, mężów wielkich czynu; dziś zaś jest epoka budzenia się powszechnego indywidualizmu.

Wtem jest ważny i głęboki prognostyk przyszłości. Mędrcy mówią, że dusza zbliża się coraz bardziej do powierzchni życia. Prorocy, cisi, a nieznani widzą wigilię obudzenia się Ducha. A każdy z żyjących dziwi się jakimś przeczuciom, jakimś bezimiennym tęsknotom; i unosi się nad Morzem żyjącej świadomości jakaś nieokreślona, bezimienna trwoga. Nerwowość wieku przeraża uczonych

i laików; podają na wyścigi przerozmaite rady o hygienie fizycznej i umysłowej.

Życie się przesila — zwyrodnienie następuje — jakiś strach przed upadkiem materyi.

I pod wpływem owej trwogi instynktownej, pod wpływem zdradzonych tęsknot bezimiennych objawia się spotęgowanie władz i pragnień jednostki. I niemal każdą jednostkę pędzi zawcześnie zerwana tęsknota za wywyższeniem się i za użyciem swego „ja zewnętrznego."

I gonitwy....... i rozczarowania. — Indywidualizm!... Nietzsche jego apostoł. Nie porywam się na krytykę Nietzchego, pozostawiam to specyalistom — i to nie tym, którzy swą krytykę opierają na fizyologii, lecz tym, którzy się zdobyli na „czystość" serca.

Biorę zaś pod uwagę typowe skutki życiowe jego filozofii.

Oto młodzieniec — czyta się w pismach codziennych — ten i ów przeciwstawia swą jaźń zewnętrzną całemu światu na gruncie „Herrenmoral" a czyn z tego przeciwstawienia wynikający, każdy w głębi serca osądzi.

Inny znów przejęty zasadami tej filozofii, walczy tak długo, dopóki nie oszaleje; znów inny życie sobie odbiera, a bardzo mało takich, jakich może sam Nietzsche w głębi duszy pragnął — bardzo mało takich, którzyby go zwyciężyli.

Zdaje mi się, że filozofia Nietzschego jest olbrzymim pomnikiem buntu „ja zewnętrznego" przeciw Nieznanemu i przeciw wszelkiemu „ja zewnętrznemu". I stąd to dziwne działanie na „ja zewnętrzne", bo jeśli nam się kto przeciwstawia zewnętrznie, my się zewnętrznie przez to potęgujemy.

I z tego względu filozofia Nietzschego może być tylko silnym ogniem próbnym świadomości i serca uczucia.

Jeśli bowiem uczeń Nietzschego nie zwycięży, staje się w spotęgowaniu takiem samem, jakiem był poprzednio i jakiem się mu zewnętrznie przeciwstawił.

I czyta go płytki i płaski — staje się przez to jeszcze bardziej płytkim i płaskim. Przypomnijcie chwile, które brzmiały wszędzie banalnie głupiem słówkiem „nad". Przypomnijcie pianie kogutków przeciw filistrowi.

Przypomnijcie tych..... co uczynili z übermenscha Nietzschego? Zdawało im się, iż są już w „Kinderlandzie".

A jeśli go czyta słaba i wrażliwa świadomość, staje się jeszcze słabszą i jeszcze wrażliwszą. Przypomnijcie tych, którzy nie znieśli antynomii Nietzscheańskich.

Jeśli go czyta silny na duchu i wolny chociaż w części od „ja zewnętrznego" — o takich może Nietzsche marzył — potęguje się na duchu jeszcze bardziej i jeszcze bardziej od „ja zewnętrznego" się uwalnia, może właśnie przez poskramianie owego buntu „ja zewnętrznego".

* * *

Zdaje mi się, że Nietzsche nie stworzył „nadczłowieka" — nadczłowiek był tylko tragedyą tego filozofa.

* * *

Otóż współczesny indywidualizm jest takim samym wysiłkiem i zapowiedzią zbliżającej się Chwili.

Jest on tem demonicznem „dzieckiem szatana", który czatuje na umysły najsubtelniejsze i na najwrażliwsze wyrosłe przez ból i nędzę wieków.

Dlaczego właśnie na zrodzonych przez nędzę i ból wieków czatuje?!... dlaczego?!......

Czy nie dlatego może... iż są one w głębi duszy najniebezpieczniejszymi przeciwnikami jego przyszłych, szatańskich celów?!..... Nie chwyta on uśpionych przez szczęście codzienne, bo ci może dawno już są fundamentami jego celów.

Zdaje mi się, że współczesny indywidualizm srogim jest i niebezpiecznym, aczkolwiek może przezeń przejść potrzeba dla silniejszego zwycięstwa.

A tem jest niebezpieczny, że tkwi w nim głęboko ukryta potęga egoizmu — najniebezpieczniejszego, bo ambitnego — niemal metafizycznego. Duszą jego jest zawsze suma przemijających stanów świadomości, a Bogiem jest ideał potęgi „ja zewnętrznego", a ideałem etycznym jest Herrenmoral.

Najwyższym wyrazem wszechmądrości jego jest matema-

tyczna formuła wszechświata, a najwyższą wolnością jest ideał metafizyczny konieczności mechanicznej — determinizmu. Najwyższą władzą ma być rozum, oparty na ścisłej ilości kategoryi, przestrzeni i czasu — pięciozmysłowych.

I tu jest szczyt owego indywidualizmu, ukoronowanego pychą metafizyczną.

Niechże taki indywidualizm stanie się apostołem i rzecznikiem ruchów społecznych — a walka o byt upadnie! — prawda?!... — Może kiedyś w przyszłości prawnuki nasze doczekają się jej uszlachetnienia, złagodnienia..... Cha! cha! bo przecież walka o byt jest koniecznością kulturną!! Tak!... przecież najwięksi uczeni doszli do przekonania, że ona wydoskonala i wyszlachetnia organizmy! Niezawodnie temu przeczyć nie można...... I zaraz indywidualizm dla siebie to prawo zagarnia; a nasze prawnuki może się doczekają uszlachetnienia walki o byt... Cha! cha!... uszlachetnienia?!......

A zresztą jest ona konieczna.

* *
*

Indywidualizm dzisiejszy — to Antychryst; takie określenie wystarczy czystemu sercu.

* *
*

A jednakowoż trudno być takim, jakim się jest obecnie; tęsknota niepokoi świadomość, nerwy napina, jakby dążyła do odkrycia nowych, nieznanych ścieżek.

Dzisiejsza tęsknota posiada dziwną cechę. Ma w sobie coś z intuicyi, coś z przenikliwości. Tęskniący człowiek nie patrzy dziś na odludziu w samotne niebo, lecz wśród tłumów w światła ócz. Czuje coś i tem się niepokoi i przez to jeszcze bardziej tęskni bezimiennie. Dzisiaj ludzie kochający się nie czują pomiędzy sobą tych przepaści, co dawniej; dzisiaj potrzebują mniej słów, niźli dawniej, by porozumieć się, a co najważniejsza odczuć się. Dzisiaj przez milczenie więcej się mówi, niźli przez słowa, jak gdyby wytwarzało ono jakieś niewidzialne nici.

Blizkie są czasy, gdy zasady pożycia nowe powstaną. Obecnie tylko jakaś trwoga bezimienna i najwyższe wysiłki indywidualizmu zewnętrznego w sztuce i nauce.

* * *

Zdaje mi się, że kto pragnie więcej ponadto, co mu świat zewnętrzny dać może, więcej ponadto, co zewnętrznie światu dać może — pragnie najpierw samotności. I zdaje mi się, że kto nie skrył swej zewnętrzności w marzeniach, ten potrafi wytrzymać milczenie samotności i z niego unieść zdobycz. Bo pragnienia wyższe wychodzące poza siebie, poza zewnętrzność, sięgają dalej niźli marzeniami doścignąć można — a są niebezpieczne, bo święte i nieszczęśliwy, kto je profanuje lubieżnością marzeń. A ten je profanuje, kto marzy w samotności o sobie, o swej „duszy błękitnej“ — tej przemijającej duszy „ambitnego“ indywidualizmu, „egotyka“.

Ludzie świętych przeznaczeń — a każdy jest takim — tylko nie każdy jest świadom tego, szli w swej młodości w świątynię ciszy, by odbyć wigilię Ducha. I były to chwile przypływu mistycznego ich świadomości. Tam wzrastały ich siły i charakter ich się przekształcał; a siła ich zdobyta i charakter ich przekształcony nie mierzą się życiową naszą miarą.

Umiem tyle powiedzieć, że: siłą ich była „Wola“ „Nieznanego“, a charakterem miłość „bezimienna“.

Lecz czemże jest samotność dla pragnącego poza sobą — poza „ja zewnętrznem“?

Spojrzę, gdzie nie ma samotności — na targowicę „przekonań“ i na piekło „uczuć“. Spojrzę w świat, gdzie ludzie stoją bardziej samotni, niźli w samotności — odgradzani „przepaściami“, czuć „ja zewnętrznego“. Jest to życie codzienne, chwila bieżąca, świadomość walki o byt.

Mędrzec mówi, że w życiu codziennem wysilamy się raczej zstępować w dół, że raczej opieramy się własnemu wstąpieniu excelsior. Człowiek goniący życie codzienne zmusza się do maskowania własnym egoizmem, bo tylko na egoizmie stoi walka o byt.

Uczucia jego najszlachetniejsze idą w służbę dla „ja zewnętrznego“. I człowiek, chociażby najszlachetniejszy ciągle nie ufa swoim uczuciom, ciągle chciałby się usprawiedliwiać, jakby się podejrzywał o niezupełną czystość serca.

Człowiekowi z czystem sercem w życiu codziennem dziwią się inni, nie rozumieją go i niemal nie znoszą człowieka, któryby składał broń walki o byt. Patrzmy na najszlachetniejsze idee współczesne, (czy to społeczne, czy narodowe) — a jednak jakie piekło uczuć i przekonań sprowadzają one?... Skąd to?!...

I tak, jeśli wyjdzie młody człowiek, jeszcze nie zatracony w walce o byt, na targowicę przekonań i uczuć, lęk go zbiera instynktowny przed jakąś nieubłaganą fatalnością — iż śmierć powolna ogarnia duchy dla dobra, którego przecież one pragną.

Taka już fatalność życia; kto wcześniej pragnął swego dobra, niż swej „Woli“ i swej „przemiany charakteru“ w ciszy, zginąć prawie, że musi; a dobro owe pozostaje ciągle do ścigania i do pragnienia — i nikt go osiągnąć nie może.

Zapomina się często o słowach Chrystusa: „każdy kto pije tę wodę, zasię będzie pragnął na wieki; ale ta woda, którą ja mu dam stanie się w nim studnią wody, wyskakującej ku żywotowi wiecznemu“.

Samotność jest świątynią tajemnic Bożych w człowieku; tajemnic takich na targowicy nabyć nie można.

Człowiek, który przyszedł ze światłem tych świątyń, może szczęśniej i czyściej i potężniej i miłościwiej działać.

* *
*

Ktoś powie: „dziś nie średnie wieki, pustyń nie ma; życie dziś inne — uciekać nie wolno.“

I prawdę powie — życie jest święte, odeń uciekać nie wolno. Życie to ołtarz służby Nieznanemu; na nim każdy człowiek-kapłan ofiary składać powinien.

Św. Paweł w liście do żydów pisze: „I przypatrujmy się jedni drugim ku pobudzeniu się do miłości i do dobrych uczynków, nie opuszczając społecznego zgromadzenia naszego, jako

niektórzy obyczaj mają, ale napominając jedni drugich, a to tem więcej, czem więcej widzicie, iż się on dzień przybliża".

* *
*

Pomiędzy ludźmi w życiu codziennem są olbrzymie bezkresy „pustyń". Trudniej w samotności na tych pustyniach pozostać, niźli w samotności na odludziu. Ciężko jest być pośród ludzi samotnym, bo milczenie pomiędzy nimi jest ciężkie.

Zanotuj ton twych uczuć, ich kierunek i ich głębie dzisiaj; następnie milcz samotny pośród ludzi przez czas jakiś — im dłużej tem lepiej; dojrzysz ostatecznie coś wręcz przeciwnego.

Jednostka milcząca pośród ludzi więcej tworzy i przynosi im, niźli sto jednostek targujących; a może niema tu nawet porównania.

* *
*

Kogo jeszcze nie pożarł sturamienny polip życia, niech wstrzymawszy swe ruchy zewnętrzne, umilknie i słucha. Maluczko a już dostrzega światełka „bezimiennej tęsknoty". To pierwsze żywe pytanie, bo z głębi serca. I wnet światełka owe — jeśliś ciągle samotny i milczący pośród ludzi — oświecają jakieś nowe od wieków istniejące, a jednak nieznane ścieżki życia.

Są to ścieżki, po których nawet maluczki człowiek dążyć może do „tronu".

Są ścieżki, na których zacierają się wszelkie różnice zewnętrzności, na których podnosi się wszelka małość a upada wszelka wielkość.

Są ścieżki, na których każdy ma prawo do tronu, a największe mają najcichsi i najmniejsi.

Są ścieżki, na których: błogosławieni ubodzy na duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie.

Na których: błogosławieni, którzy się smęcą; albowiem będą pocieszeni.

Na których: błogosławieni cisi; albowiem oni odziedziczą ziemię.

Na których: błogosławieni czystego serca; albowiem oni Boga oglądają.

Na których: błogosławieni cisi apostołowie Chrystusa; albowiem oni Królestwo Boże ziemi przybliżają.

* * *

Każdy, kto wsłuchuje się w najcichsze i najskrytsze dążności, wie, czego Nieznany w nim pragnie.

Ów Nieznany woła nań echem bezimiennej tęsknoty, by „królował" i stał się naczyniem Jego Woli.

I dlatego kto cichy i samotny pośród ludzi, pyta nieśmiało i cichutko, gdzie jest „królewski klucz dusz"?.....

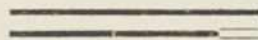
W tem pytaniu żadna pycha, żadna śmiałość szatańskiej „jaźni zewnętrznej", bo w kim się owe pytania na pustyni wśród ludzi podnoszą, ten począł zbierać pierwsze promienie „bezimiennej miłości".

Kto chce królować zewnętrznie przez despotyzm przekonań lub siły, ten nie pyta się o królewski klucz dusz, lecz o własne przekonania i zewnętrzną ich konstrukcyę. Ci, częstokroć na odludziu kują martwą stal swej wiedzy, a później rzeźbią nią martwe posągi ludzi, których życiem jest sprężyna społecznej machiny.

I takie królowanie jest zawsze pełne pychy i despotyzmu; właściwie to żadne królowanie, a raczej przemoc; a taka tylko na materyą włada i to jest jej przekleństwem, że dalej nie zajdzie.

Są jednak ścieżki, gdzie nigdy się nie ścierają przekonania, bo się tam prawie nie pojawiają. Są to ścieżki, na których „ja zewnętrzne" się zatraca.

O tyle trudno o nich mówić, o ile chce się mieć o nich jakieś przekonanie.



Hej, żyjmy!

Ludu mój polski! Kiedy spojrzę na Cię,
Na te łby harde, co z pośrodka Ciebie,
Sterczą niezłomnie ku słońcu na niebie! —

I, jakby gromów muzykę tak na się
Ściągając, z okiem utkwionem tam w górze —
Z okiem, pogodnie patrzącem przez burze,
By nieba jasne już krańce obaczyć!

Ludu mój polski! Co dla Ciebie znaczyć
Może puszczyków głos, klęski wróżących,
I Twoją długą tu jeszcze niewolę,
Gdy pierś Twa własna wywróży Ci dolę!
Pierś młoda, silna! — pierś w przyszłość idących
Z rozmachem ramion, pędem niewstrzymanym
Ku losom, jak i Twa dusza wiośnianym!

Jak Ona — młodym, i jak Ona — jasnym!

Gdy Ty, chrzest wziąwszy z bolów, z łez, i krwi
Jedną pobudką się skrzykniesz na znój,
Co Ci nim serce i płacze i drży! —
Gdy Ci wesele w duszy poszepnie: Bóg z nami!

Wtedy Cię droga przed Tobą nie zmami,
I ławą runiesz w rozpędzie Twym własnym!

Aleksander Antoni Wolski.

Matejko i Witkiewicz.

Duch zmartwychwstaje. Zmartwychwstaje z tem samem słowem na ustach, z którem się na świat narodził, ze słowem wolności i braterstwa, z wiarą niezłomną w swoją siłę i zwycięstwo nad książęciem Świata. A zwycięstwem będzie nie zabicie, lecz przemienienie książęcia Świata na anioła, w duch bratni.

Błogosławieni, co słyszą nowy zmartwychwstałego ducha wiew a słysząc głosem gromkim na braci wołają: «Czuwajcie! bo dzień wielki nadchodzi!».

Przed laty niewielu rozgrzmiewał nad ziemią naszą potężny głos geniusza, wołający o prostowanie ścieżek, wzywający do pokuty czynnej, wskazujący narodowi zapomniane źródła życia, siły, wielkości wieczystej. Zapalał błyskawice, aby naród w ich świetle oglądał ducha swego i nawrócił się do niego i żył.

Głos wołający na puszczy, na zgliszczach — leciał po ziemi całej, ponad myślą-ugorem, odbijał się od serc-głazów, aż uderzył w serce-dzwon, spadł na myśl do lotu orlego stworzoną.

I myśl rozwinęła skrzydła, i wzniosła się wzwyż, ponad błonia szerokie i bezdnie ducha. Światło jej jak światło słońca; jak mgły nikną przed słońcem, tak pierzchły przed myślą zmartwychwstałą mamidła, i strachy, i zgniłe zwątpienia. Ciemności rzedną, błękity promienieją... Wyzwolenie Ducha.

I woła zmartwychwstała myśl Boża:

»Jam jest, narodzie, Duch twój, Duch Piastów, i Jagiellonów i wieszczów twoich; duch Adama, i Juliusza, i Zygmunta; duch Skargi, i Kordeckiego, i Kościuszki. Jam jest, narodzie Duch twój wiecznie żywy, a Wolność imię moje!»

Błogosławiony, kto słowo to słyszy i mnoży je w sercu i w czynach swoich.

* * *

Kiedy Matejko ukazywał swe tytaniczne wizye przeszłości narodowi, nie było nikogo prawie, kto by zdołał wyczytać z nich proroctwo zmartwychwstania. Wobec strasznej teraźniejszości owoczesnej, sława przeszła zmagała zgnębionego ducha, stawiąc

mu przed oczy grzechy jego i niesłychany upadek. Już sprawdziły się bowiem groźne przepowiednie proroka: »Wy coście drugie narody rządzili, będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim«; sprawdzały się jeszcze straszniejsze — o języku i narodzie pogubionym, o obróceniu się w naród obcy, Polskę nienawidzący.

Przeszłość, jak mściwa Eumenida, stawała w malowanych widzeniach Matejki przed zbolałem sumieniem narodu.

Więc jedni w rozpaczy załamywali ręce, widząc czem byli ongi i czem się stali, — a nie mając sił myśleć nawet o przyszłości; drudzy ujrzeli w obrazach Matejki zamknięcie księgi dziejów narodu, a rzekłszy «finis Poloniae« wyszli na targowisko, aby za pozostałe okruchy ojcowizny duchowej, wyzłocić kraty kazamatu, wyścielić puchem łoża pokuty, kupić dobrobyt. Inni znowu, olśnieni światłem, bijącem z obrazów, a wyzuci z odczucia Wielkich Prawd, dopatrzyli się jeno p i ę k n a, i mówili: «Piękne są te dzieła, jak piękną była przeszłość nasza. Czcijmy mistrza, który tę przeszłość przez sztukę swą nieśmiertelną uczynił». Bluźnili więc prawdzie; bo nie przez piękno nieśmiertelną jest przeszłość nasza, lecz przez nieśmiertelność piękną.

* * *

Ubiegły lata, nim przyszedł duch zdolny do jasnowidzenia, do zniesienia blasku prawdy całkowitej; duch pokrewny największym duchom przeszłości, przeto więc przeszłość pojmujący, jako przyszłości siew. A dane temu duchowi serce gorące i ma słowa, iż mógł oddźwięk w sercach braci budzić, a płonąc sam, innych zapalać, a widząc sam, — społeczeństwu oczy na piękno prawdziwe otwierać.

* * *

Książeczka S. Witkiewicza »Jan Matejko« stanowi niewątpliwie epokę w stosunku społeczeństwa naszego do twórczości Matejki; Witkiewicz bowiem jest pierwszym, co w obrazach Matejki dopatrzył się ich prawdziwej najgłębszej treści, i treść tę

nazwał po imieniu — »Duch Narodu«. Co zaś Witkiewicz rozumie pod tem pojęciem — podaje zaraz na wstępie:

»W ciągu ośmiowiecznego istnienia Polski, wytworzyła się straszna, nienaruszalna, niezniszczalna siła: Duch narodu. On był i jest tą siłą, która utrzymuje rzecz i imię Polski, która stanowi istotne jej granice.«

»Mówimy: Duch narodu i wyobrażamy całość pewnego obszaru ziemi, zamieszkałą przez ludzi, z których każdy jest tym duchem ogarnięty i daje w sumie to, co stanowi życie i historyę narodu. A tymczasem duch ten niekiedy opuszcza tłumy i pozostaje w jedynej duszy jak: Joanna d'Arc, Kordecki, Kościuszko.«

Oczywistą jest rzeczą, iż kto tak pojmuje »Ducha narodu« i jego potęgę, ten nigdy się nie zdobędzie na nienawiść do ducha innego narodu; to też mówiąc o dobie dzisiejszej o Odrodzeniu narodu, Witkiewicz nie pomija milczeniem i smutnych objawów zboczeń.

»W tem jasnem zjawisku (odrodzenia narodu) jest jeden punkt ciemny, jeden zgrzyt okropny. Oto przyrost i świadomość własnej siły stały się, dla niektórych z nas pobudką obniżenia idei narodowej do tego, hańbiącego ludzkość poziomu, na którym stoją dziś idee, kierujące potężnemi, więc bezkarnemi, państwami na zachodzie i na wschodzie. Ta brudna, spieniona nienawiścią fala rozpętania egoizmów narodowych, splamiła już niektóre sumienia polskie... Strzeżmy się!«

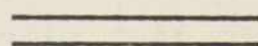
* * *

Jako epigraf, wziął Witkiewicz słowa Mickiewicza:

»A każdy z was w duszy ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic.

O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.« (Księgi Pielgrz. XX).

Kto wierzy tak i czuje tak, jak wierzy i czuje Witkiewicz, ten ma święte prawa uczyć swój naród czucia i wiary.



Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż).

Osobistość Jeża to jedna z najczystszych i najofiarniej służbie narodowej oddanych postaci rycerskich. Całe życie jego, to twarda nieustraszona walka o prawa narodowe. Bieda, a często nawet nędza zagląda do dobrowolnego wygnańca. Wyrzeka on się życia w kraju, w Ojczyźnie wśród drogich sercu osób bo niechce przyjąć obywatelstwa, a raczej poddaństwa od zaborczych rządów, powiadając, iż wyszedłszy z kraju z bronią w ręku nie wróci chyba z bronią lub na wolną ziemię. — Z tego założenia wychodząc przeciwnym jest nawet sprowadzaniu zwłok wielkich naszych do niewolnej Ojczyzny. Zaznaczył to świeżo, z okazyi zamierzonego sprowadzenia zwłok Słowackiego. Jeż mieszkając w Szwajcaryi stykał się z młodzieżą polską bawiącą tam na studyach. Wywierał duży wpływ na młodzież w której wzbudzał szacunek i serdeczną miłość. Jako wymowna ilustracya owych uczuć niech posłuży wyjątek z listu (pisanego przez żonę Jeża do córki, który za pozwoleniem adresatki drukujemy).

„Nędzarze jesteśmy, (są słowa listu) nie dość było materyalnej biedy jedzącej nas ustawicznie, którą znosiło się zawsze odważnie z wiarą, że to szpilki losu, a nie nieszczęście, że jak długo moi wszyscy zdrowi są — nie godzi się jęczeć i upadać. Aż przyszła cięższa — prawdziwa niedola. Choroba spadła na najdroższego i najlepszego z nas ze wszystkiemi swemi następstwami, a jednak i my, tacy „nędzarze od popiołów“ miewamy nasze jasne chwile, otwierające nam jakieś horyzonty świetlane, lepsze, cudne. — Wczoraj po trzeciej z południa, nawiedziła nasz domek taki ciaśniutki, młodzież polska — polska — gorąca, patryotyczna młodzież. Gdy się wcisnęli do pokoju chorego i łóżko jego kołem otoczyli zrobiło się w pokoju czarno, łóżko, tatko, wszystko znikło — zrobiła się głucha cisza wśród której jeden z Podola z Berszody wypowiedział przepiękną mowę przerywaną parę razy tylko łzami co mu głos dławiły. Tatko wzruszony jak nigdy słabym, ale wyraźnym głosem odpowiedział im. Wszyscy płakali — starsi otwarcie, młodziutcy cisnęli palcami powieki —

bo płakać, to wstyd, i wszyscy za pierwszym mowcą złożyl przed leżącym na łóżku przysięgę, że słuchać Go będą, choć Jego już nie stanie, że będą iść w jego ślady i dla Polski pracować. Tatka naturalnie zmęczyło to wzruszenie silnie; sprowadziło mu trochę bolu — ale nie żal przecierpieć dla takiego celu"...

Po tej chorobie która zdawała się śmiertelną jeszcze nie zupełnie zdrów, jedzie Miłkowski — mimo perswazyi lekarzy i obaw rodziny — w wielomiesięczną podróż do Ameryki w tem przeświadczeniu, że jeszcze musi spełnić misyę narodową; pokrzepić wychodźców amerykańskich na duchu, wlać im otuchę, przekonać się jak tam sprawa i poczucie narodowe stoją, nawiązać stosunki i obliczyć siły moralne emigracyi polskiej za Oceanem. Wbrew obawom i przewidywaniom wrócił z tej podróży zdrowszy i silniejszy fizycznie do Zurichu.

Przebrzmiały już echa głośnych hołdów, składanych Jeżowi przez cały prawie naród w rocznicę półwiekowej jego pracy pisarskiej. Wielkie jednak zasługi tego obywatela literata i rycerza, walczącego za ojczystą sprawę na różnych pobojowiskach, nie podlegają przedawnieniu. I my z naszego stanowiska pragniemy rzucić garść promieni na tę postać nieugiętą i ukazać te cechy charakterystyczne na które dotąd o ile nam wiadomo, nie zwrócono dostatecznej uwagi.

Udział Miłkowskiego w orężnych walkach, ogrom twórczości pisarskiej, jako też jego działalność jako męża stanu spotkały się już z oceną mniej lub więcej wyczerpującą. My więc w tym szkicu radzibyśmy wydobyć na jaw niezaznaczone w dotychczasowych biografiach znamienne cechy jego duchowej istoty. Otóż chodzi nam tu przedewszystkiem o jego credo narodowe odnośnie do własnej Ojczyzny do polskiej narodowej przyszłości na tle ogólno-ludzkich zagadnień. Najwyraźniej występuje to credo w dwóch powieściach, a mianowicie w powieści p. t. „Sprawa ruska w Galicyi" i w „Hryhorze serdecznym".

Z obydwóch tych powieści przytoczymy tu jej wyjątki dla ilustracyi wierzeń, myśli i zapatrywań autora.

W pierwszej z nich rzecz zaczyna się o wychodźctwie, w Konstantynopolu. Pomiędzy tymi, którzy po świecie całym

noszą się z Ojczyzną w piersi, a którzy wysyłając jednego z pomiędzy siebie jako emisaryusza do kraju, obsypują go radami i przestrogami na drogę.

„Pamiętaj! żeśmy zwyciężeni, ale nie pokonani. Jesteśmy armią z bronią na ramieniu w obliczu nieprzyjaciół stojącą. — Nie sam mundur żołnierza czyni, nie samo postawienie w szczerem polu w kolumnach bojowych czyni stan wojny. Istnieje on w naturze stosunków w jakich naród zostaje. Nie wszyscy to rozumieją, bo nie wszyscy — potoczną mowę nieprzyjaciół, — którą ci ich bałamucą — umieją na własny wytłumaczyć język. — Nie umieją, i nie dziw. Czyż mogli się nauczyć tego pobierając taką, jaką pobierają edukacyę! — Biedni oni o prostocie ducha, anormalność, niegodność i bezprawie, biorą za normalność, godziwość i prawność; i z tego powodu nieszczególnymi są żołnierzami i nie pozwalają na stoczenie ostatniego, stanowczego rozstrzygającego boju.

Otóż zadaniem naszem — zadaniem najgłówniejszem jest niewiedzących oświecać, nierozumiejącym wytłumaczyć — reszta sama przez się, się zrobi.

Niech tylko zrozumieją o co właściwie chodzi — natychmiast każdy pozna swoje w szeregu miejsce i nauczy się słuchać i komendę wodza wykonywać.

A wodzem naszym jest Bóg.

Sam Bóg, który wysłał nas na wsze świata strony. Wysłał nas jako przednią czatę, rozesłał w strony różne jako podsłuchy i podjazdy, rozstawił jako wartę obozową i naszym obowiązkiem jest czuwać i wołać baczność!“

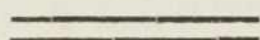
W dalszym ciągu powieści kilku rysami kreśli nam Jeż wizerunek przeciętnego obywatela wiejskiego w Królestwie — w którego wychowaniu zaniedbano rozwinąć i wykształcić tę stronę, która polaka czyni rozumiejącym samego siebie człowiekiem. Był on Polakiem pisze Jeż i niezłym, ale z instynktu, z tej przyczyny, że się nie Niemcem, ani Moskalem urodził, nie umiał jednak, jaśniej przed sobą ze swej polskości zdać sprawy.

Nie dziw — nie uczono go polskich dziejów, nie wpojono

weń zamiłowania do polskiego piśmiennictwa — nie opowiedziano mu jakie stanowisko w ludzkości jego naród zajmuje, jakie ma znaczenie i jakie do rozwiązania zadanie.

O szlachcie, o tej masie szlacheckiej, wkłada w usta bohaterowi powieści takie słowa: „Ona winna, ona grzeszna, ona niedołężna, ją Opatrzność złamała, upokorzyła — ona się pod parciem ducha czasu przeistoczyć musi, wykwitnąć rozumem ludowym i dać z siebie wzór cnoty publicznej. To się stać musi przy pierwszem wystąpieniu czynnem“.

Widzimy więc z przytoczonych ustępów, że Jeż uważa tryumf sprawy polskiej, jako tryumf myśli Bożej, a Polaków jako rycerzy wolności prawdziwej, bo Bóg ich wodzem. Karność u tych żołnierzy na ordynansie Bożym, połączoną jest z wolnością, każdy tej niebieskiej komendzie chętnie się podda; byle zrozumiał o co właściwie chodzi a od razu pozna swoje w szeregu miejsce. A prawie, że za niepolaka uważa Jeż takiego, który nie wie jakie w ludzkości miejsce jego naród zajmuje — i jakie ma do rozwiązania zadanie.



ODEZWA.

W godzinie bólu i beznadziei objawiła się narodowi naszemu wielka idea nowa, która wchłonęła w siebie nieśmiertelność narodu, jego duszę żywą, a przeto stała się niewyczerpanem źródłem życia i siły. Odtąd historya nasza jest urzeczywistnieniem onej idei, a wyrazem jej proste i jasne słowa:

„JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA.“

Te słowa święte padły niespodziewanie, jak grom; bo już świat cały rzekł był: „Zginęła“. I z chwilą, kiedy rozbrzmiały na obczyźnie, a lotem błyskawicy rozniosły się po świecie całym, — z tą chwilą rozpoczęło się budowanie nowej przyszłości Narodu; a nie na gruzach upadłych form i umarłych kształtów, lecz na skale wieczystej, której żadne moce ludzkie, ani szatańskie nie podkopią: na wiecznie żywym Duchu Narodu.

I dlatego Naród cały otwartem sercem przyjął ideę nową, a piosnka żołnierska wzniosła się powyżej wszystkich innych pieśni i stała się Hymnem Narodowym.

Duchy wieszcze narodu uczciły potęgę Słowa — Pieśni; Mickiewicz nazwał ją proroctwem, a pierwsze jej wyrazy u szczytu poematu złotego wyrył.

Temi samemi wyrazy Krasiński zaklina duchy wielkiej przeszłości, gdy staje przed nim widzenie prorocze.

Temi samemi słowy Naród witał nowych zórz świty.

Temi samemi słowy tysiące i krocie żegnały Ojczyznę ziemską na polach bitew i na Golgotach polskich.

Ze słów tych bowiem tchnie Wiara, Nadzieja i Miłość całego Narodu.

„Słusznem, dobrem i koniecznem jest, że stawiamy pomniki wielkim przodownikom narodowego życia... pomniki to mowa pokoleń, one wyrażają, jakim był naród, bo mówią, kogo ten Naród czcił — uczcijmy więc tego, który wypowiedział słowa, będące najistotniejszą treścią wszystkich naszych walk, wszystkich bolów, rozpaczy i niczem niezbitej Nadziei.

Postawmy Józefowi Wybickiemu, twórcy pieśni „JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA“ pomnik w Krakowie.

Wierzę, że niema pod słońcem ani jednego Polaka, któryby nie pospieszył, choćby z najmniejszym datkiem, na pierwszą wieść o tym zamiarze...“ *(Stan. Witkiewicz: „Jan Matejko“).*

Oto jeden z najgorętszych, a najsamodzielniejszych duchów polskich rzucił myśl piękną.

Młodzież pierwsza czynem zbiorowym — składką — przyczyniła się do urzeczywistnienia tej myśli; na zjeździe „Ogniwa“ w Krakowie złożyła pewną kwotę na pomnik Józefa Wybickiego.

W tym samym czasie we Lwowie, podczas odczytu „O Janie Matejce, St. Witkiewicza“ zebrano na tenże cel kwotę 32 K 20 h.

Gdy jednak i dotąd, o ile nam wiadomo, nie podjęto w tym kierunku żadnej szerszej akcyi, zwracamy się odezwą niniejszą do całego społeczeństwa polskiego, podając do jak najszerszego rozpowszechnienia przepiękną myśl St. Witkiewicza.

Pozostawiając Jemu, jako projektodawcy, pierwszy głos w sprawie zorganizowania komitetu, który obejmie całą akcyę, równocześnie z wydaniem niniejszej odezwy rozpoczynamy przyjmowanie składek na pomnik twórcy Pieśni Legionów, Józefa Wybickiego, prosząc redakcye wszystkich czasopism i dzienników o przedrukowanie niniejszej odezwy, oraz o czynne poparcie rozpoczętej akcyi.

Redakcya „Odrodzenia“.

Fragmenty z zapisków Kazimierza Odrzywolskiego.

Rok 1893.

16. Stycznia niedziela.

Po obiedzie zaczęliśmy czytać fragmenty Konopnickiej. Jakie to śliczne rzeczy. Pierwszy raz odczułem wielkość tej poetki, uczucie wielkie podane w ślicznej a tak prostej formie, zawsze i wszędzie tętni nuta narodowa ukryta — ale tylko dla Moskali,

na nas robi wrażenie potężne, bo w każdym choćby drobnym wierszyku widać wielkie serce współczujące z nędzą, ludem i całym narodem.

17. Stycznia poniedziałek.

Dziś załatwiliśmy w biurze kilka spraw drobniejszego znaczenia, zawsze ich jest wiele, ale wspominać o nich nie warto, nowych interesów obecnie nie robimy, chodzi nam tylko oto, żeby już nabyte rozwinąć, lub jeżeli zawiodą jak najprędzej zwinąć. Po południu w biurze wywiązała się dyskusya nad sprawą ruską. Mój Boże! jakże mało ludzi którzy uznają słuszność wniosku Barwińskiego. Zdaje im się że ustąpienie choćby na krok Rusinom na nas się zemści zagładą własną. Że dając Rusinom to co im się należy, wyrządzamy tem samem krzywdę narodowi polskiemu, a już o prostej sprawiedliwości wypływającej z zasady chrześcijańskiej, z sumienia — mowy niema. I dziwna rzecz że ten brak poczucia sprawiedliwości wobec bratniego narodu najczęściej znalazłem u ludzi, którzy są bardzo pobożni, którzy chodzą do kościoła, spowiadają się, a nawet poszczą.

18. Stycznia.

Dziś wyjechali W. i Ł., do Pesztu gdzie się mają zjechać z kapitalistami z Düsseldorfu którzy są naszymi wspólnikami w Rumunii. Czytamy teraz prelekcye Mickiewicza jakież to są cuda a u nas tak mało znane. W szkołach średnich zaledwie że raczyli wspomnieć o tem i to z ubolewaniem, że wtedy Mickiewicz był pod wpływem towianizmu i dlatego jestto już bez wartości. Obecny dygnitarz szkolny Bobrzyński przyznał się przed SS. że prelekcyi nie czytał, bo u niego Mickiewicz jako profesor literatury lub historyk, wcale nie ma znaczenia, bo skąd?

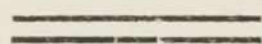
22. Stycznia.

W biurze byliśmy zajęci cały czas różnemi stronami i różnemi interesami — było mnóstwo ludzi. Czasem rzeczywiście jest dzień taki że cały dzień jest się jak w kieracie, jednych interesentów się przyjmuje — drugich się pozbywa, trzeci czekają w poczekalni, myśli zebrać trudno ażeby wszystko dobrze i ze stanowczą decyzyą załatwić. Wieczorem byli W. W. poseł L. i my

u SS. Rozmawialiśmy prawie cały wieczór o „Słowie“ o potrzebnej reorganizacyi, ale niestety niema w całym kraju ludzi odpowiednich na redaktora.

Kierunku Szczepanowskiego nikt nie pojmuje. Są wprawdzie R. i L. ale ci nie pojmują innego stanowiska jak partyjne mimo iż tak długo przestają z S. S. — Wprawdzie nie tak łatwo pojąć to stanowisko wyższe, narodowe, stanowisko bezstronne dążące tylko do tego żeby z każdej sprawy i każdą sprawę w czyn zamienić, w czyn któryby przyniósł korzyści dla kraju.

Dlatego osobiste wycieczki w piśmie dziś się nie pojawiają, a krytyka dopuszczalna tylko wtedy, jeżeli może z niej jakaś korzyść wypłynąć; taka krytyka musi być zawsze brana poważnie, bez cienia osobistej i partyjnej niechęci. Do takiej jeden tylko S. S. zdolny. Skład Redakcyi dziś jest niedojrzały, obojętny na wszelkie uwagi i prośby. Wszelkie w tym kierunku usiłowania są podobne jak S. S. powiada do bicia w poduszkę. Wkrótce mamy się zebrać na naradę i mamy stanowczo zrobić zmiany w składzie Redakcyi.



Z ŻYCIA.

Wojna!

Zdawałoby się — na sam dźwięk — zadrży Naród.

Dziesiątki lat pracy trzeźwej, organizacyjnej, organicznej — zrobiły swoje. Oddaliły od dróg naszych, od idei polskiej i dały w stanowczej chwili niepewność, strach i bezradność. Wywiodły dusze polskie z ich Ojczyzny, z państwa idei — a porzuciły na obcych jakichś polach. Zrodziła się straszna nostalgia duszy — tułającej się na obczyźnie myśli a pragnącej powrócić do Ojczyzny — idei.

Wojna!

Tłum oczu zwrócił się na przewódców partyi i czekał i prosił i groził: „zawiedliście nas nad przepaść — prowadźcie dalej.

Mówcie co czynić — mówcie!“ Ale z chwilą, gdy przewódcy wykrztusili swoje blade słowa, wymknął się im z ręki naród tak żmudnie organizowany. Bo żadna z partyi nie powiedziała słowa, godnego Polaka. Czyż wyszły z duszy Narodu lękliwe słowa Ligi Narodowej? Śmielszy już głos socyalistów różnych odcieni. Ale czyż i oni, zapatrzeni jednem okiem w dyplomacye Zachodu, a drugiem w możliwą rewolucyę na Wschodzie — czyż oni mogli ujrzeć i wskazać właściwą drogę?

To partye — ale Naród... Naród nie wyrzekł jeszcze swego słowa. Zawiedziony przez partye, będzie musiał zwrócić się w inną stronę — do sumienia własnego, poczucia z serca.

A słowa Narodu — to czyn.

Tyle wysiłków, tyle krwi, tyle przykładów historyi naszej — a wszystko napróżno — partye nie widzą, że wszelkie próby organizacyi na nic są gdy duch zatruty. Z ducha musi naród powiedzieć swe wielkie hasło: „walka o wolność“ a jak cień zniknął niemoc i bezsilność.

Dlatego budźmy dusze.

Chwila dzisiejsza to wielkie napomnienie dla nas...

Opuścił nas duch... „Jako człowiek, który precz odjeżdżając zostawił dom swój i rozdał urzędy sługom swoim, i każdemu robotę jego, i wrotnemu przykazał, aby czuł. Czuycież tedy; (bo nie wiecie kiedy Pan domu onego przyjdzie z wieczorali, czyli o północy, czyli gdy kury pieją, czyli rano). By snadź niespodzianie przyszedłszy, nie znalazł was śpiącymi“... (św. Marek 13.34).

A czyż wrotny nasz — młodzież nie śpi?

Widziałem „kwiat“ młodzieży na Zjeździe „Ogniwa“ w marcu. Ogólny nastrój — nuda, ogólne wrażenie — przygnębiające. Młodzież bez młodości, tak dalece trzeźwa, że ideałem w obradach stał się dzisiejszy parlament, gdzie w ścisłym programie i regulaminie nie może znaleść się miejsce na słowo młode, żywe, z duszy. Miałem sposobność nieraz być świadkiem Zjazdów podobnych różnych odłamów młodzieży, tak, że bez zbytnich uprzedzeń ani złudzeń przypatrywałem się im — i powiedzieć mogę; śpią jeszcze.

A jednak z radością spostrzegłem rzecz nową. —

Oto (odosobnione wprawdzie) odezwały się dwukrotnie głosy jaśniejsze, śmiałe i polskie... To rzecz znamienna, — bo dawniej niejeden może czuł w duszy jakiś protest przeciwko widzianym i słyszanym rzeczom, ale odwagi nie miał głośno powiedzieć.

Co to znaczy?

Oto czem mocniej zacieśniały się i wyraźniej zarysowywały partye, tem częściej z szeregów ich usuwały się jednostki, na które nie zważano, albo raczej które uważano za stracone. A one z buntem w duszy szły w głąb myśli jak ów człowiek z przypowieści Słowackiego, „który mordował się z Wisły falami... Aż mu pierś ową pracą rozrosła się, a oddech posilniał tak, że nietylko na wodzie, ale pod wodą mógł zostawać całe godziny“.

I dziś już mówią...

Nie wacham się powiedzieć, że w tej nielicznej dziś jeszcze i nie dość jeszcze silnej, samej w sobie, rozprószonej garstce młodzieży leży zaród — dobra i mocy. Więcej wierzę w nich niż w tę liczną młodzież, która w dzisiejszej chwili umiała tylko powtórzyć nawoływania do wstępowania w szeregi wojska austryackiego, dla wyrobienia oficerów (Teka, marzec). A lud? Lud pozostał zagadką... Pracowano „nad nim“, uczono go, zasypywano broszurami i opieką... a mimo to pozostał zagadką. Ale kto sercem do niego zbliżył się, ten tętno jego serca usłyszy i uraduje się bo poczuje, że tam zawsze dostęp ma Sprawa Boża.

Tylko tej Bożej Sprawy inni, ci z góry — czuć nie chcą.

Oto widzimy młodzieńca schylonego nad kartą kolonizacyi niemieckiej na Śląsku — męka serdeczna na twarzy — rozpacz z powodu każdej piędzi ziemi co chwila odprzedawanej. Ręce łamie i szepce: giniemy. Skąd to?

Oto widzimy, mowcę zachwalającego przemysł krajowy. Mówi o piwie, guzikach, nafcie, mleczarstwie — i tem tylko Polskę chce budować, a bez tego — mówi — zginiemy.

Skąd to?

Skądże ta trwoga przed możliwym ruchem tak widoczna w pismach. odezwach, rozmowach, działaniu?

Skądżeż jeśli nie z braku wiary w Bożą Sprawę?

Dlatego budźmy dusze.

Warszawa już ożywia się. A nie tyle doniosłe są demonstracye pod mieszkaniami członków komitetu zbierania składek w celu wysłania ambulansu na plac wojny (noc 27—28) nie tyle ważde odezwy potem wydane — ile ogólny nastrój — nieuchwytny, a jednak udzielający się wszystkim, widoczny. Choremu puls wyżej bić poczyna, rumieńce zdrowia wracają.

Szaleństwem zdawałoby się powiedzieć, że ku dobremu pchają nas wypadki...

A jednak, tak powiem.

Juliusz Słowacki
w ostatniej epoce życia i twórczości.

Napisał

Andrzej Baumfeld.

(Ciąg dalszy).

„List do Rembowskiego“ i posłana z nim „Genezis z Ducha“, spisana rozmowa z Helionem i Heloisą, w której jest „wytłómaczenie Słowa“[1]), wiersz „Do Ludwika Norwida“ – oto pamiątki tych stosunków poety — mistrza z ludźmi, którzy w miłości i czci dla niego i idei, brali dla siebie karm duchową.

Trudno jest odtworzyć w całości nauki, które poeta wypowiadał wobec tych najbliższych swoich. Myśl, wpatrzona głęboko w tajemnice życia duchowego, z właściwą żywością barw się wyrażająca, zataczająca raz nieprzejrzane kręgi, to znowu ku najbliższym celom skierowana — prawie że ująć się nie da. Jest to przelewanie w słowa prawd jakby widzianych i jedna jest tylko

[1]) Przez wydawcę zwana „Wykładem Nauki“.

droga możliwa pełnego ich poznania: dać się prowadzić żywemu głosowi poety, iść za nim w państwo jego ducha i — patrzeć.

Powiedzieć o tem, co się tam widziało można tylko nie wiele, można dać tylko szkic, schemat, podstawowe myśli. I trzeba pamiętać, że z tych fundamentów dopiero podnoszą się prawdziwie czarodziejskie, kryształowe pałace...

„Wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest — a nic dla cielesnego celu nie istnieje“ — oto jedyny dogmat, na którym poeta oparł całą myśl swoją. Dogmat właściwie to nie jest — albowiem zawiera się w nim zaprzeczenie dogmatu: swoboda. Usiłowaniem Słowackiego było obudzić ducha i tchnąć w niego poczucie nieśmiertelności. Tylko takie rozbudzone dusze, żywo czujące wieczność żywota swego, mogą odrodzić Naród.

„Nieśmiertelność i Wszechmocność —
„Oto dwa nowe żywioły!
. . . .
„Przez nie już nie będzie grobów
„Ciało nie uzna skażenia,
„Bo już je duch na wiecznotrwanie rozpromienia“ [1]).

Oto jest ten „dar ostatni“ Boga: „Słoneczność“.

Ci, którzy w sobie poczęcie owych dwóch żywiołów uczują, zawołać mogą:

„Synowie boży jesteśmy!
„Czem jutro, jeszcze nie wiemy,
„Każdy silny, o pół kroka
„Ku Bogu pchnąć świat dzisiejszy
„A jutro jeszcze silniejszy!“ [2]).

W takim to uścisku serdecznym, duchowym, w tem niby przeduchowionem jeszcze wołaniu „Dalej z posad bryło świata“, w tem ogłoszeniu się „synami bożymi“ — jest swoboda wobec wszelkiej nauki, jest wolność od wszelkich więzów,

---

[1]) „Do Ludw. Norwida“.

[2]) „Do Ludw. Norwida“.

przez jąkąkolwiek siłę zewnętrzną nakładanych duszy. „Najmniejszy, który to poczuje — jest jako największy z nas w głębokości — a niczem się nie różni, tylko zastosowaniem idei do świata“. (List do Rembowskiego). Dlatego poeta, tłumacząc te dojrzane w głębokości tajemnice Słowa, nie obwarowuje ich murami systemu — owszem wprowadziwszy w nie ducha, daje mu jakby nić Aryadny i dalej samemu iść każe: „reszta mój Helionie, jest tajemnicą, która nie przez naukę, ale przez ducha będzie każdemu odkrytą...“[1]). A duch chodzi i puka i budzi śpiących: „Ognie są na niebiosach, które chrzczą wybranych do dzieła... i widzenia utwierdzają zachwianych... Zdaje się, że Chrystus omija kościoły a sam chodzi do domów i wybiera swoje apostoły... Coraz ktoś nowy budzi się przerażony strasznemi odwiedzinami — zdziwiony, że mu się w dawnej formie wiary myśl nowa boża objawia...“ Więc i poeta sam i wszyscy, którzy z nim obcują, mają ciągle wytężoną duszę w kierunku tych znaków Ducha. — I zjawiska, pomijane, lekceważone przez innych, dla nich są zrozumiałym głosem tajemnicy — a kto raz ją usłyszał, ten już czuwać będzie na jawie i we śnie, albowiem i sen staje mu się skarbnicą wiedzy. Słowacki zapisał w dzienniku swoim jedno takie przebudzenie się duszy: „W tymże dniu jeden z przyjaznych mi, a najtwardszych w materyalizmie list o śmierci ojca odebrał — i zwierzył mi się ze łzami, że przed kilkunastu dniami — o poranku — Ducha Ojca swego w półśnie widział — który wszedł i rzucił mu się na ramiona, niby błogosławiąc z przebaczeniem“.

I otóż tym, co się tak sami z zaświatem zetknęli i pojęli objawienie się jego, nie trzeba innej o tem nauki i wobec tych „tłómacz Słowa“ ma tylko zadanie: „dopomódz w wyrozumieniu fenomenów, objawiających się w kształtach ziemskich i w czynach ludzkich“. Tej się pracy oddał poeta, objaśniając słowem i pismem zdobyte przez się prawdy ducha. Dziwna, nieznana w nim dotąd wyrozumiałość cechuje obecne stosunki jego z ludźmi. Odsuwa od siebie stanowczo, „uścisnąwszy za rękę“, tych tylko, którzyby mogli towarzystwem swojem obniżyć jego ducha,

---

[1]) „Wykład nauki“.

względem innych ma pełne łagodnego wyczekiwania uczucia, prawie ojcowskie. Może sam poczuł, jak bardzo, bardzo ciężko jest utrzymać się na osiągniętej raz wyżynie, jak nawet słoneczność ducha pełna jest mroków i cieni, jak może być tylko zdobyta w walce, nieraz srogiej i bezwzględnej, kiedy się zęby z bólu zaciskają. Tę walkę nieraz się czuje w tych czasach w duchu Słowackiego — wychodzi z niej opromieniony blaskiem zwycięzcy — wychodzi z jasnem poczuciem, że „duch wszelki, naprzód idący, choćby skazę miał i niedoskonałość, przez to samo, że już twarzy swej ku celom ostatecznym odwrócił, wpisan jest wszakże w księgi żywota“.

Tej więc pracy dopomożenia wszelkiemu duchowi naprzód idącemu, oddane są pisma, w których poeta złożył cząstkę światła swego.

„Wszystko przez ducha i dla ducha“ — stąd to płynie jedność, którą poeta wprowadza w chaos zjawisk przeszłości i teraźniejszości — a którą oświetla te, co przyjdą. Usiłowanie to czysto filozoficzne — dążność do syntetycznego ujęcia wielości przejawów i wytłumaczenia ich utworzoną z nich jenością. Ale Słowacki jest przedewszystkiem poetą — przed jego duszą, w filozoficznem rozmyślaniu pogrążoną, snuje się obraz za obrazem — a każdy jest zobrazowaną myślą. I dlatego niepodobna brać wszystkiego dosłownie, co w tej poetycznej, barwnej mowie wyraża myśl filozoficzną.

Jednością więc, syntezującą wszystkie życia przejawy, jest duch. Ująwszy ten rdzeń wszelkiego życia, dopiero możemy pojąć wszystko, co było i co jest i co będzie. Albowiem cały obraz stworzenia dotychczasowego staje przed nami jako wiekowa praca ducha, który szedł po szczeblach form do najwyższej dotąd formy człowieka (Genesis z Ducha). Co się przyrodnikom — materyalistom ze strony formy tylko odkryło, to poecie-filozofowi staje się jasnem w świetle duchowem. Ciągła ewolucya gatunków jest nie warunkami tylko zewnętrznymi spowodowaną przemianą, ale jest wynikiem twórczości ducha. Kiedy duch w rozwoju swoim rozpiera niejako formę, która mu dotąd była wystarczającą wtedy niby w uciśnieniu i tęsknocie podnosi prośbę

do Stwórcy, składa w ofierze gotowość obumarcia w niższej formie i wtedy dostaje moc wzięcia i stworzenia formy wyższej: „Jedno więc ofiarowanie się Ducha na śmierć, uczynione z całą potęgą miłości i woli, wydało potomstwo niezliczone kształtów, cuda tworów, których ja dziś usty ludzkiemi nie wyliczę Tobie, Panie, ale Ty wiesz o wszystkich, żadna bowiem forma następna nie urodziła się z poprzedniej bez wiedzy Twojej. Tyś ducha pragnącego wziął wprzódy w ręce Twoje, wysłuchałeś dziecinnych żądań jego i podług woli kształtem go nowym udarowałeś. A mądre i dziecinne zarazem są te kształty. Każdy albowiem Duch długiem cierpieniem w domu swoim i niewygodą jego doczesną utrudzony: wiedział i ze łzami prosił Cię, Boże, o poprawę jego ścian nędznych; a czy te były z perły czy z dyamentu, zawsze coś ofiarował Tobie, Panie, z przeszłych wygód swoich i ze skarbów swoich, aby wziął więcej dla Ducha wedle jego potrzeby“ (Genezis z Ducha). — I tak staje Duch w wolnem współdziałaniu z Bogiem w dziele stworzenia. A kiedy przyszedł dzień szósty, kiedy duch w naturze wstępował na najwyższy szczebel doskonałości, wówczas danym mu jest najwyższy kształt człowieka. Cudownym jest obraz tej modlitwy całej przyrody o człowieka: „A teraz, o Boże, czuję tę całą duchem już przeciążoną naturę, że woła do Ciebie najdoskonalszemi usty o formę ostateczną, człowieka; albowiem wie ona, że przez podniesienie jednego ducha podniesionem jest w najodleglejszych kończynach całe stworzenie. Oto na ostatnią modlitwę, dla ubłagania Twego, o Panie, drzewa ubrały się w najpiękniejsze owoce i kwiaty; aby Ci zasługę i pracę ducha o najdoskonalszych formach pokazały. Oto najdumniejsze twory zeszły się na łąkę Edenu, zapomniawszy o żądzach i wściekłościach i krwiożerstwie, modlitwą w duchu podniesione, westchnieniem ducha wzbite nad własną naturę. Oto zlecieli się orłowie z orszakiem girland łabędzich i żórawich i stanęły na niebiosach, otoczone kręgami migocących się ptaków, niby dwór Twój anielski, niby udają otoczenie tronu Twego przez tęczowe Anioły. I była to jedyna chwila spokojności i Edenu na ziemi, i oto Ty Panie wywołałeś go ku sobie tego ducha, który już był wart ludzkości, wy-

słuchałeś, osądziłeś i pozwoliłeś mu wziąć formę nową na ziemi, a w ciało jego jak w jedną księgę wpisałeś wszystkie tajemnice dawnej przedludzkiej pracy“ (Genezis z Ducha).

Taką jest nauka jedności ducha we wszechstworzeniu. Kiedy jedność cielesna obniżała najwyższy twór przyrody, człowieka, do znaczenia udoskonalonego zwierzęcia — to objęcie wszystkich tworów jednym niby sznurem duchowego rozwoju, przeciwnie podnosi je na wysokość różnie tylko udoskonalonego ducha i zbliża wszystkie i brata z sobą. I staje się wprost niezbędnem następstwem panteistyczne pojęcie całej przyrody. Słowacki panteizm podnosi jako „prawdę początkową w duchach ludzi“ – ale nie jest to panteizm niemieckich filozofów, jednoczący Boga z naturą, a przez to właściwie ateistyczny w nieuznawaniu Boga osobowego. Panteizm Słowackiego to głębokie, poetyczne odczucie życia duchowego w każdym — choćby martwym pozornie przejawie natury. Dusza głęboko wczuwająca się w naturę, wrażliwa na każdy szum fali i świst wichrów i spojrzenie drzew i kwiatów, wszędzie czuje życie ducha. Tak też poeta sam tłumaczy swój panteizm: „Cóż było to nagłe umiłowanie natury przez poetów, aż do przesytu głoszone... zaprawdę nie formę kamieni ani pnie i kawałki drzew ukochać powoływała poezya... ale ducha który jest wszędy“...

A jako siostrzyca panteizmu — z tego samego łona wyszła — staje obok niego metempsychoza: Jest ona dla poety wytłumaczeniem tajemnicy życia doczesnego, które się przez ten pogląd staje wytworem ducha — i znowu tylko „przez ducha i dla ducha“ jest i pojęte być może, jako jeden z szeregu szczebli, ku pełnej doskonałości ducha wiodących. Śmierć — to owa zasłona, za którą Bóg sprawiedliwość duchom wymierza, to niby ogniwo wiążące jedno życie ziemskie z następnem — to chwila, w której duch, rzucając dotychczasową powłokę cielesną, gotuje się do wzięcia innej, będącej ścisłem następstwem poprzedniej. „...Duch, zło cielesne czyniący na świecie, sam tworzy formę piekielną, w której zło swoje odpokutować musi... Kto pierwszy brata swego w poddaństwo zapisał, stworzył zarazem cielesną formę poddaństwa, która dumnemu jego duchowi na ra-

miona następnie włożona, będzie jako owe płaszcze ołowiane, pod któremi w piekielnych Danta obrazach duchy do ziemi przyciśnione, kroku uczynić nie mogły... Dopóki taka forma ucisku potrzebną będzie dla dumy i złości duchów potrzebujących poprawy... nie zniszczą jej żadne prawa i polityczne urządzenia — w nazwisku odmieniona — w niewolnictwie się rzemieślników pokaże... zawsze piekielna... zawsze przez dumne duchy z trudnością i z rozpaczą zmorzona... Bo nie cierpi duch, jeżeli się w sobie wyższym nad stan nie czuje, a uczucie to jest skutkiem uprzedniej Ducha natury". (List do Rembowskiego).

Jest w tych słowach znowu nacisk położony na początek wszystkiego w duchu. Doprowadza to poetę do zupełnie odrębnego ujęcia wszelkich przemian społecznych czy politycznych, całego wogóle postępu. Przypatrzymy się temu bliżej potem — na razie zauważymy, że w wyrażonym powyżej poglądzie na związek żywotów ziemskich w jedności wcielającego się ducha, Słowacki najbardziej się zbliża do myśli Towiańskiego. Niewątpliwie w pierwszych czasach poznania się z Towiańskim — poeta, pogrążony zawsze w tajemnicach duszy, czerpał wiele światła, tych właśnie rzeczy dotyczącego. Widoczne to z tego, co pisze do matki w pierwszych czasach bliższej z Towiańskim znajomości, iż „człowiek jeden, jaśniej wiedzący rzeczy Boskie, odkrył niezgłębioną prawie czeluść przyszłości, w której wszystko się to znajduje, cośmy śnili, ale logicznie powiązane — ale religijnie..." I dalej pisze, widocznie streszczając to, co od Towiańskiego usłyszał: „Bo świat jest cały fabryką ducha, wyrabiającego w sobie miłość dla Boga... więc wszystko stworzenie ma to za cel... a nie kończy się to na człowieku, ale idzie wyżej i tak kolumna ta duchów kończy się na najczystszych, na najbardziej wyrobionych, najwięcej miłosnych; więc można nie iść do celu Bożego, ale bawić się, robiąc różne rzeczy, ale życie takie nic nie pomoże. Można się wrócić nawet, ale życie takie jest grzechem"; „bo duch każdy" — wyjaśnia poeta dalej — „ma swoją missyę na ziemi, zawiązuje stosunki z podobnymi duchami, bez ciała już będącemi, które także podobną missyę miały i o dokończenie jej dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z niemi,

a one wtenczas nam dają natchnienia, a według naszej wiary i czystości coraz wyraźniej je mówią do serc, a potem nieraz do uszu i oczu... Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami i to jest obcowanie świętych, którego księża nie mogli nam wytłómaczyć, to jest wlać go w wiarę naszą".

Przytoczyłem cały tu ustęp, dla poglądów poety od tej chwili ogromnie ważny. Cała następna twórczość jego opiera się na wyrażonych tu ideach. Człowiek w ciągłym związku ze światem duchów, wespół z nimi pracujący nad zrealizowaniem prawa Bożego. Idea metempsychozy jeszcze nie tak wyraźnie jak później wypowiedziana („można się wrócić nawet") — połączenie wszystkich stworzeń w jednym celu duchowym, które w dalszym rozwinięciu doszło do panteistycznego objęcia wszelkiego życia (w sensie wyżej zaznaczonym) — wszystko to, tutaj niby w za rodzie, odnajdujemy potem w pełnym rozkwicie we wszystkich wybitniejszych utworach poety, od ks. Marka do Króla-Ducha. Że to jest wzięte z ust Towiańskiego, jasno widać, choćby ze sposobu, w jaki Słowacki w liście, jakby pod bezpośredniem wrażeniem, myśli te oddaje. Niektóre nawet wyrażenia, częste u Towiańskiego, a w późniejszych pismach poety chyba się nie powtarzające, tu właśnie się pojawiają (n. p. „fabryka ducha"). Ale — rozumie się — poeta przejął się myślami temi dlatego tylko, że (jak sam powiada) ujrzał w nich jasnem i celowem to, co „śnił" nieraz; zobaczył w nich (jak mówi) „gwiazdy swoje". Towiański wzrokiem rozjaśnionym czystą i silną wiarą, umiał patrzeć w głąb dusz ludzkich i wyczytywał w nich jasno to, co dla nich samych mgłą było osłonięte. Dlatego tyle dusz obudził i umocnił. Słowacki ku tajemnicom ducha zawsze się chylący, kiedy ujrzał w nich nawet to, do czego najbardziej prawie nieświadomie, poprzez rozpaczne zniechęcenie tęsknił: siłę życia — odrazu je wziął w siebie i pogłębiając i przetwarzając skrzesał z nich nietylko światło dla swoich przeczuć duchowych, ale nadto zaczerpnął z nich, jak ze źródła nowego życia, nowego stosunku do Boga i ludzi. Ale zanadto był samodzielnym, zanadto odrębnym geniusz poety, żeby te myśli mógł był wziąć jako gotowe i podaną mu formą się zadowolić. On, który w przeczuciu później-

szych prawd swoich snuł malownicze obrazy zaświata, a (w Anhellim) znaczenie ducha indywidualnego podniósł najwyżej, nowe to tło dla snów swoich i przeczuć po swojemu zapełnia i ożywia. I nigdy myśli te tak wyraźnie i żywo nie przejawiły się w pismach Towiańskiego, który zresztą oddał się cały praktyce Słowa Bożego i wzywaniu do niej, jak w tych właśnie ostatnich utworach poety.

Poeta tworzy tu pełną filozofię ducha, tem bowiem są jego rozważania, a jako zasadnicze jej prawo kładzie ciągłą ewolucyę. Dla najwyższej formy duchowej — dla człowieka — ewolucya ta stała się konieczną od chwili upadku, grzechu pierworodnego. To, co Słowacki mówi o grzechu pierworodnym, wyraża właściwie myśl, że było w nim odstępstwo od wiecznej prawdy celu duchowego, a było wzięcie przed się celu wyłącznie cielesnego, odtwarzania formy. Przeto światłość duchowa, którą miała daną od Boga pierwsza para ludzi, zagasła — rozpłomieniła się w człowieku nieczysta siła ognia. I odtąd celem i drogą ewolucyi człowieka jest powrót do światłości. A jak cała ziemia uległa skutkom upadku człowieka, tak się też cała podniesieniem jego ku światłu uświęci i oczyści. W tem znaczeniu mówi poeta (w liście do Rembowskiego): „powiedzmy więc, że cel duchowy ludzkości jest atmosferycznym celem globowym, przemienieniem tej ziemi w słońce...“ I znowu zatem owa myśl o jedynie ważnym, a ostatecznym celu: dla ducha i przez ducha, a w nim do światła. A święty Jan już powiedział, kto jest oną światłością prawdziwą, „która oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego“. Poeta też nieinaczej pojmuje ten pierwiastek światła: „Moc duchowa Chrystusowej natury jest ideałem naszego kształcenia się... a zlanie się mocy naszych w jedności siły sakramentalnej Chrystusa jest przyszłą globupotęgą“ (List do Rembowskiego).

W tej ewolucyi zaś cokolwiek było, to było fazą konieczną, wyrażającą część prawdy i było pięciem się ku tym najwyższym objawom, które w chrześcijaństwie się spełniły. Tak Niepokalane Poczęcie było przez ciąg wieków przedmiotem utęsknienia ducha ludzkiego, aż znalazło w Najświętszej Pannie zaspoko-

jenie. „Podobne przeczucie było o Wniebowstąpieniu z Ciałem Chrystusowem.“ W całej wierze pogańskiej było wyrażenie istotnych prawd religijnych pod postacią, na jaką się mógł był zdobyć duch na owym szczeblu rozwoju.[1]) Stąd ten przepiękny obraz w Królu-Duchu, kiedy to bogi pogańskie odchodzą, ustępując miejsca wyższej wierze — stąd też tam ów głęboko panteistyczny wykrzyk: „po gadach nawet smętno — gdy odchodzą“!... (Rapsod IV pieśń 2). Albowiem najwyższe objawienie, ku któremu szła ludzkość, objawienie Chrystusowe — nie odrzuciło żadnej prawdy, a tylko każdą podniosło i spełniło w idei i wzorze. Po Chrystusie ludzkość ma jeden cel przed sobą: prawdę objawioną dopełnić i spełnić w duchu i ciele. Metempsychoza i panteizm, narzędzia ducha w tej pracy, stały się więc niby „poddankami Chrystusa“, „gotowe pokłonić swoje indyjskie słoneczne głowy przed słońcem celów ostatecznych“...

Nasuwa się tu porównanie, które też do oświetlenia myśli tych Słowackiego przyczynić się może, porównanie z poglądem Schopenhauera na wolę, jako istotę wszechrzeczy i jej kolejne objektywizowanie się. Zupełnie tę samą rolę, co tutaj duch, spełnia u Schopenhauera wola, w tożsamości swojej przejawiająca się w świecie ciał i zjawisk; jako fazy czy typy kolejne tej „objektywacyi“ występują idee (w sensie platońskim). I u niemieckiego filozofa jest ewolucya, która idzie naprzód dzięki walkom ciągłym między formą wyższą a niższą. Idea człowieka jest najdokładniejszem i najpełniejszem uprzedmiotowieniem woli, ale sama jedna nie wyraża jeszcze jej istoty: „Idea człowieka, ażeby się w należytem znaczeniu okazać, nie mogła się wyrazić sama i w oderwaniu od innych, ale musiała wystąpić w towarzystwie szeregu kolejno w dół idących kształtów zwierzęcych, roślinnych aż do świata nieorganicznego: one to wszystkie razem uzupełniają się dopiero do zupełnego zobjektywowania woli; są one takim warunkiem wstępnym idei człowieka, jak względem

---

[1]) „Żadna wiara nie była fałszem, ale podniesieniem wyższych duchów, danem do wierzenia niższym; fałszem świata jest tylko brak wiary t. j. brak podniesienia się duchowego“. (*Z zapisków poety*).

kwiatów na drzewie liście, gałęzie, pień i korzeń: tworzą one piramidę, której szczytem jest człowiek“ [1]).

Podobieństwo myśli widoczne — różnice chyba nie mniej. Słowacki skalę hierarchii ducha prowadzi, aż do najwyższego szczebla — Boga, który zarazem (jak widzieliśmy) kieruje rozwojem form duchowych przy współdziałaniu samych duchów.

A nadto — moment to bardzo ważny — sprężyną, motywem wnętrznym tego rozwoju ku celom ostatecznym idącego — jest tutaj ofiara.

Widzieliśmy, jak jedna forma z drugiej tylko przez ofiarę ducha wyjść mogła. I oto tu moment łączący te niby duchowe tylko rozmyślania z realnem, widomem życiem na ziemi. Prawo dotychczasowego rozwoju wskazuje drogę dalszego. „Oto w księgach tych“ — mówi poeta w „Gen. z Ducha“ — „...zapisane jest wyraźnie prawo następnej twórczości, to jest ofiara.“ Przez nią zdobyta być może owa „słoneczność“, która jest — jak widzieliśmy — szczytem „następnej twórczości.“ A niema być to tylko poczucie wewnętrzne, — owszem: „oto duchowie przyszliśmy pod prawem formy to jest moce nasze duchowe nieskończone wyobrazić się muszą ciałem a zasługa nasza ma być w czynie.“ Wołanie o czyn, o wcielenie idei, tak znamienne dla całego naszego mesyanizmu wyraża się teraz u Słowackiego siłą wielkiego pragnienia. „Nam bracie mój“ (pisze do Ludwika Norwida) „nam duchom nieśmiertelnym, od wieków pracującym, dobrze nie będzie, aż anielstwo nasze uwidzialni się na ziemi i w ciałach stwarzanych przez nas uwidoczni się.“

Więc tem jest szczególna mistyka naszego poety, że z niej właśnie bierze bodziec i niby duchowe uzasadnienie do zajęcia się najbardziej realnemi zjawiskami życia codziennego. W ostatnich czasach wypowiada niejednokrotnie w listach do Matki i wuja Teofila zdanie swoje i uwagi, jak powinni stosunek do włościan i sąsiadów ukształtować, jak zajmować się rolą, gospodarstwem i t. p. Z rozmów z Helionem i Heloisą (w t. zw. „Wykładzie Nauki“) widoczna, że wychowanie dzieci pojmuje jako niezmiernie

[1]) Die Welt als Wille „Vorstellung“ t. I. ks. II.

ważny obowiązek: „Aby matki więcej ducha poczuły w dziecku i więcej go ukochały, niż ciało, któremu także pieczy przyzwoitej odmówić nie należy...“ „...Sam będę takim, jakim chcesz, aby rodziły się dzieci twoje... a nie prędko, ale po pracy wieków ukaże się w ciałach ten logiczny porządek, który teraz błąkaniem się wiekowem popsuty widzialny świat czyni podobny domowi waryatów i karykatur“. A dla tych wszystkich myśli poeta bierze racyę właśnie ze swej wiary, że „od jednej plamy duchowej cała nieśmiertelność ducha często zależy...“

Jest w tem głęboka wartość moralna tych myśli, która je wznosi ponad inne podobne. Jest znowu żywe stwierdzenie wielkiej prawdy, że najgłębsze rozważania duchowe zawsze w najściślejszem są połączeniu z codziennością i tylko jej wieczne tło poddają. A razem jasno teraz widzimy, że poeta cel duchowy wystawiając, nie dąży do zgnębienia ciała, ale niby w myśl hasła św. Franciszka „*Gaude frater corpos*“ chce je podnieść na wysokość brata duchowego i do wspólnej z duchem pracy usposobić.

Związkowi temu myśli swoich z życiem poeta daje wyraz w działaniu swojem na emigracyi [1]). A nic lepiej, jak to jego działanie, nie świadczy o wielkiem skupieniu jego ducha, niby rozżarzonego ogniska, z którego każdy czyn swój zewnętrzny wyprowadzał. I tutaj bowiem przejawia się tylko najgłębsza myśl jego, iż wszystko dla ducha i przez ducha jest...

Słowacki nie dawał zbyt daleko w szczegóły sięgających wskazówek. Ale też nie to jest zadaniem wielkiego ducha: on rzucał myśli, daleko poza kres chwilowej możliwości sięgające, w których jednak była i dla tej chwili pewna norma, jakby wskazanie toru prawidłowego. We wszystkich myślach i czynach, noszących na sobie piętno geniusza, daje się zauważyć to co ludzie, niezbyt daleko widzący, nazywają „niepraktycznością.“ W istocie jest to tylko niezgodność z tymi warunkami, które są a które jeszcze na wysokości, przez geniusza dojrzałej, nie stanęły. Przez

---

[1]) Do tego działu poglądów odnoszą się szczególnie następujące pisma: Do ks. A. C., Do Emigracyi: O potrzebie idei i in.

czyny i myśli wielkiego ducha prześwieca zawsze cel, ku któremu życie wznosić się winno — ale też tylko cel; drogi i środki samo musi wybrać.

W myślach skierowanych do życia narodowego, Słowacki oparł się całkowicie o ideę wolności ducha; w niej widzi ideę polską, która się przez ciąg dziejów narodu snuła nieświadomie lub na pół świadomie, w niektórych urządzeniach i prawach przejawiając się szczególnie silnie. Takiem było „veto", które „od anioła iść powinno" a — tak pojęte — było dowodem, że „u ojców naszych jednomyślność z ducha nie była niepodobieństwem, a świętość i wola jednego obywatela uszanowaną była przez wszystkich"; taką była konfederacya, „forma, której naturą jest jedność"; płynąca z wolnego zrzeczenia się duchów... Z takich fundamentów mieli ojcowie wznieść gmach ojczyzny, a „niedotrwanie w tym duchu świętym obalało ojczyznę starożytną". Rzecz jasna, że w takim duchu pojęty naród grzeszył najcięższej wszelką nierównością społeczną. I poeta ucisk ludu za taki też grzech najcięższy poczytuje „Ojczymowstwem względem ludu" — woła w „Głosie z wygnania" — „stali się niegodnymi tej łaski" (t. j. wielkiego posłannictwa swego) a zwracając się do szlacheckiego rodu napomina: „Ty i lud wiosek twoich niechaj będą jak rodzina poświęcona prawem Boga" [1]).

Jak dalekie są te myśli od tego, co się dziś powszechnie demokracyą nazywa wydaje się prawie niepotrzebnem wyjaśniać, trzeba bowiem odróżnić demokracyę jako formę społeczną od demokracyi jako ideału społeczno-filozoficznego. Pierwsza żąda tylko zniesienia wszelkich różnic wobec prawa, opartych na różnicach cielesnych — druga jest ideałem żądań ludu i dąży w gruncie rzeczy (jak to dobrze poeta określił) do „postawienia cielesnego wszystkich pod jedną miarę, podług średniej ludzkiej urody zrobioną." Ostracyzm ateński względem wszystkich wybitniejszych mężów to szczytny wykwit tego ideału, a zarazem doprowadzenie go do absolutu. Poeta nasz czuł dobrze tę różnicę i dlatego nazywał się zawsze „republikaninem z ducha."

---

[1]) „Tydzień" — dod. liter. „Kurj. lwowskiego" — z r. 1894.

Albowiem właściwym ideałem społecznym poety, w którym zbierają się wszystkie myśli jego o narodzie i społeczności ludzkiej, jest: na miejsce hierarchii ciał zbudować hierarchię duchów, raczej dać jej — pod „mękę ciał“ leżącej — kształt na świecie widomy. Tak bowiem „duch — wieczny rewolucyonista“ w ciągłym ruchu zdobywa sobie te wolności i w formie i „porządkiem prawdziwym cielesnym objawić się pragnie.“ Republika ducha czyli wolna wspólnych duchem społeczność [1]), gdzieby „duch wyższy nie służył niższemu“ — to zatem właściwa forma społeczna i rządowa dla narodu polskiego i ludzkości cel ostateczny rozwoju społecznego. Albowiem „jest... hierarchia duchów walcząca z hierarchią postawioną z ciał na świecie, z której to walki wychodzą wszystkie wojny, zamięszania, rewolucye — i te nie skończą się, aż na hierarchii duchów zbuduje się wszelka forma...“ [2]).

Dlatego — jak wobec jednostki jedynem pragnieniem jego było obudzenie w niej wielkiego prądu duchowego — tak dla narodu ma jeden cel, ażeby „ciągle ku celom ostatecznym jak mara przez gwiazdę miesięczną“ był podnoszony. Nic się nie niszczy, co w tym pochodzie naród jako przejściowy utworzył ideał — ale ponad wszystkimi tymi cząstkowymi ideałami postawić trzeba jedną najwyższą ideę, „w celu ostatecznym stworzenia całego zamkniętą“, która wszystko jako „wielka duchowa śruba“ będzie obracała w krew jedną i w siłę narodu.

Tak się zespala w duchu, wypatrującym tajemnicę żywota, powszechność z jednostkowością. Duch indywidualny odrębną misyą obdarzony, żyjący swojem, odrębnem życiem, jednak tysiącznemi ramiony wnika i wtapia się w powszechność ducha. A naród, jako całość indywidualna w ludzkości ma jednak głęboki wnętrzny związek z całem stworzeniem i w niem odnajduje siebie. Więc poeta, odsłaniając w „Królu-Duchu“ „tajemnicę początku i końca — alfę i omegę świata“ dodaje: „a zatem i ojczyzny.“ Albowiem jest w świecie ducha dziwna harmonia współ-

---

[1]) „Wszyscy mamy w sobie ducha wspólnictw.“ („Wykł. nauki“).
[2]) „Wykł. nauki“.

brzmienia: „a nic się duchowego na świecie nie stało, bez potrącenia całej masy duchów, całej tej harfy strun, aż do ostatniej struny, jęczącej po dziecinnemu w materyi.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Droga Duszy.

19. kwietnia 1901. L.

. . . .

...Z dawnych czasów wspomnienia mniej lub więcej jasne. Jeśli, które są coś warte, to tylko dlatego, że treścią swoją i odczuciem łączą się niewidzialnie z obecnem i przyszłem mojem życiem.

*
* *

Od niejakiego czasu ściga mię ciągle myśl prowadzenia dziennika. Nie wiem dlaczego dawniej tego nie rozpocząłem; tak samo, dziś sobie jasno nie zdaję sprawy, dlaczego pióro wziąłem do ręki.

Zdaje mi się tylko, że to najlepszy sposób rozmowy ze sobą. Takie ciche i częste skupianie się we wnętrzu może mi wiele przynieść korzyści, może mi wypełnić nieznośną i czczą próżnię, przez jaką często przechodzi mój umysł. Przeczuwam, że przez taką rozmowę zrównoważę niektóre stany anormalne mojej świadomości, że na tej drodze będę mógł łatwiej wyłowić motywy pewnego, czasem bezwiednego postępowania, które mię nieraz tak dręczy.

Nadewszystko pragnę ostrzej zbadać moje własne ambicye, dręczące mię widziadłami przyszłości.

Te ambicye młodociane, przy treści mej świadomości obecnie skąpej, a przytem mętnej, zmysłowo mętnej, wytwarzają w mym umyśle kropkowane luki, osłupiałe i tępe pytajniki. Pragnę i coś przeczuwam, równocześnie czuję się przytłumionym i zmęczonym jakimś ciężarem. Przed oczyma przesuwa mi się

orszak wspomnień, które należą do nieproduktywnej przeszłości. Ile to szczerych chęci, zapałów, woli i energii — zastygłych.

Jednakowoż słyszę jakieś echo zagrzebanego wnętrza — nadzieję, że gdy zobaczę sercem swą duszę, o ile mi na to świadomość pozwoli, przejrzę tajemnicę dawnych błędów, tajemnice jej pragnień i jej ścieżek utajonych życia.

Dziś nie odczuwam jej istnienia i dlatego błąkam się w próżni i nie czuję tworzenia się życiowego moich pragnień.

*
* *

Żyć w sobie, a nie dla siebie; ciekawym, czy to frazes, czy głos jeszcze dla mnie nie zrozumiały z poza ciemnych chmur osłupienia.

20. kwietnia.

Niejasne dziwolągi snują mi się w świadomości. N. p. zdaje mi się, że ludzie sobie prawie zawsze zawadzają, że są roznosicielami skrupułów, lub samymi skrupułami, krępującymi innych, lub siebie samych. I wszystko, co nie jest człowiekiem — zwierzęta, rośliny, natura cała, wszystko, co nie zna mowy ludzkiej i ludzkich skrupułów moralnych, estetycznych, społecznych i t. d., wszystko to jest dla mnie miłe i jestem pełen ufności i dziecięcej śmiałości życia.

Wczorajsza myśl: życia w sobie a nie dla siebie — zdaje mi się — ma ścisły związek z dzisiejszemi dziwolągami. Wiem, że ludzie żyją dla siebie, że żyją dla drugich. Wiem i odczuwam nędzę życia pierwszych, nie ufam życiu drugich, bo nie wiem — skąd płynie i co przynosi siła ich życia drugim. Wiem, że kodeks moralny pierwszych potępia, a drugich pochwala, lecz nie znachodzę normy moralnej dla tych, którzy żyją w sobie.

Kodeks moralny określa stosunki pomiędzy ludźmi i to tylko zewnętrzne, chociażby mówił o moralności piękna, dobra, miłości i t. p. objawów psychicznych.

A któż określa stosunki wewnętrzne, pomiędzy ludźmi, o których nie umiem nic więcej powiedzieć, ponadto, że istnieją.

I zdaje mi się, że nie mogą być ustanowione normy prawie dla tych stosunków. Żeby je poznać i czerpać z nich wyższą

siłę życiową, trzeba żyć w sobie a nie dla siebie. Cóż to znaczy? Zdaje mi się, że jest to takie życie, które pozwala zrzucić ze siebie wszelkie więzy zewnętrzne. Najbrutalniejszym węzłem jest dążność życia dla siebie.

Jeśli na chwilkę przyciszę swoje ja zewnętrzne, czuję olbrzymią pustkę i czczość. Czuję jakieś ciężary i łachmany wgryzające się w napół świadome wnętrze. Czuję, jakby zapadanie kamienia grobowego za każdym obrotem klepsydry i jakieś instynktowne napięcie przeciw niemu, idące z nieznanego mi wnętrza.

Olbrzymia pustka i czczość!..

Czym kiedy przyciszał swoje ja zewnętrzne? Było ono ciche, gdym był jeszcze dzieckiem, nie wtajemniczanem w kodeksy. Potem coraz bardziej mię kodeksy materyalizowały, i począłem zdobywać życie dla siebie.

I to, co duszą się nazywa, zamiast zbliżać się do powierzchni życia, zapada gdzieś w ciemne groby potępienia życiowego. Czasem tylko i to bardzo rzadko, w chwilach, jakby jakiejś przestrogi, dolatują mnie głębokie, rozpaczliwe, łachmanami i głazem przytłumione westchnienia. Te dziwolągi, myśl powyższa prowadzenia dziennika, ta myśl życia, którą wczoraj intuicyjnie odczułem, to nic innego, jak westchnienia duszy, odległej o tysiące mil od mego zewnętrznego życia dla siebie.

Dlaczego czułem nieraz trwogę przed tymi grobami żywymi, pozornymi tworami natury? Bo i z nich wieją westchnienia rozpaczliwe zagrzebanych dusz, lub mrozi cisza już śmiertelna.

Żyć w sobie nie dla siebie.

Trawą pozornej natury porosły głaz grobu; podnoszę murawę i widzę napis: odgrzebać grób, bo w nim nie trup, lecz dusza w letargu naga...

. . . .

To moje zastygłe chęci i zapały ryły niewidzialnie w chwilach przestrogi ten napis, tylko trawa pozornej natury go przykryła. Zabieram się znów do wyrywania trawy i stawiam tem samem konieczny postulat do innego życia, które intuicyjnie przeczuwam, jako wewnętrzne. Postulat ten konieczny, a tak obe-

cnie przerażający jak jęk najdroższej osoby, usłyszany po jej śmierci z za głazu grobowego.

Gdym ten napis ongiś odgrzebywał z braku sił do podniesienia tego głazu upadłem pod przerażającem wrażeniem, zdobywszy się tylko na rozpacz. Mój Boże! czy mi teraz sił stanie?! ....Im więcej upadków, tem więcej łachmany i głazy zagradzają okna duszy.

22. kwietnia L.

Instynktowną trwogę czuję przed poetyzowaniem życia, zwłaszcza własnego. Przeczuwam w takiem poetyzowaniu truciznę urojeń i marzeń, narkotyk ja zewnętrznego, przeczuwam odporność przeciw zrzuceniu balastu moralnego. Taka chytra i utajona oporność utrudnia nadzwyczaj samokrytykę, tembardziej, jeśli się nie jest świadomym całego mechanizmu sił psychicznych, na których należałoby oprzeć samokrytykę.

Zdaje mi się, że samokrytyka, n. p. w duchu Sokratesa, wymaga pewnego stanu psychicznego, podwójnego. Rzecznikiem jednego z tych stanów jest to dajmonion intuicyjne, które jest echem głosu, wychodzącego z poza ja zewnętrznego – a może głosem zupełnie nie osobowym.

Wprawdzie patologia psychologiczna uważa te stany świadomości za pewien rodzaj chorobliwych halucynacyi. Może ma racyę, jeśli akt „gnoti se auton" wywołuje pewne stany halucynacyjne, których ja jednak nie uznaję za anormalne, chorobliwe, lecz owszem widzę w nich wyższość ponad naszymi normalnymi codziennymi stanami świadomości.

To sokratesowskie dajmonion czyni jaźń zewnętrzną skromniejszą i czystszą.

Za słaby jestem w swych siłach, bym mógł analizować tak subtelne stany duchowe, bym mógł wniknąć w te nieskończone głębiny psychy, w jakich królowało Boskie Chrystusowe „Ja", które swą potęgą, zda się, naturze imponowało, ziemię i niebo swą intuicyą przenikało. To są skarby, których odczarowanie należy do wszystkich wieków, do ludzkości całej. Zresztą nie jestem pewny, czy istotnie potrzeba być subtelnym, by wniknąć w głębie ducha, a może owszem potrzeba się wyzbyć owej subtel-

ności, bo to jest może chytrem ucztowaniem „ja zewnętrznego“ Zdaje mi się, że wystarczy tylko wzbudzić w sobie to, tajemnicze daimonion i to jest ideą zupełnie normalne skutki wywołującą, bez względu na skrupuły zewnętrznej ślepoty.

W ideę tę pragnę wierzyć coraz silniej, aż do chwili, w której wiara nie przejdzie w jasne i szczęsne poznanie prawdy.

Powinienem teraz postawić pytanie: jaka droga prowadzi do tego najpewniej i najprościej?

Pytanie to nie wydaje mi się łatwem do rozwiązania. Wiem, że każda droga ma swój kierunek i swój początek. Wiem również, że drogi mogą mieć punkta rozstajne, jak w mycie o Herkulesie. Wiem nadto, że droga być może równa, lub kręta, stroma, lub pozioma, wąska lub szeroka, jak w mycie o Edypie.

Lecz są to wiadomości zaledwie elementarne. Z niemi nie mógłbym się puścić ne fale burzliwe życia. Trzeba wziąć z zapasów trwałych, które tylko natura dać może. Są to zapasy miłości, energii i myśli. Nie wiem, czy je słusznie i wszystkie wyliczam, bom za mało jeszcze przeżył; jednak wyliczam je dlatego, bo czuję ich brak największy, i mara tych pustek wgryza się za bujczo w mój organizm fizyczny i umysłowy. Szukam przyczyny tych braków, szukam winy czyjejś i gubię się, nie wiedząc, skąd zacząć. Zdaje mi się, że zanadto od natury odbiegłem, że zanadto uległem swemu „ja zewnętrznemu“ i dlatego zatraciłem energię i serce zabrudziłem egoizmem.

Zdaje mi się, że zetknięcie się powrotne z naturą natchnęłoby mię energią walczącego Anteusza, żeby mi serce rozgrzało przeciw egoizmowi tak, żebym mógł wstąpić na drogę odrodzenia. Zdaje mi się, że wtedy znikłaby przedemną ślepota zewnętrzna wszelkich skrupułów.

Przychodzi mi na myśl bardzo ważne pytanie: co jest ślepotą zewnętrzną skrupułów, której mam się wyzbyć? Zdaje mi się, że owa ślepota istnieje wszędzie, tylko nie w naturze. Istnieje rzecz w kodeksach wszelkich, począwszy od religijnego, a skończywszy na naukowym. Z tych źródeł rozlewają się fale ślepoty pośród społeczeństw, rozbijają się na elementarne fale pośród rozlicznych instytucyi, rodzin, ostatecznie obryzgują jednostkę.

I we mnie wniknęła niejedna taka fala. Wszystko jednak ogólnikowo sobie przedstawiam, nie wnikając w szczegóły tak ważne, tak piekące.

Zbyt może jestem śmiały, a względnie chcę być śmiałym; ale zdaje mi się, że tem nie zgrzeszę, bylem się tylko nie zarozumował. Tu punkt rozstajny, i by się nie zatracić, kładę nań silny nacisk. A zdaje mi się, że niebezpieczeństwo grozi mi ze strony własnego ja zewnętrznego. Ja zewnętrzne, rozbestwione śmiałością łechcącą własny egoizm, jest namiętne w potępianiu, bez względu na ducha, chociażby napozór najgorszych rzeczy.

24. kwietnia.

Być obojętnym dla tego, co jest wyższem, ponad „ja" zewnętrzne — jest rzeczą powszednią.

Nie znać wcale tego, jest może rzeczą zwierzęcą.

Nienawidzi zaś tego człowiek nieszczęśliwy, zrozpaczony — przeklęty.

Ukochać zaś to jest rzeczą Boską, rzeczą dla wielu niedościgniona, a jednak... bardzo łatwą, dziecinną.

Zdaje mi się, że geniusz w małej cząstce taką miłość żywi.

25. kwietnia L.

Nie zdolnym do myślenia...

Zdaje mi się, że moje ja zewnętrzne zrywa mi ciągle nici, które uchwyciłem w szczęsnej chwili milczenia.

26. kwietnia.

Ciągle się gubię po drodze, ciągle słabnę, ciemno mi i straszno . . . .

. . Nie wiem, czego się imać, od czego zacząć . . . . Czy mam na to patrzeć, co mi szary świt codzienny przynosi, czy na to, co przeżyłem, lub marzyć o przyszłości? Te marzenia częstokroć tak natrętne, że mię męczą.

Cóż mi szary świt codzienny przynosi?

Otwiera przedemną co dnia bladą rzeczywistość, rzuci czasem zbladły promyk z zachmurnych świtów. I tyle życia i tyle nadziei.

Dlaczego tak mało mię ciekawią dzisiejsze stosunki i ruch społeczny w mętnej życia fali? Przecież nie czuję pogardy dla tłumu, nie pragnę być nad-człowiekiem, bo takie pragnienie wydaje mi się zarozumiałością i przekleństwem. A jednak tak mało interesuję się tem wszystkiem. Tak mało mię obchodzą najrozmaitsze objawy, jakby przyszłych, jasnych świtów; czuję prawie jakąś niechęć do tych mętów, w których jednak tyle szlachetnych duchów pracuje.

Czyżby to był pewnego rodzaju egoizm, nie pozwalający brać udziału w tem, co do mnie należy? W takim razie na mylnej byłbym drodze, wchodząc tylko w siebie. Czy to prawda? Więc moja wiara byłaby błędną, brudną?

Czuję, że tak nie jest. Możeby rzecz według rozsądku przedstawiła się inaczej, możeby logika mię potępiła? Jednak wewnątrz jakieś inne się budzą echa.

Zdaje mi się, że wiara moja nie jest błędną i brudną, bo nie płynie z mego ja zewnętrznego, lecz tryska z nieznanych mi światów przeciw ja zewnętrznemu. I zdaje mi się, że w każdym jest to źródło pierwotne, i tylko należy wejść w siebie, by trysło na powierzchnię świadomości.

Bo czyż wiary można się wyuczyć, czyż można ją sobie wyspekulować filozoficznie, czyż można jej wogóle nabyć z zewnątrz? Zdaje mi się, że nie. Tamtemi drogami chodzi rozum, nauka ścisła, logika, wiara zaś czyż nie jest urodzoną, czyż nie jest przybliżającą się z za światów od wnętrza powierzchnią duszy?

Tylko, że przekleństwo przesądów, zewnętrzności, przekleństwo tego wszystkiego, co jest brudnem w nauce, w sztuce, we wszelkich kodeksach przeciw tej wierze prądem opornym płynie. Kto zbyt się oddaje ja zewnętrznemu, pije jad tych przekleństw, opętany brudną namiętnością życia. I łudzi się nadzieją potęgi i szczęścia.

A czyż jest coś potężniejszego i bardziej boskiego ponad to, co przez wiarę w sobie zdobyć można?

Ona jest potęgą, przed którą natura swój majestat chyli, przed którą drży instynktownie despota, krzywdziciel.

A cóż jest osią dziejów ludzkości i jednostki?

Zdaje mi się, że wiara, jeśli nie świadoma, to utajona.

Zdaje mi się, że rozum mniej obejmuje, posiada granice. Wiara — zdaje mi się — jest powierzchnią duszy; przepuszcza światła z za granic rozumu.

Taką wiarę przeczuwam nieświadomie, jakby we śnie, ale jeszcze nią nie żyłem i nie żyję. Jednak chwieje się już gmach dawnych skrupułów i zacietrzewień samolubnych. Wprawdzie ja zewnętrzne pędzi ciągle rozum i rozsądek do poprawek i przytrzymania gmachu, łasi się pieszczotliwie do nieznanych potęg wiary brudem lenistwa i innych nałogów. Pryska jadem ironii przeciw domniemanemu marzycielstwu, grozi nędzą zmarnienia inteligencyi, przekonywa radami o złudzeniu i urojeniach.

Jednakowoż śmiem pytać rozumu, skąd jego ścieżki wychodzą, skąd czerpie to, czego nie rozumie, a na czem sam się opiera? Lecz niestety, zbyt przywykłem do jego powagi, głoszonej we wszelkich rzeczach.

I teraz mi grozi — ja twą wiarę rozbiorę i pozytywnie wytłumaczę! . . . .

Nie słucham go, bo już widzę, że inaczej on wiarę rozumie, niźli ja odczuwam.

On się śmieje z mych napół świadomych stanów, ale hula!

. . . . Czuję także, że nauka prawdziwa, czyli poznanie natury absolutnej wtedy stanie na swym poziomie, kiedy my wiarą dosięgniem naszego poziomu. . . . .

. . . .

Chrystus patrzył przez wiarę w duszę i przez wiarę w niej zaklął twórczy symbol swej ofiary. Jego Boska Istota jest dla nas tym ideałem przyszłej naszej Boskości.

Czyż kierunek ten myśli zwali dawny gmach, czy odgrzebie nowy zdrój?! Rozumie! powiedz! — a może za mało fosforu w twem laboratoryum?

27. kwietnia.

Po wołaniach następuje cisza, zanim echo głosu powróci.

. . . .

28. kwietnia.

Wiaro! wiaro! gdzie jesteś, wzgardzona przed własnym ołtarzem?!

Kiedy wzbudzisz ducha do czynu?!

Jam bez ciebie słaby i drżący, bez nadziei: Czynu nie dokonam; rozum spleśnieje i zamrze.

Światło mi gaśnie przed oczyma i we mgle szarej widzę tylko nudę powszednią, czasem wstręt do wszystkiego, a czasem marę senną, przykrytą ciężkim, wstrętnym łachmanem.

Kiedyż twój ołtarz zapłonie światłem uwielbienia?! . . . .

. . . .

Przed oczyma memi kłębią się mary życia i śmierci z przekleństwem szczęścia, zwątpienia i rezygnacyi. Jedne pędzą opętane żądzą szczęścia, drugie wiją się w konwulsyach zwątpienia, a inne gną się pod olbrzymiemi masami rezygnacyi.

Czyż pożądliwa i namiętna pogoń za szczęściem nie jest jego przekleństwem? A wzgarda szczęścia czyż nie jest polem i nieświadomą za niem tęsknotą? . . . . .

29. kwietnia.

Im głębiej chcę wniknąć we własne myśli, tem mi ciemniej i chłodniej, tem większa czczość mię ogarnia. I zdaje mi się, że to wynik bezpłodnego przeżycia, wynik bladych i bezmyślnych wspomnień. Zdaje mi się, że żyłem ot, jak wielu innych bez myśli o tem, że żyję.

I teraz strach mię ogarnia przed takiem życiem; a ten strach to moje pierwsze i bardziej świadome uczucie życia. I strach ten przenika moją myśl o pracy na chleb codzienny na spodziewane wygody.

Szarpać się z innymi nad kęsem i wydrzeć komuś, lub samemu zostać pokonanym, zaprzedać się w niewolę życia i w tej niewoli stać się automatem bez iskry ducha — toż wstrętne, ohydne! . . . .

A przecież pracować, to konieczny postulat mas i jednostek. Nie marzę o Fourierowskich ideałach, bo sama praca dla siebie jest niczem. Pragnę wnikać przez pracę coraz głębiej.

Nie pragnę pracować dla sławy, bo stałbym się jej niewolnikiem. I zdaje mi się, że sława może najbardziej zasłania okna duszy, bo jest efemeryczną ułudą. Miłość rozszerza światy i światła w ruch rozlewa.

Oddałbym się cały pracy, by przez nią stać się wolnym od ja zewnętrznego, by przez nią wniknąć jak najgłębiej pod powierzchnię życia.

Bo zdaje mi się, że w tej krainie działa się tylko przez miłość i tylko dla miłości. A to nie jest sławą, bo to nie brzęczy słowem.

(C. d. n.)

„AKROPOLIS“
Wyspiańskiego.

Akropolis-Wawel... Nad brzegami miasta, ponad ziemią miasta wzniesiona świątynia Myśli Bożej.

W kolumny i groby zaklęte, co było a nigdy już nie będzie. Wielki, zimny grobowiec Przeszłości...

Noc straż trzyma nad tem królestwem swojem — uciekająca przed świtem, zazdrosna o zimny, martwy spokój...

Czyż więc to tylko, tylko to?! W groźnej, czarownej potędze skowające ducha Piękno tego, co minęło wieczyście?...

Tak się w „Wyzwoleniu“ zaklętemi barwami Śmierci mieni Zamek wawelski przed duchem narodu i poety...

Albowiem Przeszłość ma w piersi swojej truciznę dla tych, którzy nie są jej dziećmi: którzy nie są zrodzeni na to, aby ją przeżyć...

...Ale oto znowu Duch wszedł w mury starej katedry — i wwionął się za nim wiew bliskiego Zmartwychwstania. Poczęły żyć na nowo kolumny — obrazy — mogiły i żywym głosem mówiły poecie wykute w nich prawo Boże...

Stanął Akropolis — Wawel, szczytna świątynia Myśli Bożej dla narodu: dla wszelkiego ducha w narodzie.

Przychodzi godzina życia, swobody — „przybyć ma ten, co zbawiać wyrzekł światy — powstać z martwych i ożyć“...

I dusza szczęśliwa, wolna anioła, co zrzucił brzemię swoje — trumnę, — roznosi wołanie do życia: „kto słyszy, wstanie“...

Więc się ożywia wielki grobowiec Przeszłości; wstają do życia posągi — z gobelinów, pomników, obrazów schodzą umarli, na tę noc jedną znów żywi.

Ze świtem skończy się życie ich ciał. Ale przez tę noc powiedzą narodowi Tajemnicę Zmartwychwstania.

...I schodzi Król-Harfiarz, pastuszę-zwycięzca Goliata. On, piewca Boży, duch Boży, poprowadzi naród ku Temu, który mu niesie wybawienie...

W kornej modlitwie składa przeszłe grzechy ducha swego przed Tym, który ma przyjść.

A oto Świt — u wrót Świątyni zebrały się rzesze liczne: „lud zebrał się mnogi i czeka na jego harfę“ — „by mu śpiewał ten, co śpiewa Panu pieśni Godów“...

Harfiarz:

„Rzesze się mnogie gromadzą,
naród u wielkich podwoi;
zeszły się rzesze i radzą,
czy Pieśń je moja napoi?“

„O Boże, słuchaj, jak gwarzą,
jak szemrzą, u wrót szemrają,
czy harfy moje już grają,
do złomów przyparci twarzą?“

„Do wrót już sięgli, zatrzęśli;
już wrota ledwo dostoją.
O Panie, siłę sil moją
i mocy przydawaj gęśli!“

Tak się modlił i Konrad w Noc Bożego Narodzenia. Ale Król-Pieśniarz już duch wyzwolony, boży — wie, kędy Naród prowadzić:

„Chcę dzisiaj modlić się do Ciebie
na dobie tej jutrznianej,

bym opowiedział słońcu siebie,
jakom jest powołany.

„Żem powołany jest tu zostać
przy harfie mej na straży,
Twoją widzący złotą postać
na szczytach u ołtarzy.

„Że jestem mocen Twoją wolą
i wolą Twoją silny;
że wszystkim trudom ręce zdolą,
gdy głos Twój nieomylny".

...„Harfiarzu! Harfiarzu! Harfiarzu!" — idzie ku piewcy bożemu głos wielkiego utęsknienia zebranego ludu — więc się harfiarz wznosi w górę, ku Zbawcy i przez Niego tylko silny, wzywa: „Przybywaj!"

I Przybywa On — Salwator-Zbawca: „Jam jest — Siła, Moc!"

Przybywa — Zmartwychpowstały — w blasku życia i światła: „Jam jest — Siła, Moc!"

... Wyspiański w „Akropolis" wypowiedział się jaśniej, niż gdziekolwiek dotąd. Nie chcę mówić o utworze, o układzie całości, rzecz tę zostawiając krytyce. Ale „Akropolis" jest wielką „pieśnią Wawelu" (jak nazwał poeta), dyszącą tchem Zmartwychwstania. — Raz już (w „Wyzwoleniu") poeta nam wyśpiewał, co wyczuł w dźwiękach Zygmunta: „Narodzie — wróżę — zmartwychwstaniesz!" Tu wróżba ta nabrzmiała siłą wielkiego życia, zadrgała żywą krwią.

Pieśń Wawelu — Pieśń polskiego Akropolisu — Pieśń Szczytów...

...U wrót się gromadzą rzesze liczne: czekają Pieśni — Słowa.

A piewca Boży, pastuszę — zwycięzca Goliata, woła modlitwą błagalną: Przybywaj!

I sam się podnosi ku Niemu, i cudowną mocą ducha podniesionego zaklina i wzywa: Przybywaj!

I przybywa Zbawca:

Chrystus — Apollo. Słońce. Siła, Moc.

Andrzej Baumfeld.

Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż).

(Ciąg dalszy).

Braterstwo ludzi i ludów ma też w Jeżu gorącego rzecznika i oto jak opisuje jutrzenkę roku 48. „Epoka ta była pamiętną w dziejach społeczeństw europejskich, epoką świtania pomiędzy ludami, idei narodowościowej. Wyraz narodowość, niby płyn elektryczny przemknął w świecie myśli, wstrząsnął narodami i pozostawił po sobie ślad jasny... Nic na pozór nadzwyczajnego nie zaszło, nic, w świecie politycznym głucha, ponura cisza, przerywana od czasu do czasu śmierciami gwałtownemi ludzi, którzy nie kradli, nie kłamali. Czyści i niepokalani, pod względem obyczajów surowi jak ci, co w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, świadectwo prawdzie dawali — przecież w sprzeczności się stawili z tak zwaną sprawiedliwością i ta ich wiodła na szubienicę, pod topory katów, na place rozstrzeliwań, więziła, w śniegi sybirskie zapędzała, w kopalniane lochy rzucała — słowem ścigała jak zbrodniarzy, tępiła jak miazmaty zaraźliwe. Ludzkość obojętnie, spokojnie, półsennem okiem przypatrywała się temu, sprawiedliwych przez sprawiedliwość prześladowaniu. Niekiedy zrazu zrzadka potem coraz częściej przychodziło jej na myśl zapytanie: „Czy ci sprawiedliwi są sprawiedliwością? czy sprawiedliwość jest sprawiedliwą?“ Zapytanie to niesłychanie było do rozwiązania trudne. Stanęło ono jak zagadka sfinksa, grożąc w razie rozwiązania sposobem jednym — pożarciem przez potwór — w razie rozwiązania sposobem drugim — zaprzepaszczeniem sumienia... Tymczasem coś minowało sposobem trzecim, zagadkowym, podnosiło grunt pod stopami ludzkości zaspanej. — Był to ów płyn elektryczny, który niby woda ze źródła — ze świtającej trysnął idei i krążył gdzieś w podziemiach, wyrzucając na powierzchnię ofiary. Ofiary głosiły braterstwo ludzi i ludów. Umierały i cierpienia znosiły z taką duszy pogodą, jak pierwsi wyznawcy-męczennicy umierając i cierpiąc za prawdę. Różnica pomiędzy dawnymi a nowymi prawdy wyznawcami zachodziła ta tylko, że gdzie tamci mówili „człowiek“ ci mówili „naród“. Wynikło to naturalnym sposobem z postępu czasu, w którym pod wpływem zasad nauki Chrystusowej — urosły i skonsolidowały się indy-

widua zbiorowe, wyraźne i odrębne, jakich nie było w chaosie świata starożytnego, jakich nie było jeszcze w bardzo blizkich nam czasach, kiedy mianem bałwochwalstwa nie piętnowano takich n. p. wyrażeń jak: „L' etat c' est moi.“ Pojęcie indywidualizmu zbiorowego uosobionego w narodach, jest zdobyczą czasów naszych. Zdobyczą niezmiernie ważną, dźwignią przyszłości. Zmienia ona całkowicie postać rzeczy. W zanadrzu swojem nosi zmianę postaci świata chce bowiem, żeby państwa zastąpione zostały przez narody — t. j. ażeby organizmy polityczne zbudowane sposobem sztucznym — siłą oręża, podstępem, traktatami i t. d. ustępowały miejsca zbiorowym organicznym ciałom przez ustawę wytworzonym. W tem spoczywa dążność czasów naszych, w tem tkwi idea narodowościowa“.

„Naród każdy ma prawo być! — oto wychodni mojej idei punkt.“

Mimo tego punktu wyjścia z konkluzyami Jeża na temat sprawy ruskiej w Galicyi nie możemy się zgodzić. Sprawa ruska w Galicyi wyłaniając się w owych czasach z odmętu ogólnych zawichrzeń nastręcza Jeżowi wiele trafnych spostrzeżeń i faktów wymownych odnoszących się do tejże kwestyi. Sprawiedliwy i szlachetny duch nie daje się wieść nienawiści, obserwuje i psychologicznie uzasadnia wypaczenie się idei narodowościowej ruskiej, widzi jej znaczenie u samego źródła, widzi, że znana dyplomatyczna doktryna, divide et impera, swój jad odrazu wsączyła. Wszystko to widzi i ocenia trafnie, lecz teza, którą z tych faktów wyprowadza nie wydaje się nam sprawiedliwą, toteż wbrew konkluzyi autora, który swoje zapatrywanie na tę sprawę wkłada w usta bohaterów powieści nie dziwimy się wcale: „że Rusin chce być czemś odmiennem od Polaka, nie tem czem Mazur, lub Kujawiak wchodzący do polskiej politycznej całości“...

Narodowości ruskiej nie uważamy za prowincyonalizm ani języka ruskiego za narzecze i tem dziwniejszem wydaje się nam zaprzeczenie odrębności narodowej Rusi Galicyjskiej — że zupełnie inaczej zapatruje się Jeż na prawa Rusi Ukraińskiej.

„Gdzie indziej (mówi Jeż) za Dnieprem idea Rusi wynikła przez opozycyę Moskiewszczyźnie — stanęła przeciw uciemię-

żeniu istotnemu, przeciwko wynarodawianiu istotnemu" — i powiada dalej: „Dwie te Rusi nic pomiędzy sobą wspólnego nie mają."

Prawdą jest, że tam, na Ukrainie opozycya przeciwko uciemiężeniu i wynarodowieniu była słuszną — prawda i to, że w chwili wyodrębnienia się sprawy ruskiej w Galicyi opozycya zwrócona przeciwko Polakom była sztucznym fabrykatem, była wytworem machiawelistycznej polityki rządu zaborczego a ucisk ze strony Polaków był fikcyą, niczem wówczas nie usprawiedliwioną; jednakże sprawa sama — choć ją starano się zatruć jadem wsączanej nienawiści, jest mimo to istotną a nie fikcyjną sprawą narodową i zdaje nam się, że jeżeli Ruś w ogóle jako naród osobny istnieje, to istnieje tak dobrze nad Dnieprem, jak i nad Dniestrem, Bugiem i Sanem.

Powie kto może, iż oddając hołd człowiekowi zasłużonemu, nie należy wchodzić z nim w polemikę, ani podnosić i zaznaczać różnic. Od polemiki na tem miejscu — dalecy jesteśmy, a różnice w tak ważnej kwestyi zaznaczyć musimy. Rzetelność nam to nakazuje; bo pominięcie lub rozmyślne zatuszowywanie odmiennych na tę sprawę zapatrywań od razu rzuciłoby fałszywe światło na rzecz całą. A wreszcie szacunek dla przekonań autora i dla własnych naszych przekonań nie dopuszcza dwuznaczności — nie pozwala na przemilczanie zasadniczych różnic.

Powieść ta zawiera mnóstwo pięknych myśli i trafnych spostrzeżeń psychologicznych, ma się wrażenie, że postaci dyplomatów ówczesnych są żywemi fotografiami biurokratów i mężów stanu austryacko-galicyjskich i dziwić się należy, że nie zwrócono dotąd na tę książkę dostatecznej uwagi.

Drugą powieścią z wybitnem piętnem idei jest Hryhor Serdeczny. Terenem wypadków jest — Ukraina w r. 1853 t. j. w przededniu wybuchu wojny Wschodniej i w czasie jej trwania. Krążyły wtedy po Ukrainie alarmujące wieści, szerzone rozmyślnie przez Moskali, o buntach chłopskich, o gotującej się rzezi panów i t. p. Plastycznie i żywo występują skreślone piórem obserwatora obrazy owych czasów, kiedy to nurtowały społeczeństwo szlacheckie i lud wiejski, jakieś niewyraźne nadzieje, przeczucia

pragnienia, obawy, jakieś pogłoski, które nie wiedzieć skąd się brały i rosły do potwornych nieraz rozmiarów, jakieś postrachy i podejrzenia panów wobec ludu — chłopów w obec szlachty — a tłem wszystkiego było wzajemne niedowierzanie; wzajemna obcość, mimo współżycia na jednej ziemi w jednej nieraz wiosce. Na tle tego pospolitego ogółu szlacheckiego i chłopskiego występują wypukle silne postaci wyjątkowych jednostek.

Duszę ludu ukraińskiego widzimy upostaciowaną w Hryhorze Serdecznym, we wnuku jego Iwasiu i w dziewczynie wiejskiej Mokrynie.

Widzimy, jak mściwa tragiczna Nemezis dziejowa, dotknęła straszliwą ślepotą społeczeństwo nasze, rozdzielając je na dwie obce sobie warstwy — i zasłaniając duszę ludu przed wzrokiem tych, którzy go znać byli powinni. Przesądy kastowe, niedowierzanie, insynuacye oddalają lud od szlachty. Tak, że choć zdarzy się nawet kiedy taki odosobniony wypadek, iż lud zwraca się z ufnością do najlepszych osobników z pomiędzy szlachty, o pomoc i tak zwany „strój“ przecież zwraca się nadaremnie. W toku powieści przedstawia nam Jeż takie poselstwo chłopskie do jednego z najlepszych obywateli ziemskich p. Jana Zborzewskiego. „Na czele poselstwa stanął Hryhor i przyszedłszy do dziedzica rzekł: Panie! radźcie nam! Przychodzimy do Was od gromady wielkiej, od siły ludu, któremu potrzeba jedno, stroju, bo moskal następuje. My stroju nie znamy... wy znacie... Prowadźcie nas, rozkazujcie nam, a może z tego korzyść jaka, choć nie dla nas, ale dla wnuków naszych wypadnie, jak powiedzianem będzie, że Lachy z Narodem poszli... Hej Panie! — I była chwila, w której w oczach p. Jana pokazała się jasność jakaś, niby błysk myśli natchnionej. Jasność ta jednak wnet przygasła... Nie, odparł. Przekonanie mi nie pozwala — a przekonanie w człowieku co rozumie, jestto, to samo, co sumienie w człowieku, co nie rozumie. Wy nie rozumiecie — idziecie za głosem sumienia. Ja Wam jaknajlepiej życzę, ale do roboty Waszej ręki nie przyłożę. Starcowi zdawało się, że pana Jana wstrzymuje nieufność w siłę gromady więc rzekł. Przyjdźcie tylko, popatrzcie na tę narodu siłę. Siła jest, rozumu nie ma“...

I znowu widzimy, jakby przekleństwo jakieś ciążące na tej warstwie narodu, do której należał pan Jan. Przekleństwo to w postaci niewiary w skuteczność działania wspólnego paraliżuje w zarodku ruch, który mógł się stać podwaliną wyzwolenia a kończy się męczeńską śmiercią przedstawicieli ludu Hryhora i Iwasia. Hryhor pod pałkami rosyjskiemi rzuca w twarz Moskalowi słowa: „Zjesz moje ciało, ale duszy mojej nie ugryziesz — Ja Naród!“ — „Gdy gromada cała przez Kozaków spędzona asystowała egzekucyi, Hryhor oczy wzniósł do nieba potem niemi po tłumie powiódł i donośnym rzekł głosem. Ot tak dzieci, znoście mękę moskiewską, jak ja ją znoszę, i egzekucya ostatnia się rozpoczęła. Po skończonej egzekucyi, wyrzucono obitego z połowy ciała trupa za szereg.“

Z warstwy szlacheckiej oprócz wspomnianej już postaci pana Jana Zborzewskiego wyodrębnia się silnie z szarzyzny ogólnej osobistość brata jego Marcina.

Zapatrywanie swoje na palące kwestye społeczne i narodowe wypowiada pan Marcin w rozmowie swojej z bratankiem... Dyalog ten jako bardzo znamienny przytoczymy tutaj, gdyż zapatrywanie Marcina Zborzewskiego, to właściwie zapatrywania Jeża...

„A też czasy teraźniejsze... te wypadki, te widoki, te nadzieje!

Hm! — zatarł ręce pan Marcin — czasy — wypadki — widoki — nadzieje... Piękne rzeczy! Piękne nic, jak tylko liczymy na to; że ktoś za nas i dla nas coś zrobi, — to nic z tego nie będzie.

Interwencya wciąż się ślimaczy, może jednak do wojny przyjdzie — rzucił pan Michał.

Wojnaż jest.

Ja mówię o państwach zachodnich!

Być może, będzie się więc i wojna ślimaczyła...

O stryjaszku! Gdyby Francya, gdyby Napoleon.

Wierzysz w Napoleona?

To jest... to.. bąkał pan Michał — czy wierzę?... tego nie powiem absolutnie. Gdyby jednak wojnę rozpoczął, to własny

jego interes nakazałby mu prowadzić ją energicznie i naprawić błędy, jakie stryj jego we względzie Polski popełnił.

To znaczy sprawić Polskę i podać nam ją na półmisku...

No nie tak, ale przecie,..

Polskę my tylko sami rękami naszemi własnemi — naszą własną pracą sprawić sobie możemy — odrzekł pan Marcin dobitnie.

— Podzielam stryjaszka zdanie i dlatego też przy okazyi każdej powtarzam, że trzeba do powstania się sposobić pańszczyznę znieść i powstać, robiąc w ten sposób dywersyę na tyłach moskali.

I cóż? — zapytał pan Marcin tonem ciekawości natężonej.

Odpowiadają mi, żem za młody, że mi się w głowie pali, że czekać potrzeba aż Turcy przyjdą.

— A cóż byś powiedział na to ty, gdy się dowiesz, że przed pańszczyzny zniesieniem i przed powstaniem poznać pierwej potrzeba, co to Polska jest?

Stryjaszku! — zawołał Michał tonem wyrzutu.

A tak mój Michasiu, poznanie jest warunkiem najpierwszym i najważniejszym, bez którego powstanie byłoby niczem w rękach szalonego.

Czyż my Polski nie znamy?

Znamy ją jaką była — nieznamy jaką być powinna — a niebyła ona taką, jaką być powinna, kiedy upadła.

Kwestya społeczna — podchwycił pan Michał — uwolnienie i uwłaszczenie włościan zostanie połączoną z rewolucyą.

Tak — dobrze to wszystko... dobrze i pięknie. W Galicyi się to już zrobiło — ale że się zrobiło bez świadomości tego co Polska jest — daj Boże; ażeby tam za lat jakich kilka, Polacy sami Polski w Austryę nie zmienili.

— Stryjaszku! Stryjaszku! — W głosie pana Michała brzmiało coś na kształt uczucia zawodu doznanego. Nam przecież robić coś potrzeba!

O! i mnóstwo — przedewszystkiem oświecać się, a wraz z tem, przykładać ucho do ziemi i słuchać tych prądów, jakie

w niej huczą no i... iść z prądami — nie zaś przeciwko prądom. Ludzkość się przeobraża — Polska nie stoi poza ludzkością ale w niej, w jej łonie, w jej wnętrzu i kto wie, czy nie jest, jeżeli nie najważniejszem, to z pewnością jednym z najważniejszych węzłów — od rozwiązania którego, zależy rozwiązanie bytu ludzkości... Nie dość przeto rewolucyi społecznej dokonać, powstanie zrobić — jestto zewnętrzna sprawy naszej forma, potrzeba przytem wiedzieć — co to Polska?“

— — — — — — — — — — — — — — —

A oto znów urywek z konferencyi na zjeździe obywatelskim — istny sejmik. — W trakcie obrad jeden z uczestników przemówił w ten sens:

„Napoleon nie przychodzi — Moskwa pędzi do Krymu sił swoich ostatki.

Więc na koń w Imię Boże... — ktoś krzyknął ze środka.

I kwestya stanęła jasno. Powstał szmer aprobacyjny odezwało się wykrzykników parę i... uciszyło się, zabrał bowiem głos szlachcic jakiś, chudy, blady, otwierający oczy szeroko i wyrażający się z goryczy pewnej akcentem. Ten wyłuszczył, że w rzeczy samej Moskwa ostatkiem goni i powstać by było można, ale... zachodzi fatalne „ale“ panowie, zawołał z naciskiem. — Rząd przewidział ewentualność tę i wiem to z pewnością (tu palec do góry podniósł) trzyma przeciwko nam chłopstwo w odwodzie... Zróbmy powstanie dziś — jutro mamy rzeź galicyjską u siebie!

Słowa te wielkie sprawiły wrażenie, nastąpiła cisza. W ciszy tej dał się słyszeć głos spokojny.

— Ja się rzezi nie boję — odezwał się pan Jan.

— Pan dobrodziej — podchwycił mowca poprzedni — stanowi może wyjątek szczęśliwy; ale tu chodzi o ogół nie zaś o wyjątki.

Ogół ma na rozporządzenie swoje środek do zneutralizowania pańskiego „ale“ — odezwał się pan Marcin — zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie chłopów.

— Eksperyment! Panie Dobrodzieju — zareplikował mowca — który się może nie udać, jak się w Galicyi nie udał. —

Do środka tego powinniśmy się byli przygotowywać od lat pięćdziesięciu.

— Prawda — rzekł pan Marcin — Nemezis staje przed nami pod postacią zapytania: co to jest Polska?

— Nie pora panie Dobrodzieju na rekryminacye — przerwał szlachcic od „ale". — Tu nie o Nemezis mowa, ale o tem, co robić.

(Dok. nastąpi).

OD REDAKCYI.

W zeszycie III-cim za marzec opuszczono w druku przez przeoczenie wiersz jeden w utworze: Hej, żyjmy!

...Jedną pobudką się skrzykniesz na znój,
Największy, słodki, rodzony trud Twój,
Co ci nim serce i płacze i drży...

O pomnik Józefa Wybickiego.

Kiedy pewna idea tak się stopi z uczuciem tłumów, że myśl ich jest jakby piorunem, wiszącym w burzliwej chmurze, lada przyczyna, lada podnieta wywołuje wybuch — czyn. Miliony dusz ludzkich noszą w sobie, do ostatniego krańca napiętą, energię czucia, która wyzwala się z groźną żywiołową potęgą, bez rozwagi, bez rachunku, bez wahania. Są to wielkie i wzniosłe chwile w życiu społeczeństw, chwile, w których czuć, że te społeczeństwa na prawdę żyją, jako świadome swojej odrębności i swoich szczególnych przeznaczeń, związki ludzkie. I jakiekolwiek są skutki takich potężnych ruchów mas, cokolwiek będzie ich wynikiem — zwycięstwo, czy klęska — pozostaje w ludzkich duszach ślad potężnego czynu, pamięć wielkiej i krzepiącej chwili, przeżytej na najwyższych szczytach ludzkiego bytu.

Złożone warunki cywilizowanego życia wywołują ogromną różnorodność celów działania i środków dopięcia tych celów. Nie zawsze przychodzi ginąć na Termopilach, lub zwyciężać pod Chocimem, nie zawsze byt narodu zależy od walk orężnych i nie tylko w sferze czynów, dotykających bezpośrednio materyalnych stron istnienia, przejawia się energia narodowej świadomości, stwierdzająca życie obecne i budująca przyszłość. Wielki, powszechny poryw dusz, musi niekiedy przejawić się w sposób szczególny, jaki w danej chwili jest potrzebny i możliwy, i być równie znamiennym i potężnym objawem życia, jak tłumne bohaterstwo zwycięzców, lub tłumne bohaterstwo męczenników.

Kiedy rzucono myśl postawienia pomnika Mickiewiczowi w Warszawie, społeczeństwo polskie, pod zaborem rosyjskim, pokazało, że uczucie narodowe jest w niem w stanie takiego natężenia, iż jedno słowo, streszczające całą istotę narodowego życia, całą historyę niewoli i całą siłę nadziei, że jedno to słowo, rzucone w tłum, zdolne było wywołać czyn, bezprzykładny w innych społeczeństwach. Historya pomnika Mickiewicza w Warszawie, jest jednym z najwspanialszych, najwznioślejszych i najbardziej krzepiących przejawów zbiorowego bytu, jest wyrazem potężnej siły życia i jest jednem z wielkich zwycięstw w nieusta-

jącej, od lat stu, walce o istnienie polskiego narodu. Pod uciskiem najściślejszego dozoru policyjnego, który przeszkadza we wszelkiej agitacyi, pod uciskiem cenzury, która hamuje myśl i odbiera słowom ich moc suggestyjną, dokonał się z piorunową szybkością ten cudowny plebiscyt, w obec którego potężne państwo stało zdumione, bezradne i niemające odwagi przeszkodzić i powstrzymać. W ten bronz wtopiona, w ten granit wkuta jest olbrzymia siła życia, zaklęta wielka myśl i czucie. Pomnik ten mówi: — Jestem, dotrwam i będę. Jego wartość artystyczna jest bez znaczenia, jest on symbolem wielkiego zdarzenia, myśl i czucie, które go wywołały, nie znalazły równych sobie znaków materyalnych, równej sobie wspaniałej formy — ale ta wielka myśl i czucie były naprawdę i objawiły się czynnie. Społeczeństwo polskie pod zaborem rosyjskim stwierdziło swoją niezłomną moc życia, swoje nieustraszone męztwo i niezachwianą wiarę w przyszłość.

Wzywając do postawienia pomnika twórcy pieśni: Jeszcze Polska nie zginęła pisałem:

— Wierzę, że niema pod słońcem ani jednego Polaka, któryby nie pośpieszył, choćby z najmniejszym datkiem, na pierwszą wiadomość o tym zamiarze. Wierzę, że ponad wszystkiemi koniecznemi walkami wewnętrznemi, ponad wszelkiemi waśniami społecznemi i politycznemi, wszędzie, gdzie tylko brzmi polska mowa, wszyscy jednako wierzą w treść tych słów i wszyscy staną, by stwierdzić to czynem, na jaki kogo stać.

Ta wiara była, niestety, złudzeniem!

Jeżeli prasa jest rzeczywiście wyrazem uczuć i myśli danego społeczeństwa, w takim razie niema w tym kraju ani jednego człowieka, wierzącego w treść słów, które powinny być najgłębszą istotą narodowego życia. Ani jedno pismo myśli tej nie podniosło, ani jedno nie znalazło czasu i miejsca na wezwanie narodu do uczczenia tego, który powiedział największe słowa, na jakie wśród rozgromu, może się zdobyć mężna i wierna ludzka dusza. Ani jedno pismo nie zrozumiało, że pomnik Wybickiego byłby zarazem pomnikiem, wznoszącym się nad wszystkiemi polami bitew, nad wszystkiemi grobami męczenników, nad

wszystkiemi bezcennemi głowami, w których powstawały wielkie myśli, nad wszystkiemi sercami, które głęboko czuły, nad wszystkiemi ramionami, które dokonały wielkich czynów. Nie, nikomu nie przyszło to na myśl, żadna dusza nie drgnęła, nie odczuła tego, co, jak mnie się zdawało, powinno było żarzyć się w polskich sercach i w jednej chwili wybuchnąć w czyn wielki.

Z rzadką jednomyślnością, bez różnicy stronnictw, cała prasa galicyjska nie wspomniała o tem jednem słowem! Czy była zajęta jakiemiś sprawami tej doniosłości, w obec których idea pomnika Wybickiego nie wartą była wzmianki? Czy roztrząsała zagadnienia, rozstrzygające sprawy życia społeczeństwa? Czy wrzały w niej walki wielkiego ruchu umysłowego? Czy walczyła z tyranią, lub pochłonięta była przez jakąś potężną jednostkę, zaćmiewającą wszystko dokoła? Nic z tego! Zgrzyty partyjnych sprzeczek, drobna stronnicza taktyka i bieżące plotki powszedniego życia, przepełniały, jak zwykle, szpalty pism i pisemek. Nie jeden z licznych defraudantów cieszył się przez ten czas popularnością, której nie ma widać w tym kraju imię Wybickiego i idea pieśni przez niego stworzonej.

Po za prasą, nie powstało również żadne ognisko, skupiające siły i środki urzeczywistnienia tej idei. Nie trzeba się łudzić. Idea ta nie jest nawet jedną z ważniejszych myśli, będących w obiegu w tem społeczeństwie.

Czy w obec tego nie zawcześnie jest wzywać to społeczeństwo do spełnienia czynu tej miary, do urzeczywistnienia myśli tej doniosłości?

Czem ono odpowie na to wezwanie? Wieczorkami na pomnik Wybickiego, jednodniówkami, balami, rautami, kwestami, odczytami i rabatową sprzedażą — na pomnik twórcy pieśni: Jeszcze Polska nie zginęła!

Nie! niech raczej Wybicki czeka na inne pokolenia, dla których treść jego pieśni, będzie treścią ich myśli i uczuć, wypełniającą dusze do nadmiaru, który się skrystalizuje w czynie godnym tej pieśni.

Ta cała meskinerya, ta płaskość dusz, która orłem białym stempluje kawałki mydła i galanteryjne wyroby, która Chrobrych

i Wielkich nakleja na pudełkach od zapałek, która zakłada sklepy towarów łokciowych „Pod Kościuszką", która sprowadza do Ojczyzny zwłoki Słowackiego — niechcący — biorąc bilet na tańcujący wieczorek, lub kupując drukowany świstek, ta cała płaskość, nie powinna splamić pomnika Twórcy pieśni: Jeszcze Polska nie zginęła. Byłoby to za nizkie.

Pomnik ten powinien się stać i stanie się, ale powinien się stać, jako nieokiełzany poryw myśli i uczucia, przepełniającego po za brzegi naród.

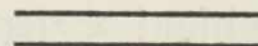
Wśród powszedniej obojętności, z jaką była przyjęta myśl postawienia pomnika Wybickiemu, znalazło się kilku ludzi, którzy ją odczuli głęboko i przyjęli z zapałem, a oto lista tych, którzy rzeczywiście na pierwszą wiadomość o tym zamiarze pośpieszyli ze składką:

1903.	Pani Marya Dembowska	50	Koron
1904.	Pani M. hr. S.	100	„
	Panna Ida Rylska	100	„
	Pani B. K.	20	„
	Pan J. S.	10	„
	Pan Z. G.	20	„
	Stanisław Witkiewicz	20	„
	Razem	320	Koron

Które przesyłam jednocześnie Redakcyi „Odrodzenia".

Zakopane, 1904. w kwietniu.

Stanisław Witkiewicz.



Juliusz Słowacki
w ostatniej epoce życia i twórczości.

Napisał
Andrzej Baumfeld.

(Ciąg dalszy).

Kiedy te myśli zasadnicze skierujemy ku współczesnej twórczości poetyckiej Słowackiego, to jakbyśmy snop światła żywego rzucili na pogrążone w mroku i mgłach pola*).

Ks. Marek, Sen srebrny Salomei, Król-Duch, snują się bezpośrednio z zarysowanej wyżej filozofii ducha i przez nią tylko pojęte być mogą.

Przedewszystkiem Ksiądz Marek: pisany w chwili, którą poeta określa jako „mocne pchnięcie od Boga", rzucony z duszy, gorejącej pierwszym, rwącym zapałem dla prawd dojrzanych — jest cały niby jednym rzutem idei ducha. Zarzucają wiele jego artystycznej formie, dramatycznemu układowi itd., a powołują się przytem na własne wyznanie poety. Być może — dla nas jednak większą ma wartość druga część tego wyznania: ta mianowicie, kiedy poeta przyrównywa utwór swój do listu kochanka, w szale bezsennej nocy rzuconego na papier. Istotnie ks. Marek jest porywem namiętnej miłości, która ogniem bucha i żarem swoim niszczy wszelką formę naczynia. Ale przez to jest szczerszym, bardziej niż inne, bezwzględnym wyrazem ducha.

Ku wielkiej epoce Konfederacyi barskiej poeta zwracał się widocznie ze szczególną miłością. Zrazu (w Beniowskim) nęciła go może bardziej cudowność i barwność ludzi i wypadków, pociągał dziwny, bohaterski smętek wysiłków, już prawie na grobie Ojczyzny ku jej ratunkowi podjętych. Ale już w czasie zajmowawania się tym okresem przyszła wielka, duchowa przemiana — i duch poety ujrzał w Barze, czego nie widział przedtem: ko-

*) Warto tu zaznaczyć, że — z nielicznymi bardzo wyjątkami — krytyka nasza rady sobie dać nie może z tymi utworami poety. Błąd jej przedewszystkiem w tem, że bierze te rzeczy zupełnie odrębnie od całości myśli i życia ich twórcy.

lebkę nowej Ojczyzny, zrodzonej na mogiłach rycerzy Maryi... Ale ta Ojczyzna, to jeszcze „Polska nie tego wieku, żywa — nie przez czyny“ owych ludzi, co jeszcze nie mieli ducha tak wolnego a świętego, aby w nią tchnąć życie trwałe. Sam tylko ksiądz Marek ma ducha tego, sam on jest wcieleniem najwyższej idei, z której odrodzenia będzie i żywot wieczny Ojczyzny. On, „w lidze z duchami i ze świętymi“, sam „chociaż niski na ziemi“, zbrojny mocą duchów, co

„. . . . . . okryte zbroją,
„na ramionach jego stoją —
„i kończą się gdzieś w bezkońcach“

— on to staje do walki nie tylko z wrogami Polski, ale i z tymi wszystkimi, którzy dość ducha w sobie nie mają, ażeby pojąć znaczenie chwili. Dlatego musi być ofiarą, bo jest sam tylko, jedyny, zesłany niby na znak wszystkim duchom w narodzie, na przestrogę i na początek świętej sprawy. Ksiądz Marek musi zginąć, ale ginie w pełnej świadomości, że śmiercią swoją daje życie nowej Ojczyźnie:

„I mój kopiec, jak sztandary
„będzie trwał — aż wiek przeminie,
„aż ludzie z jasnemi skrońmi
„pokażą się w tej krainie,
„wchodząc ducha mego bramą“.

Ksiądz Marek—to pierwszy „duch słoneczny“ w Polsce. I oto jak w słońcu promienie, skupiają się w nim, najwyższym duchu w dramacie, duchy inne, niższe i z niego biorą światło i życie. Działanie to ks. Marka na drugich jest jakby znakiem, symbolem wpływu, który ten duch najwyższy i jego idea mieć będą z czasem na wszystkie dusze w narodzie. On przynosi z sobą miłość i moc i temi dwiema siłami zwycięża. Judyta, wcielenie ducha z mocą bez miłości, ducha starego zakonu, a zarazem niby synteza widoma narodu żydowskiego — oto podnosi się i uświęca sakramentem, wziętym z rąk ks. Marka. Judyty stosunek do ks. Marka i jej przemiana jest obrazem wogóle odrodzenia i nawrócenia, któremu uledz musi wszelki duch „izrael-

ski“ (podług określenia Towiańskiego, którego myśli na tej postaci szczególnie wybitny ślad zostawiły) t. j. duch silny i wielki, a jeszcze niechrystusowy. Wysokość chrześcijańska polskiego ducha staje się mu uwielbionym ideałem. Judyta klęka przed Kossakowskim, bo widziała w nim męstwo ducha polskiego. A kiedy stanie przed najwyższem ducha tego wcieleniem, ona, w udręczeniu tęsknoty bluźniąca nawet temu Bogu, co „wisiał na ćwieku“, ukorzy się przed Nim. Duch niższy weźmie tchnienie ducha wyższego — i całą moc swoją, przed chwilą jeszcze przeciw niemu skierowaną, odda teraz na jego usługi. Jeszcze ona, Judyta, „żydówka mściwa“, w tem pierwszem zetknięciu się z sakramentem Chrystusowym nie może zrzucić z siebie całej natury dawnej. Jeszcze po swojemu służyć będzie duchowi miłości — w tej służbie pierwsze ciało swoje położy, „u Panny Zbawicielki na niebie oczekiwana“, tam dopiero w duchu zupełnie się odrodzi, aż powróci — „z całym prawie Izraelem“ „świecącą przymierza tęczą“...

Kossakowski — wcielenie innej sfery duchowej, w innym też jest do ks. Marka stosunku. Kossakowski to wcielenie owej burzliwości polskiej, szlacheckiej, najlepsze siły duchowe marnującej na najgorsze czyny — „głowa zła, lecz serce złote“; to uosobienie wszystkich wad szlacheckich, pod któremi czuło się zawsze duszę gorącą, zapalną, do najwyższych ofiar zdolną. Wie to ks. Marek i przeto nie chce go zgubić: „zgniotę tę głowę..., aby serce ocalało“.

I znowu głęboko symboliczny moment, chwila w dziejach ducha narodowego potężna, kiedy Chrystusowy duch miłości na tem złem duszy polskiej moc swoją wywiera: „niebo od piorunów pęka, z wałów biją wszystkie działa“ — a „śród ognistych trzaskawic“, śród widomych znaków spółdziałania całej mocy duchowej, on, ks. Marek, duch w narodzie najwyższy, zaklina:

„Gwałty, morderstwa, grabieże
„Precz z Polski!“...

I ten, który — nieświadom własnej natury wnętrznej — przechwalał się: „choć tu w żywot wieczny wierzą, do

mnie żywoty należą — ja miasto mam w mojem łonie" itd. ulega, musi uledz Duch, „w żądzach niepohamowany", „przez szatana oślepiony" — w posłudze szpitalnej czyni swoją pokutę i — podobnie jak Judyta — oddaje się w służbę najwyższej idei:

„I przysiągłem, furyą zdjęty,
„że choć sam, chociaż wyklęty,
„zbawię go, albo tu zginę".

Oto jaką jest potęga ks. Marka. Jeszcze ani Judyta ani Kossakowski, te dwie niższe mocy duchowe, nie poddają się w zupełnej czystości. Ale też to dopiero początek, to zaledwie zapowiedź tego, co będzie kiedyś... „Tu, gdzieśmy żyli" — woła ks. Marek —

„śród naszej niby opieki,
„Bogu i ziemi na chwałę
„poczęło się dziecko małe,
„które będzie żyło wieki!
„O gdybyś wiedział, jak one
„przed narodami wystrzeli,
„jaką ogromną koronę
„włoży — jakie berło chwyci!"

Czuje się w tych słowach ton wielkiej miłości ojcowskiej, który potem jeszcze raz zabrzmiał w głębokiej trosce o losy tego nowonarodzonego dziecięcia (w wierszu „Do Ludwika Norwida" z r. 1848):

„Lecz w jakimże biednym żłobie
„położym, o mój Ludwiku,
„to dzieciąteczko, na grobie,
„na ojczyzny mogilniku
„zrodzone? Czy go nam ptacy
„wykarmią? Czy jeszcze łzy nasze?
„Ileż wieków, ile pracy
„i starań Bóg nam poruczy?
„Kto je tęczami opasze?
„Wyniańczy — chodzić nauczy?
„Kto poda mądrości czaszę?
„Kto mu będzie pierwszym sługą,
„ojcem — kto otworzy ręce?"

Tak bowiem poeta czuł te chwile tworzenia się nowych idei jako świt odrodzonej duchem Ojczyzny. „Wojna boża“ — jak nazywał Konfederacyę marszałek Pułaski — była pierwszem wyraźniejszem ich przejawieniem. W tym zamęcie uczuć i dążeń, w tej różnorodności -- wewnętrznej nawet — żywiołów, występujących w jednym szeregu do boju, w krwawym płomieniu rzezi hajdamackiej, była właśnie jedna z owych walk hierarchii ducha z hierarchią ciał na ziemi. Polska w męce i udręczeniu poczęła zrzucać z siebie „czerep rubaszny“ i wyswobadzała się więziona w nim „dusza anielska“...

W takiem ujęciu chwili jest ścisłe, ideowe połączenie ks. Marka ze Snem srebrnym Salomei. Jest i tutaj ten ruch wielki świata duchowego, który niepokoi mieszkańców ziemi, uderza tajemnymi dźwiękami o struny dusz ludzkich, i czyni z ludzi ostatnie ogniwo łańcucha sił duchowych. Cały ten dramat rozśpiewany jest muzyką ducha. A jak w ks. Marku moc nadprzyrodzona objawia się niby w jednem spiorunowaniu duchów, tak tu znowu poeta — w większym spokoju już tworząc i jakby się poddając wrodzonej a barwnej wyobraźni — rozsnuwa jak nici pajęcze, w słońcu tęczą połyskujące, owe łączniki między światem tu i tam. I tutaj znowu wszystkie te nici duchowe dążą i zespalają się w najwyższem ognisku widzialnem — w Wernyhorze. Wpływ Wernyhory snuje się przez czas wszystkich wydarzeń, choć prawie niewidzialny. On widzi w duchu wszystko, co ma przyjść w tej ciemnej walce żywiołów, on jedyny patrzy z boleścią na to mordowanie się wzajemne tych, co duchem się kiedyś połączą. W nim jest duch ludu jego, daleko poza kresy świata widomego sięgający, tęsknotą świętą przejęty, przeszłością swoją, mogilną, czekający na przyszłość, która jest w czystym, szlacheckim duchu polskim. Z krwi i pożogi narodzi się chwila świętych, wieczystych ślubów... A kto pojął ducha „dziada-lirnika“ — „a kto zna go,

„a kto słyszał poza światem,
„pryde — w łańcuch żórawiany
„pryde — lirą tchnąć jak kwiatem,
„pryde — z serca pić jak z czary,

„pryde — z piersi czerpnąć wiary,
„pryde — iskry wziąć z ogniska“.

Tak jest w obu tych dramatach wielkie męczeństwo ciał i ducha, zanim przyjdzie chwila wyzwolenia, są „wszystkie męczeństwa oznaki, oprócz złotych słońc na głowach“, bo te się ukażą, aż „gdy się nam duchy podniosą“... I prawdziwie, w tem wielkiem udramatyzowaniu wnętrznego głosu poety (jakiem jest szczególnie ks. Marek) rozbrzmiewa (mówiąc słowami Libelta) „trąba archanioła, powołującego umarłych do zmartwychwstania“ *).

Słowacki w tym okresie twórczości swojej musiał się szczególnie zagłębiać w owe chwile i owe postaci przeszłości naszej, w których wyczuwał tę walkę o wolność ducha, to oddanie się na męczeństwo dla wyższych celów duchowych. Niejednokrotnie „głos uciszał“ i słyszał wtedy „jęk smętnych“, jęk wołających o wyzwolenie ducha... Tak pojął n. p. Samuela Zborowskiego, w którym było „prawo, co wolność ducha zabezpiecza“ przeciw „smokowi“ t. j. wszelkiemu prawidłu, wszelkiej formule, przeciwko „prawu miecza“, które było „przy tym drugim“ (kanclerzu Zamojskim **). Tak pojmował wszelki pęd, ku złamaniu więzów skierowany i przeto — „żadnego nie klął ruchu“, choćby i nie bardzo zgodnego z jego dążeniami. Albowiem „modlił się o czasy nowe“, a wiedział, że one przyjść mogą tylko w ruchu, częstokroć nawet i „przez Mongoły“... Dlatego to, „ojczyznę swą w łańcuchu widząc“, kiedy w 1848 r. dochodzą go głosy powstającej Polski, śpieszy, chory, u schyłku już życia na ziemi rozpłomieniając garstkę swoich najbliższych, śpieszy do Poznania z radą i pomocą.

Nawet upragnione widzenie się z matką odsuwa w dalszą, niepewną przyszłość, byle tylko stwierdzić czynem, co do-

---

*) Libelt. Pisma pomniejsze. Jedyna to ocena ks. Marka, wnikająca głębiej w duchową treść dramatu. Ówcześni ludzie „trzeźwi“ (rzecz godna zauważenia) mieli jednak dla tych wyrazów „obłędu“ więcej, niż dzisiejsi, zrozumienia.

**) Przypominam, że nie piszę tu szczegółowej oceny utworów z tej epoki. Stąd na pozór nierównomierne ich traktowania.

tąd słowem głosił. I ta chwila czynu, taka upragniona dla wszelkiego ducha, żyjącego wielkiem uczuciem, daje mu rozgorzenie wielkie, moc wielką, skupioną, zdolną już tylko niby strzałami buchać na zewnątrz. Nigdy chyba Słowacki tak nie pisał: „Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za Ducha Nieśmiertelność. Boży czas zaczynają“ *)

Tak potężną była przemiana. I czuł to poeta w radości wielkiej jako cud i w jednej takiej chwili, kiedy mu jasno w duchu stanęła przeszłość smutna i bierna, tak mu teraz daleka, — w chwili radosnego dziękczynienia zapisał w dzienniku ewangeliczną przypowieść o zmartwychwzbudzonym synie wdowy. I pojął (jak pisze) wszystko odrazu: i on jest jedynym synem wdowy i nad tą wdową ulitował się Chrystus — i obudził syna do życia...

...„Boży czas zaczynają“ — pisze Słowacki, patrząc na gotowość ofiarowania się, na ochocze kładzenie ciał dla celu duchowego. Albowiem ludzkość w ciągu swych dziejów dąży do „czasu bożego“, najczęściej po manowcach, na których krew i łzy — rzadko tylko drogą światła Bożego.

W tym właśnie ciągłym męczącym, ze wzlotów i upadku złożonym pochodzie, który mimo wszystko jest jakby przedzieraniem się przez gąszcze ku dojrzanej, nieraz ginącej z oczu wolnej przestrzeni — w tej pracy wnętrznej, w tem tworzeniu się wnętrznem, które jest takiego pochodu koniecznem towarzyszeniem, — w tem więc żywem a bolesnem stawaniu się prawdy, że „wszystko dla ducha i przez ducha, a nie dla cielesnego celu — jest pierwsza idea „Króla-Ducha“.

Król-Duch — to najpełniejsza a plastyczna synteza całej „wiary widzącej“ poety. A wyrosła ona nietylko z wpatrzenia się w głąb ducha swego i prawdy w niej spoczywające, ale nadto — „jako właściciel gdy nabędzie prawa do wioski“ obchodzi całą wieś zbiera ludzi, rozpytuje się o wszystko:

---

*) W liście do Matki z Wrocławia z dnia 14. maja 1848

„Podobnie“ — mówi poeta — „duchem wprzód obszedłem starą
„Całą ojczyznę moją — wszystkie ślady
Wszystkie mogiły... z przed każdą marą
„Stawałem smętny, surowy i blady“...

(*Raps. V. Pień 1.*)

Cudowne to porównanie siebie, pragnącego z przeszłości narodu wysnać myśl wieczną i powszechną, z właścicielem obejmującym dziedzictwo — dopiero pozwala nam przeniknąć tę wielką miłość, to rozmiłowanie się w Polsce, w jej przeszłości, które skojarzone sakramentalnie z wnętrzną ducha treścią, wydało nieśmiertelny poemat. Z tej miłości płyną pzecudne strofy o Piaście, roznoszące lekką woń „łąk szmaragdowych“, dyszące zapachem miodu, a przejęte świętą prostotą piastowską, która duaha królewskiego zatrzymuje — choć na chwilę tylko — nad sobą i wyrywa z niego czysty głos: „błogosławię!“ I przed rozkochanym duchem poety snują się obrazy umiłowanej przeszłości — świętych, poważnych zwyczajów — bohaterskich i fantastycznych legend; przesuwa się ziemia cała w barwnej, malowniczej piękności łąk i pól swoich. W tem pięknie, w tych snach przeszłości poeta czuje prawdę duchową, we wszystkiem tem widzi niby wskazówki ducha: tak przejrzenie Mieczysława i ponowne pogrążenie w ciemności, sny jasno-widzące, które temu duchowi — w odcięciu od zewnętrzności — dają prawdziwą wiedzę; tak owo uśpienie narodu przez Pychę, z którego budzi go siła ducha czystego i pokornego. Trzebaby przejść cały poemat, aby wykazać, że nic tam nie jest bez tej treści duchowej.

Takie połączenie dwóch tych czynników w duchu poety, które wydały Króla-Ducha, jest może najjaśniejszym — choć nieświadomym — wyrazem idei zespolenia Chrystosowości z żywem i wielkiem pięknem. Idea, określona ostatnimi czasy jako „Chrystus — Apollo“ (u Wyspiańskiego), marzona przez niejedną duszę chrześcijańską, zjawia się tu w czynie, bo w widomem zrealizowaniu. Twórca Króla-Ducha ogarnia Chrystosową miłością wszystko, co silne i piękne i wszystko to na wysokość królewskiego ducha swego podnosi. Poczucie tej idei było tak silne w poecie, że on jeden z mistrzów słowa, którzy się myśli chrze-

ścijańskiej, przez Towiańskiego głoszonej, poddali, nie rzucił lutni i intuicyjnem wejrzeniem pojął jej rolę w nowem rozwinięciu ducha. I nie mielibyśmy tak pełnego obrazu tej wielkiej epoki, gdyby dla podniosłego czynu Mickiewicza nie był dał Słowacki równie podniosłej poezyi — niby w dopełnianiu prawdy, która w nich była...

Krol-Duch jest — jak powiedzieliśmy — syntezą „wiary widzącej“ Słowackiego. Dlatego jest w nim jakiś wielki, tajemny majestat. Bo to już nie poeta tylko się wypowiada, — to dojrzały, u progu wiecznych prawd stojący duch się objawia i cały się przed nami — a jakby przed sobą tylko — we wspaniałości swej i powadze roztacza. W Księdzu Marku wszedł poeta — jak się sam wyraził — w „rewelatorstwo boskości ducha“; w Królu-Duchu rewelatorstwo to dochodzi szczytu, boskość ducha odkrywa się nam w pełni niezmierzonych tajemnic. Jestto prawdziwie nie „Pieśń-Sen lecz Pieśń Mocarza“... A kto jest, jak ów giermek Popiela, pieśni takiej nie wytrzyma, — kości mu ona roztrzęsie i drżeniem trwogi napełni...

A naprzód tajemnica pochodzenia Ducha. Król-Duch schodzi nie jakby dopiero co zrodzony, w ziemskiem doświadczeniu zdobywający moc — ale już w głębi swojej przynosi dla narodu swego myśl, którą go poprowadzi, przynosi w sobie całą treść przyszłości. Umiłowanie zjawionej Piękności sprowadza go na ziemię — i oto ofiara, którą w chwili pierwszego wcielenia się Duch bierze na siebie, z pełną świadomością, że żywot tysiącem żywotów zapłaci“, jest początkiem owego bolesnego pochodu, który odtąd odbywać musi. Albowiem, choć pełen „przedwrodzonej“ wiedzy, kiedy schodzi na ziemię, nie ma już jasnej świadomości celów ostatecznych i dlatego błądzi. Wpływy zewnętrzne, ziemskie i duchowe, wichrzą i mącą duszę, która przychodzi tu z pewną myślą — i rzucają ją nieraz po krwawych, bolesnych manowcach — jeśli sama nie ma dość siły w sobie i woli, żeby pójść za czystym głosem wewnętrznym. Bo chociaż człowiek zostaje ciągle pod bezpośredniem działaniem duchów, nie krępuje to jego wolnej woli, nie krępuje swobodnego rozwoju indywidualności:

„Nic teraz jeszcze tobie nie powiemy
„o wielkich celach żywota, ostatnich.
„Sam szukaj! gdy się zmylisz, zapłaczemy“.

(Raps. II. Pieśń I).

Tak zawsze wysłańcy Boży wyprawiają ducha na ziemię: „Sam szukaj!“ I Król-Duch szuka — a niepodobna, żeby odrazu pełnie samego siebie pojął, naprzód jeszcze bez Chrystosowego światła, a potem ciągle w walce z dziką, pierwotną naturą swoją, pełen jednak upragnienia tej chwili, kiedy moc swoją królewską z jasnością Chrystusową zleje.

Więc snują się niby idealne obrazy tej siły świętej, której brak jeszcze Królowi-Duchowi: duch Zoryana-pieśniarza (co kiedyś w Wernyhorze znów błyśnie), potem się w Piaście budzący, przez świętość swoją obdarzony cudowną nad wszystkiem stworzeniem mocą, ale cichy, pokorny, w osobie Ziemowita potem rozkuwający naród z zaklęcia Pychy — w „pokornem z płótna ubrania“, ale „świętość go jakaś napełnia, oświeca, — podnosi w jaśnie, w niebo, w duchu stawia“. Ale to ci, co jako do gotowego stołu siadają. Król-Duch sam w sobie tę moc wytworzyć musi, sam ją najwyższej podda świętości i potęgę swoją zespoli z miłością wielką i jasną — i jako ksiądz Marek zjawi się „pierwszy z naszych rycerzy“... Dlatego nie jest Piast pełnem jego wcieleniem — a chata piastowska „za ciasną pomieścić wieczności“... Król-duch przez „cierpienia i męki serdeczne i ciągłą walkę z szatanów gromadą“ dojść musi do poznania swego celu duchowego, do wyczytania w sobie prawdy ducha. I obojętnem prawie staje się, czy poeta dlatego tworzenia się duchowego dosłownie pojął kolejne wcielanie się Króla-Ducha czy nie. Albowiem w każdym razie chciał wyrazić i wyraził tę prawdę niewątpliwą: oto że duch, który jest jako Król-Duch narodowi swemu, ma głęboki, wnętrznie nieprzerwany związek z całą jego przeszłością i wszystkie wieczne jej objawy skupia i kojarzy w sobie i z nich oręż kuje ku dalszej walce; oto, że Duch ten cierpi cierpieniami przeszłości, a czuje w nich mękę tworzenia się na ziemi tego Ideału, który ujrzał niegdyś — „poza światem“ — i ukochał; oto że Duch ten w takiej jest „czystości związkowej“ z duszą narodową i ka-

żdą jej cząstką widzialną, iż „może być nawet obrażony w chłopie“ (jak Bolesław Śmiały); oto że Duch ten, sam się uświęcając, czuje, co to dopiero będzie, „gdy całym narodem zaczniemy ducha ku Bogu podnosić“ — i chce

„. . . aby zamki były twarde
„Na tych granicach, które duch stanowi,
„By polskie duchy tem przed Bogiem harde
„że się poddają jedynie duchowi,
„że przymuszone być z ciała nie mogą
„Przeciwko veto swemu — żadną trwogą“.

(*Raps. V. Pieśń 2.*)

Czy to jest duch indywidualny — ten Król-Duch, taką mocą woli i czynu obdarzony? — Niewątpliwie — jak wszelki duch musi być indywidualny. Ale tu właśnie przypomnieć trzeba (cośmy wyżej powiedzieli), że im głębiej duch wnika w siebie, im się silniejszym i wyższym poczuje, tem jaśniej widzi i czuje ścisły swój związek z powszechnośclą ducha, tem wyraźniejszą staje mu się wielka prawda duchowa: owo współbrzmienie. Król-Duch ma w sobie wybitnie wyrażoną tę cechę: indywidualność w nierozdzielnem zespoleniu z życiem wszechduchowem. Poeta, zarysowując plan poematu, powiada naprzód o przejściu „słowiańskiego ducha od Armeni“, a w tym samym ustępie, parę wierszy niżej już: „mówi nareszcie (poeta) o swojem jako Popiel uwięzieniu“. Duch wieszcza w okresie tej twórczości wzbijał się na wyżyny, gdzie jakby wnikając czuciem w Króla-Ducha zespalał się z nim i jednoczył. Tak w „Genezis z Ducha“ zespala się z Bogiem: „Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie — a jam był w Słowie“; „jam nie ja“ — tłumaczy poeta — „bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze“. Nie należy wprawdzie dwóch tych skojarzeń utożsamiać ale powinno to zestawienie — zdaje mi się — wprowadzić nas w ową głąb mistyczną, w której tworzy się jedność w różnorodności ducha.

Król-Duch zamyka więc twórczość Słowackiego — nietylko chronologicznie. Idee wszystkich poprzednich te epoki utworów zbiegają się w nim i ogniskują. Myśl o „duchach słonecznych“, o ludziach „z jasnemi skrońmi“ — tutaj dopiero oblewa nas

garściami światła wielkiego i wyłania promienny Ideał. Przez tę myśl o Królu-Duchu, przez ten ideał syntezy mocy ze świętością — Słowacki nietylko wchodzi w krąg geniuszów, żyjących utęsknieniem szczytnego wzoru człowieczego, ale przewyższa ich właśnie wzorem swoim, wysnutym z chrześcijaństwa.

Myśl chrześcijańska, wiekami ludzkiej niskości wypaczona, dla niewielu tylko dusz — najczystszych — stała się dotąd źródłem najwyższych idei. Kto raz ujrzał Jezusa Chrystusa, jakim był, ten będzie miał wprawdzie bolesne poczucie marności człowieka, ale nigdy roczpaczne, nigdy zwątpieniem więżące ducha; albowiem musi zajaśnieć przed nim nietylko wzór, ale i droga do niego prowadząca. I jeśli kto w swobodzie ducha zbliży się do tego wzoru, niekrępowany żadnym dogmatem, dojrzy w nim najwyższość ideału do negacyjnego początku, wolności, dodającego pozytywną siłę: miłość.

Słowacki szedł tą drogą: wolność ducha była mu zrazu najwyższym punktem; „wróg wszelkich pryncypiów i skończonej formy, wszelkich kratek, podpisanyeh i zapieczętowanych niby doskonałością manifestów“ *) — wkrótce jednak zrozumiał, że wolność jest tylko środkiem, nie celem“, że „walczyć za wolność... to tak, jakgdyby dwóch ludzi walczyło o flet, a jeden z nich tylko był muzykantem“ **)... I otóż wolność ku celom ostatecznym musi być skierowana, a te się w Chrystusowym ideale zawarły.

Idea najwyższa chrześcijaństwa: Bóg-Człowiek mówi nietylko o Bogu, który się stał człowiekiem, ale powtarza człowiekówi wezwanie Chrystusowe: „bądźcie doskonałymi, jako doskonałym jest Ojciec wasz w Niebiesiech“. Idea ta mówi o nowym Prometeuszu — i jeśli co, to właśnie pojęcie chrześcijańskiego Prometeusza najjaskrawiej nam wyobraża olbrzymi zwrot ducha ludzkości w momencie wcielenia się Słowa. To już nie duch potężny, siłą czy podstępem kradnący ogień zazdrosnemu Bóstwu — to sama Światłość najwyższa, schodząca do ludzi, aby im dać siebie w dobrowolnej, ludzkość całą podnoszącej ofierze.

*) „Wykład nauki“ cz. I. (wyd. Biegeleisena).
**) Dziennik Słowackiego (w temże wydaniu).

I odtąd przeobraziło się wszystko: kiedy dawniejszy Prometeusz przedewszystkiem najwyższe potęgi niebiańskie, miał przeciwko sobie, w dziele uświęcenia, ożywienia ludzkości — to po Chrystusie-Prometeuszu dusze prometeańskie mają po swojej stronie całą Moc najwyższą, owszem z polecenia Mocy tej dzieła swego dokonywują.

W duchu Słowackiego w tej ostatniej epoce rozwijał się i pogłębiał typ chrześcijańskiego Prometeusza — a w Ks. Marku poczęty syntetycznie dochodzi w Królu-Duchu do ugruntowania i wewnętrznej racyi. Poeta, wpatrzony w ideał Boga-Człowieka, z niego bierze rysy dla swego Człowieka. Jestto (jakby można było nazwać) Człowiek-Duch, człowiek wcielający w sobie najdoskonalej, najczyściej ducha swego. Jest on tem zresztą już jako ostatni, widomy człon szeregu duchowego. A prometeańska natura jego objawia się tem, że jest w nim „moc zażądania i zapał ku ogniowi boskiemu... i zgłodniałość, niby niczem innem, tylko ogniem boskim nakarmić się mogąca“. Jestto „apostoł nowy z ramienia Bożego, bo przez duchy posłany ku duchom“ — a znamię jego w znamieniu Chrystusowem, bo jako Chrystus „bierze na siebie ciężar i brzemię grzechów świata, a choć obciążon niemi, jednak ludzkość całą, samolubnymi ciężarami strudzoną, wyprzedza“ [1]).

Nietrudno poznać w tych słowach ideał, wcielony w ks. Marka. Taki „człowiek-duch“, Chrystusowem światłem rozświecony, rozumie się, że nie na to wyprzedza ludzkość, ażeby z wyżyny swojej rzucić, choćby najsłuszniejsze, choćby najsroższą boleścią tchnące słowa pogardy dla tłumu. Taki Prometeusz chrześcijański, palony jest świętym ogniem apostolskim, co to utrzymać się w kościach nie da, bo — pali. Król-Duch to czuje:

„Im większy jest duch, tem hojniejszą dłonią
„Szafuje serca rubinem czerwonym,
„W chwili podpisze rozdać to na braci,
„Czego przez roków tysiące nie spłaci“.
(*Raps. V. Pieśń 2.*)

---

[1]) Słowa te i wyżej cytowane wyjęte z „Przemówienia na dzień Wniebowstąpienia boskiego“.

Taki człowiek-duch wstąpiwszy w świat przez próg wolności i miłości, ze swobodą władcy obejmie wszystko, co się przed nim roztacza: „my zdobywamy świat i żadne uczucie światowe nie rozminie się z sercem naszem i żadna miłość u nas nie gaśnie, niczego się nie wypieramy, oprócz głupstwa i fałszu i maskowanych rzeczy i bałwanów zrobionych przez oszukaństwo ludzkie i zapałów nie z serca idących i szczęść zdobytych dla małego celu osobistego... i nauki, która nie jest mądrością“ [1]). Taki Człowiek ma „ojcowstwo nad duchami“ — a nawet złe ma tylko za dzieci... I jest w nim: „moc — i wielka przed Chrystusem skrucha“. (Rapsod. V. Pieśń 1.). I jest w nim wiara niewzruszona w potęgę ducha, w mocy swej z Duchem najwyższym zjednoczonego. Więc Prometeusz chrześcijański, kiedy widzi konieczność ofiarowania się, czuje (jak ks. Marek), że „ręka Boża, biorąc jeden duch ogromny, podnosi całe stworzenie“ — jaśnieją mu w tej chwili, w widzeniu przyszłości, „ludzie z jasnemi skrońmi“ — i wie, że z tą siłą swoją duchową (jak Zoryan ze swoją lirą) wstanie po latach, — „gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą“ — wstanie „z wielką jaką zgrają harfiarzy, co jak anioły śpiewają“...

Że ku temu noszonemu w duchu szczytowi dąży Król-Duch, niejako z misyą uwidomienia go w narodzie i przez naród w ludzkości, wydaje mi się zbyt jasnem i każdemu widzącemu dostępnem. Jednakże tyle jest na tym punkcie niezrozumienia, że słów parę poświęcę.

Poeta poprzednie swoje żywoty („swoje“ — tylko w sensie wyżej rozjaśnionym) rozważa i ogląda w świetle ducha, który po wiekach walk ciężkich doszedł już do pełnej świadomości celów ostatecznych i swojego w nich udziału. I co niegdyś, kiedy te żywoty przechodził, było mu niejasnem, dziś się w całej pełni odkrywa: w pełni zgrozy i przerażenia na wspomnienie, ile to mąk trzeba było, aby sobie siebie rozjaśnić — powszechność i swoje w niej przeznaczenie. I z tego szczytu, na który się już dziś Król-Duch wznieść potrafił, ogląda z bólem dawne upadki swoje, marność czynów swoich, jako Popiela:

---

[1]) List do Matki z 16. kwietnia 1844 r.

„O marneż twoje, mieczowy aniele
„I ciemny zmorą, rzezią Cherubinie,
„Czyny w tym świata ogromnym kościele,
„Gdzie po kopułach zegar słońca płynie“...

Te czyny jednak — choć tak marne, jeśli z zegaru słońca oglądane — zrobiły swoje: jak dla samego Króla-Ducha, tak i dla całego narodu były (skoro się już stały) koniecznym etapem rozwoju. Więc fatalizm?... Nie — bo źródło tych czynów w wolnej woli indywidualnej. Jest tylko nad czynami ludzkimi i nad ich intencyami rozpostarta Opatrzność, która wszystko „w siłę i krew narodu“ obraca; są wieczyste prawa duchowe, ludziom w chwili dokonywania czynów niezupełnie, albo i zupełnie nieznane, a które są mimo nich i te ich czyny nieraz ku innym, zrazu niezamierzonym celom prowadzą. Bo wszak i Popiel nie wiedział, że „kazał ludy orać jako niwę“ na to, aby:

„...wiatry wiejące spłomienił
„Duchami które wyszły z ciał — a żywe
„Wkrótce w anielskiej zjawią się ozdobie
„Jak wiatr — na ciebie i przeciwko tobie“.
(*Raps. I. Pieśń 3.*)

I tak dopiero wzniósłszy się ponad fałsze i zgrzyty przeszłości swego ducha, świadom już utajonych sprężyn, które się kryły przed jego wzrokiem wtedy, kiedy działały, Król-Duch narodowi swemu i ludzkości zdradza tajemnicę żywotów swoich, roztacza przed niemi w walkach wewnętrznych zdobyte prawdy, oświetla drogi i manowce, po których Duch pnie się do Wyzwolenia. A w tej wędrówce bywało, że zatrzymywał się Król-Duch, jak gdyby mu serce dotknęła dłoń Prawdy — a tuż przed stopy jego padła oślepiająca błyskawica. Po takiej chwili zrywał się dalej — ale już inny, już pełen jasnowidzenia, już „jako anioł gorący, gotów ukochać świat i nieść w błękity tę ziemię“... A z takich chwil największą było przejście nowej wiary — Miłości:

„O! hosanna wam jeszcze dziś o goście
„Anielscy, ludzie obcy dobrej woli!
„O, alleluja wam, których tu kości
„W proch rozsypane śpią na ludu roli!

„Oto dziś jeszcze te wiary jasnoście
„Które mam od was, świecą mi w niewoli
„I z duchowego zaświeciwszy rdzenia
„Wywodzą świętą tę pieśń — z objawienia".

(*Raps. IV. Pieśń 2.*).

Tej nowej wiary jasnością oblany Król-Duch, dopiero się staje prawdziwym „duchem słonecznym", który na końcu pochodu swego zyszcze moc „wprowadzić duchy tam, gdzie ma drogę".

Skądkolwiek wyjdziemy, jeśli tylko pójdziemy konsekwentnie za Królem-Duchem, dojść musimy do owego Ideału, który określiliśmy symbolem chrześcijańskiego Prometeusza.

W tym znaku schodzi się i wyraża ostatecznie twórczość Słowackiego. W tem jego wieczne nie tylko dla narodu — znaczenie. Wzięto z niego w czasach ostatnich dla poezyi naszej to, co jej najbardziej odpowiadało, formę, sposób wyrażenia idei, owo tkwiące w nim wnętrznie marzenie, które mu ubierało myśli w szatę widzeń przeźroczych, niebiańskich. I wzięto w ten sposób tylko jedną stronę jego ducha.

Obecnie wydaje się bliską chwila, kiedy szczerą głąb jego myśli coraz się jaśniej pojmować będzie, coraz goręcej przyjmować. Duch ludzki w powszechnych przejawach swoich coraz wyraźniej zaczyna przemawiać językiem, który był właściwym Słowackiemu w tej epoce. Pragnienie wyższego człowieka w jakiemś rozpacznem wykrzywieniem rwące się z piersi zbolałych (u Nietschego), wypowiada się przez dusze, oblane jasnością Słowa Chrystusowego, czystym głosem dzwonu Zmartwychwstania: „Potrzeba, ażeby Prometeusz przyjął odkupienie"... (Ernest Hello).

Dziwne poruszenie przenika wskroś duszę, kiedy się ją zatrzyma chwilę na tych myślach. Więc może już naprawdę idziemy ku syntezie?... I dusza powtarza słowa wielkiego upragnienia: „A kto słyszy, niech mówi: Przyjdź!" (Ob. św. Jana).

Najwięksi wyraziciele myśli polskiej przez to właśnie należą do całej ludzkości, że to dziś coraz jaśniej rwące się na zewnątrz utęsknienie ducha wyprzedzili życiem swojem i słowem. Słowacki

dał najczystsze wysłowienie — ale (rzecz dziwna, a głęboko wewnętrznych i zewnętrznych warunkach życia poety uzasadniona), kiedy szukamy najpełniejszego wcielenia, myśl zwraca się od niego ku Mickiewiczowi. Obaj wieszcze nasi w ostatnim tym okresie rozwoju swego jakby nieświadomie się uzupełniają. I staje przed nami posąg, żywy wieczyście; dwoista Jedność słowa i czynu.

Droga Duszy.

(Ciąg dalszy).

. . . .

Cóż mi jednak potem? — — — — — — — — — — —
Zbieram rozprószone myśli i uczucia, jakby w jedno ognisko, jednak czuję, że to tak mało, taki chłód wieje ze mnie. Zdaje mi się, że okłamuję siebie...

Zdaje mi się, żem mały, nizki, płaski, zbyt wiele marzący, więcej niż myślący.

Marzenia rozpraszają mi myśli, ciężą kamieniem na piersiach, rozpylają uczucia w mglisty sentymentalizm.

Tli we mnie nadzieja, że gdy przestanę marzyć, to się obudzę ze snu na jawie, z opiumicznego ubezwładnienia, które nałóg marzycielstwa sprowadza.

Lecz jak się z marzycielstwa wyleczyć? Czy jakiemś jednolitem a głębokiem uczuciem, czy ścisłem, a zdrowem myśleniem?

...Wstręt i wstyd mię ogarnia, że ubolewam nad tym stanem. Wszelkie niepokoje i wyrzuty z tej przyczyny wydają mi się objawem coraz to silniejszej choroby marzeń. Zimna analiza ja zewnętrznego wydaje mi się najlepszem antidotum na anemię duchową.

Dlaczego n. p. dzisiaj byłem tak obojętnym przez cały dzień na to, o czem wieczorem myślałem. Ta obojętność wydaje mi

się potępieniem swoich myśli wieczornych; jest może ona przestrogą dnia, bym w wieczór jaśniej się tłumaczył i strzegł się marzeń. Marzenia tak przeniknęły moją świadomość, że nie umiem rozróżnić, co jest szczere i czyste, a co brudne dla ja zewnętrznego. I ta chwiejność z marzeń płynąca paraliżuje czynność dni moich, które mi nic nie przynoszą, prócz sceptycznego i smutnego cieniu na myślach wieczornych. Dni moje są brudne poczuciem wyższości nad innymi, gdy w gruncie rzeczy jestem taki sam, jak inni, lub może i gorszy. Bo czuję dążność do imponowania innym tem, czego nie mam; a to wstrętne i godne głupca. I wiem teraz dobrze, że człowiek potrafi być podłym bez ceremonii wobec siebie, a w obec drugich uchodzić za porządnego, a nawet szlachetnego człowieka. I to jest szlachectwo ja zewnętrznego. A jest ono podlejsze, niż podłość jawna, na którą, by się zdobyć, trzeba mieć może silniejszy charakter, czy dodatni, czy ujemny.

. . . .

A przecież to jest szatańska chytrość jaźni zewnętrznej, że nadużywa ona analizy siebie, swych błędów w celach expiacyjnych by uszlachetnić jakąś szatą, sobie właściwą, swoje błędy, swoje cnotki fałszywe. Chce przez to zdobyć znajomość swego mechanizmu, by ukryć lepiej swą głupotę i swoją podłość. I przez to jeszcze podlejsza jest i jeszcze głupsza. Oto komedya codzienna jaźni zewnętrznej. Jaźń zewnętrzna nigdy tragiczną być nie może.

30. kwietnia L.

Gdy na chwilę uświadomię sobie chytrość jaźni zewnętrznej, jakaś głucha, dziwna cisza przerywa mi myślenie, dopóki owo uświadomienie się chwilowe nie wróci jakiemś echem odwnętrznem. Tych ech jeszcze tłumaczyć nie umiem.

2. maja L.

Właściwością moją i moich rówieśników są aspiracye o różnych poziomach szczytności i to jest po największej części cechą tych aspiracyi, że opieramy je na nieznanych, może przeczu-

wanych, a może upragnionych naszych zdolnościach. A, iż jesteśmy ambitni — nic dziwnego — młodzi, a przy tem częstokroć ślepi przez despotyzm ja zewnętrznego — szukamy często skrytej w sobie znakomitości: skrytej, bo jeśli ją chcemy dla naszego ja zewnętrznego wydobyć, znaleść jej nie możemy, czy nie umiemy.

A bliżej, co do mnie. — Ogłupiam się manią literacką, oczywista — bo dziś to najłatwiejszy i z różnych względów najleniwszy sposób zamanifestowania swego nazwiska światu. Nie biorę oczywista pod uwagę ludzi dobrej woli i czystego serca, którzy swą duszę a nie swoją jaźń zewnętrzną słowem pisanem w świat przelewają; to może szlachetniejszy czyn, niźli inne.

I to maniactwo zabierało mi czystość serca, tak konieczną do wniknięcia w ducha wielkich i czystych wieszczów naszych do prawdziwego zbratania się z nimi. A, co gorsza, to maniactwo literackie, poparte trucizną wykształcenia literackiego według oficyalnych kodeksów literatury, odepchnęło mię zupełnie od ksiąg wieszczych. Bo przecież to przeżyte, mistyczne..... niezdrowe i zabójcze. W Kazimierzu Wielkim wyczytałem przekleństwo, rzucone już nie wiem z jakich uczuć na te księgi. I zdaje mi się.... nie wiem..... jakieś przekleństwa zaślepionych zewnętrznością serc wiszą nad życiem......

Coś się zbliża, co będzie stanowczem tak, lub nie. Kropkowane pustki i osłupiałe pytajniki płyną z umysłu do umysłu. Powrotne echa tajemniczych chwil piętrzą się we walce z płytką mądrością niewolniczego, kompromisowego ja zewnętrznego rozumu. I fale tej walki potrącają każdego, kto chwilkę wniknie w siebie.

. . . .

I tak pytam siebie jednostkę, bo stoję pod działaniem niewidzialnych sił.

Czuję co chwila nagłe skoki i wahania. Czuję trwogę przed Nieznanem, tryskającem w instynktownych postulatach, bo jaźń zewnętrzna, ciągle kpi, jakby przeklęta, ciągle nasuwa mi pozory kłamstw, twierdząc, że postulaty zostaną tylko postulatami. Jednak w jakiejś udręce krystalizuje się pytanie: czy mam prawo

czy możność pragnąć więcej ponadto, co uświadomiłem w sobie przez poprzednie i obecne życie „dla siebie“?.....

Czy jest to czystą i świętą rzeczą pragnąć tego, co płynie odbitem echem tajemniczych chwil? Dręczy mię niepewność jakaś przeklęta, czy mogę dojść tam, dokąd mię echo odbite woła.

Czuję w tej niepewności jakąś walkę ukrytą. Czy nie fala to tej walki przeciw wiszącym przekleństwom nieczystych serc?!

. . . .

Czy mam prawo, czy możność żądać tego, czego pragnę? Dobrze — gdyby nie „ale“..... Rozsądek życia codziennego stawia jakieś „ale“....... ......Czego chce?...... mówi mi coś o talencie, energii..... żem się nie narodził gieniuszem, bo nawet nie potrafię skleić udatnego wierszyka, sentymentalnej nowelki, a o dramatach lub powieściach już marzyć nie mogę; nie jestem żadnym mowcą, energicznym agitatorem, nie mam nadziei i widoków na jakiś systemat filozoficzny, wogóle choruję na „nieproduktywność słowiańską“ à la Płoszowski. Takie strofki śpiewa mi rozsądek. Ale ktoś tam się serdecznie i szczęśnie śmieje we mnie..... „nieproduktywność słowiańska“! Ktoś mi szepce, że to przekleństwo tych z braci Słowian, którzy się braterstwa wyparli. Dzięki nieznanym szeptom i szczęsnym śmiechom od wnętrza. Są to szepty dla cichych i nieznanych.

. . . .

Jednak straszne jest to, co mię przywala. Straszny jest szatan „jaźni zewnętrznej“. Przeciw niemu nie wystarcza chwilka szczęsnej czystości, gdy jej szybko następna swą mocą nie wesprze. Bo taką chwilkę chwyta zaraz w swe łapy i jeśli jej nie przejedna, czyni z niej obłędną manię. I właśnie, gdy tylko jedna chwilka taka błyśnie, podobne, jak powyżej rozhowory rozsądku torują drogę manii, w której jaźń zewnętrzna lubieżnie się nuża.

I w tej chwili wyrywa mi się z serca westchnienie do Boga, westchnienie bezimienne — a szatan jaźni zewnętrznej już spieszy, by je wyzyskać i maluje je swą lubieżnością, modlącą się o potęgę geniusza i jego sławę..... Jest tak sprytny i obrotny, piekielnie przebiegły . . . . . . Przed chwilą kłuł mię ironią sceptycyzmu, a teraz łasi się, puszczając równocześnie sforę subtel-

nych argumentów dla obrony swej twierdzy w mojej świadomości.

Drży moja otwartość i szczerość przed jego piekielnym sprytem.

3. maja.

Znów czekam na echa poprzedniej chwili. Czekam i trwożę się . . . .
. . . .

4. maja.

Jaźń zewnętrzna głębi się boi; lubi pływać tylko po wierzchu. Mówią mi o tem moje studya. Zdawało mi się, że jestem w niektórych przedmiotach wprost zakochany. I tak matematyka, psychologia karmi tylko ambicyę mego ja zewnętrznego i zadowala ciekawość jego zewnętrzną, płytką i brudną. Znudzone lenistwo szuka we wiedzy szlachetnej szaty dla przykrycia filisterstwa, szuka fatalizmu w argumentach na swoje potwierdzenie, szuka usprawiedliwień bezwoli dla przejednania sumienia. I ostatecznie chwyta przysłowie „in sano corpore mens sana" ucieka pod usprawiedliwienie fizyologii, która czy źle zrozumiana, czy z innej przyczyny, czyni ciało bogiem ducha. Dość na tem, że utkwiwszy na tem przysłowiu, a znając nie ducha nauk, lecz ich zewnętrzną jaźń, ulegam wpływowi tylko ciała, które oczywista jest nerwowe, anemiczne, nierozwinięte i t. d. Bo przecież głoszą nerwowość wieku, jego zwyrodnienie fizyczne, a to wszystko fatalne, dziedziczne, nie wolno z pod tego się wyłamać.

To zewnętrzne traktowanie spraw wyrobiło niecierpliwość i płytkość chociażby w głębszem zrozumieniu siebie samego. Co chwila porywa mię chętka zatracenia tych kartek, co chwila zatracam poczucie celu uświadomiania się i co chwila niekonsekwencya dni i wieczorów mię ubezwładnia.

Jednakowoż szarzyzna dnia znów mię pędzi w wieczorne rozmyślania, w których sprawdzam z dziwną tępością kłamstwa dnia. I widzę, że nawet i życie okłamywane znalazłoby swój spo-

kój, byle ktoś — czy wiem kto? — nie szukał nagiej i srogiej dla życia kłamanego prawdy.

Ja się niemal co dnia okłamuję i słyszę tajemnicze echa zbliżającej się prawdy. Dlatego jestem niespokojny i chwiejny, bo czuję jakąś walkę zażartą we wnętrzu.

7. *maja.*

Dziwny ten aparat do myślenia; to pędzą w nim koła i kółka z szybkością niejednostajnie przyspieszoną, to zwalniają lub nagle urywają, jakby tam co pękło. W chwilach, kiedybym pragnął być w nieświadomej ciszy, poczynają mi nagle szumieć w głowie zgmatwane koła myśli i marzeń. I z szumu tego rozpętuje się piekielny huragan nerwów. Gdy jednak głowa ciężka jakiemś dziwnem zmęczeniem chyli się bezwładnie ku ziemi, jakby bezwiednie tam spoczynku szukała — gdy serce zaledwie bije, a krew jakby tężała — drga gdzieś tam w głębi, po za mną, jakaś straszna nie odczuta rozpacz, jakieś męki walk granicznych, którym rezygnacya świadoma echem odpowiada. Czuję wilgoć niewidzialnych łez, których jaźń zewnętrzna się wstydzi, a może się boi tej zgubnej dla niej powodzi. Jaźń zewnętrzna wymawia się przed łzami, zarzucając im słabość.

Naiwnem nazywa pytanie, czyich to łez niewidzialną wilgoć czuję we wnętrzu? Cichuteńko jakiś szept się nieśmiały wydobywa z duszy, jakaś resztka dzieciństwa i kryje się w nieznanych jeszcze skrytkach świadomości przed wyprężonym do skoku tygrysem jaźni zewnętrznej, O! i już wyciągnęła łapę po daninę od przybysza dla swego bytu. Przecież posiada monopol świadomości. Żarłoczną jest na wszelkie światła tryskające z poza szkieł granicznych rozumu. Chciałaby unieśmlertelnić swój brud, swoje cnotki, swoją komedyę. I oto, co teraz zachwyciła od szeptu o duszy: że jest dla niej ścieżka spiralna, wiodąca poza granice możności fizycznej! Alem ją przyłapał na tym rabunku przez wyraz, którego nieostrożnie użyła: maximum poza granicą możności fizycznej. Cha! cha! gdzie słychać o „maximum“ lub „minimum“ tam pewno przebywa ja zewnętrzne.

12. maja.

Słowem — wiosna! co jednak nie zawsze jest równoczesne ze szczęsnym nastrojem. Oto mój nastrój; postulaty powrotnych ech, myśli i czyste nadzieje wydają mi się marzeniami, lub skrycie działającym jadem melancholii..... Jakiś protest idzie przeciw duszy, potwierdzony zimnym stanem świadomości . . . .

. . . .

Taki względny zimny spokój, taki brak uczuć, taka niemoc, że się boleć nie potrafi, że się nie jest w stanie ani nienawidzieć, ani kochać, tego wszystkiego nie umiem psychologicznie określić; bo apatyą to nie jest, gdyż ja zewnętrzne dotkliwie gryzie. Raczej bliski jestem obłędu. Rwałbym się do czegoś, czego sformułować nie umiem. Umysł mój ciągle rozbija się o twarde i ciemne zapory, nie widząc ich.

. . . .

Przeczuwam, że im dalej będę szedł, tem częściej będę milczał.

. . . .

26. maja.

I ta cisza, do której co wieczora uciekam, brzmi mi jakoś za hałaśliwie, za bezładnie. Nie umiem często w niej myśleć, nie umiem w niej na karty wspomnień przelewać.

I zarzucam jej bezpłodność mojej duszy. Gdy chcę być szczerym i otwartym, braknie mi słów, braknie mi myśli. Zostaje mi tylko tęsknota za jakąś inną ciszą — za jakąś jasną i czystą błękitem nieba i zielenią natury......... Pragnąłbym spotkać jakąś istotę, jak ta cisza jasną i czystą......... pragnąłbym uczuć takich, które duszę zbliżają do świadomości...... pragnąłbym wrażeń, które życie jasnością opromieniają....... pragnąłbym myśli głębokiej, jak otchłań. . . . .

. . . .

Zaś dzisiaj zdaje mi się: — mam pragnień wiele i może dlatego mam sił mało — bo gdzie źródła, by te pragnienia ugasić? Kto mi to podsuwa?.... czy ja zewnętrzne, czy kto inny?

. . . .

29. maja.

Czy nie ja zewnętrzne mnie kąsa?..... Szukam oczu moich, myśli moich, moich uczuć...... Gryzą mnie mary głupstw i nadarmo pragnę wierzyć...... W co?..... Martwe myśli, serce martwe..... Dusza?! Może jej nie szukać?!...... Po co?!...... Po to może, by się łudzić, że się jest wzniosłym, szlachetnym przez posiadanie duszy pięknej...... ......świadomej...... Lub może, by odszukać w sobie potęgę szlachetnego — indywidualizmu?!...... A może po to, by silniej odczuwać nędzę, słabość, upadek i inne nieszczęścia, trawiące życie wszelkie?!...... Może po to, by pozory wszelkie odsłonić i stać się przez to wyższym nad innych? Po co? Cóż mię inni obchodzą?..... Im się może wydawać, że również są wyżsi nad innych — i t. d....... To wszystko błędne. —

. . . .

. . . .

Gonię dla siebie, dla ja zewnętrznego.

. . . .

27. lipca 1901.

Na nic tyle dni. Zapomniałem o wieczorach i o jasnej przyszłości. Przeszłość mi w piętach zastygła, rozwiał się czar nadziejnej tęsknoty, jak mgła jesienna. Spałem jak nieboskie stworzenie w lenistwie, a od czasu do czasu skrupuł jaki mię na drugi bok odwracał. I mgłą zaszły szkła graniczne świadomości. Oczy moje były szklane, mózg z gliny, serce flakiem. Nić myśli splątała się i zerwała, jak wątła pajęczyna. Nie było ni jęku, ni rozpaczy, ni żalu, ni pociechy. To, co przyszło z jasnej krainy, przeszło przez jaźń zewnętrzną, jakby trwożny i nieznaczny duch, i czuję, jak się cofnęło przed wyciągnięta łapą.

. . . .

Odrobiwszy, jakby za pańszczyznę, swoje egzamina, poczynam czuć trwogę przed trzymiesięcznym dalszym snem. I w miarę trwogi rzucam się gorączkowo, chociaż na pół senny do wypalania gliny mózgowej, do preparowania galarety sercowej.

Taki dziwny mój ustrój. Nerwy, jakby wciąż się napinały to znów zwalniały swe napięcie. Mózg mój, jakby raz więcej fo-

sforyzował, raz mniej. Wrażenia się kłębią nieharmonijnie. Pobudki szlachetne, jakby gdzieś murem odgrodzone, przeciskają się tylko rzadko, bardzo rzadko. Głuchy bunt wewnętrzny może tam gdzieś kipi, wre, ale mnie się wydaje, jakby wszelka łączność mego organizmu fizyczno-umysłowego z tym buntem zerwana. Chociaż przeczułem coś Boskiego, do czego piąć się można po stopniach rozwijającej się świadomości, nie byłem w stanie uwierzyć, że nie było to tylko nerwowe podniecenie, ale ten głos, to echo z za grobu podsuwa mi szczęsne chwile nadziejnej tęsknoty, która ostrzem swego milczenia ma przebić niewidzialne zasłony.

I zdaje mi się, że nie mam jeszcze świętych i czystych pragnień, bo czuję w sobie niewidzialne a olbrzymie góry, za któremi one zaklęte. Dlatego nie mam pragnień czystych, świętych, silnych i mocą tchnących, boru przed głazem gór, które koniecznie przejść trzeba i za sobą zostawić. Tylko jakaś niewidzialna, tajemnicza siła powinowactwa tchnie w moją świadomość przeczuciem czegoś przyszłego, niebiańskiego. I nie marne to słowo wyobraźni, to poczucie powinowactwa przez szczęsne i opiekuńcze tchnienia rzadkich, świątecznych chwil. . . . .

. . . .

Ze strachem spostrzegam, że łatwo mi bardzo znaleść w sobie filisterskie, zewnętrzne cnoty lub głupie, codzienne błędy, lecz poszukiwanie dobra wewnętrznego jest we mnie poszukiwaniem dyamentów. I zdaje mi się, że jest to wynikiem despotyzmu ja zewnętrznego, wynikiem przesądów, żywionych przez miliony. Uczy się szukać i to za pomocą formułek ja zewnętrznego, uczy się patrzeć w duszę przez szkła tego ja — a oczywista, ono rozkoszuje się w poszukiwaniu zła lub w poszukiwaniu cnót zewnętrznych, które wszystkie są kodeksem etyki dzisiejszej walki o byt określone. Ja zewnętrzne wyśmiewa szatańsko wszystko, czego zmysłami dotknąć nie może, wyśmiewa dobro i światłość wewnętrzną — illuminatyzm...... choroba mistycyzmu, rezygnacya słabych, zwyciężonych... cha! cha! cha! Tak tym śmiechem opętany, szukałem głupich, codziennnych błędów i pyszniłem się jak paw, swojemi jaskrawemi, zewnętrz-

nemi cnotkami. Nie dostrzegałem, jak cnotki owe godzą się doskonale ze wszelkiem złem, że się nie wyłączają, lecz owszem wspierają się wzajemnie.

Powrotne echo świętych chwil ocenia wartość tej harmonii. Świadczenie moje prawdy było i jest kłamstwem bezczelnem w sobie — bom jeszcze nie przeszedł gór. Modlitwa moja była urąganiem świętości — i teraz siłą woli wstrzymuję się od modlitw, przygnębiony jakąś trwogą. Nauka moja byla wzmaganiem i utwierdzaniem głupoty; — i siłą woli staram się wstrzymać od nauki, przygnębiony jakąś trwogą. Wola moja była oporem przeciw woli; — i dlatego wstrzymuję się od chcenia. I cały szereg takich sprzeczności, które rozsądek codzienny potępia i stara się wyrwać przez miłość ja zewnętrznego. Trwoży mię zatratą mocy mózgowej, zatratą sprężystości funkcyi sercowych, zatratą energii życia zewnętrznego. Przez to potępianie rozsądku, ciągle wciągam się w codzienny bieg tanich cnót, w codzienną walkę przeciw głupim błędom.

Wydaje mi się to większem niechlujstwem moralnem, niżli niemoralność przestępców, potępionych przez kodeksy.

Jakieś w tem przekleństwo tkwi, jakiś szatan naigrawa się z etyki i jej kodeksów. Bo zdaje mi się — jakby ci, co go chcą wypędzać — tam go szukali, gdzie go jest najmniej, a tem go szukali, w czem go jest najwięcej. I jest hałas walki ze złem — tak, jakby złego ze złem dla silniejszego i pewniejszego dlań zwycięstwa.

W tem jest jakieś przekleństwo, z którego płynie senność na tajemnice życia.

28. lipca.

Jakaś chwilka szczęścia!... . . . .

Czuję wewnątrz jakieś tajemnicze misteryum myśli, jakiś nadziejny hołd zwycięstwa... Jakieś światło szczęścia błysło we wnętrzu... Pierzchają złudy i miraże zewnętrznego szczęścia. Jakaś pewność mię skłania ku nieznanemu, tajemniczemu milczeniu... . . . .

Mam chwilkę pewności, że na zewnątrz szczęścia nie znajdę, że jest ono tylko świadomem złudzeniem dotyku i gonitwy. I to

złudzenie dotyku i gonitwy jest tylko tajemniczą i pełną treści wzkazówką do innego świata.

Życie marne dla siebie ma tylko wartość w tem, co mię pędzi ku nieznanym tajemnicom milczenia...

. . . .

29. lipca.

Tęsknię do takich wieczorów, w których bym był świadom, iż dnia nie straciłem.

Wieczory sprzeczne z dniem zaznaczają się w mojej świadomości rozprószeniem i trudnością zebrania myśli w obrazie jasnym i wyrazistym. Czy dzisiaj we dnie pochwyciłem chociażby jedno westchnienie duszy, chociażby jeden tajemniczy znak? . . . .

Może dlatego ich nie dostrzegam, że zadużo mam na sobie pleśni grobowych poprzednich straconych chwil.

Wiele jeszcze oporów lenistwa, niedołęstwa i płytkości zaciera zarysowujące się kontury czystszych uczuć i myśli. Fałsz ja zewnętrznego wciąż mię wodzi na pasku i przez to jam płytki i ślepy; a na ową ślepotę składa się mój płytki determinizm, moja tylko zewnętrzna inteligencya a nadewszystko ogromne masy ambicyi ja zewnętrznego. Coś w tem tkwi, co udaremnia wszelkie postanowienia lepszych chwil i czyni z nich karm owej ambicyi. Złudzeniem jest, jakobym już rozpoczął wędrówkę do świętego celu na prawdziwej drodze, bo ja zewnętrzne szuka ciągle, gdzie by dotknąć i skosztować nieco duszy... . . . . . Nie jestem tego dobitnie świadom, bo nawet tych kart, które najostrzej piszę, nie wiem czy nie zabarwiam odbitem światłem fałszu i nieszczerości. Czuję, że tu, na poprzednich kartach są fałszywe tony, ale tak na pół świadome, tak natrętnie brzęczące, że nie mogę się im oprzeć stanowczo. Uderzam o strunę szlachetną, a równocześnie wydobywają się zgrzyty, do których już nawykło ucho świadomości. I szlachetność ta nie budzi energii i zapału, lenistwo jej się nie obawia.

Chciałbym być dobrym i działać dla miłości; bo sprawić, by ktoś kochał, znaczy tyle, co uczynić dobrym, szczęśliwym i zdolnym do czynu. Tymczasem widzę kontury sławy, fantasmagozye tryumfów bogactw itp. brudnych mar, nie godnych duszy.

Zdaje mi się, że czyn, szlachetność, w ogóle wszelkie dobro stworzone dla sławy i przez sławę mają zupełnie inną postać i zupełnie inne przynoszą plony, niż dobro przez miłość i dla miłości. Przekonywa mię w tem Boski Żywot Chrystusa.

Na wpół-świadomie to czuję, ale jeszcze nie żyję tą myślą.

W sławie widzę obłudę, bo jest monetą przez ja zewnętrzne stworzoną.

Miłości owo ja nie stworzyło, a kto miłością frymarczy jako zapłatą — zdaje mi się gorzkich doznaje zawodów.

Dlatego to daimonion, to westchnienie duszy, pociąga mię bym patrzał przez wnętrze w świat życia, a nie wprost przed siebie, gdy miłości szkam i dla niej żyję, bo się złudzę i doznam gorzkiego zawodu, a ostatecznie powiem — wszystko złudzenie... dusza?!... głupstwo, urojenie!... a życie marne, jak sam świat.

Dla patrzących wprost przed siebie przez ja zewnętrzne, świat wydaje się przypadkowym, złym, ludzie głupimi i zwierzęcymi poszukiwaczami szczęścia lub maszynkami bezdusznymi przez wyrafinowany fatalizm praw przyrody. I tacy najwięcej gonią za szczęściem zewnętrznem, czy zapomnieniem siebie samych, chociaż ponajwiększej części w żadne szczęście nie wierzą.

Zdaje mi się, że kto nie uwierzy iż prawdziwie szęśliwym być może, ten nie zdziała nic szczęśliwego, dobrego, coby w skutkach stokrotnie szczęście i dobro rodziło.

Jednak są echa i znaki, wołające za Nim . . . .

(C. d. n.)



Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż).

Dokończenie.

W chwili tej zapanowała cisza, w której słyszeć się dało chrząkanie, po którem nastąpiło odezwanie się szlachcica, miny buńczucznej, tuszy nie złej, wąsa ostro podkręconego, czoła wyniosłego i marsowatego...

A my panie jużeśmy zrobili...

Oczy wszystkich z wyrazem zapytania zwróciły się na szlachcica, ten miny nie tracąc prawił dalej.

— Nie wdając się w korowody żadne, wysyłamy do Napoleona „umyślnego“ z zapytaniem. Czy i kiedy zrobić powstanie. Jak on każe, tak zrobimy i kwita, co tu gadać i myśleć długo? Rzecz trzeba brać po żołniersku. Przyjdzie rozkaz? Marsz mości dobrodzieje!

Szlachcic ten wyprowadził obywatelstwo z kłopotu wielkiego dając mu czyn dokonany, który nikogo nie kompromitował, nikogo do niczego nie zobowiązywał, odpowiedź na pytanie co robić? odkładał na czas nieograniczony.

Każdy przecie zrozumiał, że droga ta do niczego nie prowadziła, właśnie jednak dlatego była uznaną za dobrą przez wszystkich z wyjątkiem panów Marcina i Jana, którzy spostrzegłszy jaki rzeczy wzięły obrót, chyłkiem się wynieśli.

W końcu marszałek Y głos zabrał i tak przemówił: „A teraz, kiedy narada nasza poufna, tak pomyślnie i tak zgodnie się zakończyła, oświadczyć panom winienem, iż z ust własnych Gubernatora słyszałem, iż chłopstwo spokoju mu nie daje, domagając się oręża. Deputacye od gromad wiejskich idą po deputacyach — opędzić się im nie może. Napoleon każe, lub tylko pozwoli nam powstać — dobrze! nie wystygła w nas jeszcze krew staropolska — sięgniemy do korda — jeżeli jednak nie pozwoli, ani każe, to znaczy, że nie daje rękojmi i t. d.“

Do ustępu ostatniego jest w książce odnośnik podany jako dodatkowe objaśnienie i komentarz. Wyprawienie z krajów zabranych do Napoleona III. wysłańca celem uzyskania pozwolenia na powstanie jest faktem acz nieprawdopodobnym ale rzeczywistym. Galicya także do Napoleona III. wysłańców wyprawiła. Stąd na

drogach naszych politycznych bałamuctw tyle. Nie wiemy co to jest Polska!

To ciągle powtarzające się, rzucane współrodakom zagadnienie, co to jest Polska? To ciągłe podkreślanie potrzeby poznania idei narodowej i w czem tkwi jej istota przywodzi na myśl słowa Słowackiego:

Krzyczeli Polska! Polska! lecz jednego razu
Chcąc krzyczeć — zapomnieli na ustach wyrazu
Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna
Szli i krzyczeli jeszcze Ojczyzna! Ojczyzna!

W tem Bóg z Mojżeszowego ukazał się krzaka
I przeraził je wszystkie — zapytawszy — Jaka?
A wtedy człowiek jeden w żebraka postaci
Pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci

I wolności mu trzeba w milionów osobie
Ziemię bowiem pod sobą ma — i Boga w sobie,
A Pan w nim, jako ogień a nie już nad krzakiem
Zagrzmiał. — Prosisz się, widzę, być dawnym Polakiem.

Lat tyle już upłynęło od owych opisywanych przez Jeża wypadków. A czyż dzisiaj pytają, jaką ma być ta Polska przyszłości? Czy nawiązują nić wielkich tradycyi? Czy splątaną gmatwaninę złego i dobrego rozdzierżgują, czy oddzielają plewy od ziarna, czy też ziarn dobrych, rodzinnych noszących w sobie zadatek i zarodek przyszłości, razem z plewami nie marnują? Ziarno z rodzinnej gleby ma w sobie taką siłę plenną, że prędzej czy później kiełkować zacznie. Może się jednak zdarzyć, iż rozwój jego wstrzymanym zostanie, bo gleba nie uprawna ugorem się ściele, lub zarasta chwastami i nie przyjmuje swojskiego ziarna. A idą czasy brzemienne w wielkie wypadki. Chmury złowrogie gromadzą się już na horyzoncie politycznym a biada temu kto wśród rozszalałych żywiołów ni gwiazdy przewodniej niema ani busoli.

Niechże ogarnie nas wszystkich pragnienie poznania posłannictwa naszego narodu. W posłannictwie uświadomionem przez naród tkwi jego żywiołowa siła i potęga jego twórcza.

Z. O.

NA POMNIK

JÓZEFA WYBICKIEGO

ZŁOŻONO W NASZEJ REDAKCYI:

Złożono na ręce p. Stanisława Witkiewicza	320·—	K.
W czasie odczytu „Jan Matejko St. Witkiewicza“ urządzonego staraniem Koła T. S. L. im. „Kazimierza Króla Chłopów“ zebrano	30·20	„
Dr. A. Łoziński	2·00	„
X. Y.	—·40	„
P. M. Schätzlówna	1·—	„
P. D. Krzyczkowski	1·—	„
P. A. Łucka	2·—	„
P. I. Eminowicz	2·—	„
Administracya „Kuryera Lwowskiego“ . .	2·—	„

Do dnia 15. maja 1904 r.

Razem .	360·60	K.

UWAGA. Prosimy sprostować następujące **omyłki drukarskie,** które się wkradły do poprzednich dwóch numerów w druku pracy: „Juliusz Słowacki w ostatniej epoce życia i twórczości“.

W zeszycie III. (z marca)

str.	wiersz	zamiast	ma być
85	ostatni z dołu	forsy	*fazy*
89	15 z góry	to	*bo*
90	w cytacie	„I będę *wierny*“	„I będę *wieczny*“
91	8 z dołu	prawie	*poecie*
94	12 z góry	magnetyzm	*magnetycznym*

W zeszycie IV. (z kwietnia).

132	3 z góry	będę	*bądź*
132	ostatni z dołu	dojrzałej	*dojrzanej*
133	2 z dołu	absolutu	*absurdu*
134	15 z dołu	mara	*marze*
134	11 z dołu	śruba	*osoba.*



TREŚĆ: O pomnik Józefa Wybickiego. — Juliusz Słowacki w ostatniej epoce życia i twórczości. — Droga duszy. — Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż).

Chwila obecna.

Jak daleki grzmot po szeregu dusznych dni upalnych napełnia nadzieją, że wraz z burzą spadnie deszcz, który odświeży powietrze, powróci życie zamierającej ziemi i pozwoli oddychać lżej, — tak odgłos strzałów z dalekiego Wschodu budzić musi w każdym żyjącym jeszcze człowieku uczucia i myśli, że zmieni się może wreszcie atmosfera panująca w Europie, — atmosfera, w której zdrowy człowiek dusi się i żyć już nie może.

A wytwarzało się to co jest i rosło stopniowo lecz konsekwentnie.

Ta sama prusko-moskiewska spółka zbrodniarzy, która rozebrała Polskę, zgniotła potem po długich wysiłkach drugą ówczesną szermierkę wolności — Francyę, a odnosząc i dalej jedno za drugiem zwycięstwo tak w polityce jak i w duchowem życiu państw i narodów europjeskich, ostatecznie zapanowała dziś nad ich większością prawie niepodzielnie.

Rozpasanie, jakiego jesteśmy dziś świadkami to panowanie fałszu i obłudy, to budzenie rozwijanie i apoteozowanie najniższych ludzkich instynktów, te nowe świątynie z posągami pierwszego dziś bóstwa, któremu na imię „egoizm“, ten upadek wiary a kult brutalnej siły noża i pięści, — wszystko to są trofea moskiewsko-pruskiego systemu rządów, moskiewsko-pruskich wpływów na naszym kontynencie.

Gdy wpływy te zaczęły umacniać się we władzy, gdy coraz śmielej działać zaczynała nahajka moskiewska poparta pięścią pruską, nauką pruską i pruską filozofią, stara Europa rozglądała się jeszcze początkowo z trwogą do około i z trwogą usiłowała zajrzeć w przyszłość, jeszcze pojawiały się w niej głosy protestu i nawoływania do obrony, jeszcze zastanawiano się nad tem, „czy Europa ma skozaczeć“, jeszcze sumienie dawało znaki życia, jeszcze poruszano tak ściśle związaną z tem wszystkiem a tak niebezpieczną dla utrwalającego się systemu — sprawę polską.

Potem wszystko to ustało.

Po upadku polskich powstań, po nowych zwycięstwach prusko-moskiewskiej pięści, wszystko przycichło, wszystko poddało

się, ludzie małej wiary głosić zaczęli potrzebę „poddania się konieczności“, wywiesili na swoich sztandarach hasło „przystosowania się do warunków“. Lepsi stosunkowo — ci, którzy w tem bagnie żyć nie mogli, przystosować się doń nie chcieli, a nie mieli dość sił do zatrzymania i obrony starej wiary — do walki ze złem o dobro, prawdę i piękno, poczęli się starać o wycofanie się z życia, o znarkotyzowanie siebie i innych i wytworzyli tak popularny do niedawna typ nowoczesnego dekadenta.

Reszta — zarówno przedstawiciele i obrońcy urzędowej wiary jak i najbardziej wolnomyślni, zarówno arystokraci jak i demokraci, zachowawcy i niby postępowi ludzie, wszyscy walcząc ze sobą na noże, solidarnie uznali Petersburg i Berlin jako źródła nowej wiary i nowej prawdy, którą uznać należy.

„Namiestnik Chrystusowy“ Leon XIII. składa czołobitność u stóp petersburskiego tronu, a wolnomyślna, republikańska Francya rzuca się w objęcia potomka pogromcy Napoleona, zawiera hańbiące przymierze z przedstawicielką największego na całej kuli ziemskiej wstecznictwa, barbarzyństwa i despotyzmu.

Zaraza dotyka w większości i tych, którzy niby o lepszą walczą przyszłość. — Myśl pruska i pruska nauka staje się dla nich biblią, w której szukają wskazań dla życia, w której znajdują „nową prawdę.“

„Interes“ staje się największem słowem, a walka sprowadza się do walki o chleb i walki o władzę.

Hasło braterstwa i miłości jednostek i ludów zastąpione zostaje hasłem łączenia się w imię „wspólnych interesów“, pojęcie Ojczyzny sprowadza się do miski z jadłem lub do bagnetu i żandarma ubranego w narodowe barwy. — Dla urzędowego patryoty stają się zrozumiałe dwa tylko pojęcia — siła pięści i interes, a podstawową społeczną zasadą gnieść słabszego, wysługiwać się silniejszemu lub naśladować go, myśleć tylko o sobie, bo tak przecież dyktuje „zdrowy rozsądek.“

Duszno i ciasno zrobiło się wszędzie; prusko-moskiewski system opanował nie tylko ministeryalne gabinety, dostał się do pracowni uczonego, ba, dostał się i tam nawet, gdzie o prawach ludów i narodów mówią.

Europa zaczęła kozaczeć!

A carat rósł i potężniał. Głosów, które z Polski dochodziły przestano już słuchać, nikt już nie liczył się z nimi, nikt ich nie uznawał. Zresztą i te głosy jakby osłabły, a nadto niekiedy i z nich dawało się odczuwać, że i tam w Polsce ten system, który o Polskę zawsze rozbijał się dotąd, zaczął zapuszczać tu i ówdzie swe korzenie.

Tak samo nikt nie liczył się z głosami budzących się innych ludów przez carat ujarzmionych. Jeszcze stosunkowo największą wagę miały głosy protestu rosyjskiego ludu, ale i te głosy umiało kozactwo częściowo stłumić, częściowo swym tonem zabarwić.

Nad wszystkiem górowały dochodzące zewsząd do petersburskiego tronu okrzyki: jesteś wielki, jesteś mądry, jesteś wszechwładny, jesteś wszechpotężny!

Toteż system rósł, carat postępował coraz śmielej i bezwzględniej, reakcya na całym obszarze ziem przez carat opanowanych święciła tryumfy, doszedłszy za panowania carów Aleksandra III. i Mikołaja II. do zdobyczy i siły o jakich dawni despoci marzyć tylko mogli. Wprawdzie odzywały się tu i ówdzie słabe, oderwane głosy, że wraz z tym szczytem rozwoju i siły reakcyi zbliża się jej koniec, bo życie narodów acz wahadłowym ruchem ale wciąż naprzód posuwa się, — wprawdzie podnoszono i to, że dalsze zbrojenia się państw dla utrzymania wytworzonego stanu rzeczy są niemożliwe i muszą doprowadzić do katastrofy, wszystkie te głosy jednak nie zdawały się czynić większego wrażenia i zostawały w dziedzinie akademickich rozpraw, dopóki echa strzałów z dalekiego Wschodu i zwycięstw japońskich nie nadały im niespodzianie żywotności spraw i zagadnień dnia bieżącego.

*
* *

Tocząca się wojna rosyjsko-japońska budzi taki tłum najżywotniejszych myśli i uczuć, że chcąc pisać o niej trudno jest ująć w karby pióro, ograniczyć się do wypowiedzenia tego, co w danej chwili chce się powiedzieć.

Wojna ta, to nie zwykły epizod walk międzypaństwowych, międzynarodowych czy międzyrasowych, — to starcie się dwóch

wielkich światów kultury i barbarzyństwa, postępu i reakcyi. Doczekała się „przodowniczka cywilizacyi“ Europa, że jej przedstawiciel i władca reprezentuje na polu walki barbarzyństwo i reakcyę, a żółty „azyata“ broni kultury i postępu. Wierzymy, że nie nadarmo leje się krew tych żółtych bohaterów. Tocząca się walka to zapowiedź dalszych walk, wielkiej rozprawy dziejowej, to początek końca dzisiejszego systemu moskiewsko-pruskich rządów, zapowiedź niedalekiej już może lepszej przyszłości.

— Czy niedalekiej?

Mimowoli nasuwają się na myśl przy tem zapytaniu i stają przed oczami sceny z „Wesela“ Wyspiańskiego. — Przyszła chwila wyzwolenia i trafiła nawet na grunt podatny, a jednak bez śladu przeszła, pozostawiwszy jeno osłupienie i taniec bezmyślny pod muzykę słomianego chochoła, który powtarza monotonnie:

„Miałeś chłopie złoty róg,
Miałeś chamie czapkę z piór,
Czapkę wicher niesie,
Róg huka po lesie,
Ostał ci się ino sznur!“

Samo nic się nie zrobi i archanioł z nieba robić za nas nie będzie. Okoliczności czy Moc światem kierująca mogą tylko dać nam w ręce złoty róg, od nas zaś zależeć będzie, czy potrafimy zrobić z niego użytek, czy odpowiemy zadaniu i staniemy na wysokości chwili, czy też przespimy ją a róg oddamy w ręce parobka, który go w lesie zgubi.

Do świtania mamy jeszcze godzin kilka, jest więc czas zastanowić się i zdać sobie sprawę z chwili, ze zadania jakie nas czeka, z tego co przez tych godzin kilka jeszcze czynić należy, jak zachować się gdy ranek zaświta, ażeby świt ten nie zaskoczył nas niespodzianie, ażeby nie zastał nas w śnie jeszcze pogrążonych.

*
* *

Życie, jak ktoś słusznie zauważył, należy do oryginałów, t. j. do ludzi i narodów, co coś nowego — swojego w nie wnoszą, a nie do tych, co innych tylko naśladować umieją.

Uświadomićby sobie to dobrze powinni zarówno wychowawcy młodzieży, jak i ci, co usiłują ster życia publicznego w rękach swych trzymać.

Gdyby Japonia ślepo naśladowała Europę z jej zepsuciem, z jej czcią dla knuta i przewrotności a pogardą dla moralności w polityce i życiu publicznem, — napewno nie odnosiłaby tych zwycięstw nad Rosyą, jakich jesteśmy świadkami.

Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że Japonia bije Rosyę nietylko ilością żołnierzy, lepszą bronią i lepszą administracyą, ale przedewszystkiem tą przewagą moralną jaką ma w sobie nad Rosyą i w swoich żołnierzach-obywatelach nad rosyjską armią w swoich urzędnikach - obywatelach nad rosyjską administracyą. Bo Japonia umiała przyswoić sobie dorobek europejskiej cywilizacyi, a jednocześnie zachować, rozwinąć i podnieść swą własną rodzimą kulturę. To też w przeciągu kilku miesięcy Japonia nietylko wygrała szereg bitew na polu i na morzu, ale dała świadectwo prawdzie, podniosła kredyt sił moralnych, rozbiła różne „uczone“ teorye wypracowane z mozołem przez różne trupie łby; te kilka miesięcy śmiertelnych zapasów dodały już otuchy i rozbudziły wiarę w tych, którzy jeszcze iskrę prawdy czuli w sobie, otworzyły oczy całemu światu, że ta olbrzymia Rosya pomimo swych rozmiarów i materyalnych sił jakiemi rozporządza jest jednak słaba, a słaba przez brak siły moralnej, przez zbrodnię, którą na ołtarzu swej świątyni ustawiła.

Broni się carat ile mu sił starczy i bronić się nie przestanie, kłamie jak nigdy może nie kłamał, usiłuje wszelkimi środkami bałamucić ludzi i prawdę przed oczyma ich zakryć, gdzie tylko władza jego sięga stara się tłumić budzące się życie, zbrodnią stara się zbrodnię pokrywać, ale tem wszystkiem tylko swą zgubę przyspiesza.

W tym samym czasie, gdy tam na dalekim Wschodzie armię jego pogrom za pogromem spotyka, tu u samego tronu giną wierne jego sługi z rąk mścicieli ludów ujarzmionych. Los Bobrikowa i Plehwego, to los jaki czeka niezawodnie wielu jeszcze stróżów rosyjskiego więzienia, to los jakiemu sam carat ulegnie.

A gdzież są przyjaciele i sprzymierzeńcy cara, co w nieszczęściu doń rękę wyciągają i dają gwarancyę, że nie opuszczą go do końca?

Niemoralny związek z Francyą rwać się zaczyna. Wyczerpana jest wprawdzie Francya po wiekowej walce i uległa znacznemu zepsuciu, zwyrodnieniu, zaangażowane są wprawdzie bardzo w Rosyi jej finansowe sfery, a jednak coraz bardziej daje się odczuwać, że ten francusko-rosyjski związek i ta francusko-rosyjska przyjaźń na słabych stoją podstawach.

Wody Sekwany nie wzbierają zbytnio od łez francuskich z powodu rosyjskich klęsk, a moskalofilskie głosy, które jeszcze z Francyi dochodzą, dosyć szybko tracą inne tony poza metalicznym brzękiem franków i rubli. Poza tem zdrowsza część Francyi, jak wogóle świat cywilizowany cieszy się z klęsk rosyjskich i życzy caratowi, by to już ostatnie były jego godziny.

I okazuje się, że lepiej jest jednak, niż jeszcze niedawno można było sądzić, że wielu uległo i poddało się, ale nie wszyscy spodleli, że zaledwie jedna błyskawica od Wschodu rozprószyła na chwilę ciemności nocne, a już budzą się zastępy tych co jednak noszą w sobie potrzebę słońca, że wśród budzących się są i tacy, których sen zdawał się być bardzo głęboki. I tego procesu budzenia się nic już nie powstrzyma.

Jednego ma carat naturalnego przyjaciela i sprzymierzeńca, który z przyczyn głębiej sięgających zbliżać się będzie coraz bardziej do jego tronu i nie opuści go do końca, a jest nim godny wspólnik i współzawodnik zarazem — Prusak. Że potrafi on wyzyskać nieszczęście przyjaciela, ażeby największe dla siebie z tego nieszczęścia korzyści wyciągnąć, to rzecz jest wśród takich przyjaciół naturalna, ale gdy o losy wspólnego interesu iść będzie, stanie zbir pruski jak pies u stopni petersburskiego tronu i bronić go będzie do upadłego, bo wie on i rozumie, że upadek tego tronu, to zarazem jego własny upadek, to koniec systemu, z takim trudem do spółki stworzonego, a mającego w caracie swą główną oporę.

Jak odwiecznie toczy się i toczyć się będzie walka między dwoma nieprzejednanymi wrogami — postępem i reakcyą, tak

i teraz wcześniej czy później musi przyjść do rozprawy między kulturą i cywilizacyą światową z jednej a Rosyą i Prusami z drugiej strony, bo Rosya i Prusy dziś, to źródło i opora wszelkiej reakcyi.

Na razie strzały japońskie sprawiły to, że ludzie budzić się zaczynają, oczy przecierają, dziwią się i z zapartym oddechem czekają co będzie...

A być może bardzo wiele!

Baczmyż, żeby nie przespać chwili, i by nie zaskoczyła nas ona nieprzygotowanymi.

Trudno przesądzać, jakie wypadki i w jakiej chwili przyjść mogą, obowiązkiem naszym jest czuwać ciągle, starać się umożliwić wszystko przewidzieć, ale zarazem starać się być możliwie przygotowanymi zarówno na to wszystko, co się da, jak i na to, co nie da się przewidzieć.

A nas czekać może większe niż kogokolwiek zadanie, spaść mogą na nas większe niż na kogokolwiek obowiązki.

Uświadomić sobie musimy, że dzisiejszy porządek panujący w Europie zwalczyć może tylko wyższa idea — tchnąca życiem i prowadząca do ogólnego odrodzenia.

Gdyby w tem, co jest, było życie, prawda i przyszłość narodów, nie rozkładałoby się tak jak się rozkłada i nie potrzebowałoby odgradzać się od bezbronnych ludzi bagnetami.

Jedna Polska nieprzyjęła panującej dziś w Europie idei państwowej, jedna Polska nie przystosowała się do niej, Ona więc najbardziej zachować mogła swoją indywidualność i kto wie, czy nie Ona może być powołaną do dania nowej idei, do wlania tego nowego życia w coraz mniej do życia zdolną Europę.

Ostatnia nieudała walka o wolność wytworzyła w nas zwątpienie w siły własne, w własne hasła i w sprawę własną.

Powodzenia wrogów i pozorne zwycięstwa tego, co za zło poczytaliśmy zawsze pogłębiły tę narodową dekadencyę. Jedni ręce opuścili i starali się nie wychylać ze swych ciasnych mieszkań, usnąć w nich i zapomnieć o tem, co się na szerokim dzieje świecie, inni dalej poszli i przyszłości szukali w przystoso-

waniu się do „wymagań życia", jak mówili, a więc w naśladowaniu wroga — zwycięscy.

Japończycy nam bardziej niż komukolwiek oczy otworzyć powinni.

Przyszłość do nas należy, jeżeli potrafimy rozbudzić w sobie drzemiące na dnie własne siły. Sił tych mamy więcej niż przypuszczamy zapewne, tylko ich nie znamy, zaniedbujemy je a nawet częstokroć samobójczo tępimy, przyjmując za niepotrzebny a nawet szkodliwy chwast.

Bądźmy raz sobą, poznajmy siebie, swą własną indywidualną naturę, powołajmy ją do życia, nawiążmy nici z przeszłością przestańmy składać ofiary obcym, nieznanym nam bogom i idźmy z wiarą w przyszłość.

Pierwsze przygotowanie, to zbudzenie się, odrodzenie, gotowość wewnętrzna. Pamiętajmy, że czyn każdy, zanim dokonany zostanie w życiu, musi się wpierw w duszach ludzkich dokonać.

Pamiętajmy o tem, budźmy siebie i innych.

Uczmy się z historyi naszej i od Japończyków, że zwycięża nie karabin, ale karabin w rękach żołnierza-obywatela, który zna swą sprawę, kocha ją, wierzy w jej zwycięstwo, wierzy w życie i nie uznaje śmierci.

Uczmy się i uświadamiajmy sobie, że podstawa — to człowiek, a karabin — dodatek. Japonia w przeciągu niespełna 30 lat przeorganizowała się zewnętrznie na modłę europejską i uzbroiła się tak, że stworzyła pierwszorzędną światową potęgę, bo organizowała i zbroiła obywateli, natomiast Rosyę najlepsze nie uratują armaty i karabiny a uzdrowienie wewnętrzne tak zatrutego organizmu i wychowanie zdrowych pokoleń dłuższego wymaga czasu niż japońskie zbrojenia.

Niestety zbyt często zapominamy w ostatnich zwłaszcza czasach o tych prawdach. Tandeta europejska, którą usiłujemy naśladować przeniknęła i w tę dziedzinę życia naszego. Działające dziś partye i stronnictwa zdradzają ustawicznie politykę na krótką metę, brak widzenia szerszych horyzontów, brak głębszej myśli i wiary. Dba się o to tylko, by uzbroić żołnierzy i dziś pokonać przeciwnika, nie wnikając zbytnio, co będzie jutro. Tra-

cimy z przed oczu odległy cel, którego tracić, o którym zapominać ani na chwilę nie wolno.

Ale nie wolno też w drugą wpaść ostateczność — zapatrzyć się w daleką gwiazdę, rozmodlić się i czekać zmiłowania Bożego, czekać, żeby samo zrobiło się lub żeby ktoś zrobił to, co nam samym zrobić należy.

Patrząc z wiarą w jaknajdalszą metę, gdzie prawda zwycięża i słuszność i sprawiedliwość, gdzie jest wieczne życie, — winniśmy być jaknajbardziej rozważni, przewidujący i trzeźwi w stosunku do otaczających i spotykających nas zjawisk i wypadków.

Niespuszczanie z oka światła dalekiego celu nietylko nie będzie przeszkadzało nam w tem, ale oświecać nam będzie drogę, po której iść mamy, i wszystko co na niej spotykać będziemy, uchroni nas od wielu błędów i od zbaczania na manowce. Światło to wskaże nam między innemi, że tylko zło i występek nienawidzić trzeba, że droga postępu i prawdy jest tylko tam, gdzie na drogowskazach widnieje napis: „Miłość i braterstwo ludzi wolnych i wolnych ludów.“

Im więcej będzie wśród nas tych, co się zbudzą, a zbudziwszy, odczują potrzebę odrodzenia i przygotowania na spotkanie chwili, im głębsze będzie to wewnętrzne przygotowanie, im bardziej odnowimy i wzbogacimy dusze nasze, a cel, do którego iść trzeba, wyraźniej widzieć będziemy, tem więcej dokonamy, pewniejsze i bliższe będzie zwycięstwo.

* *
*

Przejdziemy teraz do zastanowienia się nad samem działaniem, bo przygotowanie wewnętrzne to tylko pierwszy konieczny warunek, by módz działać, ale nie wystarczy do zwycięstwa.

Żołnierz musi być obywatelem, ale i odwrotnie obywatel chcący walczyć, musi wpierw stać się żołnierzem.

Nie dość jest znać sprawę, kochać ją i być gotowym życie oddać za nią, trzeba jeszcze umieć walczyć, a przedewszystkiem dokładnie znać przeciwnika i sprzymierzeńców, — wiedzieć jak, z kim i przeciw komu wojować, co i jak do walki przygotować.

O tem właśnie w dalszym ciągu pomówić pragniemy.

(D. n.)

Fragmenty z zapisków ś. p. Kazimierza Odrzywolskiego.

12. Stycznia, środa 1898.

Wieczorem przyszli do nas Szczepanowscy. S. S. oburzony był listem niejakiego Chlędowskiego zniemczałego Polaka, który pisał do S. S. żeby tenże w swoim organie (Słowo polskie) popierał Bilińskiego, który ma zostać prezesem Anglobanku. — S. S. oburzał się tem, żeby były minister spadł tak nizko i chciał służyć choćby nawet za wysokie pieniądze jako firma (parawan) spekulantom i ułatwiać im przez swe wpływy stanowisko wobec rządu. To są ambicye mężów stanu polskich! Możeby mu się nie miało za złe, gdyby to był biedak nie mający z czego żyć lub starzec. Ale Biliński, który by mógł być użytecznym w kraju i ma osobisty majątek, to rzecz trudna do pojęcia. A jednak to już takie wyobrażenia galicyan stańczyków, którzy chcąc pokryć własną oschłość i egoizm wprowadzają gangrenę w społeczeństwo, poświęcają się dla kraju biorąc najlepsze stanowiska, wychodząc z zasady, że wybitnych stanowisk my Polacy nie powinniśmy z rąk wypuszczać.

5. Luty sobota.

Wpadła nam myśl żeby wziąć Romanowicza na głównego redaktora „Słowa". Zdaje mi się, że to by było jedyne rozwiązanie, bo Rutowski zdaniem mojem nie jest człowiekiem obowiązkowym, a tutaj potrzeba ciągłej pracy żmudnej niezmiernie, do której Romanowicz przywykł już jako redaktor „Nowej Reformy".

8. Lutego wtorek.

Omawiamy codziennie sprawę redaktora „Słowa", naszem zdaniem t. j. mojem i W. najodpowiedniejszy byłby Romanowicz S. S. upiera się przy Rutowskim, który pismu raczej zaszkodzić może niż pomódz. Nie przeczę, że jest człowiekiem bardzo wykształconym ale prostym karyerowiczem i nic więcej, a przytem człowiekiem bez żadnej systematyczności a co gorsza i charakteru także nie widzę.

9. Lutego środa.

Rozmawiałem dziś z Rutowskim, ma on ochotę zostać redaktorem i nie opuszczać rady państwa, to jest rzecz niemożliwa. Zgadało się o kierunku S. S. i jego postępowaniu krytykował S. S. za wystąpienie w sprawie piątej kuryi twierdząc, że historycznie biorąc żadna partya nigdy dobrowolnie nie zrzekała się swoich praw na korzyść innych, dalej, że S. S. wystąpienie z wnioskiem propinacyjnym było także niesmaczne i że całe jego postępowanie obecne osłabia lewicę. Mój Boże, kiedyż ci ludzie poznają S. S. i dowiedzą się że on nie pracuje dla partyi tylko dla kraju.

To nie są ludzie, to mumie uczuciowe; płytkie wykręty polityczne, to ich tętno serca, a katzenjamer po nieudałych wykrętach to sumienie ich.

11. Lutego piątek.

Wieczorem czytaliśmy „Życie“[1]) widać w tem piśmie coś nowego, coś co rzeczywiście stanowi życie, zdaje mi się, że z tego nowego prądu dziś nie zrozumiałego, jednak utalentowanego błyśnie nowa wielka literatura.

12. Lutego sobota.

H. S. czytała swój artykuł przeciw Dembińskiemu profesosorowi, który w swych popularnych wykładach króla Stanisława wynosi i ubolewa że Kalinka za mało znany. — Artykuł przepyszny. Z serca i duszy matki Polki płynący. Krytyka tego popularnego profesora wywoła wrzawę, ale może tym sposobem coś się zrobi w kraju. — Dotąd u nas nie pojawiał się głos prawdziwego oburzenia, pochodzący z głębokich uczuć patryotycznych, z głębokiej chęci poprawy złego, zawsze walczyły tylko ze sobą obozy martwe w czynie a zjadliwe w języku, myśl cała płynęła jadem, serca nigdy nie czułeś. — Tak było dotąd.

16. Lutego środa.

Wieczorem byli u nas Szczepanowscy. S. wzburzony, gotuje się w nim, chodząc po pokoju zaciska dłonie, jakby się odgra-

---

[1]) Krakowskie (przypisek redakcyi).

żał. Geniusz ten czuje pęta na sobie, pęta straszne, bo obojętność całego społeczeństwa.

17. Lutego, czwartek.

Wieczór byłem na mowie S. S. w sejmie w sprawie piątej kuryi, mowa przepyszna. Romanowicza zjednaliśmy na Redaktora „Słowa polskiego", dziś już wolny wypowiedział wspaniałą mowę.

MŁODOŚĆ A ŻYCIE.

I. Ciemno w świątyni narodu.
Zgaszono świece woskowe — symbol modlitwy...
Nie płoną serca — wyziębły dusze...
Kto żar znów rozpali?...

* * *

Naród można poznać przez poznanie jego młodzieży. Na nią w pierwszym rzędzie musi zwrócić uwagę tak ten, kto pochwycić chce współczesny stan duchowy narodu, jak i ten, kto wyczuć chce jego przyszłość. Jest ona jakby miernikiem temperatury w społeczeństwie. Jako najbardziej czuła na każdą ideę czy myśl rzuconą — każde nieuświadomione nawet drgnienia duszy narodu odzwierciedla i potęguje.

Z tego też powodu taka w jej tonie różnorodność barw, moc biegunowych sprzeczności, które dają szerokie pole do analizy a utrudniają syntezę. Trzeba usłyszeć ponad ten chaos wzbijającą się harmonię, pieśń budującej się przyszłości.

* * *

Widzimy w społeczeństwie wieczną troskę o młode pokolenie, zwracanie uwagi na to, że dzisiejsza młodzież jest twórcą jutrzejszego życia narodu. Jako skutek tej troski, widzimy ciągłe próby walki ze złem, którego dopatrują się wśród młodzieży pod rozmaitemi postaciami.

Próby walki — przez ankiety, propozycye reform, przez towarzystwa opieki z całym aparatem statutów i paragrafów

a czasem przez używanie wszelkich środków, jakie pozostają do rozporządzenia. Choćbyśmy przypuścili nawet, że zawsze ta walka jest wypływem szczerej chęci poprawy, możemy śmiało twierdzić, że prawie bez wyjątku jest ona jałową. Pozostaje fakt, że między młodymi a starymi porozumienia nie ma, że starsze pokolenie zgubiło władztwo dusz generacyi młodszej, a wskutek tego przez fałszywe stanowisko w usiłowaniach poprawy coraz bardziej od niej oddala się.

Dzisiejsze społeczeństwo opieki nad młodą duszą nie zdobędzie — bo jest więcej od niej chore i samo potrzebuje odrodzenia.

Z drugiej strony między młodzieżą widzimy zła wiele — ale właśnie to zło pochodzi przedewszystkiem od tego społeczeństwa, którego opieka i przykład nie może pozostać bez skutku. Natomiast widzimy w niej olbrzymie zasoby rodzimego skarbu i na tej podstawie możemy twierdzić, że role się zmienią i młodzież da odrodzenie społeczeństwu. Ta młodzież, która mimo wszystko pragnie świat pchnąć na lepsze tory i ciągle składa dowody, że gorąco czuje i zdolna jest do poświęceń.

Inna to rzecz, że sama sobie pozostawiona nieraz na fałszywych brnie drogach, w każdym razie pragnie iść w stronę światła.

*
*   *

Trudno wprost zmierzyć głębokość wpływu jaki wywiera dzieciństwo na całe życie: dzieciństwo na śmietnisku życia albo dzieciństwo w duchowo zdrowem otoczeniu.

Na śmietnisku życia, śmietnisku nędzy — ciemnoty, nizkich instynktów — gdzie pierwszy oddech już zatruwa duszę — rani, często zabija.

Błogosławiona, życiodajna moc młodości sprawia, że i na tem nawet podłożu wykwita kwiat piękny. Ale to jednostki które już na świat przyszły z zarodkiem siły i hartu większym od przeciętności. Częściej uczą się one prędko świat nienawidzieć, a jeśli kochają życie, to miłość ta jest raczej tesknotą, żalem, że wydarto jej dzieciństwo jasne.

Wybicie się każdej z tych dusz, wydarcie śmierci — ma tak odrębne cechy, że nie podobna ująć ich w żadne formy.

O ile przyjaźń nie otoczy młodzieńca zawczasu atmosferą miłości, która jest niezbędną dla normalnego rozwoju duszy o ile pozostanie ona samotną a potrafi sama z siebie moc czerpać, — wytwarza jednostki potworne w swej oryginalnej piękności i sile, lecz zwykle spaczone.

To jeden element młodości.

* *
*

Śmietnisko perfumowane, — dobrego tonu, karyery — pomińmy, bo to prawie bez wyjątku zabija duszę młodą.

Z grzechu powstać można — z podłości powstania nie ma.

* *
*

Dzieciństwo rzuca też w szeregi młodzieży dusze jak łzy czyste... Niema tak szerokich ideałów, których nie objęłoby ich serce gorące. Świat mierzą czuciem i w tem ich siła. Równocześnie i nieodłącznie dusze te pociąga r u c h, przemiana, życie, wiedza, — walka... i tu leży niebezpieczeństwo. Życie bowiem wytworzyło wszystko, aby orłom skrzydła podciąć i lot obniżyć.

I oto młoda dusza bieży życiu naprzeciw — tyle pragnie rzeczy nowych objawić, ofiarować, spełnić. Ale czem bliższe życie tem bardziej w oczach ciemnieje, prąd porywa, zalewa, ruchy utrudnia. Myśl plącze się i gubi.

Zmęczona, stargana dusza — kiedy zda się już kres dla niej, — kiedy w ciemności bezradna błądzi — nagle ujrzy błysk — wspomnienie...

Usłyszy ten cichy, dobry głos matki, jasne, proste słowa modlitwy, wspomni rój myśli czystych.

Zdumiewa się.

Oto szukał prawdy, źródła życia wszędzie, wszystko przemyślał, budował światy i w gruzy walił, służąc u coraz to wyższych potęg — aż w dzieciństwie odnajduje skarby... Potoż przeszedł ciernistе drogi bolu, aby wrócić do ich początku?

Tak — wraca jak w całym wszechświecie myśl i kształt podobny w coraz to wyższych kręgach... Odrodzenie duszy. Go-

rączkowo odgrzebuje w pamięci każde drgnienie duszy anielskie i z tych strzępów kładnie podwaliny myśli — gmachu silnego na całe życie.

* *
*

Kto ominął w młodości drogi obłędu — zwątpienia? — Kto żaru duszy swej nie odgrzebywał w popiele i z popiołów jak Feniks nie odradzał się?

W młodości jest pewien punkt zwrotny, który rozstrzyga o przyszłej drodze. Ta chwila przełomu najcięższą jest do przebycia i najniebezpieczniejszą.

Walka sił dobrych z ciemnemi.

Coś rwie się w duszy — modli i bluźni — płacze i urąga...

Świat boi się zwycięstwa tych dobrych sił, które wróżą mu zagładę — i stawia jej przeszkody, sieci — gnębi, stara się złamać. Wrogów daje w domu, szkole, życiu.

Rodzina, która w najlepszym razie kiwa z ubolewaniem głową, macha pogardliwie ręką a na dramat młodej duszy patrzy jak na operetkę. Szkoła, która już systematycznie i wyrafinowanie truje i tępi myśl wolną.

Życie, które prowadzi przed skały pełne zawrotnych przepaści i mówi: albo z innymi pójdziesz za mną udeptaną drogą doliny, — albo samotną zostaniesz. Przez skały trzeba samemu dróg szukać, wyrobić bystrość wzroku, aż do patrzenia w ciemności.

Muszą w tej młodości dziwne leżeć moce, jeśli może ona tym siłom oprzeć się.

W tym właśnie okresie przełomu jest młodzież najczulszym miernikiem prądów płynących w społeczeństwie, — spogląda w życie.

* *
*

II. Życie obecne charakteryzuje gwarność a płytkość. Na miejscu moralnej wartości panuje spryt — na miejscu szerzenia się idei mocą prawdy — agitacya, w życiu społecznem miarą — zamiast sprawiedliwości i słuszności — siła i liczba i interes. Życie szybkie, sądy nieopatrzne, dążenia niedalekie... Władca i sędzia

dzisiejszego społeczeństwa — gazeta, doskonale życie to odzwierciedla. Przerażająca powierzchowność, podkreślanie faktów jaskrawych tylko, a przeoczanie niełatwych zwykle do ujrzenia objawów o głębszem znaczeniu... Na jarmarku nikt się przecież nie może modlić. Sprowadza to ogólne obniżenie myśli i pragnień i wytwarza pole dla rozwoju partyi, której żywiołem przeciętność...

Ludzie niezdolni już na ogół do skupienia się, żądają sami aby ich zwolniono z latania po obłokach, lgną do partyi, która dając gotowy na wszystko metr, każe wierzyć w program, liczbę, siłę.

A wśród młodzieży ten największy jej wróg — kult siły i materyi, bezkarnie grasuje i w niewolę bierze.

Najczęściej — po rozegranym w młodej duszy dramacie, kiedy jasnem staje się jej hasło walki z dotychczasowym światem a jeszcze dróg nie widzi, — najczęściej zagarnia ją pierwsza napotkana grupa ludzi „czynu społecznego“, jeśli tylko — prawnie, czy nieprawnie — wywiesiła na sztandarze swym hasła wielkie.

I nie rzadko trafi na ludzi, którzy na jarmarku swych ciasnych celów, sprzedają tę boską siłę dusz młodych, lub też na takich, którzy każą wyplenić młodzieńcze zapały, a wszczepiają rozsądek i rozwagę i rozum polityczny i t. d.

W młodzieży składa wiecznie duch ludzkości najlepsze swe siły — a młodzież na błędnych drogach trwoni go — lub tępi rozmyślnie.

Dramat ciągnący się przez wieki.

* *
*

Zdawałoby się, że ani od polskiej młodzieży, która pod trzema zaborami tak różnych doznaje losów, ani od społeczeństwa całego, które w różnych dzielnicach w zupełnie inny sposób może wpływać na bieg wypadków, nie dadzą się wysnuć ogólne jakieś żądania. Tak nie jest, — są tylko przeszkody o różnem niebezpieczeństwie.

Pojmując słowo „Polak“ w jego jedynie słusznem znaczeniu, jako nazwę bojownika za wolność i równość powszechną, przed

którym leży zadanie zbudowania cywilizacyi na podstawie zasad chrześcijańskich, możemy żądać od każdego, aby nazwie tej godnie odpowiadał i służył idei polskiej.

Na tej podstawie łatwo kwestyę rozwiązać.

* *
*

Społeczeństwo musi równocześnie na całej linii dążyć do odrodzenia duszy na podstawie idei polskiej. Całe życie jednostek musi tą ideą przesiąknąć, każdy czyn musi nosić jej piętno. Pierwszym krokiem ku temu będzie uznanie, że dotychczas kroczyło się drogą złą. Wtedy szacunkiem otoczy się wszystko, co duchem polskim tchnie — a więc umiłuje się młodzież, która go ma wiele. Trzeba młodzież kochać nietylko jako nasze dzieci, nietylko opiekować się jak niedoświadczonym i głupim, ale trzeba ją ukochać tak, jak ślepiec kocha prowadzące go dziecko.

Reforma wychowania możliwą jest tylko przez reformę życia. Dla reformy szkolnictwa prawie że niema miejsca pod panowaniem obcych. Jeżeli jest gdzie choć cień wolności pod tym względem, to należy oprzeć się na bogatej pedagogice polskiej, a wypierać każdą inną jako zabójczą.

* *
*

Na dziś młodzież nie może spodziewać się od społeczeństwa takich reform, któreby dały duszom ich lot swobodny. Sama z siebie musi siły czerpać, z tem przeświadczeniem, że ma być twórcą nowego życia.

Wymaga to olbrzymiej pracy ducha. Pierwszy w niej, zasadniczy warunek — wierzyć popędom serca i za niemi dążyć. Nieuniknionem jest terminowanie u różnych potęg, coraz to wyższych, nim odkryje się ideę własną, z głębi serca, która dopiero poruszy wszystkie siły.

Nieuniknione też są zwątpienia i upadki, boć jeśliby droga była równą i gładką, nie prowadziłaby na szczyty. Chwile zwątpień są to jakby próby mocy. Im to przypisać należy, że nie wszyscy dochodzą do szczytów myśli, że zatrzymują się na różnych stopniach rozwoju, lub zawracają z drogi.

Zazwyczaj młodzież grzeszy małem ukochaniem swej duszy, i w chwilach zwątpienia z bolesną rozkoszą plwa na najszlachet-

niejsze porywy serca, i brudzi się złą myślą. Trzeba zwracać uwagę na czystość duszy, czystość myśli, jako na jeden z ważnych warunków zwycięstwa w pracy ducha.

Ta czystość myśli zrodzi rzecz nową: miłość do braci w pracy. A wypływa stąd zasada tak zgodna z ideą polską, zasada związków na podstawie miłości. Jeśli młodzież tworzy kółka, grona dla wspólnej pracy, powinna zwracać na to uwagę. Niech ją nie łączy sama chęć samokształcenia, ani program, ani jakiś cel określony — ale miłość i szacunek. Owoce tego prędko dadzą się ujrzeć.

Wtedy pojmie się jedną tajemnicę życia: nie chęć rozumu z książek, ale mądrości z serca. A potem inną tajemnicę: Wierzyć trzeba nie tym ludziom, którzy mówią uczenie, ale tym na których serce, jako na mądrych wskazaje.

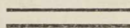
Czyż trudno zauważyć, że łatwo młodego przekonać argumentami i że często traci on miarę — kto ma racyę — po przeczytaniu dwóch uczonych a sprzecznych ze sobą dzieł? A bez busoli serca jest to częstokroć strasznem. Zwątpiwszy w możność ujrzenia prawdy zapełniają szeregi dekadentów, lub dla zagłuszenia sumienia albo dla opinii wmawiają w siebie pewne zasady — aby tylko było rozum o co zaczepić i wlec się przez życie. Przestają myśleć albo łamią się. Droga serca jest nieomylną.

Wtedy już nie wyjdą z szeregów młodzieży płytcy krzykacze, albo wiecznie „społecznikujący“ kramarze różnych „czynów“, ani sekciarze i doktrynerzy zaślepieni, od jakich roi się na uniwersytetach, a którzy w późniejszem życiu zwykle godzą się na wiele rzeczy złych wśród społeczeństwa, milkną i nie ma ich, gdy trzeba czynem słowo poprzeć.

Wytworzy się zastęp ludzi silnych Duchem Polskim, dla których nie będzie rozdziału między słowem a życiem. Tych czujność nie omyli i gdy dzień nadejdzie oni pierwsi podniosą się, by budzić innych, — uśpionych.

Taką rozumiano młodzież, gdy powiedziano w księgach pielgrzymstwa: Ojczyzna największe nadzieje pokłada „...na ludziach, których nazywaliście dobrymi Polakami, pełnych uczucia, tudzież na poczciwych żołnierzach, tudzież na młodzieży“.

Wskrzesi się ten typ polskiej młodzieży, której pełno imion na kartach stuletnich walk naszych, która w pierwszych idzie szeregach — za Świętą Sprawę.



S. M.

Realny idealizm.

Nieraz w życiu codziennem spotyka się przykłady, że dekadencya jest zapowiedzią odrodzenia, lub zupełnego zaniku życia. Owocem dekadencyi jest wskazówka, na jakie ścieżki wstąpić należy by iść we wprost przeciwnym kierunku.

* * *

Dekadencya, czy to w sztuce, czy w nauce, czy w życiu, jest wynikiem przeważającego działania pierwiastka egoistycznego.

Pojawia się wtedy hasło „sztuka dla sztuki", „nauka dla nauki", a głosiciele tego hasła parskają ze wstrętem na wszelką etykę sztukę i nauki. Sztuka i nauka — mówią — to sprawy wyzwolone, a przecież etyka określa zawsze pewną służalczość.

Może to być prawdziwe określenie. Jednakowoż należy być uczciwszym w zdawaniu sobie sprawy z rzeczy. Mówiąc o znaczeniu życiowem sztuki i nauki nie jest przecież słuszną rzeczą myśleć wtedy o jakichś abstrakcyach, ale o ludziach, którzy są życiem sztuki i nauki.

A czy ci ludzie sztuki i nauki są wolni?... Dlaczegoż więc głoszą bezetyczność sztuki lub nauki?

Etyka sztuki lub nauki nie jest to kodeks policyjny, ale jest czemś, czego obawia się artysta lub uczony, który się już wolnym, bezetycznym ogłosił.

Kto nawykł do autoanalizy, ten dobrze odczuwa, jaką rolę odgrywa w życiu pierwiastek subjektywny. Kto przeciw temu elementowi zmagał się, wie, ile przez to zdobywa i w jakie otchłanie życia spogląda.

Dekadencya idzie częstokroć w parze z autoanalizą, bo podnoszą się w chwilach przedostatnich najsilniejsze echa wewnętrzne i budzą refleksyjność.

Te wszelkie objawy bezwoli, nudy i próżni są nader charakterystyczne przez to, iż pierwiastek egoistyczny jest w nich słaby we fazie zupełnego rozkładu. Te objawy zapowiadają w życiu czy to jednostki, czy grup całych, pojawienie się pierwiastków duchowych.

Wystarczy, by jednostka, czy grupa owa zwróciła się w tę stronę, a działanie pierwiastków duchowych wnet się objawia, jako powolna przemiana życia i stanowczy wzrost sił jakichś nowych a niespożytych.

* * *

Dekadencya jest najczęściej następstwem nierealnego marzennego idealizmu, a zapowiedzią realnego.

Idealizm, który sprowadza dekadencyę widocznie nie jest żywym, ale urojonym; raczej zamyka niż otwiera bramy odwiecznych sił.

Kto prawdę skradł, ten jest narażony na srogi sąd i karę Sprawiedliwości. Niech tą prawdą będzie, czy to coś z Boga, czy z szatana — przez kradzież jej dochodzi się do dekadencyi.

I ci, którzy są w kościele i ci ze świątyni sztuki lub nauki, przez zbytni swój indywidualizm mogą być narażeni na zbrodnię kradzieży — większą niźli owa jawna kradzież chleba, która wobec tamtej jest niewinnem dzieciństwem.

Lecz za owe dzieciństwa karzą tylko ludzie, a za tamte zbrodnie karze Ktoś inny.

Kradzież prawdy odbywa się na porządku dziennym. Jedni drugich do tego zmuszają.

Ale cóż jest kradzieżą prawdy? Czyż nie zdobywanie jej od zewnątrz?

Nałogowy złodziej prawd odznacza się nadzwyczajną stałością, nieugiętością i natręctwem przekonań. Widocznie, że nie ma w nim źródła, ale jest coś skradzionego, czego pozbyć się obawia.

A przytem taki złodziej to mniej lub więcej zręczny parweniusz umysłowy. U niego podobne słowa, jak nauka, partya, kościół są ciągle na przedzie.

Aby idea jakaś zbawienie człowiekowi przyniosła, musi się ona w nim wzbudzić. Działanie jej nie może być od zewnątrz, ale od wnętrza.

Bo idea na zewnątrz nie istnieje, a jeśli coś od zewnątrz jako niby ideę czerpiemy, natenczas narażamy się na spotęgowanie naszego subjektywizmu, naszego egoizmu. Przybiera on natenczas albo szatę pychy i zarozumiałości, albo szatę marzycielstwa. I stąd mamy różne przejawy idealizmu: idealizm pyszny gwałtowny (u rozmaitego rodzaju społeczników), idealizm marzenny, mglisty i bezwstydny (u artystów, filozofów itp).

To są dwa końce łańcucha różnych idealizmów, których zasadniczą cechą jest przepaść pomiędzy niemi a życiem.

Wewnątrzną zaś cechą takiego idealizmu jest jego lubieżność (jeśli można tak nazwać) umysłowa.

A tacy idealiści nie są posłańcami, ale samozwańcami.

Można i z własnego wnętrza prawdę kraść. Po takiej kradzieży brama wnętrza już zapada, a złodziej już „własnej chwały szuka“.

Jakikolwiek więc ideał, chociażby najwyższy, — skradziony, wtłacza egoizm coraz głębiej we wnętrze i stąd wyradza się ów wybujały indywidualizm, czy to egotyczny, czy gwałtowny, arystokratyczny.

* * *

Realny idealizm jest to działanie ducha od wnętrza najpierw, w cichości i bezsłownie, dlatego pierwszem stadyum jego działania na jednostkę jest milczenie, tj. wewnętrzne czyszczenie się serca.

Z chwilą, gdy czystość wewnętrzna serca przeważy nad pierwiastkiem egoistycznym, z tą chwilą realny idealizm przejawia się jako moc odradzająca i przemieniająca.

Św. Paweł mówi, „że nie w mowie zależy Królestwo Boże, ale w mocy“.

Realny idealizm to nie zasób pięknych przekonań, ale nasze odczuwanie Boga, a stąd niespożyta moc, czystego czynu.

* * *

Zasadniczą cechą realnego idealizmu jest to, że nie wykracza on poza granice czucia, które jest miarą mocy i poza granicę czynu. Stąd właśnie brak mu pierwiastku marzycielskiego, a człowiek, który żywi realny idealizm dąży do wyrwania z siebie marzycielstwa, które jest niczem innem, jak dążnością egoistyczną do rozsmakowania się w ideale — oczywista urojonym.

Realny idealizm nie jest sprzeczny z trzeźwością i ze spokojem, a musi temi cechami wszelkie inne realizmy przewyższać.

Realny idealista jest gruntownym matematykiem własnego wnętrza, bo nie jest poetą w dzisiejszem znaczeniu, jednakowoż wieszczem być może.

I w tem jest zasadnicza różnica pomiędzy poetą literatem a wieszczem, że: poeta literat używa i rozkoszuje, przez co jest nader wrażliwy, drażliwy, wieszcz coraz mniej wrażliwy, drażliwy coraz więcej czujący.

Zasadą poety literata jest: „*varietas delectat*“, zaś wieszcz dąży do zupełnej skromności wrażeń, do zapomnienia o sobie samym.

Poeta literat wzbija się coraz wyżej ponad ludzi, ponad ziemię, by tem niżej spaść; wieszcz zanuża się coraz głębiej w serca ludzi, w serce globu, w Bogu.

Poeta literat dąży do dekadencyi, wieszcz do zmartwychwstania i do zbudzenia życia.

Wieszcz czyni innych wieszczami i miłość Bożą rozpala, poeta literat czyni innych filistrami i sprowadza obrzydzenie do piękna.

* * *

Drugą cechą marzennego idealizmu jest jego dążność do posługiwania się światem zewnętrznym, materyą, stąd lubieżność jego we formach.

Odpowiednią zaś cechą realnego idealizmu jest dążność do wyzwalania się od świata zewnętrznego, od materyi, a stąd nie-

nawiść jego do wszelkich form, bezgraniczne zamiłowanie w wolności, Boski anarchizm.

Głębiej biorąc, ani forma, ani bezforemność nie są czemś sprzecznem lub właściwem realnemu idealizmowi, są to rzeczy obojętne.

Dla wolnego nie istnieje ani świat zewnętrzny, ani wewnętrzny, ani forma, ani bezforemność; istnieje unia, o której my dualiści z urodzenia pojęcia nie mamy.

Realny idealizm dąży do takiej wolności i dla tego zasadniczą jego cechą jest zaparcie się siebie samego, wewnętrzna czystość serca, poddawanie się Woli Boga.

* *
*

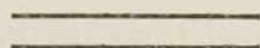
Idealizm marzycielski jest dla bardzo wielu tak niedostępny, jak n. p. bogactwa, wygody życia itp. I to jest wielką jego zaletą.

Realny idealizm każdego prześladuje od kolebki i cały nasz ból stąd, że mu się częstokroć opieramy. Jeśli zaś opieramy mu się z całym oporem naszej ślepoty, działa on wtedy w nas bez naszej świadomości. Stajemy się częstokroć lepszymi pomimo woli...

Od chwili zaś, gdyśmy się poddali jego działaniu z pokorą i cierpliwością, poczynają spadać łuski z naszych oczu serdecznych, ból staje się coraz czystszym i nie prowadzi do dekadencyi, ale w głąb życia aż dotąd, gdzie zyskamy moc jego zupełnej Przemiany.

*
* *

Nasza pedagogia jest częstokroć ślepym oporem przeciw realnemu idealizmowi, — przymusza i przyucza do moralnych kradzieży.



W DRODZE.

Idę a idę — ani mi się jeszcze
przystanne nogom umościły progi
i sen mi płosząc drwiący wichr szeleszcze
i piersi dławią mory i pożogi.

O jeszczem bardzo lekki jest na szali,
a jednak naprzód dziwna moc mię porze
i choć mi młodość, choć mi krew się żali,
jasno mi, Boże!

Czemu w krąg smętni takie skargi wiodą?
w krąg rzesza rada nizkich buntów słucha? —
wszak życie nie jest żalem ni pogodą,
ale wcielaniem ciepłej prawdy ducha!
O iżeś rzekł mi, jako tyle grania
będzie, co z duszy złotych strun nałożę —
choć harfę życia jeszcze mgła przysłania,
jasno mi, Boże!

Ani nie pytam losów swego dzieła,
bo oto myśli roztęsknione gońce
lecą ku słońcu, w które dusza tchnęła
wszystko, co godne, aby stworzyć słońce.
Idę nietrwożny żadnych bram, — gdy błądzę,
sam ból w słonecznym każe wytrwać torze,
a że dla słońca woskiem są wrzeciądze,
jasno mi, Boże!

Od trudu jeszcze ręce mi nie twarde
ni kłosu ważąc nie pokładłem na nie,
lecz przeto w sercu czuję własną wzgardę
i lęk, bym nie był pustym kłosem w łanie.
A że ból, paląc chory zaród winy
tak mi nad duszą bezlitośnie gorze,
i że grzech każdy pręg mi chłoszcze siny,
jasno mi, Boże!

A oni płaczą, oni smutni płaczą,
głód nowych kształtów im pochyla głowę,
próżno kołatać im o pierś żebraczą,
że nowe kształty wniesie życie nowe. —

O swojem przyszłem niewiem rozpowiciu,
lecz wiem, że w martwej nie zakrzepnę korze,
choć może legnę, ale w nowem życiu,
jasno mi, Boże!

Droga duszy.

22. maja.

Nie wiem, czy wiara jest pobudką do budzenia się duszy, czy też jest ona tem napięciem i zmaganiem się woli przeciw egoizmowi. Wiem, że człowiek nie wierzący nie może zwyciężyć się do tego stopnia, na którym czystość wewnętrzna serca przeważa nad egoizmem. Jeśli zaś nie ma jeszcze wiary a pragnie takowego zwycięstwa musi dojść nawet bez pomocy zewnętrznej gdy jej niema — do wiary. Wiara więc u takiego człowieka nie jest niczem innem jak pewnym stanem duszy, którego rozwój nie zależy od świata zewnętrznego. Dogmat o łasce Bożej, iż jest ona potrzebną do wzbudzenia tego stanu jest oczywista symbolem jakichś tajemniczych stosunków serca ludzkiego do świata wewnętrznego. Mówię o świecie wewnętrznym, bo jest świat, zkąd my tylko przez nasze wnętrze czerpiemy wrażenia, siły.

* *
*

Apostołowie i królowie Ducha budzą się tam, gdzie najsolenniejszą jest walka przeciw egoizmowi. Tajemnica tej walki jest tajemnicą wielkich wydarzeń, upragnionych zmartwychwstań i przewrotów duchowych.

Ci Apostołowie i Królowie są zawsze posłańcami Bożymi. Nikt jeszcze czysty z świata nie wyszedł.

*
* *

Kto walczy za „maluczkich“ za uciśnionych, ten musi wykreślić wszelkie motywa egoistyczne ze swojej działalności, czy naiwne, jak zwykła, codzienna ambicya, czy głębsze, jak nienawiść klasowa albo metafizyczna (ateizm przez gwałt duszy zadawany).

Kto tych motywów ze swego serca nie wykreśli, ten albo instynkta dzikie budzi w tłumach, albo gwałci w nich ducha.

Walczący za „maluczkich“ muszą Bogiem żyć, dlatego wierzyć muszą, iż był człowiekiem.

23. maja.

Kto raz swe serce w świat odwnętrzny skierował, tego tęsknota już nie opuści a niepokój karze jego błędy.

Otóż właśnie te dwa uczucia, tęsknota i niepokój są pierwszymi mistrzami człowieka szukającego prawdy.

Są bowiem błędy, których człowiek, niemowlę jeszcze w życiu duchowem, nie dostrzega. Niepokój oczy mu otwiera i przyucza do ofiar chociażby z rozsądku, gdy na miłość jeszcze zdobyć się nie może.

Bo miłować czysto, nie łatwo.

* * *

Częstokroć też, gdy pomiędzy ludzi wychodzę, doznaję lęku. Nie umiem patrzeć, nie śmiem iść pośród nich, do nich i mam nieraz chwile, w których podejrzywam się o manię. Jestem teraz w stadyum świadomości, w którem w obec ludzi czuję najwyraźniej i najdotkliwiej swoje wady, swoje brudy i dlatego moje i ich milczenie jest dla mnie pełne sądów i karań — być może, szczęsnych.

* * *

Człowiek żyjąc z ludźmi, bardzo wiele błędów przez swą niedoskonałość popełnia. Mogą to być błędy nie koniecznie uczynkowe, mogą być wewnętrzne.

Wagi tych błędów, codzienne życie nie odczuwa, bo jest ono tylko na to wrażliwe, co się czynem objawia. A czyny wynikają ze sumy takich wewnętrznych motywów. „Człowiek czyni z obfitości serca“.

Otóż człowiek, który pośród ludzi się niepokoi jest nazbyt nieśmiały i drzący różni się od przeciętnego człowieka tem, że ów niepokój wskazuje mu owe na zewnątrz niedostrzeżone błędy — a cierpienie niepokoju przyucza go do odpowiednich ofiar.

Dlatego też widoczną miarą doskonałości charakteru jest jego spokój w życiu codziennem.

24. maja.

Dziwne to stadyum niepokoju i tęsknoty. Człowiek pragnie wtedy zniknąć gdzieś a jednak żyć pomiędzy ludźmi, unika ich i tęskni za niemi. I ten ból ze sprzeczności wprowadza go powolnie w miarę czyszczenia się wewnętrznego w serce życia we wnętrze najdrobniejszych jego objawów. Motywa ambicyi, motywa egoizmu zmieniają się powolniej i boleśniej niż motywa miłości.

*
* *

Dziwne to stadyum niepokoju i tęsknoty przez ową wewnętrzną moc milczenia, która jest nawet szczególnym objawem dzisiejszej generacyi. Dziś bardzo wielu czuje ową konieczność milczenia pośród ludzi, konieczność nieraz bardzo przykrą w życiu codziennem.

Ta moc milczenia, którą niejeden niewłaściwie poczytuje sobie za niedołęstwo jest pewno zapowiedzią odrodzenia. Wytwarza ona we wnętrzu człowieka tło, oświetlone bezimiennem światłem nieokreślonych jeszcze tajemnic. Na niem zarysowują się rozliczne oblicza „ja zewnętrznego“ które w ten sposób może być objektywnie obserwowane i odpowiednio przemieniane.

Gdy ktokolwiek inaczej obserwuje swoje „ja zewnętrzne“, to jest świadomość tego, co się myśli, czuje, co się ma zamiar uczynić, lub co się już uczyniło, ten jakby usiłował dojrzeć bezpośrednio własne ucho i oko.

Na owem tle milczenia widzę zawsze połamane zarysy myśli i wrażeń, zgmatwane nici pragnień i rozkazów woli i jakiś dziwnie smutny koloryt dołów, w których pracują niewolnicy. Właśnie ów smutny koloryt jest mgłą egoistycznych motywów.

*
* *

Dążę do tego, by owe tło milczenia było o ile możności jasne z harmonijnem odbiciem ja zewnętrznego.

Dążę do tego, by owe tło milczenia w mem wnętrzu wciąż istniało, gdyż jest to pierwszy warunek poprzedniego.

*
* *

Milczenie jest to nietylko powstrzymanie się od głośnego słowa, jest to moc przemieniająca nas powoli w aniołów. Niszczy ono nasz egoizm i dlatego jest dla nas bolesne, zwłaszcza pośród ludzi i pośród ludzi najbardziej budzi człowieka.

Milczenie to wprowadzenie żywego piękna w życie.

Milczenie toruje pierwsze ścieżki swobodzącego się Ducha.

W milczeniu spala się żądza sławy a odradza się płomień bezimiennej miłości i ofiary.

W milczeniu spływają w nasze serca najtajniejsze słowa Miłości i Prawdy.

* * *

Od chwili gdy począłem odczuwać ból milczenia począłem równocześnie wierzyć w duszę ludzką wiarą żywą, t. j. rozpocząłem jej poszukiwać w życiu.

W milczeniu najsilniej odczuwa się przepaść wewnętrzną pomiędzy ludźmi i najsilniej się wtedy tęskni za zbudowaniem mostów pojednania.

Jest nawet mniemanie w życiu codziennem, że ludzie po dłuższem milczeniu rozumieją się i odczuwają się lepiej niźli, gdyby bardzo wiele przegadali.

Rozmowa nawet często oddala ludzi wewnętrznie.

* * *

Od chwili bolesnego milczenia począłem wierzyć w rozmowę Duchów, bo roztęskniłem się za niemi i rozpocząłem te rozmowy nadsłuchiwać.

Milczenie, rozwija czujność.

I usłyszałem ból, trwogę, jakieś wspomnienia i echa pozadziecinne, jakiś strach wewnętrzny przed własnym widmem.

To dopiero pierwsze sylaby abecadła duchowego.

* * *

Jej unikam najbardziej — bo tęsknię najsilniej za jej duszą.

Taki platonizm mistyczny, to często zabawka artystyczna, coś w guście marzycielskiego idealizmu. Ale to tylko wtedy, gdy nie opiera się on na ofiarach — na doskonaleniu się.

W takim wypadku milczenie jest zawsze wstępem do związków duchowych.

25. maja.

Moc milczenia to moc przemieniająca nas zewnętrznie. Wszelkie bowiem wrażenia zewnętrzne, które odbijają się na owem tle milczenia, wracają zawsze bolem odwnętrznym. Ten ból sprawia to, że owa wrażliwość zmienia się powoli na czujność.

Wrażliwość to zdolność percypowania form ze świata zewnętrznego.

Czujność to zdolność do percypowania treści.

Dlatego człowiek milczący zatraca coraz bardziej zamiłowanie do świata zewnętrznego, bo marzyć przestaje i czuwa.

*
* *

Gdy milczący przebywam pomiędzy ludźmi odczuwam często boleśnie ową przemianę wrażliwości mojej. Milczenie bowiem, osłabiając ów elementarny egoizm, utrudnia we mnie wszelkie uzewnętrznianie się, a reakcya moja przeciw wrażeniom od ludzi odbieranym jest odruchowa. Każde odezwanie się moje, każdy ruch mój jest jakby złamany przez jakąś siłę odwnętrzną, która bolem rozłamuje każdy motyw woli na dwie części, część wewnętrzną — czystą — i zewnętrzną — egoistyczną.

Najsilniej występuje we mnie owo rozłamanie motywów uczuciowych wobec ludzi, do których odczuwam jakąś głębszą sympatyę. Przed tymi ludźmi moje sumienie budzi się najsilniej i często w oczach tych ludzi czytam więcej o swojem przeznaczeniu niźli we własnem uczuciu. Dlatego często trwoga mię przed nimi ogarnia.

*
* *

I tak owa trwoga pomiędzy ludźmi — ów niepokój dziwny, jakby przed jakąś walką, wiedzie mię w jakieś jeszcze dla mnie ciemne otchłanie nieznanego wnętrza życiowego.

Ów niepokój ciągle mię rozbraja przed walką o byt.

Uczę się rezygnować z tego wszystkiego, co mię do życia przywiązuje.

I świat zewnętrzny wydaje mi się teraz coraz bardziej szarym i nudnym.

Tam, gdzie mię owa trwoga i niepokój prowadzą, jest jeszcze dla mnie ciemno. Dlatego — zdaje mi się — przychodzą

na mnie częste chwile zwątpienia a czasem i wrogiego usposobienia do ludzi. Często nawet budzą się we mnie odruchy nienawiści.

I powoli wypełza wtedy z najtajniejszych skrytek mojej świadomości sturamienny polip, przykłada na każdą z mych usypiających myśli lepkie ssące ramiona i powoli z nich karm wysysa.

Często wychodzi gdzieś z bezbożnej świątyni serca, bez głowy anioł tragizmu i poezyi i tworzy pokarm polipi.

W takich chwilach najtrudniej utrzymać w sercu tło milczenia. Są to chwile próbne serca.

Gdy mocą woli utrzymam owe tło, natenczas moc prawdy przeraża polipa i anioła bez twarzy; i mam wtedy chwile bezbrzeżnej ciszy we wnętrzu.

Wtedy przeczuwam gotowanie się jakichś świateł i jakiejś harmonii w owych ciemnych otchłaniach, do których mię trwoga i niepokój prowadzą.

28. maja.

Nie łatwo to jest od dnia się oswobodzić. Dzień jest strażnikiem mojej czujności, dlatego, że przeciw niemu walczyć muszę.

Czuję, że w miarę wzrostu mojej czujności moje „ja zewnętrzne" staje się coraz potężniejsze, coraz bardziej skomplikowane w swoich dążeniach.

Na pozór dążenia owe są nieraz ze sobą sprzeczne, splątane dziwacznie jak ramiona polipa, które się jednak schodzą w jednym tułowiu.

Z tego tułowia płyną rozkazy woli i przeciw-woli, rozkazy rozumu i przeciw-rozumu, pożądań i przeciw-pożądań.

Dawniej byłem prostszy i jednolitszy w moich pożądaniach, teraz rozwija się coś we mnie w stu-ramiennego polipa, który pożąda nawet duszy.

Byłoby to coś rozkosznego do użycia.

*
* *

I często ów polip karmi się moją duszą.

Ów polip sturamienny, to cerber u bram wewnętrznych życia. Nikt własną wolą i mocą go nie zwycięży i bram nie ro-

zemknie. Kto własną wolą przeciw niemu bije, tem właśnie go wzmacnia.

* * *

Trwożę się i tęsknię coraz silniej za modlitwą. I modlę się o modlitwę.

* * *

(C. d. n.)

DWIE SMUTNE ROCZNICY.

Groźną niewidzialną ręką zwróciły oczy nasze w przeszłość.

Dnia 31. lipca 1847 roku powieszono we Lwowie Teofila Wiśniewskiego i Józefa Kapuścińskiego.

Dnia 5. sierpnia 1864 r. powieszono w Warszawie członków Rządu Narodowego: Romualda Trauguta, Rafała Krajewskiego, Józefa Toczyskiego, Romana Żulińskiego i Jana Jeziorańskiego.

Na drodze, którą naród kroczy to znaki etapów. Haniebna szubienica staje się dla nas jak krzyż znakiem świętym.

Z jakiemż sercem, z jakiemż sumieniem patrzymy twarzą w przeszłość zwróceni. Czy echo jej haseł brzmi w nas, czy oderwani od epoki walk umiemy tylko pieśnią i modlitwą uczcić męczenników.

Pytajmyż serc, czy z posiewu krwi ich wyrosła w nas życiodajna moc ducha, czyśmy jak oni gotowi za dożycie chwili znów podźwigniętych haseł boju — męczeńsko zginąć!

NOWE KSIĄŻKI.

„Popioły“ Żeromskiego. „...Idą w pylnych polach Gaskonii na zachód, na zachód wiecznego słońca. Brną z ciemnych i wilgotnych puszcz, z ponurych płaszczyzn bez imienia, z za rzek tysiąca, z za gór Germanii w tę stronę, gdzie

słońce z niebios w morze zstępuje. Ku wiekuistemu idą słońcu... Czyjże ich bicz wygnał z leśnych legowisk, które mocnemi barkami wydarli byli zwierzętom? Czy ich lud inny, od wilków i żubrów mocniejszy, wygryzł z dziedziny? Któż przed niemi niesie buńczuk grabieży, hasło gwałtu, zbójecki miecz? Wstali z ciemności ziemskiej, jak wstaje ogromny bałwan na morzach, wydźwignęli się nad obszarem milczącym na obraz chmur szarańczy, ciągną z szelestem, jako chorągiew nieprzemożona młodości i siły. Brną w piasku, idą w bród przez rzeki, mkną przez lasy.“ Cóż pociągnęło ich za cesarzem? Rozprężyły się moce jakieś w narodzie i za Napoleonem ciągnąc przeszła dusza nasza przez ogień prób bohaterstwa bezprzykładnego. I to bohaterstwo stało się dla dusz tych pierwszym pokarmem...

To ten nasz duch, „wieczny rewolucyonista“ ruszył z leż północnych, gdy poczuł, że idzie mąż, który ma na świecie czynić ład inny. Jaki ład, nie wiedział jeszcze i nieśmiał pytać. — Napoleona nie widział a już go przeczuł, znał i kochał!

Szli już ślepo, — spętał ich duch Cesarza.

— „Nie pomoże mu nikt, żebyś tu nie jednego, ale dziesiąci zwołał, bo sam cesarz idzie!

— A dokąd też tak zajdzie cesarz jegomość?

— Nie waż się o to pytać! nie waż się!

Sam jeno Bóg Najwyższy tę rzecz wie. Jemu jednemu po nocach kazuje, jak prawo na świecie robić. On tylko jeden tę rzecz wie na tym świecie. A ty się nie waż pytać!“

Cesarzu! Cesarzu!

Oto ranny blady strasznie z gębą pełną krwi wstaje z legowiska, patrzy na ciebie i mówi:

— „Poszedłem z domu mego ojca...

Wierzyłem że moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nie nadaremno, że dla mojej ziemi... Cesarzu, Cesarzu!“

Dotrzymasz słowa danego rannemu na obcej ziemi i zobaczysz kiedyś jego oczy, „skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgłe“, przelotny, półsenny uśmiech przeleci po twojem granitowem obliczu... ale przez jakie wprzód piekło przeprowadzisz żołnierzy!

Tem, żeś im był bożyszczem cesarzu krwawy i nas jeszcze cień twój przygniata.

Jaką wagą Bóg mierzy tyle strasznych trudów bez wytchnienia, morze krwi, — jak mierzy i zbrodnie, wyrżnięcie bezbronnych Murzynów i Saragossę?

Targa się dziś dusza nasza w bolu i niepewności, jak targała się i wówczas.

— „Bóg pewnie karze za takie czyny!"

— „Zemsta jest moja, mówi Pan."

*
* *

Żeromski szalonymi krokami idzie wciąż w górę. Zda się słowo nie jest dla niego zaporą myśli — tak barwne jest, nieubłaganie jedyne, żywe. Powiedzielibyśmy, że tu chyba już kres wzrostu dla powieści, gdybyśmy wogóle mogli mu jakie kresy stawiać.

A zawsze ten przesycajacy wszystko krwawy smutek...

Rozdzióbią nas kruki, wrony...

Smutny on, jak smutną jest dusza nasza i myśl. Nas, którzyśmy wzrosili wśród syzyfowych prac i którzy przez całe życie walczymy bezdomni...

W tym smutku, w tem wiecznem patrzeniu w głąb — tak wyczulił mu się wzrok duszy, dotyk tak wysubtelnił, że nie ma już przeszkód, przenika i wyczuwa wszystko. Tak duszę ludzką, jak i duszę natury i czasu.

Wszystko co poprzednio napisał było zbieraniem sił, skupianiem się do dzieła.

*
* *

Przy czytaniu „Popiołów" doznaje się tego uczucia, jakie wywołuje obcowanie z bliska z dziełem twórcy-geniusza.

Ustaje w nas krytyka — pozostaje tylko jakby rozpamiętywanie, wielbienie drogich nam wspomnień. Jakby pojenie się w krynicy ducha.

Od pierwszej karty przytłacza swoją siłą. Ogarnia nas czasem zdumienie, że tak przejrzystym jest dla niego świat cały. Czasami przeraża trwoga i lęk zbiera przed jego wzrokiem, który dusze ludzkie wskróś przewierca.

Nie wprowadził nas od razu w wir bitew... Wprzód przeszedł z nami kraj cały, słuchał uderzeń serc ludzkich, słuchał leśnych powiewów, szeptów, łkań, szedł puszczami, polami przez rzeki. Naprzód kazał nam żyć z tymi, z którymi potem pójdziemy w bój.

I stąd rodzi się uczucie jakbyśmy już żyli w tej epoce, a wspominali rzeczy kiedyś, dawno, dawno znane.

Gdyby skupić się — możeby duch nasz dalej snuł rozpamiętywanie, bez końca.

„Ucieczka“ Bagrzynowski.

Skąd u nas tyle talentów? Skąd prawie co dzień ukazują się dzieła tak wyżej stojące od przeciętności n. p. niemieckiej? Przecież ciągle powtarzają nam „nowocześni Polacy“, że mamy wszystkie siły wytężyć, aby nadążyć za resztą cywilizowanego świata. Chyba zbrodnicza skromność nie zechce patrzeć bezstronnie.

„Ucieczka“ jest znakomitym obrazem życia naszych wygnańców politycznych. Tęsknota wieczna gna ich z Ojczyzny lodów. Tłem ich życia staje się jedna myśl — ucieczka.

Autor kryje się pod pseudonimem, ale któżby nie poznał jego uśmiechu przez łzy, tego, który przeżył tyle lat na tułaczce, a wyniósł duszę hardą, młodą, zdrową.

Poznał jak nikt może kraj, w który go los rzucił i ludzi. Znakomicie uwydatnił różnicę głęboką, jaką dzieli wygnańców Polaków — z wygnańcami Rosyanami, choćby pieczętowali się tą samą ideą, walki z caratem.

Motto dzieła: obraz Malczewskiego, swoje skute ręce ciężko przed się położył, głowę zwiesił, wzrok patrzy gdzieś w przestrzeń.

Odbudowanie Polski. Trzy rozprawy polityczne napisał G. Topór.

Rzecz słaba, powierzchowna. Wszystko to już było w „egoizmach narodowych“ i „myślach nowoczesnych Polaków.“ Zadziwiające, jak mało mają wszechpolacy do powiedzenia, jak wiecznie kręcą się w kółko. Falowe to wszystko nad wyraz,

a mimo ciągłych zapewnień o świeżości, nowości — wieje stamtąd „trupi ciąg“. Ponieważ mieliśmy już sposobność szerzej o podobnych rzeczach pisać, rozbiór poszczególnych części i poglądów staje się zbytecznym, ograniczymy się tylko do skonstatowania, że rozprawy te wykazują równą poprzednim siostrom ignorancyę w dziedzinie kształtowania się naszej myśli narodowej.

Książka ta powinna być przez najszerszy ogół znaną, przy jej czytaniu bowiem uświadamia się przez kontrast wiele myśli i nabiera się odrazy do kierunku, który stara się zachować naszą myśl i życie.

Przegląd prasy.

„Krytyka“ zeszyt VII. lipiec 1904.

Jak zwykle, artykuł wstępny »Krytyki« odznacza się wielką subtelnością. Autor patrzy na życie przez pryzmat czucia, — a dusza jego wrażliwa umie wczuć się w głębsze, wewnętrzne, nieuchwytne dla wielu, sprężyny zjawisk. Tak, też i na kwestyę japońską, o której dziś chyba każdy myśli, nie spojrzano z tego, jedynie najszerszego stanowiska, jakie zajął autor »Ex oriente lux«.

W krótkim rysie dał on obraz duszy japońskiej, tak prostej w życiu, a tak głębokiej w filozofii.

Dusza u nas odznaczająca jażń, świadomość, uczucie, ideę, pamięć, wolę — dusza osobnicza, to podług niej (filozofii japońskiej) czasowy jedynie agregat wrażeń, pobudek, idei, wznieconych przez fizyczne i umysłowe doświadczenie, ustosunkowane do znikomego ciała i przeznaczonych do rozkładu wraz z niemi i do wiecznego odnawiania się. Jest to Karma, która ciągle rodzi się i umiera całkuje i rozkłada. Ale za każdem rodzeniem się nie jest już zjawiskiem temsamem, co poprzednio, lecz czemś więcej, któremu daje początek i które pozostając w sferze nieskończoności, przelewa się w każdorazowe wcielenie Karmy... Wszystkie formy są nie realnemi, »tem, co się wznosi ponad wszystkie formy jest Budda«.

Teraz rozumiemy japońską pogardę dla śmierci i gorączkę poświęceń. Czysty człowiek po zgonie ...zlewa się z wszechświatem, mnożąc pierwiastek Dobra, przelewając dobro w następne wcielenia ludzkie. Wiara ta ucząc, że dusze w specyalnem owem znaczeniu żyją i działają naokoło nas, rozwinęła pełną uszanowania i wdzięczności miłość Przeszłości, a zarazem pozbawioną

cienia egoizmu miłość Przyszłości. Najmniej przywiązuje do teraźniejszości, do form, które są niestałe, złudą przejściową nie realną. Stąd całe życie japońskie proste, pozbawione zbytku, ozdób, namiętności, stąd sztuka najprostszymi działająca środkami. Doskonalenie się, mnożenie przez śmierć — form doskonałość w wszechświecie — to główne jej tajemnice.

„Przegląd Wszechpolski" nr. 6 czerwiec.

Ciągła służba u »rozumu politycznego« zrobiła swoje. Dziś kiedy oczekujemy wielkich przełomowych chwil w narodzie — Narodowa Demokracya stanęła poza obrębem czucia społeczeństwa prawdziwie polskiego. Szeregiem artykułów i odezw zupełnie nie dwuznacznie zaznaczyła ona swoje „trzeźwe" stanowisko.

Ostatni zeszyt »Przeglądu« nie odbiega w zasadniczej treści od wypowiedzianego już stanowiska w tej kwestyi. Wprawdzie nie ma tam już bezwzględnego potępienia stanowczych kroków, — bo coraz to wzrastający w jednym kierunku pęd myśli i czucia społecznego stał się za silnym, aby go nazwać warcholstwem, — w każdym jednak razie widocznem jest, że N. D. systematycznie wyzuwając się z myślenia polskiego nie była w stanie wyczuć zasadniczego tonu dzisiejszego nastroju. »Musimy w najszerszych kołach rozpowszechniać świadomość najbardziej naglących i najbardziej zrozumiałych potrzeb narodowych i upomnieć się o nie w czasie właściwym u rządu«. To jest kwintesencya programu ich na dziś i na jutro, programu bardzo elastycznego, a w praktyce kończącego się targiem z osłabionym przez innych wrogiem.

Musimy pamiętać, że zacieśnienie naszej szerokiej idei wolności, widokiem »korzyści«, wszelki targ, odrazu pozbawia nas największej siły duchowej — służby posłannictwu — i oddala zwycięstwo.

Znamiennym dalej jest artykuł p. t.: »Czy się wynaradawiamy«. Tak szczegółowe opracowanie tego rodzaju trwożliwych zagadnień, jest co najmniej zbyteczne, a świadczy tylko o bardzo ciasnem pojmowaniu potęgi i dróg rozwoju narodu. Piszą: »Rozwijać więc musimy i nadal wszechstronną, baczną na sprawę ogólno-polską działalność polityczną i kulturalną, bronić wszelkich zajętych już stanowisk, zdobywać dla Polski nowe placówki, które dla jej bezpieczeństwa i dalszego rozwoju są niezbędne, a wówczas możemy być pewni, że nietylko i nadal zdołamy powstrzymać zwycięski proces wynarodowienia, nietylko uniemożliwimy go na długie lata, lecz nawet odzyskamy to, co w chwili upadku straciliśmy«.

Pomyślmy choć chwilę nad tem, co powiedział Mickiewicz »o ile powiększycie dusze wasze, o tyle powiększycie granice«, pomyślmy szczerze — zobaczymy, jaka w tem głęboka prawda, jakie mnóstwo zadań przed nami otwiera, — jak prosto, jasno kwestye te rozwiązuje.

„Przegląd Wszechpolski" nr. 7 lipiec.

Artykuł wstępny »Anachronizm polityczny« nie pozbawiony jest interesu, jako dyskusya dość zasadnicza z ugodowcami. Dyskusya głównie toczy się o program na dziś i na drażliwą kwestyę poglądów, na widmo powstania. Zbytecznem zdaje się byłoby streszczanie poglądów N. D. — znane są one nadto dobrze.

Chcemy zanotować tylko przykry szczegół w tej dyskusyi. Oto ci ugodowcy, którzy haniebnie wyrzekają się niepodległości powołują się na Mickiewicza, apostoła wolności i wołają z wstrętną obłudą; »O ile polepszycie dusze wasze, polepszycie wasze prawa i powiększycie granicie"...

Przegląd Wszechpolski, zamiast zwrócić uwagę tych panów na to, że popełniają oszustwo, odpowiada naiwnie: »Słowa Mickiewicza wystarczyć nam dziś nie mogą«. To znamienne i ważne. To już powiedziane dobitnie i wyraźnie.

„Teka" za czerwiec i lipiec.

Młodzież chce chyba prześcignąć swych przewódców w „trzeźwości". Jest w tem śmieszny tragizm. Oto w artykule: „Ludność polska na Wołyniu" piszą: „kiedy chłop nasz zapragnie polepszenia swego gospodarstwa, swojej chaty i pola i chudoby, kiedy wstąpi na drogę rozwoju gospodarczego i poczuje, że na polepszenie tego bytu wpływać drogą wytężonej pracy wspólnej, zbiorowej, wtedy nastąpi z konieczności starcie jego interesów majątkowych z przemocą rządu i to będzie chwilą w której idea narodowej niepodległości u ludu oprze się na trwałych granitowych podstawach — na fundamencie interesu ekonomicznego".

Taki pogląd stoi dla nas po za sferą polemiki choćby z tego względu, że znamionuje zupełną ignorancyę dorobku polskiej myśli politycznej.

Nie chcemy też powoływać się na cały szereg wybitnych przedstawicieli polskiej myśli, zaznaczamy tylko, że Szczepanowski (którego chyba „młodzież z Teki" nie wyrzeka się) był wrogiem podobnych teoryi.

Dalej: „Nasi Mazurzy wołyńscy są bardzo realni, — oni wszystko obliczają na grosze — otóż zamiast zwalczać wraz z idealistami tę cechę charakteru, co jest zupełnie bezcelowem, należy przeciwnie ufundofać na niej rozwój naszej idei"...

Palący wstyd ogarnia gdy się widzi, że w taki stary łachman poziomej myśli młodzież stroi się. Nie możemy uwierzyć aby to głębiej w duszę wniknęło, — bo wtedy musielibyśmy twierdzić, że nie jest polską, że polskiej myśli nie rozumie. Wolimy wierzyć w szczerość artykułu „Nowy obywatel" gdzie piszą: „Jesteśmy świadkami głębokiego przełomu

w dziejach naszego narodu, na widok którego święty dreszcz przenika serca nasze, a duchy potężnieją ufnością. Bo oto patrzymy na wielkie misteryum dziejowe.

Duch narodu długo ukryty ożywa na nowo, utajona moc narodu puszcza nowe pędy w szeregach bojowników wolności staje olbrzym dotychczas nam z czynów nie znany. Święcimy narodziny nowego obywatela narodu, chłopa Polaka"!



Dla wyjaśnienia zmian jakie zaszły w Redakcyi podajemy następujący list:

Schodnica d. 15. Czerwca 1904.

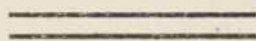
Drodzy moi!

Proszę Was o uwolnienie mię z dniem dzisiejszym od zaszczytnego obowiązku podpisywania pisma „Odrodzenie". Wyjeżdżam bowiem wkrótce do Paryża dla studyów pedagogicznych, byłabym więc „formalną" tylko firmą co przeciwnem jest moim zasadom. Czynię tę abdykacyę z najzupełniejszem przeświadczeniem iż nie wyrządzam szkody pismu bo składam Redakcyę w ręce ludzi do których mam pełne zaufanie.

Zaznaczam zarazem iż ustępując ze stanowiska naczelnego redaktora nie przestaję się zaliczać do składu Redakcyi i uczestnictwa duchowego wcale się nie zrzekam. Przyjmijcie tych kilka słów jako szczere wytłumaczenie mojego postępku, podyktowanego motywami o głębokiem dla mnie znaczeniu.

Szczęść Boże!

Zofia Odrzywolska.



NA POMNIK

JÓZEFA WYBICKIEGO

ZŁOŻYLI W NASZEJ REDAKCYI:

J. D.	1·—	kor.
Bronisław Adamowicz . . .	2·—	„
Bartłomiej Groch, akademik . . .	1·—	„
Stanisław Szpuner, akademik . .	1·—	„
Wyszczególnione w poprzednim numerze .	360·60	„
Razem .	365·60	kor.

Idea i czyn.

Idea bez czynu jest marzeniem, albo bezpłodną egzaltacyą — czyn bez idei jest rzemiosłem, albo mechaniczną robotą.

Główną chorobą społeczeństwa naszego jest rozdział między ideą a czynem. Mamy ludzi idei bezczynnych, a więc marzycieli społecznych, — ten typ na szczęście się przeżywa. Mamy ludzi czynu bezideowych, a nawet bezmyślnych, — „robociarzy“ społecznych, — ten typ niestety się mnoży.

Utarł się nawet termin: „robota“ społeczna, bardzo charakterystyczny...

„Coś robić“ stało się dziś ideałem przeważnej części społeczeństwa, — pytania: kto robi? co robi? i jak robi? są mniejszej wagi i nawet poniekąd w dzisiejszych warunkach zbędne... „Kto robi“, o tem mówi partya, — „co robi“ — na to odpowiadają punkta wypisane programu... „Jak robi“... od czegokolwiek to zależy, nie zależy w każdym razie — w myśl najnowszych naszych teoryi społecznych — od sumienia, od wartości moralnej pracującej jednostki... Społeczeństwo, według tych teoryi, jestto zwierz całkiem osobliwy: zasady, rządzące życiem społecznem, polityką, — są całkiem różne od zasad, któremi kierują się w prywatnem swojem życiu poszczególni ludzie...

Na czem zresztą polega nasza „robota społeczna“? Na odczytach i pogadankach, na artykułach i broszurach politycznych, na posiedzeniach długich i jałowych, gdzie dyskutuje się bez końca na temat różnych wniosków formalnych i nieformalnych. Na tem się wszak przeważnie kończy. Słowa i słowa...

Zapewne że może być słowo, o wartości i znaczeniu czynu.

Takiem było naprzykład natchnione słowo Mickiewicza czy Skargi...

Myśmy dziś doszli do zaniku czynu, do deprawacyi słowa. Zamiast czynów mamy frazesy, — i frazesy zamiast idei.

„Bo mieć ideę“, to znaczy nietylko znać tę ideę, ale to jest także ukochać ją głębią duszy swojej, wierzyć w nią i myśleć o niej, troskać się o jej zrealizowanie samorzutnie i ciągle...

Zdaje mi się, że jeśli niewielu u nas jest takich, o których by w tem znaczeniu powiedzieć można, że są „ludźmi idei“, — to znacznie mniej jeszcze takich jest, którzyby mając ideę, żyli dla niej także, a więc ludzi idei i czynu.

* * *

Do liczby tych ostatnich należał Kazimierz Odrzywolski. Działalność Odrzywolskiego mało jest znaną ogółowi społeczeństwa polskiego. Pochodzi to stąd, że była ona cicha: nic prawie nie drukował, nie występował na szerszej widowni politycznej, działanie jego ograniczało się do przedsięwzięć, pochodzących z inicyatywy zupełnie osobistej — i do wpływu osobistego na otoczenie oraz na wszystkich, co w jakibądź sposób bliżej się z nim zetknęli.

Wszyscy, co znali Odrzywolskiego, świadczą zgodnie, że ten wpływ jego był wielki, był dziwny, naturalnie niepodobny wcale do wpływu wywieranego przez dziennikarzy czy mowców politycznych.

Oni działają przez słowa i tylko przez słowa: może wielkie, ale bezduszne, — olśniewające, ale puste. Działanie ich szerzy się na rozciągłość, ale nie przenika w głąb. Podobne jest do fajerwerku, co wybucha i gaśnie, ale nie grzeje i nie świeci, wzbudza ochotę do powtarzania tego widowiska, na uciechę aktorom i widzom, bez pożytku dla jednych i drugich.

Odrzywolski był z tych, co działają mocą duszy... Podobne jest to działanie do ognia świętego, co nie gaśnie nigdy, podsycany nieśmiertelnem życiem ducha.

Wiara i miłość, — byle czyste, byle pewne i bezwzględnie szczere, — są jak płomień, co się szerzy...

Odrzywolski miał tę wiarę mocną i tę miłość czystą. I w tem tkwi tajemnica jego wpływu.

* * *

W związku z tem, że w skład redakcyi „Odrodzenia“ wchodzą ludzie, najbliżsi św. pamięci Odrzywolskiemu, — powstało wśród czytelników „Odrodzenia“ przypuszczenie, że drukowanie

jego zapisek miało na celu jakoby wsławienie jego pamięci, zdobycie uznania.

Przypuszczenia tak niedorzecznie płytkie, że nie warto by ich zbijać, ale nasuwają smutne myśli, tak, że nie można ich pominąć.

Straszną jest rzeczą, jak my wyjałowieliśmy duchowo. Dlatego nie może nas połączyć miłość jednej wielkiej idei, ale dzielą nas wciąż zawiści różnych płytkich haseł, — dlatego skłonni jesteśmy więcej do małostkowych podejrzeń, niż zdolni do odczuwania rzeczy prostych i czystych, — dlatego obracamy się wciąż w zaczarowanem kole opinii i frazesów, zamiast żyć i iść własną drogą, drogą Prawdy.

* * *

Drukowanie urywków z zapisek Odrzywolskiego miało na celu[1]), o ile wiem, choć nie należę do redakcyi „Odrodzenia" — przedstawienie człowieka, niezwykłego w naszych warunkach, w naszem dzisiejszem społeczeństwie: człowieka o zupełnie czystej intencyi, głębokiem a szczerem uczuciu, silnej i skoncentrowanej woli.

Miało ono na celu także wykazanie, że możliwem jest życie, w którem niema „myśli i czynów rozdziału", że możliwem jest, by jedna wielka idea przyświecała wszystkim pracom życia — nawet praktycznym, zawodowym, — przyczem te prace nietylko nie tracą, ale przeciwnie zyskują...

Na poparcie tego ostatniego i na zakończenie zarazem tych urywków z zapisek Odrzywolskiego, dobrze będzie podać wyciąg prac jego, dokonanych w przeciągu jednego roku, sumaryczne zestawienie, zanotowane przez Odrzywolskiego w jego zapiskach.

24. Stycznia Poniedziałek.

„Cały przeszły rok był dla nas bardzo ciężki. Chcąc ratować interesa S. S., a więc płacić jego kolosalne długi, trzeba było two-

---

[1]) Cel ten o tyle został chybiony, że zapiski te przez kawałkowanie i obcinanie straciły wiele: powinny one być wydane w całości.

rzyć wielkie interesy i dlatego rok przeszły był prawdziwym siewem pieniędzy i tak:

1. Dokupiliśmy za grube sumy tereny w Schodnicy i urządziliśmy na nich kopalnie tam, gdzie teraz oczekujemy rezultatów. 2. Rozeszliśmy się z Anglobankiem i musieliśmy wybudować prawie miasteczko złożone z budynków dla robotników, urzędników, wybudowaliśmy fabrykę narzędzi i to w paru miesiącach zimowych i wiosennych przy strasznej słocie. 3. Wzięliśmy tereny w Rumunii naftowe i węglowe, ogromne obszary — i zaczęliśmy roboty, obecnie oczekujemy rezultatów na terenach naftowych. 4. Objęliśmy „Słowo Polskie" z 600 prenumeratorami, pismo zdyskredytowane, a dziś mamy już 5.000. 5. Założyliśmy drukarnie rotacyjne, kupiliśmy dom jeden gotowy przy placu Dąbrowskiego. 6. Dokupiliśmy drugi i zburzyli i wybudowali nowy, żeby z tamtym tworzył jedną całość. 7. Urządziliśmy centralne ogrzewanie i oświetlenie elektryczne. 8. Zaczęliśmy na świeżo wziętych terenach wiercenia. *a)* Dzwiniacz. *b)* Grąziowa. *c)* Wiciów. *d)* Ropa. *e)* Kosmacz. 9. W przeszłym roku wierciliśmy na terenie Wiśniewskiego i w Truskawcu bezowocnie i zwinęliśmy roboty. 10. Wyrobiliśmy pożyczkę w Düsseldorfie 1,200.000 złr. i spłaciliśmy Anglobank 400.000 złr. 11. Załatwiliśmy z Abramowiczem, który nam kwestyonował nabycie kopalni od niego i tym sposobem uwolniliśmy się od procesu. 12. Uwolniliśmy R. od długów, które go już do egzekucyi doprowadziły. 13. Urządziliśmy i dokończyli kościół w Schodnicy. 14. Wybudowaliśmy szkołę[1]) i zaprowadzili naukę w niej. 15. Staraniem naszem i subwencyą utrzymaliśmy jednego kandydata na profesora w Borysławiu. 16. Staraniem i pomocą naszą zaczyna wychodzić „Czytelnia«. 17. Dopomogliśmy wydawnictwu Polak i Gwiazdce, świeżo dodawanej do pism ludowych[2]). 18. Naszym kosztem będzie wychodzić Historya Polska[3]). 19. Dopomogliśmy znacznym kredytem

[1]) Szkoła ludowa w Schodnicy utrzymywana przez komitet szkolny. (P. R.

[2]) „Czytelnia Polska" — wydawnictwo pod redakcyą Antoniego Potockiego, w rodzaju „Biblioteki dzieł wyborowych". (P. R.)

[3]) „Gwiazdka" — pismo dla dziatwy wiejskiej. (P. R.)

dawnym naszym kierownikom do objęcia przedsiębiorstw wiertniczych[4]). 20. Urządziliśmy przy fabryce narzędzi także na małą skalę stolarnię parową. 21. Staraniem naszem i subwencyą wprowadziliśmy wykłady popularne. 22. Patentowaliśmy dwa nasze wynalazki.

O gdyby Bóg pozwolił dojść do tego żeby spłacić dług w kasie. My żyjemy tylko myślą o kraju i jego rozwój mamy na oku, może więc Bóg wszechmocny dopomoże nam w zamiarach naszych i nie jakiemś wyjątkowem szczęściem, ale zwykłym rezultatem pracy i usiłowań nas obdarzy, bo dlaczegoż nie mielibyśmy mieć tego powodzenia co Anglobank lub Gartenberg lub Austro-Belge?...

Dziś my z Polaków tylko reprezentujemy wielki przemysł naftowy, czują to wszyscy i zaklinają nas, żebyśmy o sprzedaży nawet nie myśleli, bo cóż się stanie ze wszystkiemi towarzystwami, z nafciarstwem połączonemi? Ale to łatwo mówić, wszyscy ci nawet się nie domyślają, co na naszych barkach spoczywa. Mamy to poczucie i dlatego wytężamy siły, myśli i serce w tym kierunku, bo sprawa Kraju droższa nam jak wszystko na świecie, ale i największe duchy nasze musiały ulegać przeciwnościom, cóż my dopiero w przemyśle, gdzie wysilenia osobiste znaczą wprawdzie wiele ale nie wszystko, gdyby tylko o wysiłki chodziło, o sprawę całą byłbym spokojnym.

Niczem są u nas kłopoty, które wielkie interesy za sobą prowadzą, wobec obawy przed złością ludzką. Czuję to dobrze, że potrafimy wyprowadzić S. S. ze wszystkich długów, co stało

---

[4]) „Historya Polska“ popularna, którą źródłowo opracowywali dwaj młodzi historycy: Wacław Sobieski i Stanisław Zakrzewski, czerpiąc materyały z krajowych i zagranicznych dokumentów. Materyały te przechodziły następnie cenzurę i korrektę Szczepanowskiego a Sewer miał je ujmować w literacką obrazową formę.

Przygotowano już w ten sposób tom I-szy.

Sprawa Kasy Oszczędności i obowiązek przyjścia z pomocą Szczepanowskiemu (przez oddanie jako gwarancyi za jego długi, całego majątku Wolskiego i Odrzywolskiego, Kasie Oszczędności) — uniemożliwiły wydanie przygotowanego tomu i dalsze finansowe popieranie wydawnictwa. (P. R.)

się dziś naszem marzeniem, ale na to potrzeba czasu i spokojnego rozwoju naszych wielkich przedsiębiorstw. — Dusza rwie się do czynu, wiem o tem, że przez 10 lat spokojnej pracy możemy takie zmiany w kraju zaprowadzić, o których dzisiaj nawet nie marzymy, dwóch warunków nam potrzeba t. j. spokoju i zdrowia, resztę sami sobie stworzymy".

* * *

Mickiewicz powiedział, że trzeba, aby każdy z nas na swoje własne barki wziął ciężar całej ziemi polskiej: wtedy odzyskamy wolność. Odrzywolski był jednym z tych, który brali na swoje barki ciężar całej ziemi polskiej... Im więcej będzie takich, tem prędzej przyjdzie Wyzwolenie.

I. J.

Z życia.

Galicya była bodaj przez chwilę szczęśliwą: gościła prezydenta ministrów. Znaczenie tej chwili podniesiono do niesłychanych rozmiarów i kto wie czy nawet nie ukażą się w czytankach szkolnych epizody z niezatartej w pamięci podróży dra Körbera. Tak, podróż ta powinna mieć dla nas głębsze korzyści, bo powinna nam oczy otworzyć na fałszywość drogi, którą prowadzą nas płytcy politycy. Tak daleko odbiegliśmy od toru poważnej i surowej polityki serca i sumienia, a tak mocno zabrnęliśmy w błocie targów o koncesye, ustępstwa, łaski, że nie widzimy już nawet drogi powrotu. Tyle lat pracuje się nad budowaniem Polski... w Austryi, — tyle lat zaniedbuje się duszę własną i myśl daleką!

Niebywała jakaś radość opanowała naszych mężów stanu z powodu że przypomniano sobie o Galicyi, że Władza przyjechała osobiście zapoznać się z Nędzą... I ta radość, to podnoszenie podróży do faktu wielkiej wagi jest smutnem świadectwem deprawacyi niewoli. Było w tem coś z radości niewolnika na którego pan spojrzał łaskawiej. Dzienniki całe zapełnione były

omawianiem podróży, jej przebiegu i znaczenia, wygłoszono setki mów przy toastach i powitaniach, zasypano ministra stosem próśb i memoryałów. W długim korowodzie tych którzy szli pokłonić się lub prosić, mięszali się krewni przestępców, proszący o ulgi dla nich, urzędnicy proszący o polepszenie bytu, przemysłowcy żądający opieki, politycy mający przekuć względy rządu, wywołane potrzebą, na szereg ustępstw i koncesyi.

Nie dość zapytać gdzie była w tem jaka głębsza myśl przewodnia, ale zapytać musimy gdzie była godność narodowa?!

Nie stworzyliśmy życia według naszej myśli politycznej, życia któreby nam dało miarę w ocenianiu faktów. Na tej mierze oparłszy się moglibyśmy patrzyć na przyjazd ministra obojętnie. Osoba jego i polityka byłaby nam obcą.

Czyż można wobec tylu nadziei, wobec radosnego pomruku po każdym uśmiechu Władzy, — czyż można stanąć wśród rozgorączkowanego tłumu i powiedzieć słowami Mickiewicza:

„A nieprzyjacielem waszym jest nietylko *trójca szatańska*, ale wszyscy, którzy czynią i mówią w imię *trójcy* tej, a tych liczba jest wielka między cudzoziemcami, czcicieli *Mocy* i *Równowagi* i *Koła* i *Interesu*.

„Nie wszyscy jesteście równie dobrzy, ale gorszy z was lepszy jest niż dobry cudzoziemiec, bo każdy z was ma ducha poświęcenia się.

„Ale jeśli niektórzy z was różnią się od drugich, tedy dla tego, iż przybrali suknie cudzoziemskie; jedni włożyli czerwone czapki francuskie, a drudzy gronostaje angielskie, a drudzy togi i birety niemieckie. A dzieci przebranych często matka własna nie pozna.

„Ale skoro ubiorą się wszyscy w czamary polskie, i poznają się wszyscy, i usiądą na kolanach matki, a ona wszystkich zarówno uściśnie".

Śmiechem przywitają te słowa, bolesnym śmiechem niewolnika. Lecz jeśli się znajdą tacy, którzy wspomniawszy te wyżyny ducha na jakich staliśmy, zastanowi się i zasmuci, już zwyciężamy. A jeśli znajdą się tacy, którzy nie pójdą śladem tłumu

armarcznego, porzucającego najpilniejszą robotę aby zobaczyć kuglarza, którzy nie będą odwracać oczu od istotnie ważnych spraw naszych, od budowania na czystej pracy dusz czystych — zwyciężyliśmy.

Jeżeli raz należycie ocenimy śmieszność politycznych targów, jeśli otrząśniemy się z błazeńskiej roli grzecznego niewolnika, będą to dość poważne skutki podróży prezydenta ministrów.

* * *

Sposób w jaki pojmuje się u nas ważność sprawy i sposób w jaki się ważność tę zaznacza, objawił się dosadnie przy wyborach uzupełniających do Sejmu.

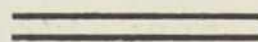
Czem sprawa ważniejsza, tem więcej powinno się krzyczeć, wymyślać, używać krętych dróg. Wyrobiło się u nas pojęcie, że każda ważna sprawa nie obejdzie się bez krzyku i kłótni — i naodwrót gdy wiele było wrzawy, mówi się że „sprawa była ogromnie ważna“. Tak weszło to już w krew, że zdaje się że to jest nieodłączną częścią obrad, wyborów i t. d.

Po obradach można widzieć mowców którzy dysputują wzajemnie, — posądzali się o złą wolę, wywlekali cały arsenał nizkich argumentów i grali na nizkich instynktach, a potem wspólnie siedzą przy piwie. Zatraciło się wagę słowa. Stąd pochodzi ta przerażająca bezpłodność gadaniny i pisaniny, w której szczerość nikt nie wierzy ani wartości do niej nie przywiązuje.

Społeczeństwo nasze nie mając odwagi podjąć zadań głębszych, wynajduje sobie drobnostki, które choćby na chwilę mogą poruszyć szersze masy, nazywa je wielkiemi, wyczerpuje energię, a po wyczerpaniu chce wierzyć, że czegoś dokonało.

Wegetacya dająca złudzenie życia!

Do wykonania dzieł wielkich koniecznym jest spokój, niezbędnem skupienie się, — a choć wrzawy nie będzie, każdego uderzy siła czynu.



WAWEL.

Wierzę w nas wszystkich.
Wiarę tę jam kował
na trumnach królów, kiedy szmer pacierzy
zdławionem echem wśród świątynnych powa

własną niemocą bluźnił snom rycerzy.
O bo gniew Pański wtedy wstąpił we mnie,
iżbym płaczące u kościelnych wierzej

schłostał i przeklął zniesławione plemnie
niemocnych żalów, co na święte zwłoki
grobowych biadań ćmią zaduszne ciemnie.

Jeśli proch w grobach, to wy precz, otroki
tęgością mięśni podwajajcie cieśnie
lin całowanych! precz, ty jednooki

rodzie olbrzymów, co oślepion we śnie
jęczysz przed próżną mlecznych dóbr komora!
Lecz jeśli w grobach więcej jest, jak pleśnie,

tedy pytajcie, skąd się moce biorą,
że pył stóp obcych u podwojów chramu
nogom błotnistą jeszcze nie legł zworą,

by opuszczony spróchniał skarb Sezamu!
tedy pytajcie, czemu płyty warczą
od nóg skowanych, czemu okruch złamu

kamiennych słupów dzwoni, jak gdy tarczą
odeprzeć pocisk nienawistnej procy!
Nie szatę drzyjcie, ale niedowiarczą

pierś! na kolana przed poręką mocy,
którą należną, jako deszcz z obłoków,
w własnej wam piersi przysięgną prorocy!

Czy wy wierzycie w piersi swej, proroków?

* * *

Że ziarnom żywie siewna moc nasienna,
ni siejbom słońca noc się lęgnie głucha,
ni siejbom woli niewolnicze lenna —

a jakoż nam się swego zaprzeć ducha?
i jakoż dęby przeklnąć nam w sitowie,
gdy wzrost przeświętej prawdy ziarna słucha?

Przeto są kłamstwem nasze szaty wdowie,
jak całun fałszu, który na przymierze
z nowemi prawy narzuciło mrowie

trwóg odstępieńczych. Przeto trwam i wierzę:
o braci moja, wprzód policzcie winy,
a policzycie wolne z nas szermierze!

* * *

Po wiarę swoją szedłem męką siny,
dławiąc się w sercu, że za srom żywota
już dębom tęgość przysądzona trzciny —

o wielka, wielka gięła mię ślepota,
iżbym wyśledzał zimne znaki zgonu
w królewskich trumnach, gdzie się robak miota

urągowiskiem zmiętych kart zakonu
i poręczałem: otośmy pomarli,
jak zmilkłe serce królewskiego dzwonu! —

A króle, groby jeszcze szczelniej zwarli —
(o bo kto ducha świętem był narzędziem,
srom mu hetmanić rzeszy mdłej i karlej

i nie masz królów, dokąd podli będziem. —)
I tak mogiłę licząc za mogiłą
szedłem i wszędziem bluźnił w trop i wszędziem

wierzące darzył pleśnią grobów zgniłą —
O bracia, bracia, dzisiaj błogosławię
sercu, iż wtedy takie podłe było:

Orzeł się ocknął, gdy gad podły w trawie
sam siebie zdławił zaprzeczenia wstrętem
i odtąd w bagnie miotam się i krwawię

i dawnem sercem w krzyż potępień wpiętem
na orły wołam, niech je drą w kawały —
o bracia, ducha najjaskrawszem świętem

było wyznanie, żem brudny i mały!
Bo gdy się kłamstwo samo sobą zmoże
wykwita w głębi szczytów wid wspaniały

A na nich wieczne różowieją zorze
pismem królewskiej wolnych serc mądrości!
To w wolnem sercu piszą palce Boże!

O jak przedziwnie coraz prościej, prościej
bielą się drogi słonecznej tęsknicy
i młode moce płyną w krew i kości!

O byle dzielić kąkol od pszenicy!
O byle pojąć tajny głód pokoleń
pracy przez czyśce grzechów i krwawicy

do świętych źródeł łaski i wyzwoleń
i mocy dumnej, której nie rozbroją
ni stęchła bulla ni pancerny goleń!

Wszak duchom moce dwoją się i troją,
czy miecz, czy wola! i już nie granicą,
ale nam przyszłość mierzyć duszą swoją —

a któreż kresy, kresem dusz się szczycą?
To wiara moja, odkąd wiem, żem mały,
oślepion ducha świętą błyskawicą

lecącą w jutra niebotyczne skały.
Odtąd ilekroć w pierś uderzę dłonią,
w duszy przedziwne lęgną się hejnały

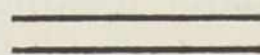
i z wież królewskich wielkie dzwony dzwonią —
nie z tej kamiennej, bo ta legnie w pyle,
jak kształt legł dawny i nie żal mi o nią —

O z innych wieżyc pójdą w świat ortyle,
by wyzwolone kazać święto miru!
Bracia, ja Boga kusić się wysilę

dla wiary swojej! ja, syn łez i kiru
wołam na wiary wyzwolone sługi:
Rozburzcie Wawel ten, co z brył i żwiru —

a w trzech dniach wiekom wstanie Wawel drugi!

(C. d. n.)



G. Topór. Odbudowanie Polski

(trzy rozprawy polityczne).

Krytyka tej rozprawy umieszczona w poprzednim zeszycie „Odrodzenia“ nie była odpowiednią. Nie ze względu na treść, ale formę.

Zjawiają się u nas peryodycznie „rozprawy polityczne“, na które tak piękne, tak wyczerpujące odpowiedzi są już zawarte w dziełach doby uświadomienia myśli narodowej; ale nie wystarczy zwrócić na to uwagę, trzeba za każdym razem — choćby się miało niejedno powtórzyć — powiedzieć w czem widzi się zło. Pobieżna krytyka może wywołać wrażenie, że się sprawę lekceważy, lub że się puszcza wodze złośliwości, która pozwala w kilku słowach rozprawić się z przeciwnikiem. Z tych powodów uznajemy szerszą krytykę za konieczną.

* * *

I. Osią, około której grupuje się treść zasadnicza broszury jest pytanie: co było przyczyną upadku Polski, jakie drogi wiodą do jej podniesienia? Autor ma na celu oświetlić tę kwestyę ze stanowiska t. z. narodowej-demokracyi i czyni to w sposób właściwy zwolennikom teoryi „egoizmów narodowych“.

„Nie można winić dawnej demokracyi emigracyjnej, że w ówczesnych warunkach nie umiała zdobyć się na odpowiedź, jaką znalazły czasy obecne. Nie tylko nie miała ona kilkudziesięciu lat doświadczenia dziejowego od r. 1848, nietylko nie mogła korzystać z owoców politycznej myśli europejskiej, która w ciągu ubiegłego wieku niemało pracowała nad teoryą zjawisk społeczno-politycznych, ale wychowała się ona w czasie, kiedy zrozumienie praktyczne tych zjawisk trudniejsze było niż kiedykolwiek. Była to epoka cudowna, niemal fantastyczna, pełna wybuchów entuzyazmu i bohaterstwa“.

A więc podstawą na jakiej autor oparł się jest „korzystanie z owoców europejskiej myśli politycznej“. Klucz do zrozumienia całej przepaści dzielącej myśl polską rozwiniętą na emigracyi, a kie-

runek, któremu hołduje autor leży w tem, że, gdy jedna streszcza życie narodu i obywatela w wypełnianiu służby posłannictwu, druga podnosi dążenie do państwa opartego na przyjętych w Europie zasadach. Państwa, któreby było silne i możne, bez względu na to czy oparte na podstawach zła czy dobra.

Bardzo dobrze autor zrobił dotykając poezyi naszej, jako przyczyny tego „że zamiast obcowania z surową rzeczywistością nasza myśl polityczna karmi się historycznemi legendami“. Odczuł on to, że właściwie z nimi zmagać się, z nimi walczyć musi ten, kto sprawę Wolności oddziela od sprawy Polski. Niestety, wolał on z Mickiewiczem i Słowackim załatwić się w kilku słowach ogromnie powierzchownych. „Mickiewicz dał w swej poezyi obraz martyrologii Polski porozbiorowej, ale nie dał obrazu Polski walczącej; jego bohater wskrzesiciel (czterdzieści i cztery) to wyśniona mara przyszłości“. Jest to najoczywistsza ignoracya i niezrozumienie Mickiewicza. „Drugi z wielkich poetów stwarza bohatera dla swoich czasów: jego Kordyan chociaż zrodzony przez poetę w atmosferze duchowej po r. 31, zjawia się jako mściciel...... a czyn którym ma wyzwolić ojczyznę — to zamordowanie cara. Co innego jest poezya, zwłaszcza poezya Słowackiego, a co innego traktat polityczny; niemniej jednak, czytając jego dramat, dzisiejszy Polak, który wiele myślał nad przeszłością i przyszłością swej ojczyzny, doznaje wrażenia, że poetyczny bohater.... zbyt tanim kosztem myślał okupić wolność ojczyzny“. W tem mieści się oskarżenie Mickiewicza i Słowackiego o krótkotrwały patryotyzm który „czerpie swą siłę w przekonaniu, iż dość jednego śmiałego czynu, jednorazowego poświęcenia, aby ocalić ojczyznę, a imię swe opromienić nieśmiertelną aureolą“.

Ci ludzie, którzy tak jasno wzrokiem duszy przebiegali najgłębsze tajniki bytu, w przeszłość i przyszłość patrzyli jak w księgi otwarte, jacyż mali, jacyż nierozumni dla p. Topora! „Kordyan“ i „Dziady“ to całe ich credo!

Ale poeci nasi to nie jedyni wrogowie Topora — oto z przeszłości wyłania się ku niemu cała rzesza postaci, mówiąca: „malo periculosam libertatem quam tutum servitium“.... Wieje od nich gorące umiłowanie wolności, tego daru Bożego, którego nie za-

stąpią żadne dobra ziemskie. Taka wolność nakłada olbrzymie obowiązki i mści się, jeśli się kto służbie jej sprzeniewierzy. Zupełnie fałszywie mówi autor, że „w tem pojmowaniu rzeczy ojczyzna staje się tylko pewną sumą swobód, albo mówiąc jeszcze wyraźniej, chociaż brutalnie, pewnych łatwych warunków politycznego bytu, gdzie spoczywać można bez troski, bez kłopotów państwowych i bez obowiązków“. Gdyby można wskrzesić synów wolności z każdej epoki i tych z czasów Żółkiewskich i Chodkiewiczów i tych z Częstochowy, i z emigracyi i walk powstańczych, każdy z nich powiedziałby „nieprawda! Wolność nie jest przywilejem a ogromnym obowiązkiem“.

Nie wszyscy czują, jak głębokiem jest to, co mówi Mickiewicz o sojuszu ludów przeciw tronom, rozumiejąc pod tem braterstwo duchów dążących do prawdy, duchów wolnych przeciw duchowi gwałtu i przemocy. Z tego stanowiska idealnego jasnym jest podział na dwa wrogie obozy, łatwo rozróżnić ludzi walczących pod jednym lub drugim sztandarem. Polska ma stać na czele „ludów“ w walce z „tronami“. Polacy powinni być wszędzie, gdzie walka o wolność, boć wolność to ich matka i ukochanie. Dla tych, którzy przejrzeli wyższy porządek rzeczy, wznieśli się ponad interes — jasnem było, że kto wolność ukochał, służyć jej musi wszędzie i że żądanie natychmiastowej zapłaty materyalnej przeczyłoby temu ukochaniu. Dlatego to w każdej walce o wolność, znajdziesz Polaków. Krótkowidzący tylko może twierdzić, że walki te były marnowaniem sił, z „myślą o ojczyźnie, chociaż bez pożytku dla niej“. Zrozumienie tego, że Polak — wolność z ducha ma daną i jako dobrem swem najwyższem ma się nią z braćmi podzielić na ziemi, nazywa autor „nałogami kosmopolitycznymi“, które „zakryły samą Polskę“. Ze zdumieniem konstatuje on dalej, że byliśmy chorobliwie egzaltowani. Na śmierć pewną idą marzyciele długim szeregiem..... „dopóki tylko trwa wiara w rewolucyę, czy to na emigracyi, czy nawet w samym kraju pod wpływem emisaryuszów znajduje się dość ludzi gotowych iść walczyć i zginąć. Ten czas daremnych, lecz bohaterskich poświęceń, czas powstania naszej wielkiej poezyi narodowej, czas wysokiego idealistycznego polotu naszej na-

rodowej myśli — jest i pozostał dla każdego Polaka drogim, wtedy nawet, gdy myśl jego nie poprzestaje na wydeptywaniu dróg wytkniętych w tej epoce".

Przedwczesna to pieśń żałobna! Jeszcze się ta epoka nie skończyła, jeszcze da Bóg więcej, znajdzie się szaleńców wydeptujących stare drogi. Nie ma w tym żalu po umarłej myśli miłości — i żal ten nieszczery, ani głęboki, a raczej są to łzy dla oka ludzkiego, oficyalne przyznawanie się do czci dla bóstw, które są obojętne duszy...

Przyszła rzeź galicyjska, przyszła klęska rewolucyi europejskiej.... Rodzi się pesymizm, zwątpienie w zwycięstwo sprawiedliwości. Autor jest dzieckiem tego pesymizmu. Dla niego klęska jest już dostatecznym dowodem, że hasła podjęte były nierozumne. „Wiara w potęgi przyszłości, które odrazu miały przebudować Europę, uleciała, a z nią gotowość do poświęceń". Oto jeden z tych rysów charakterystycznych dla „nowego" kierunku. Bezwzględne odrzucenie dróg, któremi naród kroczył, bo wszak napotkał na klęski!... Dziś nie należy już obejmować myślą wyższego porządku rzeczy, nie należy być sługą Bożych myśli, porzucić trzeba drogi prowadzące ludzkość naprzód... trzeba twardo stać przy „idei państwowości". Narodowa demokracya „w obronie narodowych interesów gotowa jest do walki z demokracyami innych krajów; antyteza wolności i despotyzmu rozpłynęła się w aliansie francusko-rosyjskim. Nic nie pozostało z dawnej romantyki w układzie politycznym Europy".

Ale czyż tem, że ukrzyżowano Chrystusa, zabito prawdę? czyż bezprawie zabiło Sprawiedliwość, czyż alians francusko-rosyjski zabił wolność? Czyż brutalne fakty mogą świadczyć na niekorzyść wszystkich szczytnych haseł? Nie! Są tylko dowodem że walka ze złem jest ciężką.

My, jako najwięcej oddani tym „mrzonkom kosmopolitycznym", najwięcej marnowaliśmy sił i czasu.. „Inne demokracye po swoich klasach przewodnich mogły odziedziczyć prawa polityczne i dorobek dziejowy, nasza zaś wobec bankructwa państwowego musi przyszłość swą w znacznej mierze sama zbudować". Ciężka to ślepota, która odmawia nam „dorobku narodo-

wego“! Lecz tak musi widzieć rzeczy czciciel „państwa nowożytnego“. A że cechą naszą właśnie była nienawiść do państwa, opartego na przymusie, „pojęcie interesów narodu i obowiązków względem niego nie mogło się należycie wykształcić, tak że i dzisiaj przeważnie nie znajduje się na tym poziomie, jakiego dosięgnęło u nowożytnych cywilizowanych narodów. To, czego nie wykazał naród podczas swego istnienia państwowego, musi zrobić teraz, jeżeli chce nadal istnieć i zdobyć warunki rozwoju“. Pomija więc autor wewnętrzne pobudki tego „braku zmysłu państwowego“, nie roztrząsając, czy przypadkiem wyjęcie tej cechy nie grozi upadkiem całego gmachu idei, jaką duch nasz wypielęgnował. Jemu fakt, że Polska jako państwo istnieć przestała, wystarcza do twierdzenia, że postępowała niemądrze; a jest przecież i drugi wniosek, że ta siła, która Polskę zgniotła i świat pchnęła wstecz, była złą...

Co to jest „państwo“, z którem duch polski walczy? Rozumiemy pod tem prawo przemocą narzucone, pogwałcające wolność jednostek, wolność zaprzeczeń z ducha; przelewające rządy z rąk siły moralnej (szacunek dla cnoty, veto) w ręce siły materyalnej (liczba głosów, bagnet). Dlatego to, mimo pozornych korzyści, nie potrafi Polak połączyć pojęcia „niepodległości“ z ustrojem państwowym Niemiec lub Austryi.

W odrzuceniu idei narodowej jako jedynej służby dla narodu i ludzkości, leży przyczyna, że już nie miarą tej idei, ale siłą „zmysłu politycznego“ ocenia się wielkość narodu. Przy takiej systematyce opadniemy niżej od Czechów i innych pół-narodów. Pociesza się autor, że odbywająca się u nas „przeróbka społeczna“ zrodzi elementy zmysłu politycznego, „elementy te rozwinie i wytworzy z nich jak u Czechów uzdolnienia i aspiracye polityczne“. Niech tylko autor nie zapomina, że ta przeróbka społeczna odbywa się bez związku z ciągłą myślą historyczną, że pozostawia na boku dorobek nasz duchowy i że kiedyś piekąca ta sprawa odezwie się, powrotną falą uderzy – kiedy tchu zbraknie narodom w dusznej atmosferze „nowożytnego państwa“.

Mówiąc o zbrojnym ruchu słusznie zwraca Topór uwagę na wszystko znaczącą siłę moralną. Ale tu siła moralna podług niego wyraża się „w poświęceniu korzyści bezpośrednich dla dalszych celów“. Siła moralna nigdy na tem nie polega, jest to tylko wyrachowanie rozumnego kupca, które nie stoi w żadnym związku z moralnością. Moralnością nazwiemy zwracanie się ku celom zgodnym z czystością duchową, z sumieniem, nie dla korzyści, a w myśl idei.

Narzeka autor na to, że tej „idei państwowej“ u nas nie było... że mając kraj duży i możny nie korzystaliśmy z tego, nie pomnażaliśmy dobytku orężem, nie grabili ani podbijali. Tak, bo nasze państwo nie opierało się na bagnecie, nasze zwycięstwa to unia z Litwą i Rusią! W celu podboju nie szliśmy nigdy. Topór gniewa się, że nie umieliśmy korzystać z naszych zwycięstw np. Wiednia. To tak samo, jakbyśmy człowiekowi, który obronił kobietę od napaści włóczęgi powiedzieli, że nie „skorzystał“ bo pobitego włóczęgi nie obdarł!

Jeżeli siła moralna równa się wyrachowaniu, to czynniki moralne są „silna wola, niezmordowana energia, wytężona działalność“ a głównie to, że „naród nie uchyli się od żadnej walki, jeżeli ją uzna za niezbędną“. Jest to apoteoza siły, bez względu na to, zwrócona ona w dobrym czy złym kierunku. Stąd używanie terminu „niezmordowana energia“ bez dalszych zastrzeżeń, na każdej drodze.

Ze zburzeniem starych ołtarzy zmienia się zupełnie pogląd na obowiązki społeczne. Topór powołuje się na zdanie Szczepanowskiego „siła duchowa społeczeństwa jest tylko siłą nagromadzonych obowiązków“ i dodaje „to też zdrowy instynkt narodowy wypowiada się obecnie... za większą surowością opinii publicznej względem jednostek, które dobro ogólne poświęcają swoim interesom albo zachciankom“. Wytwarza się „przymus moralny“ i wrogie stanowisko względem Żydów, Rusinów, humanitarnych kosmopolitów i „innych żywiołów antynarodowych“.

Jasnem jest że Szczepanowski o innych obowiązkach mówił. Duch wolny obowiązki te przyjmuje na siebie wraz z ideą,

wraz z nią powiększa ich obszar, bo idea a obowiązek to pojęcia nierozłączne.

Prawdziwie niemiecki duch wieje z następujących słów: „Typ zdecydowanego obrońcy godności i interesów narodowych przeciw obcej przemocy, a jednocześnie bezradnego i bezbronnego jak dziecko wobec pierwszej lepszej pretensyi ze strony rzekomo pokrzywdzonej, typ ten, w którym wielu upatruje ideał szlachetnego patryotyzmu — jest ideałem papierowym i nonsensem psychologicznym". Rozumie każdy o co autorowi chodzi. Zachwala to pruskie stąpanie bezwzględne, — a że tam w tym energicznym pochodzie kopnie się kogo brutalnie, wyrządzi krzywdę, pięścią przetrąci słabszego — to trudno, — walczy się o interes! Takie krzywdy społeczne stanowczo muszą się mścić w jakiś — nie zawsze odrazu dostrzegalny — sposób. Muszą, bo inaczej musielibyśmy zwątpić w równowagę sprawiedliwości.

Woła dalej Topór: „Czyż możnaby wyobrazić sobie śmieszniejszy widok dziejowy jak ten, jakiby przedstawiał naród węgierski, odnoszący szereg świetnych zwycięstw na wojskami austryackiemi, po to tylko, ażeby owoce swoich bohaterskich czynów rzucić pod nogi Kroatów, którzy wystąpili wtedy ze swemi historycznemi pretensyami. To też Węgrzy umieli zająć wobec obu swych wrogów postawę zdecydowaną i wytrwali w niej pomimo tego, że przecież wiosna ludów była czasem egzaltacyi i złudzeń, idei wolności i braterstwa ludów".

Dla Polaka Węgrzy nie przedstawialiby wtedy nic śmiesznego. I właśnie dlatego, że zrobili inaczej, ośmielamy się powiedzieć, że Węgrzy nie są narodem bohaterów, że to jest plamą ich ducha, że na cześć naszą nie zasługują, a dla ludzkości będą zerem.

„Odrodzenie" więc, jak to rozumie Topór jest to wejście na drogę „nowoczesnego rozwoju polityczno-społecznego". Nie zwraca uwagi na to, że odrodzenie jeśli ma być trwałem musi polegać na odrodzeniu wewnętrznem, że bez jasnej idei wolności i umiłowania czystych dróg, „idea państwowości" „siła przymusu społecznego" ufundują państwo pruskie — nigdy polskie.

S. M.

Po egzaltacyi i racyonaliźmie.

Być może, że przyjdą czasy, w których wyrazy ludziom będą obojętne. Dziś odgrywają one często rolę wabików, albo straszydeł.

Przeszłość XVIII. i XIX. w. przeniosła życie wewnętrzne człowieka, wskutek wybujałej i niekompenzowanej świadomie sercem, kultury rozumu na wyraz i na myśl. Wskutek tego korzenie myśli i pojęć zostały zerwane, a myśli i pojęcia pływają po powierzchni życia zewnętrznego.

Zaś życie wewnętrzne zastąpiono poetycznem życiem wyobraźni.

* * *

Jest cechą nieprzemieniającej się dobrowolnie natury ludzkiej, że dąży ona usilnie w kierunku najmniejszego oporu psychicznego. Dążność ta zaznacza się nietylko w elementarnych objawach życia fizycznego, ale również w najsubtelniejszych objawach życia wewnętrznego.

Dążymy zawsze pierwotnie do zaspokojenia tego, do czego czujemy popęd najsilniejszy, a co kosztuje najmniejszych wysiłków woli naszej. — Użyłem słowa „pierwotnie“, bo chcę przez te zaznaczyć dążność nieprzemienionej jeszcze natury naszej.

Popęd najmniejszy, owszem, częstokroć nieopisaną bezwładność, czujemy do utrzymywania w nas pełni życia wewnętrznego.

Bo wymaga to największych wysiłków woli.

Stan podświadomy naszego wnętrza nie jest jakiemś stałem niezmiennem prawem natury; dłuższe jego trwanie jest wynikiem naszego niedołęstwa moralnego, które przy stosownem postępowaniu powolnie daje się usuwać.

W miarę usuwania w nas stanu podświadomego rozwija się pełnia życia wewnętrznego.

Polega to na harmonijnym rozwoju kultury serca i rozumu; i to są ścieżki „realnego idealizmu".

* *
*

Życiem myśli i pojęć jest wzruszenie — ruch wewnętrzny. Wzruszenie, to jest syntezą czucia i uczucia. Jest to uczucie czyste, chrześcijańskie, czucie dotyka bezpośrednio prawdy.

Czucie wtedy jest objektywne, a życie myśli i pojęć płynących z tego czucia jest głębokie, wewnętrzne, pełne.

Jest uczucie brudne, egoistyczne, (kryjące się wtedy fałszywie), czucie albo zanika, albo jest nadużywane. To zwichnięcie czucia, którego stanem naturalnym jest czystość i bezpośredni kontakt z prawdą wraz z ukrytym brudem wytwarza kłamstwo, doktrynę.

Myśli i pojęcia są wtedy zwykle płytkie, zewnętrzne — partyjne.

Sam rozum ani objektywnym, ani subjektywnym być nie może. Abstrahowany rozum od czucia jest niemożliwy w życiu i jest tylko czczym wymysłem racyonalistów.

U racyonalistów wymysł ten jest naturalnym objawem ich życia wewnętrznego nieharmonijnego. U nich rozwinęło się uczucie kosztem czucia. Uczucie to u nich stało się guzem moralnym, który się rozwinął z pierwotnego wzruszenia, powstałego albo wskutek wybitnej władzy rozumu, albo wskutek innych właściwości. Rozumem więc przykrywają brak kultury serca, a uczucie puszczone samopas rozlewa się w kierunku najmniejszego oporu psychicznego.

I kryją swe uczucie, bo stało się członkiem wstydliwym ich duszy.

Wpływ uczucia wybitnie się odbija na myślach i pojęciach racyonalisty.

Wiadomo, że racyonaliści opierają swoją metodę poznawania i życia na doświadczaniu świata zewnętrznego, na tak zw. prawach natury. Najlepszym dowodem tego jest ich determinizm, który jest tylko ścisłą konsekwencyą zawisłości ich od praw natury, którym się dobrowolnie poddali.

Nie przypuszczają oni możliwości innego doświadczenia, jak tylko doświadczenie pięciu zmysłów i rozumu, na których istotnie życie zewnętrzne się opiera.

Dlatego myśli i pojęcia ich opierają się na życiu zewnętrznem. Uczucie zaś odgrywa w nich rolę konserwatora tych myśli i pojęć i dobierania ich w kierunku najmniejszego oporu psychicznego, kieruje się ono w tej pracy bolem lub rozkoszą. Etyką u przeważnej części racyonalistów jest utylitaryzm.

W sferze myśli i pojęć racyonalisty brak czynnika pogłębiającego, dlatego przekonania jego są twarde, konserwatywne, ulegają szybko strupieszałości. Konserwatyzm racyonalisty wynika z zasadniczej cechy jego życia wewnętrznego. — Serce jego jest pełne motywów egoistycznych. Racyonalista, gdy walczy z przeciwnikiem — używa wyrazów albo pustych, albo napompowanych ironią, nie uwzględniając zupełnie ich istotnej treści lub możliwego innego znaczenia.

Gdy z nim rozmawiam n. p. o sprawach życia wewnętrznego, to chcąc mię zwyciężyć w oczach swoich lub sobie podobnych, mówi: „mistycyzm“ czy „coś“... „waryactwo“, „Towiańszczyzna“ i t. p.

Używanie podobnych argumentów doskonale charakteryzuje — na jakich motywach opiera racyonalista swoje pojęcia, chociaż twierdzi, że powoduje się czystym rozumem, logiką.

Zasadniczym błędem racyonalisty, wynikającym z nieznajomości życia wewnętrznego i z motywów egoistycznych jest twierdzenie, jakoby wszystko, co wewnątrz posiada w sferze myśli i pojęć było jego właściwością. Dlatego myśli i pojęcia jego są konserwatywne. Zaś własność wszelka, czy to moralna czy fizyczna w niedoskonałym stanie posiadania wytwarza guzy moralne, które np. w sferze moralnej mylnie są poczytywane za stałość charakteru. Guzy moralne wynikające z własności fizycznej są dziś uznane powszechnie za złe, i są partye które słusznie przeciw nim występują — jeśli nie uwzględniamy również wewnętrznych ich motywów występowania przeciw nim. Dlaczegoż więc guzy moralne wynikające z własności umysłowych są ochraniane? Zbliża się i na nie pora.

Na kwestyę własności czy to fizycznej, czy umysłowej, zapatruję się ze stanowiska chrześcijańskiego. To, co posiadam nie jest moją własnością, ale tego, który mi daje. Dlatego zasadniczą ideą związaną z własnością nie jest używanie ale spełnianie pewnych obowiązków, jakie są do tej własności przywiązane.

Niczego nie wolno nadużywać dla osobistych lub partyjnych celów.

Podobny błąd jak racyonalista co do własności wewnętrznych może popełnić *„uczuciowiec“*, zaniedbujący rozumu. Do tej kategoryi należą poeci literaci.

To nadużywanie własności wewnętrznych, wynikające oczywista z jednostronnego życia jest powszechną dziś chorobą, która nazywa się indywidualizmem. Dzisiaj wskutek tej choroby — uznawanej przez wielu za szczyt rozwoju — duchowego, trudno znaleźć dwóch ludzi, którzyby wzajemnie z sobą współczuli. Spójnia duchowa jest frazesem poetyckim, bo tylko wyjątkowo się realizuje pomiędzy legendarnymi Kastorami i Polluxami.

Gdy pojawiają się ludzie, którzy chcą ją realizować w duchu chrześcijańskim, nazywa się ich „waryatami — mistykami“ odszczepieńcami, pisma ich stawia się na indeksie, a młode dzieci truje się w szkołach krakowskim racyonalizmem. Największe zbrodnie popełniają często ci, którzy siedzą jako świeczniki na różnych katedrach; a często czynią to z nieświadomości, która jest wynikiem życia i pracy w kierunku najmniejszego oporu psychicznego.

* *
*

Rozumu więc od uczucia odłączać nie można, bo jest to przeciwne naturze ludzkiej. Racyonalista bowiem, jakoteż i uczuciowiec narażeni są, przez takie rozdzielanie władz tych, na pastwę motywów egoistycznych i żyją przez to kłamstwem i komedyą. Rezultatem takiego traktowania życia jest dekadencya, która prowadzi na ścieżki autanolizy.

* *
*

Aby prawda zupełnie się objawiła i żyła realnie, potrzeba by naczynia, w których to objawienie ma nastąpić, były zupełnie

czyste w swej woli, co właśnie umożliwia jej zgodność z Wolą Prawdy.

Nie mówiąc tu o czystości natury, bo człowiek własną wolą od pokus nie może się uwolnić, ale dobrowolnie może z niemi się nie zgadzać.

Ową niezawisłość pokus od woli ludzkiej (musowość wewnętrzna) określono nieugiętem prawem natury (prawa naturalne życia) którego każdy doświadczać musi.

Ale nie wynika stąd obowiązek zgadzania się na nie naszej woli, jeśli ma ona wolność niezgadzania się. Bo pocóż ostatecznie owa wolność niezgadzania się?

Gdyby naturalne prawa obejmowały naszą wolę, nie miałaby ona możności niezgadzania się z niemi. Sam fakt niezgadzania się naszej woli z prawami natury, zasługuje na poważne badanie nie tylko spekulatywne, ale ściśle doświadczalne.

Przecież łatwo da się obserwować przebieg objawów podczas stałego i metodycznego opierania się woli naszej prawom natury, rządzącym przedewszystkiem naszym organizmem psychofizycznym.

Zwracam baczną uwagę na to, że ów opór woli należy skierować przeciw „prawom natury“ rządzącym naszym organizmem. Tkwi bowiem w nas silny motyw — podejrzanej natury — który chytrze te prawa pomijając, skierowuje opór nasz przeciw środowisku i powoduje wielkie hałasy, jakoby szlachetnych dążności rewolucyjnych.

Jest to umykanie przed prawdą przez komedyę graną wobec prawdy. Zupełnie inaczej trzeba się zachowywać wobec zakonu w innych tkwiącego, a inaczej wobec naszego. Kwestyę tę rozwiązuje głęboka znajomość praw życia wewnętrzego, powszechnie dziś pogardzanego i odstraszanego przez okropne wyrazy: „mistycyzm“, „duch“, „chrystyanizm“, „Bóg“, „kościół“ i t. p.

* * *

Skierowanie woli naszej przeciw bezpośredniemu zakonowi ciała wprowadza na tory życia wewnętrznego. Rozpoczyna się pierwsza faza przemiany życia. Opiera się ona na ścisłej i rze-

telnej autoanalizie, popieranej bez ustanku przeciw zakonowi ciała.

Faza tej przemiany rozwija się właśnie w naszej epoce. Nadchodzi pokolenie cichych i milczących. Zdobędą oni przez dobrowolną zgodę na własne cierpienia znajomość życia wewnętrznego. Stępią swoją wrażliwość — drażliwość, by rozwinąć w sobie czujność chrześcijańską.

Zdobycie owej czujności będzie owocem pierwszej fazy przemiany życia.

* * *

Kto obserwuje z całem poświęceniem i zaparciem się siebie pierwszą fazę przemiany, widzi, że postępowanie w kierunku największego oporu psychicznego nie jest bez widocznego skutku.

Zakon praw natury powoli z niego ustępuje. To jest jakby pierwszy stopień „realnego idealizmu". N. p. miłość bliźniego przestaje być dla niego frazesem, bo uczucie to istotnie w nim się podnosi i tak samo poczyna życie jego normować w najdrobniejszych przejawach, jak dawniej instynkt samozachowawczy — zakon nienawistnej walki o byt. Kto tego nie doświadczył, ten nie może nic o tem mówić, chociażby był bardzo logicznym, rozumnym, bo jest w tym względzie ślepym. A to jest sprawa tak samo wymagająca doświadczenia a gardząca spekulacyą, jak sprawa praw natury, których bez doświadczenia wyspekulować nie można.

Dlatego zupełnie nowy horyzont mądrości i wiedzy otworzy ten naród, który będzie praktykował chrześcijaństwo w życiu codziennem, czy to prywatnem, czy publicznem; ma to być praktyka czynu i modlitwy.

Polska n. p. dotychczas nie rozwinęła rodzimej mądrości tak obszernie jak inne narody, bo nie chciała oprzeć swego bytu na zasadach pogańskich, a nie miała jeszcze dość siły moralnej, by przetworzyć się zupełnie wewnętrznie według Chrystusa. Inne narody rozwinęły swój byt państwowy według zasad grubo pogańskich i według tych zasad rozwinęły swą wiedzę życia i mądrość.

To nie są dla nas przykłady.

Polska wewnętrznie wciąż przetwarza się według Chrystusa i w miarę tego rozwija się u nas rodzima mądrość — „idea polska“, filozofia religijno-społeczna Cieszkowskiego, Towiańskiego, mistyka życia prywatnego i społecznego.

To gruba niesprawiedliwość naszych dla naszego dorobku duchowego, że go uważają za zbyt niepraktyczny, (Towiański doktryner, tkwiący głową w niebie, a uciekający z ziemi..). Wszystkie te argumenta są podobne ruchom piskorza wijącego się przed atakiem prawdy.

* *
*

Praktyka chrześcijaństwa w życiu prywatnem i publicznem poucza, że prawa natury (walki o byt materyalny i t. p.) nie są absolutnem prawem psychofizycznego organizmu człowieka.

* *
*

Już w pierwszej fazie przemiany rozwija się w naturze ludzkiej zmysł prawdy — owa czujność chrześcijańska. Człowiek przestaje być racyonalistą i uczuciowcem, bo ani go rozum, ani uczucie nie opanowują, ale prawda. Są pewni „nadludzie“, którzy nazywają to manią, chorobą — ale to tłumaczy się u nich tem, że nie są wolni od siebie a prawdy nie znają, bo nie zdobyli tego zmysłu.

* *
*

Pierwsza faza przemiany kończy się z chwilą, w której motywa czyste przeważają nad motywami egoistycznemi, ta przewaga rodzi właśnie zmysł prawdy.

Zanim człowiek tego zmysłu nie osiągnął, nie jest zdolny do przemieniania życia dokoła siebie; polega to na pewnem prawie życia społecznego wewnętrznego, które dotychczas nie jest znane.

Na ścieżki tego prawa naprowadza natura uczucia ludzkiego.

Uczucie w świadomości naszej roszczepia się na 2 części: część osobistą, egoistyczną — (drażliwość), przez którą istnieją

przepaście w życiu pomiędzy ludźmi — i część wewnętrzną czysto-duchową, przez którą człowiek może wchodzić w unię z dalszem życiem. Dalekość ta zależna od stanu oczyszczania wewnętrznego.

Można tu użyć porównania z fizyki o naczyniach połączonych, których połączenie jest albo otwarte, albo zamknięte.

Lepsze jeszcze porównanie z bateryą galwaniczną o połączeniach dobrze izolowanych i nieprzerwanych, lub przeciwnie. To porównanie lepiej odpowiada naturze spraw duchowych, co Szczepanowski znakomicie w „Idei polskiej“ określił.

Prawo tej bateryi: w każdem miejscu siła prądu równa sumie sił wszystkich ogniw. Odpowiada to zupełnie określeniu Mickiewicza: „Ja i naród — to jedno“. Na podstawie tego prawa „liberum veto“ jasno i słusznie się tłumaczy, potrzeba, by tylko wszystkie ogniwa były czyste. Ktoś z przestrachu powie: to marzenia; taki argument, to wielki grzech.

* * *

Z chwilą, gdy człowiek przeszedł pierwszą fazę przemiany, z tą chwilą odbywa się na niego zesłanie Ducha św., który sprawia, iż człowiek ma moc przemieniania życia dookoła siebie.

I w pierwszej fazie człowiek nie przemieniał się własną mocą, bo człowiek, jak wiadomo, na własnej mocy opierający się dochodzi do dekadencyi. Ale w pierwszej fazie nie miał tej mocy, którą zyskuje dopiero z chwilą zyskania zmysłu prawdy.

Zesłanie Ducha św. nie jest zawisłem od pewnych form, lub od pewnego zasobu świadomości lub nawet od odbycia przez pewiem czas odpowiednego sposobu życia, ale właśnie od owego stanu moralnego, w którym czystość przeważa nad brudem. A ten stan zależny jest z ludzkiej strony tylko od dobrej woli. Tamte akcesorya mogą być tylko pewnemi warunkami, które w danej chwili mogą być narzędziem pokory lub ćwiczenia innego, ale nie stanowią one bezwzględnie o zesłaniu Ducha św. Jeśli jest kto pokorny, to i bez tych akcesoryi otrzymuje Łaski Boże.

Nie człowiek udziela, lecz Bóg; a może być taka lub inna Wola Jego.

* *
*

Druga faza przemiany rozpoczyna się od chwili zesłania Ducha św., a zewnętrznie objawia się jako chrześcijański czyn, t. j. czyn, dokonywany mocą miłości.

Człowiek drugiej fazy nie analizuje już siebie. Owszem musi autoanalizę w sobie stłumić. Zaś zastępuje ją czujność chrześcijańska, zdobyta w pierwszej fazie. Znamienną cechą tej czujności jest nadzwyczajna wrażliwość sumienia, a zupełne stępienie egoizmu (brak drażliwości). „Odruchowo“ popełniony błąd odbija się natychmiast niepokojem w sumieniu.

Mówię — „odruchowo“ — bo w tej fazie pojawiające się, ale już bardzo rzadko — błędy, odgrywają zupełne inną rolę w świadomości, niż błędy człowieka śpiącego duchowo.

Owe błędy odruchowe, wynikające ze słabości ludzkiej natury, są obfitem źródłem wewnętrznej pokory, która jest nader ważnym czynnikiem w życiu duchowem człowieka.

* *
*

Drugą znamienną cechą czujności chrześcijańskiej jest dążność do utrzymywania unii świata wewnętrznego ze świadomością, stąd zdolność percypowania bezpośrednio treści życia.

Czujność objawia się wewnętrznie jako ustawiczna dążność w kierunku największego oporu psychicznego.

„Czuwajcie, abyście nie weszli w pokuszenie“.

* *
*

Czyn człowieka drugiej fazy nie musi być strasznie głośny, wielki, cudowny.

Skutki dzisiejszych czynów z Ducha św. realizowanych przez ludzl, odbywają się niemal niewidzialnie. Polegają one bowiem na budzeniu życia wewnętrznego. Dzisiaj dzieją się największe cuda wewnątrz.

Kto n. p. dzisiaj pracuje szczerze nad polepszeniem ludzi, ten może dojrzeć skrytość tych czynów przez wchodzenie w spójnię duchową z tymi ludźmi, nad którymi pracuje.

Na podstawie czujności chrześcijańskiej da się przeprowadzić ścisłe i konsekwentne postępowanie w życiu codziennem, według którego życie dookoła się przemienia.

Jest to również najważniejszy czynnik w metodzie poznawania tajemnic życia.

* * *

Działalność ludzi drugiej fazy rozwija się coraz silniej w miarę budzenia w innych życia wewnętrznego. Przychodzi ostatecznie chwila, w której dają hasło do podniesienia się duchowego. Wtedy wybucha ich działalność najpotężniej. Zwykle jest to chwila jakiejś wielkiej ofiary, kompenzowanej mocą Ducha św.

* * *

Na czem właściwie polega działalność tych ludzi? Kto chociażby próbował, chociażby pragnął tak pracować, ten czuje w sobie dążność do wewnętrznej jedności z innymi ludźmi. Spójnia wewnętrzna rozwija się w miarę ofiar ponoszonych na rzecz tych, nad którymi pracujemy. A więc musi się polepszać sam, by kogoś polepszyć chociażby własnem polepszeniem. Stąd widoczna, że kto ochotnie poddaje się wpływowi, ten taką samą przysługę chrześcijańską oddaje swemu mistrzowi, jak mistrz jemu.

Nie zachodzą tu wypadki, aby tylko jedna strona się polepszyła. W tych sprawach istnieje wzajemność.

Wiadomo zresztą, że w życiu ludzie najbardziej nie cierpią wszelkiego rodzaju moralizatorów, reformatorów, bo przeciętny typ dotychczasowych moralizatorów i reformatorów, to typ indywidualisty, lub urzędnika; spełniają oni swoje obowiązki bez własnego udziału duchowego. W polepszeniu nigdy nie da się znieść wyższość jednego ponad drugim lub surowość egoistyczna urzędu.

Dlatego działalność ludzi w drugiej fazie musi podlegać na ścisłej komunii duchowej.

* *
*

Gdyby te zasady konsekwentnie chcieli przeprowadzać w życiu ci, którzy podjęli się obowiązku polepszania ludzi, ileżby musieli ofiar w obecnym swoim stanie złożyć!

Dlatego przykre przychodzą czasy na gałąź klerykalną Kościoła.

* *
*

Nie dobrze jest w sprawach duchowych budować jakieś doktryny, nowe teorye, bo takie postępowanie jest przeciwne naturze tych spraw.

* *
*

Aby uniknąć wszelkich dotkryn, najlepiej jest oprzeć się na jedynej zasadzie, która każdego zawiedzie w poznanie spraw duchowych. Tą zasadą jest: aby poznać prawdę, należy dążyć w kierunku największego oporu psychicznego. Wynika to stąd, że najtrudniejszą sprawą do zdobycia jest prawda.

Cokolwiek jest tą prawdą — czy myśl jaka — czy jaka istota, czy coś innego — to musi się dojść do poznania tego, jeśli się idzie w kierunku największego oporu psychicznego.

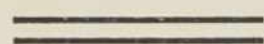
Nie dobrze jest odrazu opierać się na jakiejś doktrynie, nie zdobytej według tego postępowania, bo jest się wtedy narażonym na rozliczne nieporozumienia, odszczepieństwa, niesprawiedliwości obustronne, które zamlast przybliżać do prawdy, oddalają. Również jest się narażonym na kradzież moralną.

Ta zasada jest dla każdego dostępną, nawet dla tego, któremu jeszcze prawda objawiona nie była zwiastowaną. Życie bowiem przez cierpienia jej uczy.

* *
*

Według tej zasady postępując, dobrze jest przyjąć pewne wskazówki, które jednak niczem innem nie są, jak tylko wskazówkami, które mogą w danym razie przyspieszyć, ułatwić szukanie prawdy.

Nie warto dla wskazówek, kogoś odrzucać od strony Prawdy, i w tym względzie według czujności postępować można.



O Nocy listopadowej

Wyspiańskiego.



Noc listopadowa pełną jest myśli i ich symbolów. Każde zdanie, ma swą głęboką treść samo dla siebie i w związku z całością. (Forma zaś dzieła treści zgodnie służy). Czego sama rzecz nie mówi, a co Wyspiański chce powiedzieć, to dopowiadają symbole. Symbol-nastrój — lub symbol-postać.

Noc 29. listopada 1830 r. — oto przedmiot dzieła. Obraz chwili, będącej przejawieniem się duszy Narodu za pośrednictwem ludzi — w wypadkach.

Naród latami pracował, by wywołać tę chwilę:

Wam duch, latami wołany
Poima serca łańcuchem...
— — — — — — —
Oto godzina wybija
Gnana tęsknotą lat...

Wybiła ta godzina. Czucie zgotowało czyn.

Wielka chwila walki świętej — przychodząc na zawołanie rozkaz ducha ludzkiego — przywodzi z sobą sobie właściwe siły, potęgi nieziemskie, zjawiające się czasowo na ziemi.

Powstają bóstwa - symbole pewnych właściwości duszy ludzkiej — jak Pallas (umiejętność i sztuka w walce) Ares (szał wojenny), Kery (zapamiętałość i zwierzęcość) i bóstwa - po-

mniki czynów ducha ludzkiego — „zwycięstwa dziwne panie“ Nike, w które zaklęty niejako, różny sposób walki — w różnych chwilach dziejowych.

Zlatują z Olimpu ściągnięte siłą duszy narodu, która gotuje czyn podobny ich czynom — leżący w zakresie ich działania. Sam czyn ten, sama rzecz „walczenia“ — zajmuje je. Będą ją podniecać, wspierać, prowadzić — raz wezwane, czy zesłane — aż do czasu odwołania.

Przez czas swej pomocy oddziaływują one jednak znów na ludzi działających. To — unoszenie prądem chwili. Wpływ ten znać na Piotrze Wysockim, który powołuje młodzieńców ze szkoły podchorążych słowami:

Bóg wziął nasze obrony:
Śle wolność ludom i stanom!
— — — — — — — —
Do broni za Polskę, za krew,
Za lata niewoli i nędz
za widma, upiory jędz
co nasz obsiadły dom
niosąc srom;
niech krzyż upiory wyżenie,
spełniajcie przeznaczenie.
Czas przyszedł, zwyciężym dziś.

potem zaś porwany prądem chwili, przez Palladę prowadzony, na ustach ma wyrazy: zwycięstwo, sława — honor — bohaterstwo — — — Tylko.

W pożodze czynu gubi się nieraz idea treścią jego będąca.

Duszę Narodu — jaką była w owej chwili ukazuje Wyspiański kreśląc profile kilku wybitnych jednostek — lub posługując się symbolizującymi obrazami.

Bohaterski Wysocki, gorący Nabielak — przeczuwający i szlachetny duszą Goszczyński: Belwederczycy i Podchorążowie — duszą i ciałem oddani są sprawie. Poza niemi stoi sam — Chłopicki; zdolnościami, umiejętnością i spokojem wszystkich przewyższa, to nadzieja narodu. On w chwili wybuchu o wiktoryę w karty gra.

Członkowie Rządu Narodowego: Lelewel, mający być „chorążym ludów“ — nieprzygotowany i niepewny — i Czartoryski — ambicya osobista.

Są i ci, którzy nie przyłączyli się do dzieła. Potocki Stanisław „nie poczuł się synem tej Matki“ — po zgonie marnym, widzi dopiero i cierpi, „że wielki był a lichy“. Wincenty Krasiński.,. w chwili, „gdy nam Bóg na wolność dzwoni“ — jako swój obowiązek uważa, służąc carowi, krwi ofiarnej szczędzić. Jemu duma rodowa, honor i troska o ziemski byt rodaków zastępują — miłość, nadzieję i wiarę. Patrząc na Łukasińskiego — męczennika, gdy z dźwięku dzwonów wyczuwa ducha czystego chwili: ofiarę za wolność — Krasiński jeno twarz dłonią przesłania.

Kobieta-Polka — to ofiara ze wszystkiego, co osobiste dla sprawy. Lecz łudzi się ona, że można coś dla sprawy zrobić kłamstwem i sztuką; że duszę obcą z gruntu i despotyzmem skalaną można wodzem narodu uczynić. Ją „chwila“ obłąka walki szałem.

Wrogiem powstających jest idea caratu. Pod jej klątwą i szatańskim urokiem dusi się tęskna dusza młodego Gendre'a i ojca jego „podłości spętanego kajdanem“ — jej najuleglej służą szpiegi i lokaje — przeciw niej buntuje się i wije pod jej jarzmem, Wielki Książę. Dusza to mała, tyran-tchórz — obdarzony jeno zdolnością odczuwania czci dla wielkości, szlachetności i męstwa. Tem wytłumaczone jego dziwne przywiązanie do Polaków — jego marzenia o koronie polskiej. Ale będzie gnieść i dusić powstanie — w którem nie on wodzem. Na dnie duszy tej, potwornej dziwacznie, odzywa się czasem prosty głos prawdy. Wielki Książę wie, co winienby uczynić, gdyby był Polakiem:

I jakoż wy, wy Polscy, wy byliby tacy,
Żeby rzucić swą Sprawę — swoją Polskę rzucić
i stać po stronie cara? — — —
— — — — — — — — — — — —
Wy trupy... jeśli ze mną związani w przymierze.
Wy nie wierzycie w Polskę? — Co? — A ja w nią wierzę!
— — — — — — — — — — — — —

Ludzie w Noc tę działający, to
„bohatery i karły
i wojowniki i gachy
i dumne, pychą pojęte
i podłe, jako gad liche
i wyniosłe i groźne i ciche
i zbrodnicze i jako cud święte.

To nie wiosna życia narodu — to jego jesień — listopad:
Róż nie ma, róże pomarły;
badyle kwiatów suche
wichry przegonne w puch starły;
z liści złotych kobierzec na wodzie.
— — — — — — — — —
Dęby odarte z liści.
Wichr przegnał ziemię zawieruchą
nad ogrodem; — i liście opadły;
ogrody puste i głuche
a gałązki zmartwiałe i kruche;
ni ptaków świergoty letnie,
ni Marsyasowe fletnie;
zbłąkane dzieci Eola
dmą mierzwę przegniłą z pola,
słomę dziergają na drzewa
że drzewo, jak arfa, śpiewa
we wichrze miotem gałęzi:
a krzewy, co najdroższe,
w zimowej, słomianej uwięzi;
a krzewy, co najuboższe —
w łachmanach zczerniałych liści.
— — — — — — — —
Uprzołek suchy jaśminu
i perły owocu, jako łzy duże, —
Krwawe po jarzębinach korale.
— — — — — — — —
Na urwiskach jałowiec i sosna
przygięta wichrem, drży...
— — — — — — —
Krzew zwarzył wicher ostry

i szron bielutki mrzy
laurów nie ma, a róże pomarły.
— — — — — — — —

To, co chwilę wywołało — nie był to Duch Narodu, lecz jego częściowy jeno i skaźny przejaw.

Nie stworzył sobie Duch Narodu swojej własnej „Nike“.

Zwycięstwo się nie ziści.

Wstaną tylko i ginąć będą — gdy odlecą potęgi chwili jakimś wyższym rozkazem odwołane:

Nieszczęść dopełnią sami
gdy krokiem pójdą wstecz!

Ale ta noc ukazuje jeszcze inną potęgę, inne bóstwo.

Kora, — symbol odradzania się życia z pozornej śmierci. Matka Demeter — pani życia na ziemi, tracąc Korę z oczu, biada i rozpacza:

Rzucasz mnie, — to ostatnie chwile
jako na ciebie patrzę żywą?!
— — — — — — — —

KORA.
Tajemnic tobie część uchylę:
Nie jestem ci ja matko ubogą;
bogate podziemne spichlerze:
z każdego owocu się bierze
nasienie i skrzętnie kryje;
tam przechowują się ziarna
a jak je przyniosę na świat,
to każde kwiatem odżyje
i owoców urodzi mnogo.

DEMETER.
Patrz! wszystkie pędy pomarnieją,
gdy nocą wichry powieją;
patrz, oto martwy konar drzew.

KORA.
Pamiętaj, matko wczesny siew.
Spieszno mi odejść, spieszno tam,
gdzie stróżką ziarn być mam

i zgarnąć wszystek płód.
Rzeczy tajemne tam się dzieją;
nie mogą się bezemnie stać.

DEMETER.

Opuszczasz mnie, mnie twoją mać! —
do serca podszedł chłód
już idziesz, biegniesz, spieszysz...
Marnieją moje letnie chudoby;
o bezlitośna, ty się cieszysz,
a mnie ostawiasz groby.

KORA.

Z tajemnic moich, matko znaj.
Jest inny tamten kraj,
kędy są wiecznotrwałe siły;
z tych coraz nowy rośnie pęd
i wzejdą i będą rodziły.
Tam wszelki żywot ma swój byt
i czeka, aż dlań błyśnie świt
i czeka, aż dlań przyjdzie czas;
zajaśnieć pełnią kras.

DEMETER.

A te zwarzone, kędyż legną;
imże w barłogu zimnym gnić?...

KORA.

Umierać musi, co ma żyć...

DEMETER.

Ty na śmierć wiedziesz twe służebne!
Poznaję miłość twą przeklętą
i moc i słowa twe wróżebne.

KORA.

My oto matko, zmartwychwstaniem
na wielkie siewu święto.

— — — — — — — — —

Z tajemnic moich, matko wiedz:
Gdy wszystko żywe musi ledz
pod ręką która znaczy kres;

śmierć tych, użyźnia nowe pędy
i życie nowe sieje wszędy.
Więc smutna, matko, tem rozstaniem
ale weselna tajemnicą,
szaty przyoblekłam godnie. —
Poniechaj żalu, niechaj łez.

DEMETER.

Obłędna, stamtąd nikt nie wraca;
Przysięgą zguby więzisz duszę.

KORA.

Gdy więzy śmierci skruszę
i zieleń pędów nowych rzucę
na niwy, łęgi, na zagony, —
o matko, Bogów godna praca!
sposobić każ lemiesze, brony...

DEMETER.

Śmierć biorąc żywa, spełniasz zbrodnię!

KORA.

Zaś w nieśmiertelnych wieńcu wrócę.

Kora jest właściwym symbolem Nocy 29. listopada.

Z plonów lata pozostały w jesieni ziarna zawierające zarodek życia. Rzucone mają być w ziemię...

„Umierać musi, co ma żyć“. —

— — — — — — — — — — — — —

Wieki i lata, co przyjdą
Żyć będą ziaren tych treścią.
Ziemia rodzić będzie,
Kędy siew padnie zdrowy.
Ludzi zbudzę, roześlę orędzie
na żywot, na żywot nowy!
Pokoleniom ostawię czyny,
po ojcach wielkich, wielkie wskrzeszę syny, —
kiedyś, — — będziecie wolni!
Co złego w was i co marne,
to jako plewy i ziele złe zgarnę;
co chwastu na waszej roli
i co szkodzi wam i co was boli,

to ukoję czasu przebiegiem.
Przejdziecie jeszcze niejedną nędzę
i niejedną przebolicie próbę.
A jeżeli lichego serca ludzie
w was samych gotują wam zgubę, —
ja ich powołam, — i jak plewo zmiotę!
I w ziarnach tu, — na dnie — przechowam cnotę!
Za czas znów wrócę — i jeszcze razy wiele
przyjdę — Wiosna, z gwiazdą na czele
i żywot dam, tlejący w zgliszcz popiele! —
A dzisiaj — kres — krwi przelanej nie zmarnię
Krwią pola i role użyźnię
i synów z krwi tej dam — kiedyś — Ojczyźnie.

Dusza Narodu, by się oczyścić i stać się jego prawdziwym Duchem, uczynić to może przez ofiarę.

Najlepsi, najczystsi synowie Ojczyzny, to owe ziarna, rzucane w ziemię. To nadzieja.

Zgodnem przeto z treścią dzieła zakończenie Nocy listopadowej jest łkanie modlitewne Łukasińskiego:

Witaj — Jutrzenko — swobody,
Za Tobą — zbawienia — słońce!

Droga Duszy.

Sierpień 1903 r.

Ile widm prześladujących jakąś jednostkę, tyle w nim ze świata walki o byt.

Widmo walki ludziom świat zacieśnia, a staje się mgłą świata wewnętrznego.

Widmo walki zmusza ludzi do martwego, kradzionego myślenia, rodzi mary błękitnych poronionych dusz.

Przez widmo walki wszelka miłość jest niewolą, wszelka praca ciężarem i bolem przymusu, a nie wolnym wyborem.

Przez widmo walki słowo jest tylko symbolem otchłani pomiędzy ludźmi, zaprzeczeniem jedności czucia pomiędzy nimi.

I niemożliwą jest rzeczą walczącym porozumieć się, bo milczeć się boją, a słowem zaciemniają coraz bardziej swe sprawy.

Kto żyje na podstawie walki o byt, nie jest w stanie oceniać ludzi według tego, czem być mogą w istocie i co przez swą istotę uczynić mogą.

Jest albo upiornym pessymistą, albo banalnym optymistą.

Pessymizm co do życia zewnętrznego oparty na optymizmie co do życia wewnętrznego w świecie walki nie jest znany.

Widmo walki o byt odbiera człowiekowi siły do walki ze sobą samym. Rodzi ono czasem bole i cierpienia, które wytwarzają pustkę wewnętrzną albo śmierć. Z życia; mądrość i siły można czerpać tylko z bolu, dobrowolnie przeciw sobie skierowanemu. Ból taki tępi pazury walki o byt.

Ból dobrowolnie przeciw „ja“ skierowany, rozwija w nas zdolność autoanalizy, która jest bardzo ważnym czynnikiem w rozwoju i skupieniu się wewnętrznem.

Słyszałem nieraz przestrogi przed autonalizą, jakoby ona wprowadzała we wnętrze tragizm, odbierający energię do życia i rozraniający niepotrzebnie duszę.

Autoanaliza oparta na ofierze chrześcijańskiej, nie odbiera energii do życia, ani duszy nie rozszarpuje. Jest ona raczej tajemniczem narzędziem, zapomocą którego wnikamy coraz głębiej w życie i siebie przemieniamy.

Tylko autoanaliza podjęta dla marnej ciekawości i zabawek własną lub obcą świadomością mści się srogo. Łatwo w nią popaść, gdyż nasze ja różniczkując się przez nią coraz więcej, podchwytuje ją w najszlachetniejszych naszych uczuciach i powolnie monopolizuje dla własnej poezyi i własnego tragizmu lub własnej wielkości. Kto n. p. czytał Zaratustrę Nitschego, ten mógł tam zauważyć skomplikowaną pracę autoanalizy, wyzyskiwaną w najpotężniejszych objawach duszy przez „ja zewnętrzne“. Tam na granicach walki pomiędzy „ja“ i „nie ja“ powolnie zwycięża pomimo wielkiej czystości ducha „ja“, ponieważ oparto się na autoanalizie nie wychodzącej poza siebie. Ja samo dla siebie zwycięża się, by jeszcze wyżej stanąć. Walka wewnętrzna tam

nie ustaje; ostatni etap przedśmiertny, to szaleństwo na zewnątrz. Kto chciałby zostać samotnym we wszechświecie, ten możeby to szaleństwo pojął. W tem był może tragizm, bo walczył samotny duch z szatanem rozumnej ślepoty.

Olbrzymią jest wartość społeczna autoanalizy zdrowej, t. j. opartej na ofierze chrześcijańskiej, gdyż rozwija ona realny idealizm, osłabiając bowiem egoizm, pozwala wcielać się Duchowi w życie.

Autoanaliza nie odbiera energii do życia; zachodzi tylko zmiana kierunku energii.

Człowiek wydaje się słabym, obojętnym, bo nie można dostrzedz, gdzie i w którą stronę energia płynie. Ludzie tacy tworzą społeczeństwo niewidzialne, na którem opiera się jego zewnętrzna strona. I w to niewidzialne społeczeństwo należy jak najwięcej energii przelewać.

Dlaczego ono niewidzialne, to łatwo do rozstrzygnięcia. My jesteśmy ślepi.

Od chwili, gdy uznajemy swą ślepotę, zyskujemy możność uleczenia jej. Nie rozważajmy tej prawdy ze strony moralizatorskiej, bo ona nas zawsze irytuje i niesmak w nas wzbudza. Traktujmy ją ze strony psychicznej, chociażby z tego względu, że to wypada więcej naukowo, więc mniej nas razi.

Wogóle dobrzeby było, gdyby przestano moralizować i poczęto szukać prawdy, gdyż według Chrystusa tylko prawda nas wyswobodzi.

I nawet ci, którym sprawy wiary i religii były wstrętne przez moralizatorski urzędowy sposób traktowania, zdobyli wiarę i modlitwę przez czyste pragnienie prawdy.

Jednak autoanaliza sięga tylko do pewnego stadyum wewnętrznego w nas samych. Przychodzi chwila, od której musimy w nas autoanalizę stłumiać. Jest to chwila, od której rozpoczyna się w nas nowy stan czucia.

Uczucie bowiem, jeśli można użyć takiego porównania, ma dwie strony: wewnętrzną i zewnętrzną. Zewnętrzna strona, to jest to, co nas boli, lub nam rozkosz sprawia: wewnętrzna, t. j. to,

co tkwi w uczuciu pod linią świadomości, a jest graniczne stanem nieokreślenia, który się objawia, jako tęsknota bezimienna.

Przez autoanalizę uświadamiamy w sobie ową dwoistość pozorną i przez ofiarę chrześcijańską, ścierając osobistą stronę uczucia, podnosimy ponad linię świadomości, czucie czyste, które jest znane jako czujność chrześcijańska — owoc ofiary.

To jest nowy sposób czucia.

Wtedy ustaje ślepota wewnętrzna, rozwija się coraz potężniej zmysł prawdy.

Są to już pierwsze kroki, które wychodzą poza autoanalizę.

Autoanaliza działa zgubnie na naszą własną wolę, o ile ona nie jest zgodna z prawdą. Dalej działanie autoanalizy ustaje, a budzi się w nas zgodność naszej woli z wolą Boga.

Czujność utrzymuje tę zgodność.

* *
*

Ta ścieżka uczuć istnieje utajona pomiędzy ludźmi; na odudziu trudniej ją odszukać. Może dlatego, że uczucia pomiędzy ludźmi najsilniej się budzą, a w samotności najszybciej cichną. Dlatego tylko pomiędzy ludźmi w życiu czy to prywatnem, czy publicznem, może się pełnia natury ludzkiej oczyścić i przemienić.

Dodam jeszcze, że ścieżki te uczuć podnoszą się tylko w samotności pomiędzy ludźmi.

Pomiędzy ludźmi są jeszcze olbrzymie bezkresy pustyń; potrzeba, by je zaludnili pustelnicy Ducha.

* *
*

Potrzeba być samotnym pośród ludzi i potrzeba cierpliwie znosić ich przykry wzrok, wdzierający się ciekawie w samotność.

Potrzeba ze spokojem i szacunkiem ich wzrok wzrokiem odpierać, chociaż to czasem wiele kosztuje.

Bolesna jest samotność pomiędzy ludźmi, boleśniejsza, niźli na odludziu.

Każdy wzrok rani samotnika, każdy głos mu ból zadaje, w każdym ruchu zamach na siebie czuje.

Samotność jednostki dokucza otoczeniu, bo porusza niewidzialnie jej sumienie z tej strony, która się czyści w samotnym, przez ból milczenia i odosobnienia; i dlatego samotność taka jest pełną piekła i szatańskich wrzasków.

Ale jakżeż zbliżyć się do ludzi, do ich zaświata, jeśli nie przez piekło samotności pośród nich?

Obraza otoczenia skompenzować się musi przez siły, które przez taką samotność zbiegają się z rozprószenia życiowego w jedno ognisko.

I gdzież się znajdą głębsze i czystsze źródła miłości do ludzi, jeżeli nie w samotności pośród nich?

Każdy wie, kto chociaż chwilkę był pomiędzy niemi samotnym, co musiał w sobie przyciszyć.

A właśnie to, co musiał przyciszyć, było mętem w źródłach prawdziwej do nich miłości.

Jeśli kto ucieka w samotność odludzia, niechaj się dobrze obliczy z ciężarem swej zewnętrzności; czy nie za duży?

Bo jeśli za duży, trafi się, że go nie zrzuci, lecz owszem, bardziej mu zapadnie nad utęsknioną świątynią.

Samotność odludzia nie jest dla tych, którzy jeszcze nie znają życia i ofiar w nim nie składali. Wewnętrzny stan kapłańtwa tylko w życiu może się rozwijać. Mądrość religijną najlepiej z życia poznawać, bo natenczas ona z duszy płynie.

Samotność odludnia to dla dojrzałych już kapłanów życia, którzy potrzebują przed jakimś ważnym czynem oddać się dłuższej modlitwie i silniejszemu skupieniu ducha.

Niczego się nie zdobywa i niczem się nie jest, jeśli się wysoko ponad ludźmi wzbija. Pogański indywidualizm.

Jest w tem tylko wiele pychy i wybujałości własnego „ja“ zewnętrznego.

Cenię tylko człowieka, który głęboko wstępuje w ludzi i tam w tych głębiach zakon tworzy.

Może go nawet nikt nie dojrzy, może o sobie sam zapomni w tych głębinach — ale to wiem, że odbywa pracę miłości.

I to jest chrześcijański indywidualizm; zaparcie się swej duszy dla jej zmartwychwstania.

Kto się duszy własnej dla Chrystusa zaprzeć nie chce, temu egoizm duszę pożera. Chrystus rzekł: „Kto miłuje duszę swoją, utraci ją, a kto nienawidzi duszy swojej na tym świecie, ku wiecznemu żywotowi strzeże jej".

* * *

Duch Chrystusowy, Łaska Jego Ofiary, nie przemieszkuje na samotnych odludziach, lecz na pustyniach wśród ludzi. Stąd go tylko czerpać można i to się objawia owym czystym i potężnym zdrojem miłości.

* * *

Tak długo trwa samotna wędrówka po pustyni wśród ludzi, dopóki nie wytryśnie ognisko rozprószonych sił.

Potem jesteś naczyniem Jego Woli i nic cię już nie wstrzyma przed czynem.

* * *

Wpierw jest ciche apostolstwo, potem jawne.

Jeśli nie otrzymasz woli jawnego apostolstwa, bądź dalej cichym; to nie jest podlejsze od tamtego.

* * *

Wierz mi, że niebo tylko po tych ścieżkach swe Anioły-Zwiastuny wysyła, i na tych ścieżkach ich dojrzysz — a chociażbyś był najcichszym apostołem, będziesz równie spokojnym przez spokój, jaki z twej duszy innym się udziela.

* * *

Wierz mi — jedna jest tylko organizacya szczęśliwa. Sieci jej są niewidzialne, a każdy cichy apostoł je zarzuca, i to jest jego coraz większą i świętszą zasługą.

Wierz mi, że jedne są tylko ścieżki do prawdy — te ciche i niewidzialne — ścieżki czystego serca.

Inne są bezdrożem, lub boczną odnogą, która później zanika.

* *
*

Wierzę — że człowiek może otrzymać moc tworzenia własnego życia.

A jednak bardzo wiele jest ludzi, którzy go nie tworzą. Tworzy je świat zewnętrzny. I mówią wtedy: życie nasze jest zawisłe od stosunków społecznych, t. j. od stosunków ekonomicznych i umysłowych.

Jakiś mędrzec wypowiedział zdanie, że człowiek może mieć moc tworzenia własnego bytu w nieskończoność, że moc owa nie ogranicza się do życia tu-ziemskiego.

Nie śmiejcie się z wiary prostaczka w życie pozagrobowe.

Nie śmiejcie się ze sceptyków, którzy niczego widzieć nie chcą i w nic nie wierzą.

Nie śmiejcie się ni z głupich, ni z mądrych, bo nie znacie, jaka jest kompenzata ich bytu, ani kompenzata waszego.

Nie wiecie, co czynicie przez swój śmiech lub przez swą złość dla siebie samych.

Zastanówcie się nad waszym śmiechem i waszą złością, a przekonacie się, że przez to sobie źle życzycie, i dla siebie zło tworzycie. (C. d. n.)



Przegląd prasy.

„Krytyka“ (za sierpień i wrzesień 1904).

„O St. Tarnowskim“ (Feldmana). Analiza postaci subtelna oparta na głębokiem odczuciu ducha wieszczów naszych. Dobrą byłaby, gdyby w niej odczuć można miłość do człowieka. Ten element chrześcijański należy wprowadzić w analizę, jeśli krytyk ma dotknąć duszy. — Bo nic łatwiejszego i bardziej kuszącego, niż nadużywanie prawdy, (gdy ją czuje się) dla starcia kogoś. — Wtedy mija się z życiowem przeznaczeniem prawdy. — Jeśli nie idzie w tym razie o Tarnowskiego to przynajmniej o zainicyowanie tego kierunku w krytyce.

Problem seksualny. Gdyby nie osobiste wycieczki w kierunku dualizmu i monizmu i wiary, artykuł przyniósłby może więcej korzyści. — Ważne ą wiadomości przyrodnicze w rozwiązaniu tego problemu jeżeli chodzi o teoretyczną stronę; w praktycznem zastosowaniu, nie propagowanie wiadomości przyrodniczych tę kwestyę rozwiązuje, ale raczej zdrowa atmosfera duchowa, która jest wytworem pracy nad samym sobą.

Dobrze jest zrozumieć proces naturalny — ale zrozumienie to nie uwalnia zupełnie od brudów. Otóż właśnie ta strona w artykule nie jest uwzględniona, co jest wynikiem zapatrywań autora, który sądzi, że człowiek jest z natury monistą. Tej kwestyi przecież nauki przyrodnicze jeszcze nie zbadały sumiennie.

Myśl Polska.

Pierwszy zeszyt w zasadniczej myśli niejasny; przebija się w nim jednak głębsza dążność. Pismo posiada wiele silnych cech indywidualizmu niechrześcijańskiego, który jest źródłem niejasności w zasadniczej myśli i dążeniu. Dlatego pierwszy zeszyt wywarł ujemne wrażenie nawet na ludzi życzliwych dla tego kierunku.

Zeszyt drugi: Wstępny artykuł, pisany w tonie nie powszechnym dzisiaj, uwydatnia lepiej dążność pisma — dążenie albo chęć przynajmniej zrozumienia tajemnic pełnej natury ludzkiej. Wiersz: „Szalony tan“ (bez względu na wartość literacką) zupełnie nie odpowiada charakterowi pisma. Pojawienie się jego zdradza, że duch pisma nie jest jeszcze jednolity.

Trzeci zeszyt to samo wykazuje, co poprzedni, a przytem zasadnicza myśl zupełnie w nim nie przebija się. Niezawodnie musi to mieć swoje głębsze przyczyny; — czy pismo płynie z życia i jest życiem poparte?

Czwarty zeszyt wnosi nowy element dodatni: zainteresowanie się ruchem duchowym w Europie. Poezye religijne i recenzye pism klerykalnych

nie są jeszcze dowodem tego, że pismo jakieś stało się klerykalnem. A to byłoby wyrokiem śmierci dla Myśli Polskiej.

Dotychczas właściwie tytuł pisma nie jest usprawiedliwiony.

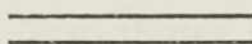
Przegląd Wszechpolski za sierpień 1904.

Ani doktryny, ani dogmaty same życia nie rozwiązują, ani też go nie zamykają. Tu nie rozstrzyga doktryna lub dogmat, ale wola człowieka Jeśli idzie o realizowanie idei w życiu, to zapewne musi się być w zgodzie z siłami życia, od których realizacya idei zależy. Kto zapiera się doktryn, ten kieruje się tylko czuciem, zapierając się swej woli, by ją czuciem dostroić do woli tych sił, od których życie idei zależy. W tych wypadkach zawsze na jaw wychodzi, kto był człowiekiem dobrej a kto złej woli.

„Polityka realna nie uznaje zasadniczo złych lub dobrych, właściwych lub niewłaściwych środków działania".

Zdanie to najlepiej objaśnia, którędy siły wewnętrzne życia narodowych demokratów wskutek puszczenia woli samopas zaprowadzą. Widocznie zbliża się już stanowcza walka w duszy narodu. Przychodzi chwila stanowczego rozstrzygnięcia losu Polski przez nią samą.

Albo za szatanem, albo za aniołami.



TREŚĆ: Idea i czyn. — Z życia. — Wawel. — G. Topór. — Odbudowanie Polski. — Po egzaltacyi i racyonaliźmie. — O Nocy listopadowej Wyspiańskiego. — Droga duszy. — Przegląd prasy.

Chwila obecna.

Z pytań jakie postawiliśmy sobie w poprzedniej części artykułu zatrzymamy się najpierw nad pytaniem co do przyjaciół i sprzymierzeńców w walce o wolność.

Najbardziej popularnym w tym względzie hasłem jest hasło solidarności narodowej, oprócz tego znamy mniej może popularne ale niemniej silnie propagowane hasła solidalności klasowych, stanowych, zawodowych i innych tym podobnych. Zauważyliśmy charakterystyczną cechę, że najgłośniej krzyczą o tych solidarnościach ci, co najmniej ich znaczenie odczuwają i rozumieją, a zarazem i najmniej skorzy są do jakichkolwiek ofiar na ich rzecz; bardzo też często daje się zauważyć, że frazesy o solidarności służą jedynie za etykietę dla pokrycia właściwych koteryjnych, partyjnych i osobistych celów.

Ale zostawmy ludzi złej woli, a zwróćmy się do tych, co nieraz bezkrytycznie w dobrej wierze przyjmują głoszone hasła solidarności.

Odpowiedzmy sobie najpierw na pytanie, czy solidarność zawodowa, klasowa, stanowa lub narodowa nakazuje solidaryzować się też z łotrami, znajdującymi się w danym zawodzie, w klasie, stanie lub narodzie? czy solidarność narodowa nakazuje łączyć się w pracy każdej ze wszystkimi złymi lub głupimi ludźmi w narodzie, a zabrania porozumiewać się i łączyć z uczciwymi i rozumnymi cudzoziemcami, dążącymi do tych samych co i my celów?

Słyszymy o różnych solidarnościach, — nie słyszymy tylko dziś hasła, że potrzebna jest solidarność ludzi dobrych i rozumnych dla zwalczenia zła i nieświadomości głupich, że potrzeba solidarności wszystkich pragnących iść naprzód do wolności i słońca przeciwko tym co wstecz życie ciągnąć usiłują, lubując się w zaduchu i ciemności.

Co do nas uznajemy potrzebę solidarności zarówno wszechludzkiej jak i narodowej ale tylko w tem ostatniem znaczeniu, a patryotyzm nakaże nam dążyć do tego, by zastęp dobrych

i rozumnych ludzi był w naszym narodzie najliczniejszy, by indywidualność a tem samem twórczość narodowa nasza dosięgła najwyższego stopnia rozwoju i tem samem najwięcej ludzkości dała. Dlatego właśnie usilnie starać się będziemy oświecać nieświadomych i zwalczać zło w narodzie, a w chwilach zwłaszcza stanowczych, gdy n. p. chodzić będzie o zdobycie wolności — pierwszego warunku do prawidłowego rozwoju i postępu, unikać będziemy jakichkolwiek kompromisów z głupimi a tembardziej złymi ludźmi, bo kompromis tylko obniżyć może nasze dążenia i czyn nasz, a tem samem zaszkodzić sprawie będącej własnością wszystkich, zarówno tych co widzą jak i tych co cierpią na ślepotę myśli lub serca.

Źródło niepowodzeń wolnościowych ruchów naszych w tem głównie upatrujemy, że kierownicy ruchów nie potrafili zdobyć się na odwagę zerwania wszelkich układów i kompromisów ze wstecznikami i tchórzami, że zamiast oprzeć się na niezepsutym jeszcze, żywiołowo pnącym się naprzód ludzie, wchodzili w układy z ludźmi małego ducha. — Uczmyż się z historyi i nie popełniajmy dawnych błędów.

A pilnować się trzeba, bo złe duchy czyhające na zagładę narodu usiłują za wszelką cenę sprowadzić nas na manowce, stawiając n. p. przed oczami przeszłość w tem oświetleniu, że to co jest tam najjaśniejszego — wiodącego na drogę życia ciemnemi usiłują pokryć barwami, a błędy dawne za wzory do naśladowania wystawiają. Złe te duchy usiłują między innemi wytrącić z naszych rąk jeden z najpiękniejszych i najpotężniejszych sztandarów narodowych na którym widnieje napis: „za wolność waszą i naszą“, a jednocześnie chcą w nas wmówić, że siła nasza jest w tchórzostwie, w zajęciu są rzeczami małemi, a przedewszystkiem w sobkostwie, egoizmie i zwyrodnieniu moralnem.

Dziś więcej niż kiedykolwiek potrzeba nam solidarności narodowej!

Dziś więcej niż kiedykolwiek wszystko co żyje jeszcze w narodzie, co nie spodlało, co potrafi jeszcze szerzej i dalej patrzeć, musi zapomnieć o różnicach w poglądach na takie lub inne środki

leczenia bolów społecznych, i łączyć się dla wspólnej walki o pierwszy warunek rozwoju — wolność.

Wszyscy, wyżej ceniący wolność i prawdę i sprawiedliwość, niż to nędzne życie w niewoli, powinni poczuć, że zbliża się chwila niezwykła, powinni na chwilę tę porzucić swe specyalności i połączyć się dla najbardziej stanowczej, najbardziej energicznej i konsekwentnej walki z wrogiem — najezdcą.

Stąd jasną jest rzeczą, że przy tem skupianiu sił narodowych, nie należy wchodzić w żadne kompromisy z żywiołami wstecznymi, tchórzliwymi i złymi w społeczeństwie, że tych żywiołów zasada solidarności narodowej nie powinna i nie może obejmować, bo nie są to części narodowego organizmu, ale chorobliwe na tym organiźmie narośle. A narośli tych jest dziś więcej, niż bywało kiedykolwiek, bo moskiewsko-pruskie bakcyle zakaziwszy całą Europę i w Polsce różne potworzyły choroby. Są między niemi i takie, co dają pozory zdrowia a w istocie do trzewi samych narodowego organizmu sięgają i tam szczepią moskiewsko-pruską zarazę.

Te są najzłośliwsze, ale i te dadzą się poznać we właściwem świetle w chwili czynu i walki o zdrowie i życie. — W chwili takiej wszystko co jest wstecznego, tchórzliwego i złego w narodzie sprzymierzy się w potępieniu tego co życiem jest, a najgorsi najgłośniej krzyczeć i szarpać się będą.

Ci wszyscy nie mogą być naszymi sprzymierzeńcami w walce, choćby operowali frazesami najbardziej patryotycznymi.

Istotnych za to sprzymierzeńców naród wierny hasłu „za wolność naszą i waszą“ znajdzie i po za swym domem — tam wszędzie, gdzie pragną wolności. — Dziś znajdzie ich wśród wszystkich ludów przez carat ujarzmionych.

Przechodzimy do dalszej kwestyi, do pytania, kto stanie u nas na czele walki, kto nią pokieruje? Odpowiedź na to prosta — najgodniejszy.

— A jak go poznać?

— On sam się pokaże, pokaże go życie.

*
* *

Co i jak do walki przygotować?

Trzeba wygnanemu Duchowi Narodowemu serce przygotować.

Bo tego ducha nie było w wielu usiłowaniach naszych — lub nie przyszedł on jak legion silny, by wznieść do czynu rękę olbrzyma ludu.

A jakżeż powróci dusza do narodu, jeśli jej ani pragniemy, ani wzywamy, ani zbroimy się w czystość świąteczną?

Chwila obecna niebezpieczna tem, że falą porwać nas może nim zmartwychwstaniemy — porwać na straszny taniec trupów. A za jedną chwilę kajania, jedna chwila łaski Bożej wybacza nam grzechy i czyni ludzi czystymi. A czystości nam trzeba. Nie wątpmy w moc i siłę wewnętrzną i jako naczelną podstawę czynu, który nas czeka, przyjmijmy c z y s t o ś ć i m o c w e w n ę t r z n ą.

Pocznijmy walkę ze złem, które w duszach naszych rozsiadło się i życie nasze plugawi. Bo niewola mści się strasznie na człowieku wolnym, toczy duszę, gubi! A czem mniej czasu do walki ze złem, z niewolą, tem silniejsi bądźmy.

Kto powrotu myśli naszej czystej pragnie i ducha, który nas ożywiał, ten już zdobył rzecz wielką w chwili obecnej, — jasnego patrzenia na wypadki. A tej jasności patrzenia trzeba nam bardzo, bo w chwilach ważnych, zrywają się różne moce do zmagania się. I złe w przeczuciu niebezpieczeństwa wytęża siły.

Niebezpieczną jest jeszcze chwila obecna tem, że wszystko widzimy tuż przed oczyma i szczegół może wyróść w kształt gigantyczny, a niepostrzeżoną zostać może wieża. Ludzie uważają, że dla pojęcia kształtu ogólnego trzeba oddalenia czasu. I tak też robią i potrafią z oddalenia odrysować kościół, ale do kościoła już wejść nie potrafią. Być w kościele, napełniać go swoją duszą mogą ci, którzy żyją w chwili.

My nie budujmy tylko historyi, ani czyńmy jedynie dla kształtu pięknego na to, aby ją kiedyś pochwalono, ale chciejmy wprowadzić Boga do tej świątyni.

* *
*

Kiedy wokół słyszymy trwożliwe i bezradne pytanie „co czynić“? — nadchodzi głos silny z serca Polski, Warszawy od serca narodu, ludu.

W Warszawie polała się krew: — Oby była ona tą iskrą która budzi w prochu siłę gromów.

Bo wszystkiem ona nie jest, odpowiedzi zupełnej nie daje, a tylko jako wielkie pragnienie wejścia na drogę polską, jako wielkie pragnienie ofiary i ofiara sama — jest potężną...

Rozpoczyna się to życie, które w dzień jeden zdolne zło zburzyć a dobru świątynię wystawić.

Rozpoczyna się to życie, które pokaże najgodniejszego.

Czyż nie rozpoczął lud warszawski, walcząc z caratem, walki i wewnątrz nas samych i wewnątrz społeczeństwa?

Czyż nie poczynają się w sercach budzić jasne przeczucia dróg i czyż nie oddziela się zło od dobra?

Warszawski lud wychodzi na plac Grzybowski i zakłada krwawy protest przeciw mobilizacyi, składa krwawe świadectwo, że on nie poddał się i potrafi dla sprawy wolności życie swe złożyć w ofierze...

I protestuje ten lud na wezwanie i pod przewodem partyi, która choć nosi tak straszną dla wielu nazwę socyalistycznej, choć ma zapewne swe braki i wady, daje w tej chwili dowód, że nie frazesami są wypisane na jej sztandarach hasła niepodległości narodowej i walki rewolucyjnej o wolność, że nie frazesem jest jej polskość.

Zaledwie stało się to — cała reakcya zjednoczyła się w jednym okrzyku trwogi i potępienia dla tych „socyalistów“, choć na Grzybowskim placu nie słyszeliśmy żadnego „socyalistycznego“ hasła. Stało się jednak coś więcej, coś smutniejszego niż potępienie, — odezwała się nietylko reakcya, ale dała znak życia pogrzebana już, zdawało się na zawsze, Targowica. Bo, czy od czasu Targowicy odważył się ktoś w Polsce wzywać przeciw polskim wolnościowym ruchom pomocy moskiewskiego rządu?*)

*) Patrz Nr. 541 „Słowa Polskiego“ z dnia 17. listopada, artykuł z podpisem „Komerski“.

Zło — partyjność, zło — potwarz, zło — kłamstwo... podały sobie dłonie...

Wszystko to jest więcej niż smutne, to straszne jest, ale wskazuje jak straszne są skutki niewoli, do czego niewola ta doprowadzić nas w dalszym ciągu może, jeżeli wyzwolenie z pod jarzma i wpływów najezdcy przewlekać się będzie.

Czyż nikt nie przejrzy?

Na szczęście pozostał nie spodlony lud, — robotnik polski, i polska część inteligencyi.

Wielu jest może jeszcze we śnie pogrążonych, wielu przez złe duchy usidlonych, ale proces budzenia się jednych a wyzwalania drugich już się rozpoczął i wciąż postępować będzie naprzód, aż do powszechnego zbudzenia się i wyzwolenia, a co za tem pójdzie — zwycięstwa.

Tymczasem słychać już głosy narodowego sumienia. I oto gdy „rozsądna" część krakowskiej młodzieży akademickiej potępia na wiecu dezercyę, robotnik schodnicki, ten krwawo pracujący na chleb robotnik, który niedawno popełnił „zbrodnię" strajku, — wzywa swych braci z pod zaboru rosyjskiego do opuszczenia carskich sztandarów i oświadcza, że szczęśliwym czuć się będzie, gdy ostatnim kawałkiem chleba będzie mógł z nimi podzielić się*).

Dzień zaś 13 listopada zaświadczył dobitnie, że i w partyi polskiej socyalistycznej szczerze polski kierunek bierze górę, a spodziewać się należy, że w miarę wzrostu rewolucyjnego ruchu — zapanuje on zupełnie.

* * *

Ale jak walczyć z wrogiem potężnym? Sądzimy, że najogólniejsza zasada, iż na wszystko należy być możliwie przygotowanym, nie cofać się w zasadzie przed niczem, mieć jak najwięcej dobrej woli, będzie najwłaściwszem dziś wskazaniem.

Do spraw tych zresztą wrócimy jeszcze nieraz.

---

*) Wiec robotników w sprawie dezerterów odbyty w Schodnicy przed niedawnym czasem. (*P. R.*)

S. M.

Ludzie przeznaczenia.

Niektóre chwile dzieciństwa wdzierają się dziwną siłą wspomnień w późniejsze życie. Tło tych wspomnień jest zwykle — jak się mówi — przesądne, nieuchwytne, niemal mistyczne.

Częstokroć z tych źródeł płyną późniejsze najskrytsze pragnienia, czasem marzenia najniebezpieczniejsze, przez swój indywidualizm zewnętrzny.

Każdy z tych wielkich ludzi, którzy zostawili po sobie pomniki — żywił takie dzieciństwo przez cały ciąg swego życia. Jest to jakby pamięć pierwszego przebłysku głębszego, ludzi tych przeznaczenia.

Są to zwykle najgłębsze tajemnice osobiste, które niemal przymusowo przed innymi się kryje, jakby z trwogi, by przez odkrycie ich nie zniszczyć, czy też nie oddalić swego przeznaczenia.

I mogą mieć duży wpływ owe wspomnienia na losy człowieka; mogą go zniszczyć moralnie — a mogą go wznieść wysoko czasem w niespodziewany sposób — co nadaje im wygląd jakby jakiejś niewidzialnej ręki, która człowieka przez życia prowadzi — zależnie od tego, na czem człowiek ów się oprze, czy zerwie jedność wewnętrzną życia, czy ją zachowa.

Rysy zewnętrzne psychy takiego człowieka — zdaje mi się — są zazwyczaj szlachetne, czasem zbyt oryginalne, a zawsze niemal oznaczone jakąś zagadkowością.

Człowiek taki — iż jest pod władzą jakiejś tajemnicy i że ową władzę w swych odruchach psychicznych zdradza — czyni wrażenie głębsze, trudniej ulegające zatarciu, a jednak niebardzo określone.

I wywiera on takie wrażenie swoim sposobem patrzenia, swoim wyrazem twarzy, swoimi niewieloma słowy.

A jeśli taki człowiek nie marzy, trwoży się zdradzieckich słów, by przez nie, nie wzbudzić różnic wyższości, czy obcej, czy

swojej. Skromność jego jest wybitnym rysem nieugiętości. Niezawodnie, skromność owa nie urzędowa - przymusowa, nie płaska i kompromisowa, jest pełna dobrowolnego cierpienia, które przez milczenie nieugiętość wyrabia.

Przez ową tajemniczość swego przeznaczenia, ludzie tacy są częstokroć zamyśleni, o oczy ich jakby na niewidzialne skierowane.

Takich ludzi jest wielu w życiu. Potrzeba mieć czujne oko i czucie serdeczne, by ich dojrzeć, bo nie słychać o nich prawie nic, ani w oczy się nie narzucają, owszem ich unikają. Jeśli kto z nich wyjdzie wielki to znaczy głośny, to bardzo rzadko. Ale ów wielki głośny, jest rzeczywiście prawdziwym — jawnym człowiekiem przeznaczenia. Zdaje mi się — do takich należał Napoleon I, Dziewica Orleańska, apostołowie narodów.

To byli ludzie jawni przeznaczenia.

Jednakowoż tych jest mało, i pojawiają się oni tylko w rzadkich wypadkach wielkich przełomów.

Oprócz nich są jeszcze ludzie cisi przeznaczenia. O tych historya prawie nic nie mówi, nic o nich nie wie.

Jest ich liczba wielka i są to ci, których Chrystus nazwał solą ziemi.

Są to ludzie wielcy milczenia, wodzowie, dziewice i apostołowie niewidzialni, bo cisi, a wielcy, bo narody z nich swą przyszłość czerpią.

Są oni wszędzie rozsiani i pomiędzy ludem wiejskim i miejskim, pomiędzy tymi, którzy nad ludem stoją i pomiędzy najwyższymi, — tylko im wyżej, tem ich coraz mniej.

W tych serce uderzać należy, a odezwie się serce narodu.

Nie do naczelników ruchu, nie do przełożonych rozmaitych zakonów wołać, bo ci wszyscy tego nie znoszą, iż śmie im kto rozkazy i ścieżki prostować.

Wołać do tych, którzy wołania tego w milczeniu oczekują.

Spodziewam się, że ich zachłanność ruchów współczesnych nie pożarła, nie pobudzają jej bowiem, gdyż są uznani za bezbarwnych. Najmniej bowiem mają ciała, którem się lubi karmić partyjność. Nie potrzeba im haseł, ani programów, bo po największej części ich nie rozumieją, gdyż są im obojętne przez

swą oschłość i przez brak tego, ku czemu ciąży ich tęsknota bezimienna.

Nie stworzą oni nigdy partyi, tej organizacyi cielesnej; a jeśli jeden z drugim się zejdzie, chociażby sobie nie byli zewnętrznie znani, oni są już swoi. Przez to się poznają, że jeden wobec drugiego nie czują ciężaru milczenia. To jest ich hasło obozowe, którego im żaden wróg wydrzeć nie potrafi.

Oni też zawsze wśród ludzi milczą, po największej części z wyrazem bolesnym na twarzy, a od czasu do czasu promyk radosny w ich oczach błyska. To hasła się krzyżują obozowe....

ŚWIATŁO.

Potrzeba dopiero wielkich, wstrząsających wypadków, by powszechnie, lub przynajmniej tu i ówdzie dawano świadectwo prawdzie.

Potrzeba takich wypadków i takich okoliczności, wobec których małostkowość bezwładnego pędu używania mogłaby zmaleć, osłabnąć w swym wpływie na ludzi do tego stopnia, by odważyli się przyznać do własnych tęsknot i łkań wzgardzonej dla interesu duszy.

Mija już okres owej niewoli, w której człowiek nawykł tylko pod prawem konieczności, pod prawem docisku budzić się i buntować przeciw ciemnościom życia i wstępować na wyższe jego poziomy.

Mija noc, a słońce wschodzące jednych, jeszcze śpiących, blaskiem swym poraża; i leniwie okiennice w swym domu zamykają.

A innych budzi, i ci radośnie, chociaż sen poranny jest pełen wykrętnego lenistwa — radośnie jednak powstają.

Oto „przestroga“ z dalekiego Wschodu — ludziom dobrej woli, a nieco zmęczonym i opanowanym przez bestyę interesu i władzy.

Czuwajcie, bo żyje Duch!

Oto przestroga już tylko, a niektórym jeszcze śmiertelny docisk i ciężka konieczność losu — aby dusza żyła.

To nie zachęta do rozszerzania zaborczych planów handlu i przemysłu.

Oby dostateczną była „przestroga"!

Czyż nie jest już czas ożywającej wewnętrznie wolności, której nie może dać w żaden sposób ni despotyczny, rząd ni konstytucyjny ni republikański?!

Ale dać może tylko dobra wola.

Dotychczas więc tylko „przestroga"; jeśli się okaże dostateczna ilość „sprawiedliwych — wolnych", ożyje Duch.

I ominiemy krwawych walk z przymusu niewoli.

* *
*

Czy dobrze jest patrzeć i nadsłuchiwać, azali nie krzyczą o wojnie europejskiej?

W kim ożył Duch, ten na inny pójdzie bój, może ostatni a zwycięski i bez krwi rozlewu.

Europa z tęsknotą oczekuje wojny, w której gromy — pociski i ognie strzały, nie zabijać będą narody, ale budzić.

* *
*

Tchórzem jest, kto boi się boju — a dzikim lub handlarzem na rynku opinii, kto cieszy się lub wyzyskuje senzacyjną stronę wojny.

W Europie dzisiejszej wiele jest tchórzów — a więcej jeszcze handlarzy na rynku opinii.

Albo z tchórzostwa, albo dla senzacyi nadsłuchujemy, czy nie grozi europejska wojna.

Europejska wojna być musi; a dobrze by wybuchła z ognia miłości i dobrej woli.

Nie nadsłuchujmy, ale usuwajmy wpierw z siebie tchórzostwo i senzacyę i interes, by przeciwstawić wojnie z niewoli, wojnę z dobrej woli.

Duch nie jest bierny, ale jest wierny, prawdziwy, a walczy.

Świat tęskni za wieczystym pokojem; politycy, filozofowie, filantropowie zjeżdżają się od czasu do czasu, by „zrobić“ — „umówić“ wieczysty pokój.

Wojny krwawej z niewoli nie zwycięży „zrobiony“ wieczysty pokój, tak jak nędz życia nie usunie zrobiona filantropia.

Na życie ma wpływ tylko twórczość, a ta płynie z wolnego Ducha.

Wojnę krwawą z niewoli może zwyciężyć tylko wojna bezkrwawa z wolnego Ducha.

A potrzeba, by powstała dostateczna ilość sprawiedliwych, bo ci tworzą pierwsze legiony Wiernego i Prawdziwego.

A za nimi pójdą ludzie dobrej woli.

Gdy nie okaże się dostateczna ilość sprawiedliwych, to dopiero chrzest krwawy ich wzbudzi, by poszli na bezkrwawy bój.

* * *

Wojna ta (na Wschodzie), to dla świata nowe „objawienie“ pisze R. Dmowski w artykule „Ex oriente lux“ (Przegląd Wszechpolski za wrzesień).

Oto uchwycił człowiek „przestrogę“ według miary właściwej; i cały artykuł z tego stanowiska rozsnuty.

Artykuł ten jest znamienny, bo zaczerpnięty z atmosfery japońskiej. Duch całego artykułu doskonale odpowiada owej „przestrodze“.

Życzę naszej prasie, by przejęła się głębokimi uwagami R. Dmowskiego i zabiła w sobie bestyę opinii i handlu senzacyą, a rozpoczęła wykuwać ścieżki do głębin wewnętrznych życia.

Bo jest „przestroga“ — aby dusza żyła.

Przychodzą więc czasy, w których wszystko, co stoi na opinii i nią żyje, upaść musi.

Gdyż, aby dusza żyła, opinia umrzeć musi.

Oto bój pierwszy prasy, walka przeciw bestyi opinii.

* * *

I inne są jeszcze twierdze, na których bestya się rozsiadła: bestya wiedzy, sztuki, władzy.

Żadna bestya sama nie ustąpi, a musi być zwyciężona i to nie bronią ze stali i ognia siarczanego, bo wszelka bestya życia duchem jest i duchem zwyciężona być musi.

Dotychczas żarła ludzkość bestya krwawej wojny z niewoli. bo Duch bezkrwawy nie stanął jeszcze do boju, bośmy duchem niewolnicy jeszcze go nie zapragnęli.

* *
*

Ludzie boją się dotykać spraw ducha, by niby nie zachorować na „obłęd mistyczny".

Dziwna obawa; nie wiedzą chyba o tem, że życie wytwarza zawsze równoważniki wewnętrzne.

Pocóż przemienność okresów: materyalizm-idealizm; równoważnik, wytworzony przez okres poprzedni miarkuje skrajności okresu następnego; kto nie był chory moralnie w poprzednim okresie, nie zachoruje na obłęd następnego.

Ludzie lubią budować furtki „naukowe" lub „praktyczne", któremi by mogli uciekać przed wezwaniem sumienia.

Taką furtką jest teorya obłędu mistycznego.

„Ostatnimi czasy sprowadzenie całej sprawy narodowej do interesów materyalnych tak weszło u nas w modę, że nawet ludzie, przywiązani do idealnego dobra narodu, ceniący je nadewszystko i względem na nie kierujący się w życiu, wstydzą się o niem mówić, bojąc się uchodzić za nietrzeźwych. Poziomy, krótkowzroczny materyalizm, niezdolny wznieść się do zrozumienia wartości czysto moralnych, uznany został za najwyższy wyraz mądrości politycznej". Słowa R. Dmowskiego, który zna głęboko bestyę materyalizmu i trafnie uchwycił jeden z jej licznych pazurów, szarpiących serce dzisiejszego pokolenia.

Pazur wstydu — a jest on straszny. Kto łamał się z wszelkimi przesądami i zwyciężał je praktyką życia codziennego, ten wie, że „wstyd" i „strach" to dwa najstraszniejsze pazury owej bestyi, karmionej „kradzieżą" wiedzy, sztuki i władzy.

Są więc rozmaite furtki moralne: furtki lenistwa, zarozumiałości, namiętności, a najbardziej przykre furtki wstydu i strachu.

Na nich ludzie zawsze się kaleczą.

I współczuję z tymi ludźmi całem sercem, bo ci są najbliżsi zwycięstwa, aczkolwiek uznani są za najsłabszych.

Ci ludzie żywią najwięcej tęsknoty ze wszystkich nieodrodzonych ieszcze.

Odwagi, bo prawie każdy przejść to musi.

Kto przygnębiony wstydem i strachem, ten widocznie już walczy, widocznie już bestyę wewnętrzną życia odczuwa.

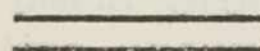
A straszny to potwór i każdy początkujący przerazić się musi.

* * *

Chrystus w ogrodzie oliwnym krwawym potem się oblewał; strach i trwoga gięły go ku ziemi, bo wszelka mara całego życia go opadła.

I zadrżał Syn Boży, a zasmuciła się dusza jego.

I zwątpił na krzyżu, a przecież świat zwyciężył.



WAWEL.

O dzwon królewski serce mi się ciska!
O gdyby w spiżu mogło wskrzesić gońce
Grzmiące piorunem w rdzawe trzęsawiska

dusz małej wiary! Gdyby krwią gorące
miliony serc tak w dzwonu spiż strzeliły,
niby komety ciskane o słońce! —

O znalibyście, co są wrzące siły
takich uderzeń, kiedy pokolenia
w wielki dzwon wieków swoje serce wpiły

bijąc najszczerszą prawdą swego rdzenia!
o znalibyście, że tam, bliżej nieba,
święty dzwon wieków sił i grań nie zmienia!

Ja wam nie kradnę nizinnego chleba,
ni ziemskim żniwom moja pieśń ubliży —
li do siejb waszych górnych dzwonów trzeba,

li rządom waszym trzeba praw z tych wyży! —
bo biada nędzy, co swój chleb rozwodni,
lecz biada wierze, co swój dzwon obniży!

Mdłe w nas jest serce, aż je wyż zapłodni,
dziewiczość białą wiodąc w słońc zamęście —
a przeto myśmy dziewiczością głodni

i mimo rozpust idziem w inne szczęście
nowej ojczyzny, budowanej z bieli
czy gwizdem miecza, czy w roboczym chrzęście.

A wyście tylko Wawel z brył pojęli!
O, gród swój śniony kujcie w lot z granitu,
lecz wtchnijcie Wawel, który śnią anieli

kołysząc wiekom święty dzwon wszechświtu!
Niech wszelką sztuką będzie gród pancerny
przeciwko ostrzom tablic i dzirytu,

i niechaj będzie jako spichrz niezmierny! —
lecz nie każdego spichrz sytością głodu
i sam li pancerz losom jest niewierny!

O byle w bramach wschodu i zachodu
Archanioł biały liczył czujną wagą
wszystko wchodzące w święty gród narodu!

O byle słońcu otwartością nagą
okazać można wszech rachunków księgi
żadną celnictwa niezmazane plagą!

Byle zegarem były jasne kręgi
dusz wyzwolonych a księgą przymierza
pęd ducha wolny tablic i przysięgi!

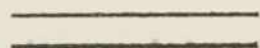
O nie pytajcie z czego wstanie wieża
na dzwon tym wiarom! jeszcze nowym światom
twórcza mgławica mleczny szlak rozszerza,

a każdy dźwiękiem pobratany atom
drgnie na głos dzwonu i w przezgodnym ruchu
świat nowy sprzęgnie nowym zórz szkarłatom.

O tylko uszom dodawajcie słuchu
na wielkie granie, bo ten świat, o braci,
mgławi się głodem w naszym własnym duchu,

by w was dojrzawszy wcielić się w postaci,
jaką tworzące wskaże mu wesele!
O myśmy duchem w nowy kształt bogaci:

bracia! jam Wawel i wyście Wawele!




KAZMIERZ
ODRZYWOLSKI
★ 4.III.1860 r. † 1.XI.1900 r.

U GROBOWCA.

Leży dolina cicha, góry strażują jej spokojne i mgły w niej płyną leniwe....

Na ziemi tej stanął mocarz-duch.

„O pięknaś ty ziemio moja i łaskiś pełna!

W Imię Boże przychodzę do Cię serdeczna!"

. . . .

Nachyliły się góry ku sobie i radzić poczęły:

„Czekałyśmy tego człowieka. Synem on naszym będzie i panem.... Jemu talent dajmy — a odda w dziesięcioro".

Zaszumiały góry borem i szept przeleciał: „Szczęść ci Boże!"

A Człowiek, jakgdyby hasła czekał, młotem w ziemię uderzył, aż otwarła mu łono — i skarby wydała.

. . . .

„Święty Boże! Święty mocny!

Czemuż wołasz mię ku sobie?! Ledwiem oto pracę rozpoczął, a wytrącasz mi z dłoni wzniesiony młot. Silne mam ręce i żar czuję w duszy i życia pragnę.

Nie ciężki mi krzyż od Ciebie dany.

Przebacz Panie ludziom, którzy mi ciernie kładli pod stopy, gdym strudzony szedł — i żółcią poili, gdym pragnął.

Nie karz ich za to, żem z wicią od Ciebie daną samotny biegł!

Nie daj by mi ręce omdlały i pieśń zwycięstwa zamarła na ustach gdy do największego wysiłku moce zbieram, — gdy lud chcę skrzyknąć!...

Bądź wola Twoja!....."

Milczenie trwało czas jakiś, a potem głos z góry rzekł: „Kamieniom mówić każę".

. . . .

Wędrowiec pod pomnikiem staje i czołem kornie bije o kamień.

„Tu wiodłeś mię — abym Cię ujrzał, Boże! Uleciał niepokój, który duszę mi targał i przez drogi błędne gnał....

Błogosławiona chwilo łaski.

Boski wiew czuję i duszą wsłuchuję się w dziewiczy głos, którym ten kamień woła do mnie:

— NOWE PRZYKAZANIE DAWAM WAM, ABYŚCIE SIĘ SPOŁECZNIE MIŁOWALI!"

Obchody.

Po ostatniem powstaniu 63 roku — mieliśmy czas, w którym nie mówiliśmy — choć czuli i myśleli. Potem nie czuliśmy, nie myśleli i nie mówili. — To był czas martwoty. Obudziła się z niej pierwsza — myśl. Myśleliśmy. Dziś się mówi. — Zwłaszcza w Galicyi.

W tych różnych czasach i w różnych zaborach różne znaczenie mogą mieć tak zwane obchody narodowe. W Galicyi w czasie, w którym się nie myślało, nie czuło i nie mówiło, mogły one rozbudzać uczucia. Były też świadczeniem — że przecież ktoś czuje, myśli i ma odwagę słowa. Wtedy gdy się czuło i myślało, nie były potrzebne — chyba wobec obcych — jako świadectwo.

Dziś gdy tak dużo mówimy — śpiewy, mowy piękne, lub samo stawianie pomników zamałem jest świadectwem życia narodu. Dziś całe życie powinno być obchodem religijnym i narodowym.

Czemże może i powinien być obchód? Modlitwą, postanowieniem, czynem.

Postawienie pomnika także może być czynem. Ale wtedy pomnik jest nietylko posągiem z kamienia lub spiżu. Jest on sam uczuciem każdego w narodzie. Jest on każdemu drogi, jest własnością i utworem każdej jednostki. Każdemu jest on codziennem przypomnieniem: „pomnikiem“ prawdziwym.

Jest on modlitwą w kamień zakutą. Istnienie jego musi mieć wpływ na życie.

Niedawno Lwów patrzył na dwie uroczystości: uroczystość Maryańską i odsłonięcie pomnika Mickiewicza.

Jubileusz Maryański nie był modlitwą. Jeśli się tam kto modlił, to prostaczkowie. Ich duszom może — ale tylko ich duszom uroczystość ta cośkolwiek przynieść mogła.

Nie było modlitwą odsłonięcie pomnika Mickiewicza. Było widowiskiem pięknem, wzruszającem, ale widowiskiem.

Każdy nieledwie punkt programu jego, był zaprzeczeniem sławom Mickiewicza o święcie narodowem:

„W uroczystościach waszych nie naśladujcie bałwochwalców“...

„Wy zaś obchodźcie święta wasze narodowe, — Święto Powstania, i Święto Grochowskie, i Święto Wawru, obchodźcie obyczajem przodków waszych, idąc z rana do Kościoła i poszcząc dzień cały“.

„A pieniądze, oszczędzone dnia tego od gęby waszej, dajcie Starszym na karmienie matki Ojczyzny. A takiego obchodu ani urząd żaden nie zabroni, ani potrzeba na taki obchód najmować domy wielkie i schodzić się gromadnie na rynkach“.

Czyżmy właśnie chcąc Jego uczcić, nie naśladowali bałwochwalców?

Gorzej, czyż my nie tej właśnie formy obchodu użyli dla Jego czci, której używamy, czcąc bałwany?

Nie tylko bowiem w święta narodowe ubieramy miasto tak jak w dzień święta Królowej Polski i w dzień obchodu Polski Wieszcza.....

Podobnie witamy pana, nie swego — a nawet jego ministrów.

A wszak nawet pachołek przechodzący ze służby jednego pana do drugiego zmienia barwy liberyi.

Że życie naszego społeczeństwa nie jest pomnikiem Mickiewiczowi dziś — to wszyscy wiemy.

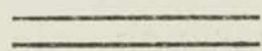
Ale jeżeli sposób uczczenia Go sprzeciwia się istotnej Jego czci, co w nim czcimy?

Czyż nie formę tylko, w jakiej się przejawił ten duch wielki, czyż nie narzędzie jego tylko, geniusz zdolności?

Czy też może czcią tą powierzchowną, chcemy w sobie zabić głos, co nam mówi, że inna Mu cześć się należy?

Kto widział dwa te obchody, Maryański i Mickiewicza, kto czuje, czem być winny, a widzi, czem są, temu łatwo zwątpić i spytać:

„Zali lud ten kłania się Bogu swemu i swemu prorokowi' czy też bałwanom tylko, co mają podobne im oblicze, a wewnątrz z gliny są i prochu?“



Droga Duszy.

Istnieje jakiś dziwny związek pomiędzy wnętrzem naszem a życiem. Związek ten najlepiej nam się ujawnia, gdy ze sobą walczymy. Dlatego olbrzymiej wagi jest poznawanie siebie samego, bo przez to samo poznaje się życie i ma się możność zwyciężać wszelkie jego przeciwności.

Człowiek bowiem jest przedziwną istotą. W kierunku poznania tajemnic tej istoty nauka współczesna, prawie że nic nie uczyniła; pomimo, że anatomicznie poznała jego organizm do najdrobniejszych włókien i żyłek, pomimo, że przeanalizowała jego umysł aż do granicy odruchów podświadomych, nie zna jednakowoż jego organizmu fizycznego, ani umysłowego. Praktyka to stwierdza najlepiej. Jakie jest zastosowanie wiedzy antropologicznej społeczne? Ktoby chciał na niej oprzeć poznanie swego stosunku w każdej chwili do społeczeństwa, tenby smutno na tem wyszedł. Każda wiedza tylko o tyle może mieć jakąkolwiek wartość, o ile daje człowiekowi poznać ukryte w nim potęgi i o ile wskazuje mu, jak ma je w sobie wzbudzić.

Cóż mi po całych stosach książek, po olbrzymich gmachach naukowych, jeśli one tego nie czynią, a owszem zabijają w człowieku jego naturę. Cóż mi po sztuce, jeśli ona zamiast budzić duszę, pożera ją przez obłudę swego rodzaju, ukrytą gdzieś w otchłaniach swego serca.

Cóż mi po tem wszystkiem, kiedy zdażyć się może, że jakiś człowiek, wzbudziwszy w sobie nieznane dotychczas, bo ukryte w duszy potęgi, zyskuje wnet wiedzę, piękno i moc, wobec

której nasza wiedza, piękno i moc są raczej głupotą, brudem i chorobą woli.

* * *

Nieszczęśliwą chorobą naszych wieków jest to, że uparcie rozdziela się życie wewnętrzne człowieka na objawy wchodzące pod zakres etyki i objawy stojące poza tym zakresem. Jest to nadzwyczaj zgubna dwoistość, na którą chorują i nasi moniści (wyznający jedność natury ludzkiej w przeciwstawieniu do dualizmu — dusza i ciało). Oczywista stąd wynika rozdźwięk pomiędzy wiedzą, sztuką a życiem.

A zbliża się już czas, w którym jeśli niektórzy upornie będą się trzymać tej dwoistości, upornie będą swą duszę mordować.

* * *

Dlaczego taki rozdział życia wewnętrznego jest chorobą, to nie trudno rozstrzygnąć, jeśli się rozważy sprawę ze strony psychicznej.

Zajmowanie się wiedzą naszą nie przyczynia się do rozwoju wewnętrznego, bo jest ona martwą.

Naszą wiedzą zajmować się może każdy człowiek, mający cechy maszyny do myślenia. Można całe życie nią się zajmować, nie postąpiwszy ani na krok co do rozwoju swojej natury.

Motyw takiej wiedzy ukrytej w głębinach życia jest „odciągnąć ludzkość od duszy, by przez to zamarła".

* * *

Przyszedł czas, w którym zrozumiano, że ludzkość sprzeciwia się temu rozdwojeniu; wymyślono więc teoryę względności prawd moralnych polegającą na rozwoju człowieka.

Teorya bardzo wygodna, bo oszańcowała tylko dawne stanowisko nauki i sztuki. Rozdwojenie o tyle się zmieniło, że właściwie etyka zupełnie upadła, a została tylko t. zw. nauka i sztuka.

I rosną pisma peryodyczne, dzieła i t. p. propagujące odrodzenie ludzkości przez naukę i sztukę.

Kto usiłuje prawem doskonalenia nietylko osobistego, ale i społecznego, chrześcijaństwo realizować ten według teoryi naukowych i praktycznych i przepisów urzędowego formularza jest obłąkanym!

I to się mści na naszej woli!

Chrystyanizm nie należy do kategoryi przekonań codziennych o wartości monety obiegowej. Takie traktowanie spraw Ducha św. jest zachowaniem się gawiedzi obok poważnej budowli zabawi się, napatrzy się, nawydziwia, nawykrzywia i odejdzie bezduszna.

Ale nadchodzi czas, w którym ludzie gorliwie będą w sobie pracować nad rozwiązaniem tajemniczości życia. Podnosi się bowiem coś wewnątrz życia, co ludziom już więcej spać nie pozwoli. Kto dziś nieprze się wyżej wewnętrznie, by być gotowym do czynu, ten jawnie skłania się ku złej woli, bo nieruchomym dzisiaj być trudno.

Nadchodzi epoka, w której jawnie trzeba będzie wyznać — albo miłość — albo nienawiść. Letnią wodę życie z ust wypluje.

* *
*

Ludzie będą coraz więcej oczy wewnętrznie odmykać i coraz więcej będzie ich własna niemoc ściskać, że widzą nędzę i drogę do Królestwa Bożego, a nie mają mocy światu pomódz.

Przyjdzie na nich straszny ból zwątpienia, podobny do bolu Chrystusa na krzyżu, gdy wołał „Ojcze, czemuś mię opuścił“!

Nieraz wykrzykną wtedy uczuciem podobnem jakie w tych słowach Słowackiego tkwi:

O gwiazdy zimne! o świata szatany,
Wasze mię wreszcie niedowiarstwo zwali,
Już prawie jestem człowiek obłąkany.
Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje
A to się pali tylko serce moje!...
— — — — — — — — — —

Taki ból niemocy i zwątpienia wyprzedzi moc naszą i pewność jasną.

Każdy z nas poczuje wpierw na sobie cały wewnętrzny a straszny ciężar życia, ciężar losów swego narodu, poczuje na swem sercu szpony tej bestyi apokaliptycznej, którą św. Jan zapowiedział światu... i wtedy dopiero zrozumie pełnem sercem, co to jest miłość chrześcijańska ; i wtedy dopiero za nią zatęskni, o nią przed Bogiem w prochu pokuty tarzać się będzie tak długo — dopóki serce nią się nie rozpali.

I wtedy wstąpi w szeregi gotującego się wojska, którego duchem, rycerz „Słowo Boże“.

A potem „pierwsze zmartwychwstanie“ — ale jeszcze nie koniec.

S. M.

Z PRASY.

Reforma szkolna Tom I. Przemawiają w tem piśmie ludzie dobrej woli — prawdziwie postępowi, bez ukrytych na dnie serca programów jakieiś partyi. Motywa osobiste, partyjne w piśmie tem nie istnieją. Jest tam i czyste uczucie i jasny a nieraz bardzo głęboki sąd.

Nie chodzi tu o zwykłą pochwałę, ale radosny oddźwięk, współczucie z duszą. I każdy kto ma dobrą wolę, powinien cegiełką swej pracy nowy a zdrowy objaw duszy polskiej poprzeć.

Reforma szkolna podnosi się poza wszelkiemi partyami, a przytem czuć w niej ducha szczerze polskiego, wolnego od szowinizmu, antagonizmu klasowego, klerykalizmu, zacietrzewiania się naukowego (pozytywizmu). Czuć w niej prawdziwą miłość prawdy i dążenia do zrealizowania jej. Duch pisma tego przynajmniej w pierwszym tomie, jest naturalnie jednolity, co jest najlepszem świadectwem, że dusza w niem przemawia. Dlatego

czuwa nawet boleśnie, że wewnętrzny ciężar życia najbardziej dziś cięży na księżach. Objaw ten jest w ścisłym związku z dzisiejszym rozdźwiękiem pomiędzy Kościołem urzędowym a klasą inteligentną. Rozdźwięk ten, jak uczy doświadczenie, jest przy dzisiejszym stanie życia nieunikniony nawet pomiędzy ludźmi najlepszej woli i największej miłości, a pomiędzy Kościołem urzędowym.

Podobne pismo jak „Dla swoich“ z tego stanowiska należy oceniać, a nie ze stanowiska zimnego: „to przecież ich obowiązek“ — bo zresztą każdy ma obowiązek być apostołem Chrystusa.

Zapewne wielkie były trudności wewnętrzne do wystąpienia tego pisma, i nie dziw, że 3 lata wahano się nad tym krokiem; chodziło tu bowiem poważnie o spełnienie Woli Bożej bez względu na zwierzchność, czy obcą, czy własną. Duch całego pisma o tem mówi. Pismo jawnie wypowiada walkę chrześcijańską przeciw ugodzie i klerykalizmowi i stawia hasło zupełnie niezależne (poza swą władzą w wierze chrześcijańskiej) „pro Christo, et Polonia“ i jak się dalej okaże, „Polonia“ nie jest dodatkowym półśrodkiem czemś w rodzaju demonstracyi, by poprzeć interes „klerykalny“.

W tem właśnie wielka waga, że protest „przeciwugodowy“ i „przeciwklerykalny“ wychodzi z łona kleru samego. Oto jest chrześcijańskie otrząsanie się z grzechu i to pierwszy czyn.

Społeczeństwo oczekuje tego jak zbawienia, bo to znak, że stanowczo wstępujemy w nową epokę; a wielkie to wzmocnienie dla tych, którzy choć dobrej woli, a zwątpili.

Pojawia się w tem pismie dążność do stworzenia zupełnie nowego typu kapłana. Potępia ono stanowczo kapłana, „który gotów nawet przyłożyć rękę do zagłady swego narodu, byle przez to rozszerzyć panowanie Kościoła“; w podobnej zasadzie tkwi istotna idea klerykalizmu. Również znachodzi tu potępienie typ martwy kapłana „fałszywego mistyka“, który słabość swego charakteru przykrywa pozorem „szukajcie przedewszystkiem królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego“; jest to

dla nich tylko pozorem, bo wykonywują formy, ale Królestwa Bożego nie szukają.

Nowy typ kapłana, którzy dopiero przez ogień życia się wytworzy, to „kapłan — obywatel“ wyzwolony z „klerykalizmu“ odrodzony przez stopienie się z życiem społecznem, a utrzymujący ciągle wewnętrzną jedność Kościoła. Najważniejszym elementem nowym, który ma odrodzić kapłaństwo jest prawdziwa miłość Ojczyzny. Właśnie przez ten element kapłanie staną się dopiero prawdziwymi chrześcijanami i apostołami.

Co więcej w pismie tem żyje Duch prawdziwie polski, który odczuł swą przeszłość i swoje przeznaczenie dziejowe. Oto słowa jasno i dobitnie określające wzajemne stanowisko Kościoła i Polski:

„A więc najpierw uznać musimy, że Kościół i Polska stanowią jedną nierozerwalną całość. Przez Kościół dla Polski, przez Polskę dla Kościoła, oto zasada niewzruszona, obowiązująca każdego świadomego i prawego katolika-Polaka. To nie jakaś mniej lub bardziej zręcznie skonstruowana doktryna — nie, to prawda tak odwieczna, jak odwiecznem jest prawo Boże, to cała głębia naszych najpodnioślejszych uczuć, to najcenniejsze dziedzictwo nasze po wielkich naszych przodkach, bo jak mówi Krasiński: „to tylko prawdą dla narodu być może, co wypływa z jego historyi“. W historyi żadnego narodu Kościół nie wrósł tak silnie w ciało i w ducha narodu jak u nas; a na odwrót nigdzie żaden naród tak się nie zespolił ze swoim Kościołem w dobrej czy w złej doli, jak nasz polski. Historya żadnego narodu nie przekazała potomnym takich pomnikowych wzorów jak Skarga i Kordecki“. Chodzi mi o to uczucie, jakie w tych słowach i dalej się przejawia. Mówiono, że myśl religijna nurtuje w duszy kleru coraz głębiej i dosięga już do tych głębi, gdzie religia i życie stanowią jedną nierozerwalną całość. O tem świadczy to pismo – da Bóg, niezadługo czyny wielkie poświadczą.

Duch kasty otrzymuje w tem pismie odprawę; podnosi ono hasło pierwszych apostołów: „raczej Bogu jak ludziom służyć należy“ i te ich własne słowa o tem świadczą: „pamiętajmy,

iż nie biskup, ani rząd moskiewski jest naszym panem i sędzią, ale Bóg i społeczeństwo“ — a nie są to tylko słowa, bo i biskup, jeśli przeniewierczy, znachodzi u niższych nieposłuszeństwo i protest publiczny (Popiel), a co do rządu, już biskup Zwierowicz dał świadectwo prawdzie i kler przygotowuje się do otwartej kampanii na całej linii.

Duch więc kastowy — partyjny — upada, a jeśli nie odrazu odejdzie, to nic dziwnego, bo zależne to będzie od pewnej sumy ofiar i wysiłków w ogniu życia złożonych. W każdym razie hasło przeciw tej bestyi podniesiono pośród kleru polskiego.

Pismo wad i grzechów kleru nie ukrywa, pod pozorem, jakoby taka otwartość mogła zachwiać wiarę w społeczeństwie (argument dziwnie brzydki i przykry).

Pismo zdaje sobie sprawę z przepaści, jaka powstała pomiędzy społeczeństwem, zwłaszcza oświeconem a klerem i wie, jak temu radzić — dobrowolną reakcyą przeciw własnym grzechom. Oto przykład chrześcijański dla innych gałęzi Kościoła zarażonych również kastowością — partyjnością.

Bardzo ważne kwestye podniesiono co do kształcenia kleru, które dziś polega na wtłaczaniu pewnej ilości wiedzy teologicznej i liturgicznej i na martwem podawaniu do naśladowania wzorów przeżytych. Kapłani nie mają społecznego wychowania, a często zmysł społeczny przez wychowanie takie, jak teraz otrzymują, zupełnie się w nich zatraca. Pismo to ma znaczenie nie tylko dla zakordowanych, bo i u nas niwa ta zachwaszczona. A zdaje nam się, że teologia jednostronnie przyjęta na dawne ciało znieprawia człowieka, bo wtedy ciągle człowiek przebywa w stanie ustawicznych sprzeczności moralnych.

Słusznie też .dzisiaj zarzucają wielu księżom hypokryzyę. Najlepiej stan kleru w ten sposób wychowywanego zdradza się w ucisku np. pod zaborem rosyjskim. Pismo „Dla swoich“ wiele bardzo smutnych przykładów podaje. Powinni pamiętać o tem ci, którzy mają zostać księżmi, bo od nich zależy reforma.

Jeden jest rozdźwięk w tem pismie tu i owdzie się wciskający. Jest to antysemityzm, który już tradycyjnie trzyma się chrześcijan — a wierzymy, że nie jest dobrą cechą. Traktując

sprawę żydów ze stanowiska św. Pawła (z listu do Rzymian), czujemy, że stanowisko żydów w społeczeństwie jest więcej od nas, niż od nich zawisłe.

Wiemy, jakie zło przez nich nas atakuje, ale czujemy, że postępowanie nasze wobec nich stanowczo musi się zmienić, co wpierw zawisło od stopnia przejęcia się duchem Chrystusowym.

Druga sprawa, to stanowisko wobec wrogich chrześcijaństwu ruchów społecznych n. p. socyalizmu.

Życzymy temu pismo, by nie zeszło na tory partyjnej walki.

Rezolucya

uchwalona jednogłośnie na wiecu Polskiej Akademickiej Młodzieży Postępowej, który odbył się dnia 29. listopada b. r., w sprawie ostatnich zajść w rosyjskim zaborze:

Gdy od czasu wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej wytworzyła się sytuacya i zaszły wypadki, wobec których każdy Polak musi zastanowić się głębiej nad pytaniem — co robić? — gdy wiele głosów opinii publicznej mogłyby świadczyć o znacznym zaniku narodowego sumienia i myśli rewolucyjnej w Polsce, —

postępowa akademicka młodzież polska we Lwowie, zebrawszy się w dniu 29. listopada na wiec, wyraża swą niezłomną wiarę, że:

1) Sprawa niepodległości Polski sama w sobie i jako najważniejszy dziś etap na drodze walki człowieka o ludzkie prawa dla wszystkich musi być zawsze pierwszym postulatem życiowym polskiego społeczeństwa;

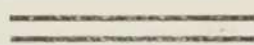
2) Sprawa niepodległości Polski w chwili obecnej staje się szczególnie i coraz bardziej żywotną;

3) Do niepodległości narodowej nie chcemy iść i nie dojdziemy ani drogą poniżających paktów z carskim rządem, ani przez naśladowanie wroga, ani wreszcie drogą sklepikarskich obliczeń, ale przez jasny i konkretny czyn rewolucyjny, który jedynie zdolny jest w tym wypadku do celu doprowadzić, a zarazem zmyć hańbę niewoli;

4) Najnowsze objawy walki z rządem w zaborze rosyjskim, a w szczególności krwawa demonstracya warszawska z dn. 13. listopada b. r. świadczą, że sumienie narodowe, myśl rewolucyjna

i gotowość do ofiary żyją jeszcze w Polsce, a więc że żyje i sprawa wolności;

5) Wszyscy Polacy, dla których sprawa wolności nie jest frazesem, a którzy ożywieni są rewolucyjnym duchem, winni w tej chwili bez względu na różnice partyjne połączyć się dla wspólnej walki z wrogiem-najeźdcą bez kompromisów z reakcyjnymi i ślamazarnymi żywiołami w swem społeczeństwie, a w stosunku do innych narodowości przez carat ujarzmionych winni pozostać wierni zasadzie łączności z tymi, co chcą być wolni i iść naprzód pod hasłem „za wolność waszą i naszą“.





„Przez rozwarte dziejów pole
„Duch nas pędził w wyższą dolę.
„Ku tej Polsce — która będzie“.

Konstytucya 3. Maja 1791.

Konstytucya 3 Maja to wielka dziejowa chwila pierwszego błysku, odradzania się narodu, pierwszego wydobywania się z zestarzałej długowiecznej niemocy; wyzbywania się wad, a raczej grzechów narodowych. Grzechem głównym, śmiertelnym, narodu polskiego było uprzywilejowanie stanu szlacheckiego wolnością i prawem do niej — z biegiem lat. Na chwałę jednak narodu polskiego przypomnieć trzeba, że także czysto polskim sposobem przyszła naprawa winy.

W innych krajach (Francya), tylko przez rewolucyę krwawą z dołu, prawo człowieka uzyskiwano, u nas, wcześniej przychodzi naprawa w odmienny sposób. Obdarzeni przywilejami zrzekają się i dzielą się prawami z tymi, którzy nie mieli ich. W tem przebija się już słoneczna myśl polska.

Myśl ta, która jako złota nić przewijała się przez całą tkaninę dziejów naszych. Nikła pozornie, przykryta błędów osłoną, znów na wierzch się wydobywała po latach, a nieraz po wiekach. Mimo zaćmień i zastojów Duch Narodu pracował nieustannie w głębinach swoich i wykuwał kształt swój przyszły.

— Rzućmy okiem wstecz. W zaraniu dziejów Polska przyjmując wiarę z Zachodu, bierze na siebie posłannictwo obrony Krzyża; odrazu idea Chrystusowa głęboko wnika w duszę narodu.

— Jako złowroga Polsce moc występuje duch germański. Zakon krzyżacki sprowadzony przez księcia Mazowieckiego Konrada występuje zaborczo i coraz to więcej ziem podbija. Miasta polskie wyludnione przez Tatarów kolonizowane są Niemcami. A jednak pomimo niemczyzny pomimo rozdrobienia

dzielnicowego, za Władysława Łokietka nastaje pierwsze odrodzenie się Polski. Naród rozbity spaja się, zrasta; rośnie w potęgę. — Łokietek pobija przeniewierczy Zakon krzyżacki pod Płowcami Przemówienie Łokietka do rycerstwa polskiego przed wojną, ilustrujące wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy, przytaczamy:

»Mamy siła naprzód przed nieprzyjacioły, bo oni co czynią, czynią z łakomstwa, posiadając cudze krainy, a my czynimy o swą krzywdę, nie z chuci, albo z pychy jakiej, jeno poniewoli widząc przed sobą ojczyznę spaloną i te ognie, które jeszcze wszędzie kurzą, żony, dzieci w łańcuchach płaczą, narzekając. A jeżeliby was trwożyło, że nieprzyjaciel ma lud wielki, tedy nic to nie jest, zwłaszcza kto wie, że w tej mierze więcej trzeba sprawy dobrej a śmiałości, która za łaską Bożą w was jest, a niż wielkości wojska«...

Panowanie Kazimierza Wielkiego, króla chłopów i wiślickiego prawodawcy, obfituje też w przejawy myśli polskiej. A cudna postać wnuki Kazimierza Jadwigi, której ofiara z osobistych uczuć uczyniona dla dobra narodu błogosławione przyniosła owoce — to też wcielenie myśli narodowej.

Za Jagiełły wielki pogrom krzyżacki Grunwald. Nie chęć rozlewu krwi, nie żądza zgnębienia Zakonu teutońskiego, ale sprawiedliwa i chrześcijańska myśl przewodniczyła rycerstwu naszemu i królowi.

I zwyciężyła prawda. W trzy lata po Grunwaldzie, spisanym został na zjeździe w Horodle wiekopomny akt, którego treścią jest zaprzysiężenie wieczystego braterstwa pomiędzy rycerstwem Polski i bojarami litewskimi. Akt ten rozpoczyna się słowami : »W imię Pańskie Amen. Ku wieczystej pamięci. Nie doznać nikomu łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość...«

Za Kazimierza Jagiellończyka ludność Pomorza i Prus wypowiada posłuszeństwo Krzyżakom i pod opiekę Polski się oddaje. Zakon upokorzony straszliwie.

Za Zygmunta Starego Krzyżacy przestają istnieć jako Zakon, przyszedłszy na luterską wiarę. Dawny mistrz krzyżacki przyjmuje tytuł księcia pruskiego i składa na klęczkach hołd królowi Zygmuntowi na Rynku w Krakowie.

Za Zygmunta Augusta przyłączają się Inflanty i dokonywa się zjednoczenie Litwy z Polską w Lublinie.

Godłem Unii »Równi z równymi, wolni z wolnymi«.

Stefan Batory pokonawszy cara Iwana Grożnego, z pod Pskowa posuwa się w głąb Rosyi; wysłannicy Iwana Groźnego na kolanach proszą króla o pokój. Łudzą Rzym obietnicą przejścia na łono kościoła katolickiego. Król Stefan zawiera pokój na życzenie papieża choć dobrze wie, że carskie obietnice »to posągi z lodu, których przejrzystość na słońcu topnieje".

Za Zygmunta Wazy rozbrzmiewają natchnione słowa Skargi nawołującego do poprawy.

Przychodzą czasy inkursyi szwedzkiej i gdy naród cały ugina szyi pod obce jarzmo — cudowna obrona Częstochowy budzi ducha i zapala miłość Ojczyzny na nowo w sercach Polaków.

Do króla polskiego Jana III. szle cesarz niemiecki i papież błagalną prośbę o ratunek — »Królu! ratuj Wiedeń« »Ratuj chrześcijaństwo!« I król polski odpędza Turków z pod Wiednia, pobija ich, sztandary na Turkach zdobyte składa u stóp Ojca Świętego.

W dalszym toku dziejów widzimy, jak ci, co u stóp naszych klęczeli błagając Polskę o pomoc i zmiłowanie, jak właśnie ci, rozszarpują ziemię naszą — ćwiartują żywy naród.

Przychodzi pierwszy rozbiór Polski. Naród, którego duch bohaterski w letargu leży, sam na siebie wyrok podpisuje. Daremnie Rejtan w Sejmie głos protestu podnosi, Sejm zatwierdza rozbiór. Ale Duch Narodu w tem strasznem pohańbieniu znów zaczyna się dźwigać.

Komisya Edukacyjna pracuje nad podniesieniem oświaty.

Wyrasta pokolenie Sejmu Czteroletniego, z którego wyłania się Konstytucya 3-go Maja, będąca na owe czasy czemś niesłychanem, budzącem podziw całego świata. Król Stanisław August, manekin bez woli i bez uczciwości, zaprzysiągłszy na Ewangelię stać wiernie przy Konstytucyi, już w roku następnym odstępuje jej i przechodzi do wrogiego obozu Targowiczan.

Nastaje drugi rozbiór. Potem powstanie Kościuszki, gdzie lud polski pierwszy raz poczuł się obywatelem w słynnej bitwie

pod Racławicami. Pod Maciejowicami Kościuszko ranny dostaje się do niewoli moskiewskiej, wojska związkowe Rosyi Prus i Austryi dokonywują trzeciego rozbioru.

Walki wolnościowe nie ustają. Legiony polskie pod Napoleonem, cudów waleczności dokazują.

Powstaje pieśń legionów »Jeszcze Polska nie zginęła«.

Klęska pod Moskwą i pojmanie Napoleona rozwiewają rozbudzone nadzieje.

Kilkakrotne zrywanie się do wolności, w r. 1831, 46, 48 i 63, nie wieńczą się powodzeniem.

Czterdzieści lat minęło od ostatniego powstania.

Naród pracował, błądził nieraz, szukał dróg nowych a czasem bogów cudzych... — Dziś zdaje się wielka jakaś dziejowa chwila nadchodzi. Tężmy więc słuch, stalmy ramiona i serca i — baczność! Rozprawiania i sztandary partyjne — to nie nasza rzecz. To także import obcy, to także cudze bogi. Nam na rodzinnych, na swoich tradycyach oprzeć się potrzeba. Sięgnąć do głębin prawdziwie polskiego narodowego ducha. Tylko nastrajać go coraz wyżej w miarę rosnących zadań.

Obszary przed nami niezmierzone. Gdy staniem wyżej, odsłonią się nam widnokręgi, dotąd nie objęte wzrokiem, staną nowe drogi otworem. Tylko idźmy wyżej, coraz wyżej. Usłyszmy wezwanie poety:

„Do pracy! a więc do pracy, wy
Co mi jesteście bracia! Duchy słoneczne Polacy!"

...U nas tak się już przyjęło, urąganie nad poezyą, oddzielanie jej od życia, od rzeczywistości, że natchnionym głosom wieszczych duchów nie dajemy posłuchania..

Myśl polska wypracowuje się i oczyszcza w tajnikach serc polskich. A gdy już »cały naród z ducha się wysłowi«, gdy cały o przyszłość swą się zakłopota — wtedy spadną nam łuski obcych przesądów i stanie nam niejedna, odsądzona dziś od prawa bytu myśl polska w jasności i blasku.

Do takich przedwcześnie osądzonych wytworów ducha narodowego zaliczyć można wolną elekcyę i liberum veto. Wszakże prawo »liberum veto« istniało ani razu nie nadużyte, istniało tak długo, dopóki serca były czyste, a dusze prawe. I dopiero z chwilą kiedy sumienie ludzkie kupić było można, z tą chwilą ta wolność stała się narzędziem zabójczem i orężem szatana.

Weźmy dwa jaskrawe, a tak odmienne przykłady »liberum veto«. Siciński, poseł z Upity pierwszy w Polsce założył veto w złej sprawie i ze złą wolą. Toż imię jego okrywa hańba, a pamięć o nim przeklęta.

Rejtana za położone veto naród czcią otacza, i chyba nikt nie będzie śmiał powiedzieć, że większość miała słuszność a nie ten jeden człowiek, który przeciw tej większości z głębi sumienia narodowego zaprotestował.

Zamyślmy się jeszcze i nad tem drugiem zagadnieniem, nad wolną elekcyą.

Czy rzeczywiście ta wolna elekcya, to anachronizm przeżyty?!

Czy nie była to raczej rzecz przyszłościowa?

Czy nie świadczą o tem choćby nowe ustroje Rzeczypospolitych oparte na wolnej elekcyi wprawdzie nie królów, ale prezydentów?

